

Åsa Larsson

Burza z krańców ziemi

Bestsellerowy szwedzki kryminał



Ali-Baba

ÅSA LARSSON

**BURZA
Z KRAŃCÓW ZIEMI**

TYTUŁ ORYGINALNY

SOLSTROM

TŁUMACZENIE

BEATA WALCZAK-LARSSON

*Rośnie za moim czołem jak drzewo wściekłości
O czerwonych, iskrzących liściach,
sinych liściach, białych!
Drzewo,
co jeszcze drży na wietrze
Orozkruszę twój dom, i nic nie będzie mi obce, nawet to,
co ludzkie
Jak drzewo od środka rozsadza i kruszy dom czaszki
I świeci
niczym latarnia w lesie pośród mroku*

Göran Sonnevi,
wiersz z tomiku *Det oavslutade språket*,
tłum. Beata Walczak-Larsson

I NASTAŁ WIECZÓR, I NASTAŁ PORANEK - DZIEŃ PIERWSZY

Kiedy Wiktor Strandgård umiera, tak naprawdę nie jest to jego pierwsza śmierć. Leży na wznak w świątyni Źródła Mocy, patrząc do góry przez ogromne okna w dachu. Zdawać by się mogło, że nic nie dzieli ciała od ciemnego, zimowego nieba.

„Blżej nie możesz podejść - przechodzi przez myśl Wiktorowi. - Gdy docierasz do kościoła na wzniesieniu, u kresu świata, niebo jest prawie na wyciągnięcie ręki, wystarczy tylko dotknąć”.

Wśród mroku nocy niczym smok wije się zorza polarna. Gwiazdy i planety rozstępują się przed roziskrzonym monstrem, które niespiesznie toruje sobie drogę przez nieboskłon.

Wiktor Strandgård śledzi spojrzeniem wędrówkę zorzy.
„Ciekawe, czy ona śpiewa? - zastanawia się. - Tak jak samotny wieloryb w morskiej głębi?”

Jakby dosięgnięta jego myślą, zorza zatrzymuje się na chwilę. Przerywa niestrudzoną podróż. Spogląda na Wiktora Strandgårda chłodem zimowych oczu. Bo zaprawdę piękny jest jak ikona, gdy tak leży. Ciemna krew rozlana niczym aureola wokół długich, jasnych włosów. Ogarnia go senność. Właśnie traci czucie w nogach. Już nic nie sprawia mu bólu.

To dziwne, ale leżąc i wpatrując się w oko smoka, myśli o swojej poprzedniej śmierci.

Zjeżdżał wtedy z góry na rowerze. To było na przedwiośniu, zbliżał się właśnie do skrzyżowania ulic Adolfa Hedina i Hjalmara Lundbohma. Radosny, pełen świętej wiary, z gitarą na plecach. Pamięta, jak koła roweru bezradnie ślizgały się po lodzie, gdy rozpaczliwie próbował hamować. Jak kątem oka dostrzegł nadjeżdżającą z prawej strony kobietę w czerwonym fiacie uno. Jak spojrzeli na siebie i pojęli. Świadomość, że oto suną ślizgawką ku śmierci.

Z tym obrazem na siatkówce Wiktor Strandgård umiera po raz drugi w swoim życiu.

Już nie słyszy zbliżających się kroków. Jego oczy nie muszą ponownie oglądać lśniącego noża. Jego ciało jest tylko pustą lupiną na podłodze zboru. Przebijaną raz po raz, podczas gdy smok niewzruszenie podejmuje podróż po firmamencie.

Poniedziałek, 17 lutego

Obudził ją własny głęboki wdech i gwałtowne ukłucie niepokoju. Rebeka Martinsson otworzyła oczy i zobaczyła ciemność. Będąc gdzieś na granicy snu i jawy, odniosła nieodparte wrażenie, że w mieszkaniu jest ktoś obcy. Leżała nieruchomo, nasłuchując, ale jedyne, co dało się usłyszeć, to jej serce, które tupało w piersi jak wystraszony zajęć. Palce przesuwające się po nocnym stoliku w poszukiwaniu budzika znalazły guziczek podświetlający cyferblat. Za kwadrans czwarta. Rebeka położyła się cztery godziny temu, teraz

obudziła się po raz drugi.

„To wszystko przez tę pracę - pomyślała. - Za dużo pracuję. Dlatego w nocy myśli biegają jak w zgrzytającym kołowrotku dla gryzoni”.

Bolały ją głowa i kark. Na pewno we śnie zaciskała mocno szcękę. Równie dobrze mogła teraz wstać. Opatuliwszy się kołdrą, ruszyła w kierunku kuchni. Stopy znały drogę na pamięć, Rebeka nie musiała zapalać światła. Włączyła ekspres do kawy i radio. Przerywnik muzyczny *Storm och böljor tystna ren* rozbrzmiewał raz po raz jak monotonna modlitwa, podczas gdy woda sączyła się przez filtr ekspresu, a Rebeka brała prysznic.

Pozwoliła długim włosom schnąć bez suszarki. Ubierała się, pijąc kawę. W weekend wyprasowała i powiesiła w szafie ubrania na cały tydzień.

Był poniedziałek, więc z „poniedziałkowego” wieszaka ściągnęła bluzkę w kolorze kości słoniowej i granatowy kostium firmy Marella. Powąchała wczorajsze pończochy, mogą być. Marszczyły się trochę w kostce, ale gdy naciągnęła je i zawinęła pod stopą, nic nie było widać. Wystarczyło zapamiętać, żeby w ciągu dnia nie zdejmować butów. W ogóle się tym nie przejmowała. Bieliznie i pończochom mogła poświęcić szczególną uwagę, mając podstawy do przypuszczeń, że nie będzie rozbierać się sama. Bielizna Rebeki była sprana i poszarzała.

Godzinę później Rebeka siedziała w biurze przed komputerem. Tekst przelewał się przez jej głowę jak górski potok i spadał ramionami, by wypłynąć z palców biegających po klawiaturze. Umysł odpoczywał w czasie pracy. Niemile uczucie nekające ją o poranku ulotniło się bezpowrotnie.

„To osobliwe - pomyślała. - Rozmawiając z młodszymi prawnikami, narzekam, że praca mnie unieszczęśliwia. Ale pracując, czuję spokój. Niemal radość. Lęk ogarnia mnie, gdy nie pracuję”.

Światło ulicznych latarni mozolnie przeciskało się przez wielkie okna pokratkowane szczeblinami. Spośród dźwięków dobiegających z zewnątrz ciągle jeszcze można było rozróżnić

odgłosy pojedynczych pojazdów, które wkrótce miały przekształcić się w stłumiony szum miejskiego zgiełku. Rebeka usiadła wygodniej na krześle i wybrała komendę „drukuj”. W ciemnym korytarzu obudziła się drukarka, przyjmując pierwsze zamówienie dnia. Jednocześnie trzasnęły drzwi przy recepcji. Rebeka westchnęła i spojrzała na zegarek. Za dziesięć szósta. Czyli koniec samotności.

Nie była w stanie rozpoznać przybysza po krokach. Miękkie dywany w korytarzu tłumiły wszelkie dźwięki. Po chwili otwarły się drzwi do jej pokoju.

- Mogę poprzekadzać?

Maria Taube pchnęła drzwi biodrem, bo ręce miała zajęte dwoma kubkami z kawą. Pod pachą trzymała wydruk Rebeki.

Obie kobiety, adwokatki specjalizujące się w prawie podatkowym, były zatrudnione w firmie Meijer & Ditzingen. Kancelaria mieściła się na najwyższym piętrze uroczej kamieniczki z przełomu XIX i XX wieku, przy ulicy Birgera Jarla. Korytarze zaścieniały stare dywany perskie, tu i ówdzie stały solidne sofy i fotele o przyjemnie splekanym ze starości, skórzanym obiciu. Zewsząd czuć było tchnienie kompetencji, doświadczenia, pieniędzy i wpływów. Biuro wzbudzało w klientach stosowną dawkę poczucia bezpieczeństwa i głębokiego szacunku.

- Kiedy przyjdzie mi umrzeć, będę tak zmęczona, że nie starczy mi sił na życie pośmiertne - powiedziała Maria, stawiając jeden z kubków na biurku Rebeki. - Ale to oczywiście nie dotyczy ciebie, Maggie Thatcher. O której przyszłaś? Albo raczej: czy w ogóle byłaś w domu?

Obydwie pracowały w niedzielę wieczorem. Maria opuściła biuro pierwsza.

- Przyszłam przed chwilką - skłamała Rebeka, odbierając swój wydruk.

Maria usiadła w fotelu przeznaczonym dla klientów, rzuciła swoje stanowczo za drogie buty i podciągnęła nogi pod siebie.

- Co za pogoda - westchnęła.

Rebeka ze zdziwieniem spojrzała w okno. Zimny deszcz bębnił o szyby. Wcześniej tego nie zauważyła. Nie pamiętała, czy

padało, gdy wchodziła do biura. Nie pamiętała nawet, czy przyszła pieszo, czy przyjechała metrem. Jak zahipnotyzowana zatrzymała wzrok na strużkach wody staczających się po szybie.

„Zima w Sztokholmie - pomyślała. - Nic dziwnego, że człowiek wyłącza świadomość, gdy tylko wyjdzie za próg. W domu to co innego. Niebieska poświata zimowego zmierzchu i skrzypiący śnieg...

Albo na przedwiośniu. Wyprawy na nartach wzdłuż rzeki... Gdy po przyjeździe od babci z Kurravaara do chatki w Jiekajärvi odpoczywamy, siedząc na pierwszej łacie gołej ziemi pod sosną. Gdy kora drzewa żarzy się w słońcu jak najczerwieńsza miedź, a śnieg osuwa się w ciepłe promieni, wzdychając ze zmęczenia. W plecaku mamy kawę, pomarańcze i kanapki z kielbasą”.

Dopadł ją głos Marii. Myśli, spragnione swobody, miały się przez moment, ale Rebeka przywołała je do porządku i popatrzyła na podniesione brwi koleżanki.

- Halo! Pytałam, czy chcesz posłuchać wiadomości.

- Oczywiście.

Ciągle siedząc na krześle, odchyliła się do tyłu i sięgnęła po stojące na parapecie radio.

„Boże, jaka ona jest chuda - pomyślała Maria, przyglądając się wystającym żebrom Rebeki. - Mogłabym na nich zagrać *Panie Janie*”.

Rebeka podkręciła regulator i obydwie kobiety zastygły jak w modlitwie z kubkami w dłoniach i z pochylonymi głowami.

Maria zamrugła powiekami. Ciągle jakby czuła piasek w zmęczonych oczach. Dzisiaj musi uporać się z odwołaniem do sądu wojewódzkiego w sprawie Stenmana. Måns chyba ją zamordował, gdyby poprosiła o jeszcze więcej czasu. Coś ją zapiekło w dołku. Zdecydowanie za dużo kawy przed obiadem. Siedzisz tu jak uwięziona w wieży, dniem i nocą, świątek - piątek, w tym wytwornym biurze o cholernie szacownych tradycjach, które niechby trafił szlag, z tymi przepitymi właścicielami, którzy rozbierają cię wzrokiem, podczas gdy prawdziwe życie przepływa gdzieś obok. W końcu nie jesteś pewna, czy chce ci się płakać, czy robić rewolucję, a jedyne, na

co cię stać, to przywlec się do domu i paść przed telewizorem, który znieczuli twój lęk migotaniem ekranu.

„Minęła szósta. Tu »Echo dnia«. We wczesnych godzinach rannych w kościele Źródła Mocy w Kirunie znaleziono ciało martwego mężczyzny. Zamordowany trzydziestoparolatek był znanym przywódcą religijnym. Lokalna policja odmówiła komentarza, podając tylko, że dotychczas nie zatrzymano nikogo w związku z morderstwem i nie znaleziono narzędzia zbrodni. Coraz więcej gmin ignoruje zobowiązania wynikające z Ustawy o opiece społecznej. Najnowsze badanie...”

Rebeka obróciła krzesło tak gwałtownie, że zawadziła dłonią o parapet. Wyłączając z hukiem radio, oblała się kawą.

- Wiktor! - krzyknęła. - To nie może być nikt inny.

Maria patrzyła na nią ze zdumieniem.

- Wiktor Strandgård? Rajski Chłopiec? Znałeś go?

Rebeka, uciekając przed spojrzeniem Marii, wbiła oczy w kawową plamę na spódnicy. Błada, skupiona twarz. Wąskie, - Nie marudź - skarciłazaciśnięte usta.

- Jasne, że znałam go z widzenia. Ale nie było mnie w Kirunie od ładnych paru lat. Teraz nikogo już tam nie znam.

- Mówisz, że nie znałeś go osobiście. W porządku, złotko, ale wyglądasz, jakbyś miała zaraz zemdleć. Jesteś całkiem biała na twarzy. Pochyl się do przodu i włoż głowę między kolana.

Rebeka wykonała polecenie jak posłuszna uczennica. Maria pobiegła do toalety po papierowe ręczniki, żeby ratować garsonkę. Kiedy wróciła do pokoju, Rebeka siedziała już wyprostowana, z plecami wciśniętymi w oparcie krzesła.

- Dobrze się czujesz?

- Tak - odpowiedziała, przyglądając się bezradnie Marii, która zaczęła intensywnie trzeć spódnice zmoconym kawałkiem papieru. - Znałam go osobiście - dodała po chwili.

- Mhmmm, nie potrzebowałam wykrywacza kłamstw - powiedziała Maria, nie odrywając oczu od plamy. - Tak się przejęłaś? Smutno ci?

- Smutno? Nie wiem. Nie, raczej straszno. Chyba się boję.

- Boisz?

Maria przestała czyścić spódnice w zapamiętaniu.

- Czego?

- Nie wiem. Że ktoś...

Nie zdążyła dokończyć myśli, bo telefon wybuchnął przeraźliwym terkotem. Wzdrygnęła się, ale wpatrzona tępo w aparat nie podnosiła słuchawki. Po trzecim sygnale odebrała Maria. Przysłaniając mikrofon dłonią, wyszeptwała:

- Do ciebie i na pewno z Kiruny, bo brzmi jak troll z północnego lasu.

*

Kiedy u komisarz Anny Marii Melli zadzwonił telefon, już nie spała. Zimowy księżyc wypełniał pokój ostrym białym światłem. Brzozy za oknem rzucały na ścianę niebieskie cienie swoich skarłowaciałych ciał. Podniosła słuchawkę, zanim przebrzmiał pierwszy sygnał.

- To ja, Sven Erik, nie obudziłem cię?

- Nie, nie spałam, ale jeszcze się wyleguję. No i?

Usłyszawszy westchnienie Roberta, spojrzała w jego stronę. Obudził się? Nie, oddech znów był regularny i ciężki. Dobrze.

- Podejrzany zgon w kościele Źródła Mocy - powiedział Sven Erik.

- No i? Od piątku jestem na etacie w biurze, zapomniałeś o tym?

- Wiem - w głosie mężczyzny słychać było udręczenie - ale, kurna, Anno, to jest coś wyjątkowego. Mogłabyś przecież przyjechać i tylko trochę się porozglądać. Technicy za chwilę będą gotowi, możemy wchodzić. To po prostu rzeźnia, a w środku leży Wiktor Strandgård. Myślę, że mamy najwyżej godzinę, bo później zjadą się wszystkie cholerne stacje telewizyjne z kamerami i całym tym bajzlem.

- Będę za dwadzieścia minut.

„A to ci dopiero - pomyślała. - Dzwoni i prosi mnie o pomoc. Zmienił się”.

Sven Erik nie odpowiedział, ale Anna Maria usłyszała wyraźne westchnienie ulgi, zanim zakończył rozmowę.

Odwróciła się do śpiącego Roberta i utkwiała oczy w jego twarzy. Policzek wtulony w grzbiet dłoni, lekko rozchylone

fioletoworóżowe usta. Nieodparcie seksowne wydawały się jej pierwsze srebrne nitki w zwichrzonych włosach i na skroniach. Natomiast ich właściciel, stojąc przed łazienkowym lustrem, zwykł z niepokojem analizować coraz większe zakola u nasady włosów.

- Pustynia rozszerza się - narzekał.

Pocałowała go w usta. Jej brzuch utrudniał zadanie, ale udało się. Dwa razy.

- Kocham cię - zapewnił Robert, jeszcze przez sen. Szukając jej po omacku pod koldrą, próbował przyciągnąć do siebie, ale Anna Maria zdążyła usiąść na brzegu łóżka. Nagle bardzo zachciało się jej sikać. To cholerne przelewanie się pęcherza. Dzisiaj w nocy była w ubikacji już dwa razy.

Kwadrans później wysiadła ze swojego forda escorta na parking przy kościele Źródła Mocy. Ciągle było diabelnie zimno. Powietrze szczypało i kłuło wściekle w policzki. Gdy oddychała przez usta, czuła rwący ból w gardle i płucach. Gdy oddychała przez nos, zlepiły się, przymarzając do siebie, włoski w nozdrzach. Podciągnęła szalik i zakryła nim usta. Spojrzała na zegarek. Najwyżej pół godziny. Później samochód nie zapali. Zniszczony czerwony ford Anny Marii wyglądał mizernie przy volvo 740 należącym do Svena Erika Stålnackego. Obok zaparkował policyjny radiowóz. Stało tu jeszcze kilkanaście samochodów, wszystkie zasypane śniegiem. Technicy najwidoczniej już odjechali. Komisarz ruszyła wąską drogą do kościoła leżącego na wzniesieniu Sandstensberget. Szron osiadł na brzozech jak lukier, a na szczycie wzniesienia wzbijał się w mroczne niebo potężny, kryształowy kościół, otoczony mrowiem gwiazd i planet. Niczym olbrzymia, rozświetlona bryła lodu, która staje w szranki z jasnością zorzy polarnej.

„Cholernie szpanerska budowla - pomyślała, zmagając się ze stromym podejściem. - Mając tyle forsy, parafia mogłaby ofiarować pieniądze organizacji »Ratujmy Dzieci«. No ale przecież o wiele fajniej jest śpiewać gospel w wypasionym zborze, niż wiercić studnie w Afryce”.

Już z daleka dostrzegła stojących przed drzwiami świątyni

komisarza Stålnackego, asystenta Tommy'ego Rantakyrö i komisarza Freda Olssona. Sven Erik Stålnacke, jak zwykle z gołą głową, stał w bezruchu, lekko przechylony do tyłu, z rękami głęboko wciśniętymi w ciepłe kieszenie kurtki puchowej. Obaj młodzi mężczyźni krążyli wokół niego podnieceni jak niesforne szczeniaki. Anna Maria nie słyszała ich głosów, ale widziała, jak ulatujące z ust żarliwe słowa zamieniają się w kłęby białych obłoczków. Przywitani ją radosnym szczekaniem jak młode psy, gdy tylko ukazała się ich oczom.

- Halo - zawołał Tommy - jak się mamy?

- Mamy się dobrze - odkrzyknęła jowialnie.

- Co za czasy, najpierw trzeba przywitać się z brzuchem, a dopiero kwadrans później z tobą - dodał Fred.

Roześmiała się.

Po chwili napotkała poważny wzrok Svena Erika. W bujnych jak u morsa wąsach utworzyły się niewielkie sople lodu.

- Dziękuję, że przysłaś. Mam nadzieję, że jesteś po śniadaniu, bo to nie będzie widok na pobudzenie apetytu. Wchodzimy?

- Mamy tu na was poczekać?

Fred, ciągle udeptując śnieg, spoglądał to na jednego, to na drugiego zwierzchnika. Sven Erik miał zastąpić Annę Marię, więc formalnie to on teraz pełnił funkcję szefa. Ale nagłe pojawienie się policjantki komplikowało sytuację i nie było wiadomo, kto ma wydawać polecenia.

Anna Maria milczała ze wzrokiem utkwionym w Szenie Eriku. Przyszła tutaj tylko dla towarzystwa.

- Dopilnujcie, żeby nie wszedł tu nikt niepowołany, zanim zabiorą zwłoki. Ale gdy zaczniecie marznąć, to wejdźcie do środka.

- No nie, kurde, możemy stać na dworze. Chciałem tylko wiedzieć, co i jak - zapewnił

Fred.

- Jasne - sine wargi Tommy'ego wykrzywiły się w uśmiechu. - W końcu jesteśmy mężczyznami. A prawdziwi mężczyźni nie marzną.

Sven Erik wszedł do kościoła zaraz za Anną Marią i zatrzasnął

drzwi. Przeszli przez uśpiony, mroczny przedsionek. Pod wpływem fali zimnego powietrza rzędy pustych wieszaków w szatni zagrały jak setki dzwonek carillonu. Do głównego pomieszczenia świątyni prowadziły podwójne wahadłowe drzwi. Przekraczając je, Sven Erik odruchowo ściszył głos.

- O trzeciej nad ranem zadzwoniła do centrali siostra Wiktora Strandgård. To ona znalazła ciało brata i zatelefonowała z kancelarii parafialnej.

- Gdzie ta kobieta jest teraz? W komisariacie?

- Odpowiedź brzmi: nie. Nie mamy pojęcia, gdzie się podziewa. Polecilem w centrali, żeby wyznaczyli kogoś, kto jej poszuka. Nie było tutaj nikogo, gdy przyszli Tommy i Freddy.

- Co powiedzieli technicy?

- Żeby tylko oglądać, nie dotykać.

Zwłoki leżały w środku przejścia do ołtarza. Anna Maria zatrzymała się w pół drogi.

- No do kurwy nędzy - wyrwało się jej bezwiednie.

- Przecież mówiłem... - Sven Erik przystanął krok za nią.

Wyciągnęła z wewnętrznej kieszeni kurtki niewielki dyktafon i zawahała się. Zamiast prowadzić notatki, zazwyczaj nagrywała się na taśmę. Ale teraz... Teraz to w zasadzie nie należało do jej obowiązków. Może powinna siedzieć cicho i tylko obserwować? „Kombinujesz jak koń pod górę”, skarciła siebie samą i włączyła dyktafon, nie oglądając się na kolegę.

- Jest piąta trzydzieści pięć - powiedziała do mikrofonu - szesnastego lutego, nie... siedemnastego. Siedemnastego lutego. Znajduję się w kościele Źródła Mocy i patrzę na kogoś, o kim wiem, że nazywa się Wiktor Strandgård i jest powszechnie znany jako Rajski Chłopiec. Zwłoki leżą w środku przejścia do ołtarza. Wygląda na to, że ofiara została porządnie rozpruta, bo cuchnie jak cholera, a chodnik, na którym leży, jest mokry. Ta ciecz to najprawdopodobniej krew, ale czerwony kolor dywanu utrudnia identyfikację. Ubrania są zakrwawione i nie widać dokładnie ran brzucha, oprócz tego, że odsłonięte są fragmenty trzewi, ale o tym zda sprawozdanie lekarz. Zamordowany ma na sobie dzinsy i bluzę. Podeszwy butów i dywan pod butami są suche. Oczy zostały wyklute...

Nagle przerwała i wyłączyła dyktafon. Podeszła bliżej, pochyliła się nad twarzą mężczyzny. Już miała powiedzieć, że jest pięknym trupem, ale istniały granice głośnego myślenia, których nie chciała przekraczać w obecności Svena Erika. Twarz zmarłego przywiodła jej na myśl króla Edypa. Jako uczennica liceum oglądała tę sztukę na wideo. Wtedy scena, w której Edyp wykluwa sobie oczy, nie zrobiła na Annie Marii specjalnego wrażenia, ale teraz właśnie ten obraz powrócił do niej z osobliwą siłą. Znowu poczuła przepełniony pęcherz. I nie mogła też zapomnieć o samochodzie. Do dzieła. Ponownie włączyła dyktafon.

- Oczy są wyklute, długie włosy zakrwawione, zamordowany zapewne ma ranę w tyle głowy. Na szyi, po prawej stronie widoczna jest rana cięta, ale nie wypływa z niej krew, brakuje obu dłoni...

Odwróciwszy się, Anna Maria spojrzała pytająco na Svena Erika, który wskazywał coś pod rządami krzesel. Pochyliła się z wysiłkiem i omiotła spojrzeniem podłogę.

- Aha, jedna dłoń leży trzy metry dalej, między krzesłami. A druga?

Sven Erik wzruszył ramionami.

- Żadnych poprzewracanych krzesel - kontynuowała. - Żadnych śladów walki, zgadzasz się?

- Tak - odpowiedział krótko. Nie lubił mówić do mikrofonu.

- Kto fotografował?

- Simon Larsson.

„Świetnie - pomyślała. - To znaczy, że będziemy mieć dobre zdjęcia”.

- Poza tym wszystko wygląda normalnie - mówiła dalej. - Jestem tutaj pierwszy raz. Setki lamp z mrożonego szkła wzdłuż tych fragmentów ścian, które nie są zbudowane z luksferów. Jak wysoko tu może być? Z pewnością ponad dziesięć metrów. Ogromne okna w dachu. Niebieskie krzesła stojące w prostych rzędach. Ile osób może się tutaj zmieścić? Dwa tysiące?

- Plus chór - dodał Sven Erik.

Obchodził salę, omiatając ją wzrokiem jak odkurzaczem. Anna

Maria odwróciła się i utkwiała spojrzenie w galerii rozciągającej się przed nią. Piszczalki organów pięły się ku sufitowi, spiesząc na spotkanie swego lustrzanego odbicia w potężnych oknach dachu. Imponujący widok.

- Nie mam nic więcej do dodania - Anna Maria wypowiadała słowa powoli, jakby w oczekiwaniu na myśl, która z podświadomości miała wślizgnąć się w szparę między wyrazami - ale jest coś... coś sprawia, że gdy patrzę na to wszystko, czuję frustrację. Abstrahując oczywiście od tego, że są to najbardziej pokiereszowane zwłoki, jakie kiedykolwiek widziałam...

- Słuchajcie! Jaśniepan zastępca prokuratora rejonowego wspina się na górę - ostrzegł ich Tommy Rantakyrö, zaglądając do środka przez uchylone drzwi.

- A kto, do jasnej cholery, do niego zadzwonił? - zapytał zmęczonym głosem Sven Erik, ale po Tommym nie było już śladu.

Anna Maria przyjrzała się Svenowi Erikowi z uwagą. Cztery lata temu, kiedy została szefową zespołu, przez pierwsze sześć miesięcy kolega prawie się do niej nie odzywał, głęboko upokorzony tym, że dostała posadę, o którą tak bardzo się starał. A teraz, pogodzony z funkcją drugich skrzypiec, nie chciał wysuwać się do przodu. Postanowiła, że przy najbliższej okazji wesprze go duchowo. Ale dzisiaj musi sobie radzić sam. Widząc, jak zastępca prokuratora rejonowego, Carl von Post, szturmuje drzwi kościoła, posłała Svenowi Erikowi spojrzenie dodające odwagi.

- Co to ma znaczyć, do kurwy nędzy?! - wrzasnął von Post. Zerwał z głowy futrzaną czapkę i starym zwyczajem przecesał dłonią swoją lwią, pofalowaną grzywę. Przytupywał w miejscu. Krótka przechadzka z parkingu wystarczyła, żeby stopy w eleganckich butach firmy Church zamieniły się w sople lodu. Po chwili prokurator ruszył zdecydowanie w kierunku policjantów, ale zatrzymał się w pół kroku, zobaczywszy leżące na podłodze zwłoki.

- Ożeż kurwa! - wybuchnął i zaczął oglądać swoje buty, obawiając się, że je pobrudził. - Dlaczego nikt do mnie nie

zadzwoił? - mówił dalej, zwracając się do Svena Erika. - Od teraz ja dowodzę postępowaniem przygotowawczym. A jeśli próbowałeś zataić przede mną istotne informacje, to przygotuj się na poważną rozmowę z inspektorem.

- Nikt niczego przed tobą nie zatajał. Nie wiedzieliśmy, co się stało, i w zasadzie dalej nie wiemy - próbował Sven Erik.

- Gówno prawda! - warknął prokurator. - A co ty tutaj robisz? Ostatnie zdanie skierował do Anny Marii, która stała w milczeniu, ze wzrokiem utkwionym w kikutach rąk Wiktora Strandgårda.

- To ja do niej zadzwoniłem - wyjaśnił Sven Erik.

- No tak - wysyczał von Post. - Zadzwoniłeś do niej, ale nie do mnie.

Sven Erik milczał, von Post patrzył na Annę Marię, która podniosła wzrok i ze spokojem spojrzała w oczy prokuratora.

Carl von Post zacisnął zęby tak mocno, że zaboląły go szczęki. Od zawsze miał kłopoty z zaakceptowaniem policjantki karlicy. Nigdy nie mógł zrozumieć, dlaczego wszyscy z wydziału śledczego dawali się wodzić za nos tej kobiecie. No i ten wygląd! Bez butów ma najwyżej metr pięćdziesiąt. Końska twarz, tak bardzo pociągła, że zakrywa pół ciała. A teraz z tym monstrualnym brzuchem to nawet można by ją pokazywać w cyrku. Przypomina groteskowy sześcian, równie wysoki jak szeroki. Niewątpliwy efekt wieloletniego chowu wsobnego w tych maleńkich, izolowanych od świata wioskach lapońskich.

Prokurator zatrzepotał w powietrzu dłonią, jakby zamazując wypowiedziane wcześniej ostre słowa, i zaczął z innej beczki.

- Jak się masz, Anno Mario? - zapytał, ozdabiając twarz miękkim, opiekuńczym uśmiechem.

- Dobrze - odpowiedziała obojętnie. - A ty?

- Za godzinę albo coś koło tego media zaczną mi deptać po piętach. Podejrzewam, że będzie cholerna wrzawa, więc mówcie, czego się dowiedzieliście do tej pory o morderstwie i o zmarłym. Sam wiem tylko tyle, że był religijną gwiazdą.

Usiadł na jednym z niebieskich krzeseł i ściągnął rękawiczki.

- To może Sven Erik zda relację - odpowiedziała krótko, ale życzliwie Anna Maria. - Jeżeli chodzi o mnie, planuję siedzenie

za biurkiem aż do rozwiązania. Przyjechałam tutaj ze Svenem Erikiem, bo mnie o to poprosił, a co dwie głowy, to... no wiesz. A teraz muszę siknąć, wybaczcie.

Z zadowoleniem zanotowała wymuszony uśmiech na twarzy von Posta, zanim

pospieszyła do toalety. I pomyśleć, że słowo „siknąć” tak bardzo go razi. Mogła się założyć, że jego żona kieruje strumień moczu na porcelanę sedesu tak, żeby ciurkanie nie dobiegało różanych uszu wrażliwego prokuratora. Pieprzony dupek.

- No - zaczął Sven Erik, gdy zostali sami - rozejrzyj się, nie wiemy wiele więcej. Ktoś go zabił. I to porządnie, że tak powiem. Zamordowany to Wiktor Strandgård, znany też jako Rajski Chłopiec. Potężny magnes przyciągający ludzi do dużej wspólnoty religijnej. Dziewięć lat temu miał okropny wypadek: potracił go samochód. Strandgård umierał, zatrzymało się serce i tak dalej, ale odratowano go, a on ze szczegółami opowiedział później, co wydarzyło się w czasie operacji i akcji przywracania go do życia, na przykład że lekarzowi spadły okulary i takie tam. I powiedział też, że był w niebie. Spotkał anioły i Jezusa. No a później jedna z pielęgniarek operacyjnych i kobieta, która go przejechała samochodem, znalazły drogę do Boga i nagle cała Kiruna przeobraziła się w jedną wielką sektę. Trzy największe wspólnoty wyznaniowe połączyły się w zbór Źródła Mocy. Liczba wiernych rosła nieustannie, w ostatnich latach wybudowali ten kościół, otworzyli szkołę, przedszkole i zorganizowali kilka spotkań odrodzenia religijnego. Na ich konto wpływają bająnskie sumy pieniędzy. Przyjeżdżają tu ludzie z całego świata. Wiktor Strandgård jest, albo raczej był, zatrudniony na cały etat w parafii, wydał też bestseller...

- *Do nieba tam i z powrotem...*

- Dokładnie. Jest ich złotym cielcem, pisano o nim i w „Expressen”, i w „Aftonbladet”, więc i teraz będzie mnóstwo medialnego szumu. Przyłączy się też z pewnością telewizja.

- No właśnie - odpowiedział von Post, wstając z niecierpliwą miną. - Nie chcę, żeby były jakieś przecieki do prasy. Biorę na siebie kontakty z mediami i proszę, żebyś systematycznie zdawał raport z wyników przesłuchań i tak dalej, rozumiesz, o

wszystkim musisz mnie informować. Kiedy zaczną cię nagabywać dziennikarze, możesz im powiedzieć, że dzisiaj o dwunastej na schodach kościoła poprowadzę konferencję prasową. A co ty masz w najbliższych planach?

- Musimy odnaleźć siostrę Strandgård, to ona odkryła zwłoki. A później chyba porozmawiamy z trzema parafialnymi pastorami. Lekarz sądowy jest w drodze z Luleå, powinien nadjechać lada moment.

- Dobrze. O jedenastej trzydzieści zdasz mi sprawozdanie na temat przyczyny zgonu i prawdopodobnego przebiegu wypadków. Bądź wtedy pod telefonem. To tyle. Jeżeli skończyliście już oględziny, to chciałbym się teraz sam trochę rozejrzeć.

*

- Nie marudź - skarciła Svena Erika Anna Maria - przecież to lepsze niż ciągle przesłuchiwanie pijanych kierowców skuterów śnieżnych.

Ponieważ jej ford escort nie chciał zapalić, Sven Erik odwoził ją do domu.

„To chyba nawet dobrze - pomyślała. - On z pewnością potrzebuje wsparcia, żeby nie stracić zapału do pracy”.

- To ten pieprzony von Post-Srost - odpowiedział Sven Erik z grymasem na twarzy. - Gdy mam z nim do czynienia, od razu nachodzi mnie ochota, żeby wszystko olać i przez osiem godzin tylko udawać, że pracuję, a później spokojnie pomaszerować do domu.

- Ale teraz nie powinienes o nim myśleć. Pomyśl za to o Wiktorze Strandgårdzie. Szaleniec, który go zamordował, wciąż jest na wolności, a ty musisz go złapać. Niech ten von Post-Srost krzyczy sobie, hałasuje i gada z dziennikarzami. My i tak wiemy, kto jest od prawdziwej roboty.

- Ale jak ja mogę przestać o nim myśleć? Przecież on mi nieustannie wisi nad głową, jak jastrząb.

- Wiem.

Spojrzała za szybę samochodu. Domostwa wzdłuż drogi ciągle spały w mroku. Tylko w pojedynczych oknach paliły się światła.

Tu i ówdzie ciągle jeszcze jaśniały pomarańczowo gwiazdy adwentowe. W tym roku nikt nie zginął w pożarze. Pobicia, burdy i inne nieszczęścia - to oczywiście, ale nie więcej niż zazwyczaj. Anna Maria poczuła lekkie mdłości. Nic dziwnego. Była na nogach już od ponad godziny, a jeszcze nic nie zjadła. Uświadomiła sobie, że nie potrafi się skoncentrować na tym, co mówi Sven Erik, i musiała

sięgnąć pamięcią wstecz, żeby nadażyć za tokiem jego myśli. Zapytał, jak wyglądała jej współpraca z von Postem.

- Tak naprawdę nie mieliśmy ze sobą dużo do czynienia.

- Cholera, Anno, chyba potrzebuję twojej pomocy. Wszyscy będziemy pod ogromną presją, a w dodatku ten despota... Właśnie w takiej sytuacji człowiek potrzebuje wsparcia kolegów.

- To przecież zwykły szantaż. - Nie mogła się powstrzymać od śmiechu.

- Robię, co do mnie należy. Szantażuję i zastraszam. A zresztą trochę ruchu dobrze ci robi. Mogłabyś w każdym razie porozmawiać z siostrą Strandgård. Pomóż mi tylko ruszyć z miejsca.

- Jasne, zadzwoń do mnie, gdy ją znajdziecie.

Sven Erik pochylił się nad kierownicą i spojrział w górę na czarne niebo.

- Co za księżyc - uśmiechnął się z zadowoleniem. - Siedziałyby się teraz i czekało na lisa.

*

W kancelarii adwokackiej Meijer & Ditzinger Rebeka Martinsson przejęła słuchawkę od Marii Taube.

„Troll z północnego lasu”, powiedziała Maria. Był tylko jeden. Pod powiekami Rebeki pojawił się obraz lalkowatej twarzy z perkatym nosem.

- Rebeka Martinsson.

- Tu Sanna, nie wiem, czy już słyszałaś: Wiktor nie żyje.

- Dowiedziałam się dosłownie przed chwilką. Przykro mi.

Zupełnie bezwiednie Rebeka wzięła do ręki długopis i napisała na żółtej karteczce: „Powiedz nie! NIE!”.

Po drugiej stronie linii telefonicznej Sanna Strandgård nabrała powietrza w płuca.

- Wiem, że już nie mamy ze sobą takiego kontaktu jak dawniej. Ale ciągle jesteś moją najbliższą przyjaciółką. Nie wiedziałam, do kogo się zwrócić. To ja znalazłam Wiktora w kościele i... Ale może jesteś zajęta?

„Zajęta? - pomyślała Rebeka, czując, jak konsternacja rośnie w niej niczym słupek rtęci w podgrzanym termometrze. - Co to za pytanie? Czy Sanna naprawdę myśli, że ktokolwiek mógłby odpowiedzieć na nie twierdząco?”

- Oczywiście, że nie jestem zajęta, gdy dzwonisz z takiego powodu - odparła łagodnie, przysłaniając oczy dłonią. - Powiedziałaś, że go znalazłaś?

- To było coś okropnego - niski głos Sanny nie zdradzał żadnych uczuć. - Przyszłam do kościoła gdzieś o trzeciej nad ranem. Wiktor miał być u nas na obiedzie, ale się nie pojawił. Wtedy pomyślałam, że zapomniał. Wiesz, jaki on jest. Gdy zatonię w modlitwie,

zapomina o bożym świecie. Zawsze mu powtarzam, że w ten sposób można być chrześcijaninem tylko wtedy, gdy jest się młodym, bezdzielnym mężczyzną. Jeżeli chodzi o mnie, to modłę się, korzystając z chwili samotności w ubikacji.

Umilkła na moment, a Rebeka zaczęła się zastanawiać, czy Sanna zdaje sobie sprawę z tego, że mówi o Wiktorze tak, jakby żył.

- Ale obudziłam się w nocy i poczułam, że coś się stało.

Znów przerwała i zaintonowała cicho *Albowiem tak Bóg umiłował świat.*

Rebeka utkwiała oczy w migającym tekście na ekranie komputera. Litery uwolniły się z kontekstu, przegrupowały i utworzyły obraz anielskiej twarzy Wiktora zalanej krwią.

Sanna znów coś mówiła. Jej głos przypominał cienki wrześnieowy lód. Rebeka знаła ten głos. Pod gładką powierzchnią pienila się czarna, zimna woda.

- Odcięli mu dłonie. A oczy były... Wszystko było takie dziwne. Gdy go odwróciłam, głowę miał całkiem... Chyba zwariuję... I szuka mnie policja. Przyszli do mnie wcześniej rano, ale

powiedziałam córkom, żeby siedziały cichutko jak myszki, i nie otworzyłam drzwi. Policja myśli pewnie, że zamordowałam własnego brata. Później wzięłam dziewczynki i wyszłyśmy z domu. Boję się, że kompletnie się załamie. Ale to i tak nie jest najgorsze.

- Nie? - zapytała Rebeka.

- Sara była ze mną, gdy znalazłam Wiktora. Zresztą Lova też, tylko że ona spała w sankach przed kościołem. No i Sara jest w szoku. Przestała mówić. Próbuję nawiązać z nią kontakt, ale ona tylko siedzi w jednym miejscu, wygląda przez okno i zakłada włosy za uszy.

Rebeka poczuła skurcz w żołądku.

- Na Boga, Sanna! Idź po pomoc! Zadzwoń do poradni psychiatrycznej i powiedz, że to nagły przypadek wymagający natychmiastowej wizyty u lekarza. I ty, i dziewczynki potrzebujecie teraz wsparcia. Wiem, że to brzmi dramatycznie, ale...

- Nie mogę, przecież wiesz - zakwiliła Sanna. - Mama i tato powiedzą, że zwariowałam, i będą próbowali odebrać mi dzieci. Wiesz przecież, jacy oni są. A wspólnota nie uznaje psychologów, szpitali i tak dalej. Nigdy by nie zrozumieli. Nie mam odwagi rozmawiać z policją, oni tylko pogorszą sytuację. I nie mam odwagi odbierać telefonów, bo to może być jakiś dziennikarz, a ja przeżyłam już wystarczająco po przebudzeniu Wiktora w Kirunie. To nie było miłe, gdy wszyscy dzwonili i dawali do zrozumienia, że mój brat to rąbnięty facet z halucynacjami.

- Ale przecież rozumiesz, że nie możesz się ukrywać - zaapelowała Rebeka.

- Nie dam rady, nie dam sobie z tym rady - Sanna mamrotała do siebie po nosie. - Przepraszam, że dzwonię i przeszkadzam. Już kończę, zaraz będziesz się mogła wziąć do pracy.

Rebeka zaklęła pod nosem - „Kurwa jego mać”.

- Przyjadę - powiedziała, wzdychając. - Musisz dać się przesłuchać policji. Spotkamy się i pójdziemy razem na komisariat, dobrze?

- Dobrze - wyszeptała Sanna.

- Dasz radę prowadzić samochód? Możesz przyjechać do domu babci w Kurravaara?

- Poproszę kolegę, żeby mnie podwiózł.

- Świetnie. W zimie nigdy tam nikogo nie ma. Weź ze sobą Sarę i Lovę. Pamiętasz, gdzie leży klucz. Napal w piecu. Przyjadę po południu. Wytrzymasz do tej pory?

Rebeka odłożyła słuchawkę i wpatrywała się tępo w telefon. Czowała pustkę i konsternację.

- To jest, kurna, niesamowite - zwróciła się z rezygnacją do Marii. - Nawet nie musiała mnie o nic prosić.

Popatrzyła na zegarek. Zamknęła oczy, wciągnęła powietrze przez nos i jednocześnie prostując głowę, wypuściła je ustami i opuściła ramiona. Maria widziała to ćwiczenie niejedną raz. Rebeka poprzedzała nim negocjacje i ważne spotkania. Albo wykonywała je, gdy - goniona terminami - siedziała po nocach w biurze.

- Jak się czujesz?

- Chyba lepiej, żebym się nad tym nie zastanawiała. - Rebeka pokręciła głową i kierując wzrok ku oknu, uciekła przed zatroskanym spojrzeniem Marii. Przygryzła mocno wargi. Przestało padać.

- Robaczku, nie możesz być tak do bólu dzielna - odezwała się łagodnie Maria. - Czasami dobrze jest stracić kontrolę i po prostu zacząć krzyczeć. Rebeka splotła dłonie na kolanach.

„Stracić kontrolę - pomyślała. - A co się stanie, gdy człowiek uświadomi sobie, że ciągle spada? A co się stanie, gdy nie przestanie krzyczeć? Nagle dotrze do niego, że ma pięćdziesiątkę. Że jest nafaszerowany dragami. Zamknięty w jakimś wariatkowie. Z nieustającym krzykiem w mózgu”.

- To była siostra Wiktora Strandgårda - powiedziała Rebeka, zdziwiona swoim spokojem. - Powiedziała, że znalazła go w kościele. Wygląda na to, że i ona, i jej córki potrzebują teraz wsparcia i pomocy. Biorę wolne i jadę na parę dni do Kiruny. Wezmę laptop, może uda mi się trochę popracować.

- Ten Wiktor to dość ważna postać tam na północy, co? Rebeka skinęła głową.

- Przeżył śmierć kliniczną, a później w Kirunie nastąpiła eksplozja religijności.

- Pamiętam. Rozpisywały się o tym wszystkie popołudniówki. Był w niebie i zapewniał na przykład, że spadając, wcale się nie potłukł, bo ziemia pochwyciła go w swoje objęcia. Ładnie powiedziane.

- Hmm - mruknęła Rebeka. - I mówił też, że powrócił do życia ziemskiego, by ujawnić boskie plany co do chrześcijaństwa w Kirunie. Zapowiadał nadejście potężnej fali odrodzenia duchowego, która od północy miała rozlać się na cały świat. I miały zdarzać się cuda i dziwy, pod warunkiem że parafianie połączą się i nie ustaną w wierze.

- W wierze w co?

- W moc Boga. W wizję. I w końcu ci, którzy w to wszystko uwierzyli, zjednoczyli się, tworząc nowy zbor, Źródło Mocy. A później tradycyjnie lewicowa Kiruna stała się jednym wielkim ośrodkiem przebudzenia religijnego. Wiktor napisał książkę, którą przetłumaczono na mnóstwo języków. Przerwał studia i zaczął głosić kazania. Parafia wybudowała nową świątynię. Kryształowy Kościół miał przypominać wyglądem lodową kaplicę i lodowe rzeźby wznoszone co roku zimą w Jukkasjärvi. Przede wszystkim jednak miał jak najbardziej różnić się od bardzo ciemnego wewnątrz kościoła w Kirunie.

- A ty? Weszłaś w to wszystko?

- Przed wypadkiem Wiktora byłam członkinią Kościoła misyjnego. I na początku weszłam w to wszystko, tak.

- A teraz? - zapytała Maria.

- Teraz jestem poganką - uśmiechnęła się smutno Rebeka. - Pastorowie i Rada Starszych nakazali mi wystąpić ze wspólnoty.

- Dlaczego?

- To długa i inna historia.

- No dobrze - Maria przeciągała słowa. - Jak myślisz, co powie Måns, gdy się dowie, że bez uprzedzenia chcesz wziąć wolne?

- Nic nie powie. Po prostu mnie zabije, poćwiartuje, a potem nakarmi mięsem ryby w zatoce Nybro. Pogadam z nim, gdy tylko się pojawi, ale najpierw muszę zadzwonić na policję w

Kirunie. Nie mogą zamknąć siostry Wiktora, bo ona tego nie przeżyje.

*

Zastępca prokuratora rejonowego Carl von Post stał przy drzwiach Kryształowego Kościoła i obserwował ludzi pakujących zwłoki Wiktora Strandgårda do plastikowego worka. Lekarz sądowy, ordynator Lars Pohjanen, z nieodłącznym papierosem w ustach wydawał mrukiwe rozkazy technikowi, Annie Granlund, i dwóm wyrośniętym mężczyznom z noszami.

- Spróbujcie związać włosy, tak żeby się nie wplątały w zamek. Owińcie folią cały tułów i uważajcie przy podnoszeniu, bo mogą powypadać jelita. Anno, przyniesiesz papierową torebkę na dłoń?

„Morderstwo - myślał von Post. - I to jeszcze jakie morderstwo. Nie jakaś tam żalosna historia pieprzonego pijaczyny, który po tygodniowym chlaniu, mniej lub bardziej przypadkowo, w końcu zabija swoją narąbaną babę. To potworne morderstwo. Jeszcze lepiej. Potworne morderstwo dokonane na gwieździe medialnej”.

I to wszystko było jego własnością. Należało do niego. Wystarczyło tylko stanąć u steru i w blasku wszystkich reflektorów świata pożeglować prosto ku sławie. W końcu będzie mógł wydostać się z tej kopalnianej dziury, bo przecież nigdy nie zamierzał tutaj zostać. Ale oceny ze studiów prawniczych starczyły zaledwie na posadę w sądzie rejonowym w Gällivare. Później von Post zaczął pracować w prokuraturze. Składał masę podań o pracę w Sztokholmie, ale żadnej nie dostał. Nagle upłynęło wiele lat.

Odsunął się na bok i przepuścił chłopaków z noszami, na których spoczywały zwłoki starannie zapakowane w szary plastikowy worek. Ordynator Pohjanen szedł za nimi, powłócząc nogami, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Z lekko uniesionymi barkami sprawiał wrażenie zmarzniętego. Z kącika ust zwisał mu papieros. Włosy, zazwyczaj zaczesane w jedną stronę, by przykryć łysinę, spadały w zmęczonych

strąkach na uszy. Anna Granlund zamykała pochód, niosąc w papierowej torebce dłoń zamordowanego. Ujrawszy von Posta, bezwiednie zacisnęła wargi.

Zatrzymał ich przy wyjściu wyzywającym „No i?”.

Pohjanen zdawał się nie rozumieć.

- Co możesz powiedzieć na tym etapie? - zapytał coraz bardziej zniecierpliwiony von Post.

Pohjanen wziął papieros między kciuk a palec wskazujący i zaciągnął się głęboko, po czym wypuścił dym z wąskich ust.

- Tja, przecież jeszcze nie zrobiłem sekcji zwłok.

Carl von Post poczuł, jak pocwałowało mu tętno. Nie miał zamiaru tolerować obstrukcji i wydziwiania.

- Ale coś przecież już zdążyłeś zaobserwować? Chcę mieć cały czas rzetelne informacje.

Pstryknął palcami, ilustrując szybkość, z jaką owe informacje powinny być przekazywane.

Patrząc na rękę prokuratora, Anna uświadomiła sobie, że ona podobnym przytkaniem przywołuje swoje psy.

Pohjanen stał w milczeniu, ze spuszczonym wzrokiem. Od czasu do czasu wkładał papieros do ust i z wielką koncentracją wciągał do płuc dym. Wtedy cichł jego sapiący i odrobinę za szybki oddech. Carl von Post dostrzegł nienawistne spojrzenie Anny.

„Patrz sobie - pomyślał. - Słowo daję, że rok temu na imprezie bożonarodzeniowej posyłałaś mi zupełnie inne spojrzenia. Boże drogi, otaczają mnie wyłącznie kaleki i półidioci. Pohjanen wygląda jeszcze gorzej niż przed zwolnieniem chorobowym i operacją”.

- Halo! - krzyknął donośnie, uznawszy, że lekarz milczał już wystarczająco długo.

Pohjanen uniósł głowę i ujrzał podniesione brwi prokuratora.

- Wiem tyle - powiedział lekarz chropawym głosem, niewiele różniącym się od głośniejszego szeptu - że po pierwsze, nie żyje, a po drugie, jego śmierć nastąpiła najprawdopodobniej w wyniku działania osób trzecich. To wszystko, a teraz proszę, przepuść nas, chłopcze.

Prokurator zdążył jeszcze zobaczyć, jak przechodząca obok

niego Anna próbowała zdusić uśmiech, opuszczając kąci ust.

- A kiedy dostanę protokół z sekcji zwłok? - wysyczał, ruszając pół kroku za wychodzącymi.

- Kiedy będziemy gotowi - odpowiedział Pohjanen i nie zważając na rozmówcę, puścił skrzydło drzwi wahadłowych.

Von Post przytrzymał je jedną ręką, drugą próbując wyłowić z kieszeni wibrujący telefon.

Dzwoniła dziewczyna z policyjnej centrali telefonicznej.

- Mam na linii niejaką Rebekę Martinsson, która twierdzi, że wie, gdzie jest siostra Wiktora Strandgård, i chce ustalić termin przesłuchania. Tommy Rantakyrö i Fred Olsson pojechali właśnie szukać tej siostry i nie wiem w końcu, czy połączyć tę kobietę z panem, czy z nimi.

- Postąpiłaś jak najbardziej słusznie, daj mi ją.

Czekając na połączenie, błędził wzrokiem po świątyni. To oczywiście, że ręcznie tkany czerwony chodnik, biegnący przejściem aż do prezbiterium, był artystycznym zamysłem architekta. Po obu stronach stały rzędy niebieskich krzeseł o falistych oparciach, przywodząc na myśl biblijną opowieść o Mojżeszu, przed którym rozstąpiło się Morze Czerwone. Von Post zaczął spacer w kierunku ołtarza.

- Halo! - odezwał się kobiecy głos w telefonie komórkowym.

Prokurator odpowiedział tytułem i nazwiskiem.

- Nazywam się Rebeka Martinsson. Dzwonię z polecenia Sanny Strandgård. Rozumiem, że chcecie państwo porozmawiać z nią w sprawie morderstwa.

- Tak, podobno dysponuje pani informacją o jej miejscu pobytu.

- Nie, to niezupełnie tak - kontynuowała uprzejmym i niemal przesadnie wytwornym tonem. - Ponieważ Sanna Strandgård życzy sobie mojego towarzystwa podczas przesłuchania, a ja w tej chwili znajduję się w Sztokholmie, chciałabym dowiedzieć się od osoby prowadzącej postępowanie przygotowawcze, czy bardziej odpowiada państwu dzisiejszy wieczór, czy lepiej byłoby jutro rano.

- Nie.

- Słucham?

- Nie - powtórzył von Post, nie kryjąc irytacji - nie pasuje nam

ani dzisiaj wieczorem, ani jutro rano. Nie wiem, czy pani to rozumie, pani Rebeko jakaś tam, ale tutaj chodzi o śledztwo w sprawie morderstwa, a ja jestem za to śledztwo odpowiedzialny i chcę rozmawiać z Sanną Strandgård teraz, od razu. Radzę pani przyjaciółce, żeby się nie ukrywała, bo jestem gotów wydać nakaz tymczasowego aresztowania pod jej nieobecność i już w tej chwili rozesłać za nią list gończy. A jeżeli chodzi o panią, to chciałbym tylko przypomnieć, że pomoc w ucieczce podlega odpowiedzialności karnej i można za to zostać skazanym na karę więzienia. Proszę więc natychmiast zdradzić, gdzie znajduje się Sanna Strandgård.

Po drugiej stronie zapadła kilkusekundowa cisza. Gdy kobieta zaczęła mówić ponownie, robiła to bardzo powoli, niemal cedząc słowa. Najwyraźniej starała się opanować emocje.

- Obawiam się, że zaszło drobne nieporozumienie. Nie dzwonię do pana, by uzyskać pozwolenie na późniejszy termin przesłuchania Sanny Strandgård. Dzwonię, żeby poinformować, że Sanna ma zamiar poddać się przesłuchaniu, ale może to nastąpić najwcześniej dziś wieczorem. Nie jesteśmy przyjaciółkami. Pracuję jako adwokat w firmie Meijer & Ditzinger, nie wiem, czy ta nazwa coś panu mówi...

- Proszę pani, urodziłem się...

- I byłabym ostrożna z tego typu groźbami - przerwała mu próbę repliki. - Usiłuje mnie pan zastraszyć i wymóc groźbą podanie miejsca pobytu Sanny, a to już prawie przewinienie służbowe. I jeżeli wyda pan list gończy za osobą, która nie jest podejrzana o dokonanie przestępstwa, tylko czeka na przybycie pełnomocnika prawnego, to musi się pan liczyć ze skargą do Rzecznika Praw Obywatelskich.

Zanim von Post zdążył odpowiedzieć, Rebeka zmieniła nagle ton głosu i dodała nieomal serdecznie:

- Firma Meijer & Ditzinger nie ma w zwyczaju być uciążliwa i sprawiać kłopotów. Żyjemy w najlepszej zgodzie z prokuraturą, przynajmniej takie mamy doświadczenia w rejonie sztokholmskim. Żywię nadzieję, że pozwoli mi pan poręczyć za Sannę Strandgård. Gwarantuję, że pojawi się na przesłuchaniu zgodnie z umową, czyli dzisiaj wieczorem około ósmej w

komendzie policji - zakończyła.

- Niech to szlag! - wybuchnął von Post, odkrywszy, że wdepnął w kałużę krwi i coś lepkiego, o pochodzeniu czego wolał nie myśleć.

W drodze do wyjścia z obrzydzeniem wycierał buty o dywan. A tą wyniosłą laską zajmie się wieczorem, gdy tylko przyjdzie na policję. Teraz powinien przygotować się do konferencji prasowej. Potarł dłonią twarz. Musi się ogolić. Gdy za trzy dni znów spotka się dziennikarzami, będzie miał lekki zarost, charakterystyczny dla zmęczonego mężczyzny, który w pogoni za mordercą daje z siebie wszystko. Ale dzisiaj obowiązują gładko ogolone policzki i trochę niesforna czupryna. Pokochają go. Po prostu nie będą w stanie się oprzeć.

*

Adwokat Måns Wenngren, współdziałowiec firmy Meijer & Ditzinger, siedział za swoim biurkiem i spoglądał skwaszony na Rebekę Martinsson. Drażniła go jej postawa. Żadnych gestów obronnych, żadnego splatania rąk na piersi. Jej ramiona zwisały swobodnie wzdłuż tułowia, jakby stała w kolejce do budki z lodami. Przedstawiła swoją sprawę i czekała na odpowiedź. Patrzyła bez wyrazu na wiszący na ścianie japoński drzeworyt o ogromnym ładunku erotycznym. Młody mężczyzna, tak bardzo młody, że jeszcze długowłosa, klęczy przed prostytutką, która podobnie jak on ma obnażone podbrzusze. Inne kobiety zazwyczaj unikały podziwiania tej dwusetletniej grafiki. Måns widział ich spojrzenia, które niczym wścibskie, węszące psy nieświadomie kierowały się w stronę ramek. Ale nigdy nie węszyły długo. Natychmiast spuszczały wzrok lub przenosiły go na inny obiekt.

- Jak długo cię nie będzie? - zapytał. - Masz prawo do dwóch dni płatnego urlopu ze względu na sprawy rodzinne, czy to wystarczy?

- Nie - odpowiedziała. - I to nie jest moja rodzina, tylko raczej ja jestem, jak by to powiedzieć, przyjacielem rodziny.

Coś w sposobie mówienia Rebeki zdradzało, że kłamie.

- Niestety nie jestem teraz w stanie powiedzieć, ile mi to

zajmie czasu - ciągnęła dalej, patrząc szefowi w oczy ze spokojem. - Mam jeszcze sporo zaległego urlopu i...

Przerwała nagle.

- ...i co? - wtrącił Måns. - Mam nadzieję, że nie chciałaś teraz zacząć ze mną dyskusji o nadgodzinach, Rebeko, bo wtedy poczułbym się rozczarowany. Mówiłem o tym wcześniej i powiem jeszcze raz. Jeżeli podejrzewasz, że nie zdążysz wypełnić wszystkich obowiązków w

normalnym czasie pracy, to powinnaś zrezygnować z części zadań. Wszystkie nadgodziny są dobrowolne i niepłatne. Inaczej mógłbym cię przecież od razu wysłać na roczny płatny urlop. Ostatnie zdanie okraślił pojednawczym uśmiechem, ale widząc, że Rebeka nie przejawia najmniejszej ochoty na żarty, natychmiast przybrał kwaśny wyraz twarzy.

Rebeka przyglądała się Månsowi w milczeniu. Nagle zaczął wertować leżące przed nim papiery, jakby oznajmiając koniec audiencji. Dzisiejsza korespondencja piętrzyła się w schludnie ułożonym stosiku. Na brzegu biurka stało w równym rzędzie kilka gadżetów projektu Georga Jensena. Żadnych fotografii. Rebeka wiedziała, że szef kiedyś był żonaty i że ma dwóch dorosłych synów. I to wszystko. Nigdy o nich nie wspominał. Nikt inny też o nich nie mówił. Informacje rozchodziły się tutaj bardzo wolno. Współudziałowcy i starsi pracownicy wprawdzie uwielbiali plotkować, ale rozsądek nakazywał im plotkowanie we własnym gronie i nigdy nie wciągali w to młodszych kolegów. Sekretarki były zbyt strachliwe, żeby uchylić choć rąbka jakiegokolwiek tajemnicy. Ale zdarzało się, że ktoś podczas firmowej imprezy wypił za dużo i zaczynał opowiadać rzeczy, których nie powinien. Tak więc ten i ów zostawał powoli jednym z wtajemniczonych. Rebeka wiedziała, że Måns za dużo pije, ale o tym ćwierkały już chyba wszystkie wróble na dachu. W zasadzie mógł się podobać, ze swoją ciemną, kędzierzawą czupryną i niebieskimi oczami jak u siberian husky. Choć ostatnio zaczął wyglądać coraz gorzej. Worki pod oczami i nieznaczną, ale już widoczną nadwagą. W dalszym ciągu był jednym z najlepszych krajowych specjalistów od prawa podatkowego, zarówno w procesach karnych, jak i w sprawach

administracyjnych. I dopóki nabijał firmie kabzę, dopóty koledzy pozwalali mu żłopać w spokoju. Liczyły się tylko pieniądze. Kancelarii widocznie nie było stać na leczenie kogoś z uzależnienia od alkoholu. Ośrodek odwykowy, zwolnienie chorobowe, stracone dochody - to wszystko kosztowało. Wielu miało ten sam problem. Zaczynając pić, najpierw rujnowali swoje życie prywatne.

Ciągle jeszcze na myśl o ubiegłorocznej imprezie bożonarodzeniowej Rebeka czuła ukłucie upokorzenia. Przez cały wieczór Måns tańczył i flirtował ze wszystkimi prawniczkami w firmie. Pod koniec podszedł do niej. Wymięty, pijany i użalający się nad sobą, z ręką na jej karku wygłosił nieskładne przemówienie, którego patetyczną puentą była próba przekonania Rebeki, żeby poszła z nim do domu, albo może tylko do biura, jakie to miało znaczenie. W każdym razie po tym incydencie zrozumiała, kim jest w oczach Månsa. Ostatnim przyczółkiem.

Tą, którą uwodzi się na samym końcu, poderwawszy wszystkie inne, samemu będąc o krok od utraty przytomności. Od tamtej pory ich stosunki znacznie się ochłodziły. Måns nie potrafił z nią swobodnie rozmawiać i żartować, co przychodziło mu z łatwością w obecności innych osób. Rebeka kontaktowała się z nim za pomocą e-maili i karteczek kładzionych pod jego nieobecność na biurku. W tym roku nie poszła na imprezę bożonarodzeniową.

- W takim razie proszę o urlop - powiedziała z kamienną twarzą. - Wezmę ze sobą laptop, żeby móc trochę popracować.

- Dla mnie to bez znaczenia - odpowiedział z wyraźną niechęcią. - To twoi współpracownicy będą dźwigali cięższe brzemie. Przekażę sprawę Wickman Industrimontage SA komuś innemu.

Rebeka z trudem powstrzymała zaciskające się w pięść dłonie. Pieprzony skurwiel. Właśnie ją ukarał. Wickman Industrimontage SA to jej klient. To ona ich wyszukała, ona wypracowała dobre kontakty i zaraz po zakończeniu sprawy z uzupełniającym wymiarem podatku mieli się zająć zmianą pokoleń w tym mikroprzedsiębiorstwie. A poza tym lubili ją.

- Rób, co uważasz za stosowne - odpowiedziała z prawie niezauważalnym wzruszeniem ramion, ślizgając się wzrokiem po wystrzępionych frędzlach perskiego dywanu.

- Gdybyś musiał się ze mną skontaktować, to najlepiej e-mailowo.

Måns poczuł nieprzepartą ochotę, by podejść do niej, chwycić za włosy i odchylić jej głowę do tyłu, zmuszając do spojrzenia mu w oczy. Albo po prostu trzasnąć na odlew.

Odwróciła się z zamiarem wyjścia.

- Jak się tam dostaniesz? - zapytał, zanim zniknęła za drzwiami. - Masz jakieś połączenie lotnicze do Kiruny czy w Umeå zabierzesz się zaprzęgiem reniferów?

- Polecę samolotem - odpowiedziała neutralnie, jakby potraktowała jego pytanie zupełnie poważnie.

*

Komisarz Anna Maria Mella rozparła się wygodnie w fotelu, patrząc na leżące przed nią w nieładzie akta. Zakurzone sprawy z przeszłości. Dochodzenia, które utknęły w martwym punkcie. Niewyjaśnione kradzieże w sklepach sprzed kilku lat i równie stare kradzieże samochodów. Przekartkowała pierwsze z brzegu dokumenty. Ofiara ciężkiej przemocy w domu wycofuje swoje zeznania i twierdzi kategorycznie, że spadła ze schodów. „To była cholerna sprawa” - Anna Maria przypomniała sobie nieprzyjemne zdjęcia, zrobione kobiecie w szpitalu.

Wzięła inną teczkę. Kradzież opon z firmy zlokalizowanej w dzielnicy przemysłowej. Świadek widział, jak sprawca przeciął ogrodzenie i załadował opony do swojej toyoty hilux, ale na późniejszym przesłuchaniu nagle stracił pamięć. Gołym okiem było widać, że czuł się zagrożony.

Westchnęła. Brakowało pieniędzy na ochronę świadków i na jakiegokolwiek inne działania w związku z zaszraną kradzieżą opon. Znalazła numer toyoty w rejestrze samochodowym i zapamiętała nazwisko właściciela. Cholerny bandzior, bierze to, na co ma ochotę. Istniało duże prawdopodobieństwo, że spotka się z nim przy innej okazji. Przejrzała jego akta policyjne. Skazany za pobicie i nielegalne posiadanie broni. Pojawił się

też kilkakrotnie w rejestrze podejrzanych.

- No nie, muszę się sprężyć - powiedziała do siebie. - Nie mogę przecież tylko siedzieć, otwierać i zamykać teczek albo przeglądać danych w komputerze.

Odłożyła na bok sprawę kradzieży opon. To tylko brnięcie w ślepy zaułek. Umorzenie śledztwa było chyba najlepszym wyjściem. Przez uchylone drzwi usłyszała wypadający z automatu plastikowy kubek, który po chwili - przy głośnym burczeniu maszyny - napełnił się lurowatą kawą. Przez moment miała nadzieję, że to Sven Erik, który właśnie przyszedł do niej z najnowszymi informacjami na temat Wiktora Strandgård. Ale po krokach znikających w korytarzu zrozumiała, że to ktoś inny.

- Nie myśl o tym - upomniała siebie raz jeszcze, biorąc ze sterty kolejne akta.

Jej wzrok ześlizgnął się szybko z tekstu i błądził bez celu po biurku. Rzuciła smutne spojrzenie na kubek z wystygłą herbatą. Już sama myśl o kawie przyprawiała ją o mdłości. Ale nigdy też nie była amatorką herbaty, która w dziwny sposób zawsze robiła się za zimna. A od coca-coli miała wzdęcia.

Gdy zadzwonił telefon, Anna Maria natychmiast chwyciła słuchawkę. Przez moment znów pomyślała o Svenie Eriku, ale to był Lars Pohjanen.

- Mam wstępny raport z sekcji zwłok - oznajmił swoim chrypliwym i bulgoczącym głosem. - Chcesz zobaczyć?

- Jak by to powiedzieć... To teraz działka Svena Erika - odpowiedziała z wahaniem. -I von Posta.

Pohjanen zaostrzył ton.

- Tak, tylko ja nie mam zamiaru uganiać się za Svenem po mieście, a jaśniepan prokurator może sobie przeczytać później. W takim razie pakuję manatki i wracam do Luleå.

- Nie, kurde, poczekaj. Zaraz przyjadę - wyrzuciła szybko z siebie, słysząc po drugiej stronie kliknięcie odkładanej słuchawki.

„Mam nadzieję, że usłyszał ostatnie zdanie - niepokoiła się, wkładając kozaki. - Zręda jeden. Pewnie zdąży pojechać, zanim dotrę do szpitala”.

Znalazła go w palarni dla personelu technicznego. Siedział zagłębiony w zielonej, wyskubanej sofie z lat siedemdziesiątych. Miał zamknięte oczy i tylko żarzący się papieros świadczył o tym, że Pohjanen nie śpi i że w ogóle żyje.

- No i co? - zapytał, nie otwierając oczu. - Nie interesuje cię zamordowany Wiktor Strandgård? A mnie się wydawało, że to właśnie coś dla ciebie, Mella.

- Aż do porodu będę tylko przekładała papiery z jednej strony biurka na drugą - odpowiedziała, stojąc ciągle w drzwiach. - Ale chyba lepiej, żebym to ja z tobą porozmawiała, zanim pojedziesz, niż gdyby nikt tego nie zrobił.

Pohjanen gruchnął skrzekliwym śmiechem, który po chwili zamienił się w kaszel, podniósł powieki i wbił w nią świdrujące, niebieskie oczy.

- Będzie ci się śnił po nocach, zobaczysz. Lepiej pomóż w rozwiązaniu tej cholerniej

łamigłówki teraz, bo inaczej będziesz latać z wózkiem i przesłuchiwać podejrzanych w czasie urlopu macierzyńskiego. Idziemy? Przesadnie zapraszającym gestem wskazał jej salę sekcyjną.

Sala sekcyjna była schludnym pomieszczeniem z kamienną posadzką i trzema stołami z nierdzewnej stali. Pod zlewozmywakiem stały czerwone plastikowe pojemniki, uszeregowane według wielkości, a przy dwóch umywalkach wisiały, zmieniane nieustannie przez Annę Granlund, czyste ręczniki. Stół roboczy został umyty i wytarty. W sąsiednim pomieszczeniu huczała zmywarka. O śmierci przypominał jedynie długi rząd plastikowych, oznakowanych personaliami słoiczek zawierających zanurzone w formalinie szarawe i wyblakłe fragmenty mózgow i innych ludzkich organów, które wkrótce miały się stać przedmiotem badań. Było też ciało Wiktora Strandgård. Leżał na plecach na jednym ze stalowych stołów. Z tyłu głowy zrobiono szerokie nacięcie, odpreparowano skórę i jej przedni płat naciągnięto na twarz, obnażając czaszkę. W jamie brzusznej widoczne były dwie podłużne rany, których brzegi zszyto grubymi szwami. Jedno z

cięć wykonał technik sekcyjny, by umożliwić badanie narządów wewnętrznych. Pozostałe, charakterystyczne rany na ciele Anna Maria widziała wielokrotnie. Zadano je nożem. Wiktor był już pozszywany i umyty. W świetle jarzeńówek wydawał się niesamowicie blady. Nagle poczuła się niemile dotknięta widokiem szczupłego, nagiego ciała na zimnym, stalowym podłożu. Wchodząc tutaj, nie ściągnęła swojej puchowej kurtki. Lars Pohjanen włożył zielony fartuch operacyjny, wsunął stopy w wysłużone drewniaki, na których jeszcze gdzieś tam prześwitywały resztki pierwotnego, białego koloru, i naciągnął na dłonie gumowe rękawiczki.

- Jak się miewają twoje szkraby? - zapytał.

- Jenny i Petter mają się świetnie. Marcus ma złamane serce, leży godzinami ze słuchawkami w uszach i pracuje sobie na przyszyły *tinnitus*.

- Biedaczek - Pohjanen pożałował z autentycznym współczuciem, odwracając się do zwłok.

Anna Maria nie była pewna, czy ma na myśli jej syna, czy Wiktora Strandgärda.

- Mogę? - zapytała, wyjmując z kieszeni dyktafon. - Żeby pozostali mogli później posłuchać.

Lekarz w odpowiedzi wzruszył ramionami. Anna Maria nacisnęła odpowiedni klawisz.

- Chronologicznie - zaczął Pohjanen. - Najpierw dostał tępy narzędnikiem w tył głowy. Ani ty, ani ja nie jesteśmy teraz w stanie go odwrócić, chodź, coś ci pokażę.

Powiesił tomogram na negatoskopie. Anna Maria przyglądała się wynikom tomografii w milczeniu, mając w pamięci najnowsze zdjęcie ultrasonograficzne swojego dziecka.

- Tu widać pęknięcie czaszki. I krwiaka podoponowego, o, tutaj - lekarz wodził palcem po ciemnym fragmencie jednego ze zdjęć. - Niewykluczone, że nawet przy takim urazie czaszki można by mu było uratować życie. Chociaż raczej nie - dodał. - Morderca jest praworęczny. I tak po tym pierwszym ciosie w głowę zadaje jeszcze Wiktorowi dwa pchnięcia: w brzuch i klatkę piersiową - ciągnął dalej, wskazując dwie rany na ciele zamordowanego. - Niestety nie można nic powiedzieć o

wzroście sprawcy, ani wnioskując z urazu głowy, ani z ukłuc nożem. Zadano je z góry, ale przypuszczam, że Wiktor wtedy kłęczał. Albo kłęczał, albo sprawca jest gigantycznego wzrostu, jak amerykański koszykarz. Ale najprawdopodobniej było tak, że Wiktor najpierw dostał w głowę. Bum!

Lekarz klepnął się w swoją łysą czaszkę, chcąc zilustrować uderzenie.

- Taki cios powala go na kolana. Na kolanach nie ma wprawdzie żadnych zadrapań ani zasinień, ale dywan w kościele jest dość miękki. A później jeszcze dwa pchnięcia nożem, godzące pod kątem. No więc trudno wyrokować o wzroście mordercy.

- To znaczy, że Wiktor umarł od uderzenia w głowę i dwóch ran zadanych nożem? - chciała upewnić się Anna Maria.

- Tak - odpowiedział Pohjanen, hamując atak kaszlu. - To ukłucie przechodzi przez ścianę klatki piersiowej, dzieli siódme żebro po lewej stronie, otwiera *saccus pericardiacus*...

- Po szwedzku, proszę.

- ...worek osierdziowy i prawy *ventriculus*, to znaczy prawą komorę. To powoduje wylew krwi do osierdza i prawej opłucnej. Drugie dźgnięcie uszkodziło wątrobę i spowodowało krwawienie w jamie brzusznej i krezce.

- Czy umarł natychmiast? Pohjanen wzruszył ramionami.

- A reszta ran?

- Zadano mu je już po śmierci. Te ostre obrażenia na tułowi i brzuchu powstały przy użyciu noża już po zgonie. Zgaduję, że Wiktor leżał wtedy na plecach. Tutaj widzisz to cięcie, które rozpruło jamę brzuszną - powiedział, wskazując długą, posiniałą ranę brzucha o brzegach ściągniętych grubymi szwami.

- A oczy? - zapytała Anna Maria, przyglądając się przepastnym otworom w twarzy zamordowanego.

- Popatrz! - Pohjanen powiesił na negatoskopie kolejne zdjęcie rentgenowskie. - Tutaj! Widzisz odłamek kości w oczodole? I tutaj! Najpierw tego nie zauważyłem, ale później wyczyściłem oczodoł i przyjrzałem się dokładniej kościom czaszki. Na ścianach oczodołu są ślady skrobania. Morderca nie

tylko wbił nóż do oczu, ale go przekreślił. Można powiedzieć, że wywiercił w nich dziury.

- I coś takiego, kurwa, chciał przez to osiągnąć? - wyrwało się Annie Marii pod wpływem emocji. - A ręce?

- Obcięte również po tym, jak nastąpił zgon. Jedna leżała na miejscu.

- Odciski palców?

- Być może na kikutch ramion, ale to muszą potwierdzić w Linköping. Radziłbym jednak nie wiązać z tym zbyt dużych nadziei. Wokół przegubów ręki widać wyraźne ślady po ucisku, ale z tego co wiem, nie ma żadnych odcisków palców. Myślę, że z Linköping dostaniemy odpowiedź w stylu: „sprawca obcinający dłonie miał na sobie rękawiczki”.

Anna Maria odniosła wrażenie, że traci animusz. Nagle poczuła ogromną potrzebę ujęcia mordercy. Po prostu nie wytrzymałaby jeszcze jednej niewyjaśnionej sprawy, która po roku dochodzenia wstępnego przepadałaby w czeluściach archiwum. Pohjanen miał rację. Prawdopodobnie zaczęłaby śnić o Wiktorze Strandgårdzie.

- Co to był za nóż? - zapytała.

- Coś w rodzaju większego noża myśliwskiego, ale nie o dwustronnym ostrzu. Jak na zwykły nóż kuchenny był stanowczo za szeroki.

- A tępe narzędzie, którym uderzono ofiarę w tył głowy?

- To mogło być cokolwiek - odpowiedział. - Łopata, duży kamień...

- Czy to nie dziwne, że tym narzędziem Strandgård dostał od tyłu, a później pocięto go od przodu?

- Tak, to niewątpliwie dziwne, ale to ty jesteś policjantką.

- Może było więcej sprawców niż jeden? - zastanawiała się głośno. - Coś jeszcze?

- W tej chwili nie. Żadnych używek. Żadnego alkoholu. Zresztą wygląda na to, że nie jadł od kilku dni.

- Co? Od kilku dni? - przeraziła się Anna Maria, która sama była zmuszona jeść co dwie godziny.

- Nie wykazywał objawów odwodnienia, nie sądzę więc, żeby w rachubę wchodziło zatrucie pokarmowe albo ekstremalna

głodówka. Myślę, że przyjmował tylko płyny. W laboratorium określam później dokładnie, co ostatnio wrzucił na ruszt. A teraz możesz wyłączyć swoją nagrywarke.

Wręczył jej kopię wstępnego raportu sekcyjnego. Anna Maria wyłączyła dyktafon.

- Nie lubię zgadywać - wyjaśnił lekarz i odchrząknął. - A w każdym razie nie wtedy, gdy jest to dokumentowane - skinął głową w kierunku dyktafonu znikającego w kieszeni policjantki - ale dłonie zostały obcięte bardzo fachowo. Być może ścigasz jakiegoś myśliwego, Mella.

- Aaa, tutaj jesteś! - usłyszała od drzwi. Na progu stał Sven Erik Stålnacke.

- Tak, jestem - potwierdziła z zakłopotaniem, ponieważ dotarło do niej, że może ją posądzić o samowolne działanie za plecami kolegów.

- Pohjanen zadzwonił, bo miał już wyjeżdżać i...

Przerwała w pół zdania, wściekła na siebie samą, że zaczyna się tłumaczyć i bronić.

- Nie ma sprawy - odparł wesoło Sven Erik. - Opowiesz mi w samochodzie. Mamy kłopoty z pastorami zboru. Cholera, co ja się ciebie naszukałem. W końcu zapytałem Sonię z centrali telefonicznej, kto do ciebie dzwonił. Musisz iść ze mną.

Anna Maria rzuciła pytające spojrzenie lekarzowi, który wzruszył ramionami i unióśł brwi, oznajmiając tymi gestami, że nie ma nic więcej do powiedzenia.

- Luleå dostało w tyłek od Färjestad¹ - zarechotał Sven Erik na powitanie Pohjanena, jednocześnie popychając Annę Marię ku wyjściu.

- Myślisz, że o tym nie wiem? - westchnął lekarz, sięgając do kieszeni po papierosa.

*

Na pokładzie samolotu do Kiruny był prawie komplet pasażerów. Grupy zagranicznych turystów planujących

1 Luleå, Färjestad - szwedzkie pierwszoligowe drużyny hokeja na lodzie (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

przejażdżki psim zaprzęgiem i nocleg na skórze renifera w hotelu lodowym Jukkasjärvi tłoczyły się obok sfatygowanych, powracających do domu przedsiębiorców z darmowymi owocami i gazetami w rękach.

Rebeka zagłębiła się w fotelu i zapięła pasy. Szum głosów, migające nad głową sygnały i warkot silników ukołysały ją do niespokojnego snu. Spała przez całą podróż.

We śnie biegnie przez mokradła pełne moroszki. Jest ciepły sierpniowy dzień. W powietrzu unosi się wilgoć z parujących w słońcu mchów. Z czoła leje się do oczu pot, zmieszany z olejkiem przeciw komarom. Szczypie! Oczy zaczynają łzawić. Chmary czarnych muchówek wciskają się do nosa i uszu. Nic nie widzi, ale czuje czyjaś obecność. Bardzo blisko, tuż za plecami. I jak zwykle w snach nogi odmawiają posłuszeństwa. Słabnące, zanurzają się coraz głębiej w grząskie torfowisko. Ktoś albo coś depcze jej po piętach. Rebeka chce uciekać, ale nie może poruszyć stopą. Pogrąża się w bagnie. Próbuje przywołać mamę, ale z gardła wydostaje się jedynie żalosne kwilenie. Nagle czuje ciężki dotyk czyjejś dłoni.

- Przepraszam, wystraszyłam panią?

Rebeka otworzyła oczy i zobaczyła nad sobą stewardesę, która uśmiechając się niepewnie, zsunęła rękę z jej ramienia.

- Za chwilę podejmiemy do lądowania na lotnisku w Kirunie, musi pani wyprostować oparcie.

Błyskawicznie podniosła rękę do ust. Nie zaśliniła się? Albo jeszcze gorzej -

krzyczała? Nie miała odwagi spojrzeć na siedzącego obok współpasażera, więc wbiła wzrok w ciemność za oknem. Gdzieś tam w dole leżało miasto. Otoczone czernią gór mieniło się światłami niczym roziskrzony klejnot na dnie studni. Coś ścisnęło ją i w żołądku, i w sercu.

„Moje miasto”, pomyślała, czując osobliwą mieszankę melancholii, radości, wściekłości i strachu.

Dwadzieścia minut później jechała wynajętym audi do Kurravaary. Wioska leżała piętnaście kilometrów za miastem. Jako dziecko Rebeka wielokrotnie przejeżdżała tę trasę na

fińskich sankach². Z radością oddała się wspomnieniom. Szczególnie przyjemnie było na przedwiośniu, kiedy drogę pokrywał gruby, szklisty lód. Wtedy nikt go nie niszczył, posypując piaskiem, solą czy żwirem.

Księżyc rozjaśniał przybrany śniegiem las. Białe zasy tworzyły wzdłuż drogi śnieżną bandę.

„To niesprawiedliwe - pomyślała Rebeka. - Nie powinnam była pozwolić, żeby mi to odebrali. Zanim wrócę do Sztokholmu, muszę, kurde, chociaż raz przejechać się na fińskich sankach.

Od którego momentu powinnam była postąpić inaczej? - zastanawiała się w samochodzie sunącym przez las. - Gdybym mogła cofnąć czas, czy musiałabym wrócić aż do pierwszego lata? A może jeszcze wcześniej? Chyba tak, musiałabym zacząć od wiosny, gdy pierwszy raz spotkałam Thomasa Söderberga. Kiedy odwiedził nasze liceum imienia Hjalmara Lundbohma. Już wtedy powinnam była postąpić inaczej. Powinnam go była przejrzeć. Jakaż ja byłam cholernie naiwna. Wszyscy inni z mojej klasy musieli chyba mieć więcej oleju w głowie. Dlaczego nie pozwolili się zwerbować?”

- *Dzień dobry, pozwólcie, że przedstawię wam Thomasa Söderberga. To nowy pastor w Kościele misyjnym. Zaprosiłam go jako reprezentanta niezależnych wspólnot chrześcijańskich.*

To Margareta Fransson, nauczycielka religii.

„Ona cały czas się uśmiecha - myśli Rebeka. - Dlaczego?” To nie jest wesoły uśmiech, tylko unizony i przymilny. Wszystkie swoje ubrania kupuje w „Pomocnej Dłoni”, sklepie prowadzonym przez wolontariuszy, którzy sprzedają towary wyprodukowane przez kobiece spółdzielnie w krajach Trzeciego Świata.

- Wcześniej mieliście okazję spotkać Everta Aronssona, pastora Kościoła szwedzkiego, i Andreasa Gaulta, księdza w Kościele katolickim - ciągnie dalej nauczycielka.

- Moim zdaniem powinniśmy poznać buddystę albo

2 Fińskie sanki - rodzaj dwuśladowej hulajnogi na płozach. Zimą powszechny środek lokomocji w północnej Szwecji i Finlandii.

muzułmanina, albo kogoś w tym rodzaju - mówi Nina Eriksson. - Dlaczego spotykamy się tylko z wyznawcami różnych odłamów chrześcijaństwa?

Nina, rzeczniczka uczniów, nadaje ton. Jej donośny głos niesie się po klasie. Zewsząd słychać liczne oznaki aprobaty.

- W Kirunie nie mamy takiego dużego wyboru - tłumaczy się bez przekonania Margareta Fransson.

I oddaje głos pastorowi.

Thomas Söderberg jest piękny, nie da się ukryć. Brunet o kręconych włosach i długich, czarnych rzęsach. Śmieje się i żartuje, ale od czasu do czasu przyobleka twarz w powagę. Jak na duchownego, czy - jak sam mówi - pastora, jest bardzo młody. Ma na sobie koszulę i dżinsy. Rysuje na tablicy ilustrację mostu wspartego na siedmiu filarach. Opowiada o tym, jak Chrystus oddał za nich życie. Przerzucił most do Boga. Albowiem Bóg niezmiernie kochał człowieka i posłał swego syna jedynego... Zwraca się do nich „ty”, chociaż mówi jednocześnie do dwudziestu czterech uczniów w klasie. Chce, żeby wybrali życie. Powiedzieli „tak”. I ma odpowiedź na wszystkie pytania, które zadają mu pod koniec lekcji. Przy niektórych kwestiach milknie na chwilę. Marszczy brwi i potakuje w zamyśleniu głową, jakby zetknął się z takimi problemami po raz pierwszy. Jakby dostał twardy orzech do zgryzienia. Później Rebeka dowie się, że żadne z tych pytań nie było dla pastora czymś odkrywczym. Że odpowiedzi były od dawna przygotowane. Ale pytający powinien mieć przekonanie o swojej wyjątkowości.

Söderberg zakończył swoją prezentację zaproszeniem na organizowany przez Kościół misyjny obóz letni w Gällivare. Trzy tygodnie pracy i studiów biblijnych. Bez wynagrodzenia, ale z darmowym noclegiem i posiłkami.

- *Miej odwagę zachować ciekawość - nawoływał. - Nie możesz twierdzić, że wiara chrześcijańska nie jest czymś dla ciebie, dopóki nie sprawdzisz, czym ona naprawdę jest.*

Rebeka odnosi wrażenie, że mówiąc to, pastor patrzy tylko na nią. Ona też spogląda mu prosto w oczy. I czuje w środku ogień.

Droga była odśnieżona aż do samego końca, do pokrytego szarym eternitem domu po babci. Na piętrze paliło się światło. Rebeka wyjęła z bagażnika torbę i reklamówkę z jedzeniem. Zrobiła po drodze zakupy. Może niepotrzebnie, ale nigdy nic nie wiadomo. Zatrzęsnęła drzwiami samochodu.

„No tak - przemknęło jej przez myśl - teraz należą do tych, którzy zamykają samochód na klucz”.

- Halo! - zawołała, przestępując próg.

Nikt nie odpowiedział, ale domyśliła się, że Sanna zamknęła drzwi na górze i dlatego jej nie słyszy.

Rebeka postawiła torbę na podłodze i przeszła przez parter, nie zapalając lamp. Pachniało starym, niewietrzonym domem, linoleum i wilgocią. Przyciśnięte do ścian meble stały w ciemności niczym zmęczone duchy, pokryte lnianymi, ręcznie obrębianymi prześcieradłami babci.

Rebeka wchodziła po schodach ostrożnie, wiedząc, jak łatwo poślizgnąć się w mokrych butach.

- Halo! - zawołała jeszcze raz i znów nie otrzymała odpowiedzi.

Otworzyła drzwi prowadzące do mieszkania na piętrze i weszła do ciasnego, ciemnego przedpokoju. Gdy pochyliła się, żeby rozpiąć zamek w kozakach, coś czarnego rzuciło się ku jej twarzy. Wywróciła się z krzykiem. Jeszcze tylko dwa radosne szczeknięcia i „coś czarnego” przyjęło formę zgrabnej psiej głowy. Różowy jęzor wykorzystał okazję do zaznajomienia się z twarzą leżącej. Kolejne dwa szczeknięcia dla zachęty i znów różowy jęzor.

- Tjapp, chodź tutaj!

W drzwiach pojawiła się mniej więcej czteroletnia dziewczynka. Zrobiwszy ładny piruet na brzuchu Rebeki, psina podbiegła do dziecka tanecznym krokiem, polizała, po czym ponownie ruszyła ku nieznamomej. Ale Rebeka zdążyła się podnieść. Suka, nie tracąc rezonu, wetknęła nos do reklamówki z jedzeniem.

- Masz na imię Lova - bardziej stwierdziła, niż zapytała Rebeka, zapalając lampę i jednocześnie odpychając nogą psa

od reklamówki.

Dopiero wtedy, gdy na dziewczynkę padło światło, Rebeka zauważyła, że mała stoi owinięta kołdrą, i dotarło do niej, że w domu jest potwornie zimno.

- A kim ty jesteś? - zapytała Lova.

- Nazywam się Rebeka - odpowiedziała krótko. - Chodź, pójdziemy do kuchni.

Stała w progu i w niemym zdziwieniu przyglądała się obrazowi zniszczenia. Krzesła

były powywracane. Babcine gałgankowe dywaniki leżały w nieładzie pod stołem. Tjapp popędziła do sterty wymiętych prześcieradeł, które najprawdopodobniej służyły za pokrowce meblom w pokoju. Warcząc, szarpała je radośnie. W powietrzu unosił się ostry zapach szarego mydła i ajaksu. Przy bliższych oględzinach okazało się, że cała podłoga była zapaćkana płynem czyszczącym.

- Rany boskie - stęknęła Rebeka. - Co się tutaj działo? Gdzie są twoja mama i starsza siostra?

- Myłam się - wyznała Lova. - I Tjapp też.

Spod kołdry, którą wciąż była owinięta, wysunęła swą niewielką dłoń i zaczęła bawić się błyszczącym guzikiem płaszcza Rebeki. Kobieta przegoniła Lovę niecierpliwym ruchem ręki.

- Gdzie są twoja mama i starsza siostra? - zapytała ponownie.

Lova wskazała na wysuwaną sofę w alkowie. Siedziała na niej jedenastoletnia dziewczynka, ubrana w długi szary kożuch, zapewne należący do jej mamy. Spojrzała znad „Poradnika Domowego” zwężonymi oczami i z zaciśniętymi ustami. Rebeka poczuła ukłucie w piersi.

„To przecież Sara - pomyślała. - Boże, jaka ona już duża. I podobna do Sanny! Takie same jasne włosy, ale jej są proste jak u Wiktora”.

- Cześć! - zaczęła. - Czy wiesz, co twoja siostra wyprawiała w kuchni? Gdzie jest

Sanna?

Sara wzruszyła ramionami, podkreślając, że pilnowanie młodszej siostry nie należy do jej obowiązków.

- Mama się zezłościła - powiedziała Lova, szarpiąc Rebekę za rękaw. - Teraz jest w bańce. I leży tam.

Wskazała ręką drzwi prowadzące do pokoju.

- Kim pani jest? - zapytała podejrzliwie Sara.

- Nazywam się Rebeka i to jest mój dom. Przynajmniej częściowo mój.

Odwróciła się do Lovy.

- Co masz na myśli, mówiąc „w bańce”?

- Jak mama jest w bańce, to nie mówi i na nic nie patrzy - wyjaśniła Lova, nie mogąc się powstrzymać od zabawy guzikami Rebeki.

- O Boże - westchnęła Rebeka, ściągnęła płaszcz i powiesiła go na wieszaku w przedpokoju.

W domu było naprawdę lodowato. Musi napalić w piecu.

- Znam waszą mamę - powiedziała i zaczęła stawiać krzesła na swoim miejscu. - Ten dom należał do mojej babci i dziadka, gdy jeszcze żyli... We włosach też masz mydło?

Patrzyła z niedowierzaniem na pozlepiane kosmyki Lovy. Suka przysiadła, próbując lizać się po grzbiecie. Rebeka pochyliła się i zawołała ją, naśladowując odgłos babci, która zawsze wabiła psy w ten sposób.

- Ćsiu!

Suczka natychmiast do niej podbiegła i okazała chęć podporządkowania się, próbując polizać kąciki ust Rebeki. Dopiero teraz kobieta dostrzegła, że to mieszaniec szpica. Czarna, gęsta sierść tworzyła wokół zgrabnej głowy wełnianą ramę. W ciemnych oczach błyszczały wesołe iskierki. Rebeka przeciągnęła ręką przez futro i powąchała swoje palce. Pachniały szarym mydłem.

- Piękna suczka - zwróciła się Rebeka do Sary. - Twoja?

Dziewczynka nie zareagowała.

- Dwie trzecie są Sary, a jedna trzecia jest moja - wyrecytowała Lova jak wyuczone na pamięć zdanie.

- Teraz chcę porozmawiać z Sanną - powiedziała Rebeka, podnosząc się.

Lova wzięła ją z rękę i poprowadziła do pokoju. Mieszkanie na piętrze składało się tylko z dużej kuchni z wnątką i pokoju. Ten

ostatni służył niegdyś za sypialnię dzieciom. Babcia i dziadek sypiali w kuchennej alkowie. Sanna leżała na jednym z łóżek, z twarzą odwróconą do ściany i z nogami podciągniętymi tak wysoko, że prawie dotykała kolanami brody. Na sobie miała jedynie T-shirt i bawełniane kwieciste majtki. Z poduszki spływały anielsko długie jasne włosy.

- Hej, Sanna - odezwała się ostrożnie Rebeka.

Kobieta na łóżku milczała, ale było widać, że oddycha.

Lova wzięła koc leżący w nogach i przykryła nim swoją mamę.

- Ona jest w bańce - wyszeptwała.

- Rozumiem - wycodziła Rebeka przez zęby.

Nie spuszczać wzroku z Sanny, trąciła ją mocno palcem w plecy.

- Chodź - powiedziała do Lovy i pociągnęła ją z powrotem do kuchni.

Tjapp, stwierdziwszy, że dużej pani leżącej nieruchomo na łóżku nie dzieje się krzywda, podążyła za nimi.

- Jadłyście coś? - zapytała Rebeka.

- Nie - odpowiedziała Lova.

- Ty i ja poznałyśmy się, kiedy byłaś bardzo mała - teraz zwróciła się do Sary.

- Ja nie jestem malutka - zaprotestowała natychmiast Lova. - Mam cztery lata!

- A teraz powiem wam, co postanowiłam - ciągnęła dalej Rebeka. - Posprzątam razem w kuchni, później ugotuję coś do jedzenia, a na piecu podgrzejemy wodę i umyjemy porządnie Lovę i Tjapp.

- A ja potrzebuję nowej bluzki - odezwała się Lova. - Popatrz! Odchyliła brzegi kołdry, obnażając wysmarowany płynnym mydłem T-shirt.

- A ty potrzebujesz nowej bluzki - westchnęła zmęczona Rebeka. Godzinę później dziewczynki jadły parówki i purée ziemniaczane z proszku. Lova miała na sobie dżinsy któregoś z kuzynów Rebeki i sprany T-shirt z Asteriksem i Obeliksem. Tjapp siedziała u ich stóp, czekając cierpliwie na swój przydział. Drewno w piecu skwierczało i trzaskało. Rebeka zerknęła na zegarek. Już siódma. Musi jeszcze pojechać z

Sanną na komisariat. Poczula w żołądku kąsający stres.

Sara obwąchiwała podkoszulek Lovy.

- Pachniesz ohydnie - podsumowała.

- To nieprawda - westchnęła znów Rebeka. - Ubrania pachną trochę dziwnie, bo były długo nieużywane i leżały w szufladzie. Ale jej własne pachną jeszcze gorzej, więc niech już zostanie tak, jak jest. Podzielcie się z psem parówkami.

Zostawiła dziewczynki w kuchni i weszła do pokoju, zamykając za sobą drzwi.

- Sanno - zaczęła ostrożnie.

Sanna leżała nieruchomo w tej samej pozycji co poprzednio, ze wzrokiem wbitym w ścianę.

Rebeka podeszła do łóżka i zatrzymała się tuż przed nim, z ramionami splecionymi na piersi.

- Wiem, że mnie słyszysz - powiedziała znacznie ostrzej. - Nie jestem już tą samą osobą co dawniej, Sanno. Zmieniłam się. Potrafię być złośliwa i niecierpliwa. Nie mam zamiaru siedzieć tutaj i głaskać cię po włosach, i pytać, co się stało. Proszę, żebyś natychmiast wstała i włożyła ubrania. W przeciwnym razie wezmę twoje córki do pogotowia opiekuńczego i powiem, że w tej chwili nie jesteś w stanie się nimi zająć. A później wrócę najbliższym samolotem do Sztokholmu.

Ciągle żadnej odpowiedzi. Żadnego ruchu.

- W porządku - odezwała się Rebeka po dłuższej chwili.

Wzięła głęboki oddech, sygnalizując, że czekała wystarczająco długo, obróciła się na pięcie i ruszyła w kierunku drzwi.

„Czyli tak, a nie inaczej - pomyślała. - Zadzwoń na policję i powiem im, gdzie jest Sanna. I niech już sami ją wyprowadzą z domu”.

Kładła właśnie rękę na klamce, gdy usłyszała za plecami, jak Sanna siada na łóżku.

- Rebeka - powiedziała po prostu.

Rebeka odczekała chwilę. Następnie odwróciła się i oparła o framugę drzwi. Ramiona

znów splotły się na piersi. Jak u matki, która z niecierpliwością pyta „no-więc-o-co-ci-w-końcu-chodzi?”.

A Sanna odpowiedziała jak mała dziewczynka, przygryzając

wargę, z błaganiem w oczach.

- Przepraszam - wymamrotała przytłumionym głosem. -
Wiem, że jestem najgorszą matką świata i jeszcze gorszą
koleżanką. Nienawidzisz mnie?

- Masz trzy minuty na ubranie się i przyjdzie do kuchni, żeby
coś zjeść - wydała rozkaz Rebeka i wymaszerowała z pokoju.

*

Sven Erik Stålnacke zaparkował przed wejściem do pogotowia
ratunkowego. Anna Maria oparła się o drzwi samochodu,
czekając, aż Sven Erik znajdzie kluczyki, których właśnie
gorączkowo szukał w kieszeni kurtki. Robienie głębokich
wdechów przychodziło komisarz z trudnością w kłującym,
mroźnym powietrzu, ale musiała się rozluźnić. W trakcie tego
króciutkiego spaceru z sali sekcyjnej do samochodu jej brzuch
stwardniał jak kula śniegu.

- W kościele Źródła Mocy jest trzech pastorów - powiedział
Sven Erik, grzebiąc teraz w drugiej kieszeni. - Oznajmili, że są
gotowi na przyjęcie policji. Dają nam tylko godzinę na
przesłuchanie, ani minuty dłużej. I nie planują przesłuchań w
pojedynkę, chcą rozmawiać z nami we trójkę. Mówią, że chcą
współpracować, ale...

- Ale nie chcą współpracować - uzupełniła Anna Maria.

- No, ale co, kurde, możemy zrobić? - zastanawiał się. - Wziąć
się do nich ostro, czy jak?

- Nie, wtedy cały zbór zamknie się jak małż. Ale z drugiej
strony ciekawe, dlaczego nie chcą rozmawiać z nami sam na
sam.

- Nie mam pojęcia. Jeden z pastorów próbował to wyjaśnić.
Nazywa się Gunnar Isaksson. Ale nie zrozumiałem z jego gadki
ani słowa. Możesz ich zapytać jeszcze raz. Kurwa mać,
powinienem ich był rano pozrywać z łóżek!

- Nie - zaprzeczyła Anna Maria, kręcąc w zamyśleniu głową. -
Nie mogłeś postąpić inaczej.

Zorza północna niestrudzenie przeciągała po niebie swoje białe
i zielone welony.

- To przecież niesamowite - powiedziała Anna Maria,

odchylając głowę do tyłu. - Tej zimy widać zorzę cały czas. Spotkałeś się z czymś takim?

- Nie. To wszystko przez te burze słoneczne - odpowiedział Sven Erik. - Ładnie wygląda, ale wkrótce na pewno okaże się, że zorza też wywołuje raka, jak wszystko inne. Człowiek w zasadzie powinien non stop chodzić ze srebrnym parasolem, chroniącym go od promieniowania.

- Byłoby ci w takim do twarzy - roześmiała się.
Wsiedli do samochodu.

- *A propos takich* chorób - kontynuował Sven Erik. - Jak się miewa Pohjanen?

- Nie wiem. Nie było, że tak powiem, okazji do zadawania osobistych pytań.

- No tak, jasne.

„Może przecież zapytać sam”, pomyślała zgrzyliwie.

Sven Erik zaparkował u podnóża wzniesienia i zaczęli kolejną wędrówkę pod górę. Zniknęły zasy śnieżne wzdłuż chodnika, a w śniegu wokół budynku kościoła wszędzie widać było ślady psów i ludzi. W poszukiwaniu narzędzia zbrodni przekopano zwały śniegu w okolicy. Żywiono nadzieję, że sprawca wyrzucił broń, wychodząc z kościoła, albo wcisnął ją w jakąś śnieżną górę. Ale nic nie znaleziono.

- A jeżeli nie znajdziemy narzędzia morderstwa? - Sven Erik przerwał ciszę i zwolnił kroku, zauważywszy, że Anna Maria dostała zadyszki. - Czy w dzisiejszych czasach można skazać kogoś za morderstwo bez dowodu rzeczowego?

- Tja, Christera Petterssona³ w sądzie rejonowym - wydyszała Anna Maria.

Sven Erik zaśmiał się ponuro.

- No tak, doprawdy pocieszający przykład.

- Znaleźliście siostrę Wiktora?

- Nie, ale von Post powiedział, że załatwił przesłuchanie z nią o ósmej wieczorem. Zobaczymy, co z tego wyjdzie.

3 Christer Pettersson - podejrzany o zamordowanie premiera Szwecji Olofa Palmego w 1986 roku. Skazany przez sąd rejonowy na karę dożywotniego więzienia, zwolniony przez sąd apelacyjny z powodu braku dowodów.

Anna Maria Mella i Sven Erik Stålnacke weszli do zboru Źródła Mocy dziesięć minut po piątej. Trzej pastorowie siedzieli na krzesłach w pierwszym rzędzie, z twarzami zwróconymi ku ołtarzowi. W ogromnej sali kościoła znajdowały się jeszcze trzy osoby. Kobieta w średnim wieku ciągnęła za sobą nieporęczny i hałaśliwy elektroluks, czyszcząc dywan za dywanem. Wyglądała niesamowicie chudo w niemodnych legginsach i bawełnianym, jasnozielonym swetrze sięgającym prawie do kolan. Od czasu do czasu włączała odkurzacz i prawie na czworakach podnosiła śmieć niemieszczący się w ssawce. Druga kobieta, również w średnim wieku, była o wiele bardziej elegancka. Miała na sobie schludną spódnicę, odprasowaną bluzkę i pasujący do całości, rozpinany sweterek z klapami. Przemieszczając się wzdłuż rzędów krzesel, kładła na każdym siedzeniu niewielką, zadrukowaną kartkę. Trzecią osobą był młody mężczyzna. Można było odnieść wrażenie, że wędruje po kościele zupełnie bez celu i mówi sam do siebie. W dłoni trzymał Biblię. Chwilami zatrzymywał się przed krzesłem, wyciągał rękę i - oburzony - rozmawiał z nim niemymi ustami. Albo stawał nieruchomo z uniesioną do góry Biblią i recytował głośno niepojęte dla przybyłych policjantów frazy. Gdy przechodzili obok niego, rzucił im nienawistne spojrzenie. Zakrwawiony chodnik ciągle leżał w środkowym przejściu, ale ktoś poprzestawiał krzesła, blokując miejsce, w którym znaleziono zwłoki.

- No, widzę, że mamy tutaj całą „trójcę świętą” - zaczął Sven Erik, próbując rozluźnić atmosferę, gdy trzej pastorowie o śmiertelnie poważnych twarzach podnieśli się na powitanie policjantów.

Na żadnych ustach nie zagościł chociażby przelotny uśmiech. Kiedy usiedli, Anna Maria zapisała w notatniku nazwiska i krótkie rysopisy pastorów, żeby później nie mieć wątpliwości, kto jest kim i kto co powiedział. Dyktafon nie wchodził w grę. Przypuszczała, że prawdopodobnie i tak trudno będzie zmusić ich do rozmowy.

„Thomas Söderberg - napisała - brunet, przystojny, w modnych

okularach, czterdzieści plus. Vesa Larsson, czterdzieści plus, jedyny bez garnituru i krawata, flanelowa koszula i skórzana kamizelka. Gunnar Isaksson, otyły z brodą, mniej więcej pięćdziesiąt lat”.

Uderzyła ją różnorodność ceremoniału powitania z duchownymi. Thomas Söderberg uściśnął jej dłoń, bez cienia niepewności zajrzał w oczy i przez chwilę zatrzymał spojrzenie. Był przyzwyczajony do tego, że wzbudza zaufanie. Ciekawe, jak by zareagował, gdyby policja przyjęła jego wypowiedzi z niedowierzaniem. Garnitur wyglądał na bardzo drogi.

Uścisk Vesy Larssona był niezdecydowany. Mężczyzna nie podawał chyba zbyt często ręki na powitanie. Zanim ich dłonie się dotknęły, Vesa zdążył pozdrowić Annę Marię lekkim skinieniem głowy i przenieść wzrok na Svena Erika.

Gunnar Isaksson nieomal zmiażdżył jej rękę swoim uściskiem. Ale nie był to przejaw nieuświadomionej siły spotykanej u niektórych mężczyzn.

„Prawdopodobnie boi się miana mięczaka”, pomyślała Anna Maria.

- Zanim zaczniemy, chciałabym się dowiedzieć, dlaczego panowie życzą sobie przesłuchania we trójkę.

- Stało się coś przerażającego - odezwał się Vesa Larsson po chwili milczenia - ale jesteśmy głęboko przekonani, że w tych trudnych chwilach zbór musi zachować jedność. I to dotyczy w ogromnej mierze nas, pastorów. Istnieją siły, które będą próbowały siać zamieszanie i dążyć do rozłamu, ale my zamierzamy obnażyć przed nimi jak najmniej słabych stron.

- Rozumiem - powiedział Sven Erik tonem, który wyraźnie zdradzał, że nie rozumiał ani słowa.

Anna Maria spojrzała na kolegę, który w zamyśleniu wydymał usta tak intensywnie, że wąsy wystawały spod nosa niczym motelki.

Vesa Larsson, bawiąc się guzikiem swojej kamizelki, zerknął na Thomasa Söderberga, który nie odwzajemnił spojrzenia i potakiwał wolno głową, jakby rozważając to, co przed chwilą zostało powiedziane.

„Aha - pomyślała Anna Maria - pastor Söderberg zaakceptował

odpowieź Vesy. Nietrudno zgadnąć, kto przewodzi w tym stadzie”.

- Jak zbudowany jest wasz zbór? To znaczy chodzi mi o strukturę organizacyjną - uściśliła Anna Maria.

- Na samym szczycie mamy Boga - odpowiedział Gunnar Isaksson tubalnym głosem, z niezachwianą wiarą wznosząc palec w górę. - Zbór ma trzech pastorów, czyli nas, i pięć osób w Radzie Starszych. Jeżeli użyjemy porównania z przedsiębiorstwem, to możemy powiedzieć, że Bóg jest właścicielem, my trzej dyrektorami, a Rada Starszych stanowi zarząd.

- Myślałem, że będziecie pytać nas o Wiktora Strandgård - przerwał Thomas Söderberg.

- Zaraz do tego dojdziemy - zapewnił śpiewnie Sven Erik.

Młody mężczyzna z Biblią zatrzymał się przy krześle i donośnym głosem wyrzucał z siebie dziesiątki niezrozumiałych zdań, wymachując ręką w kierunku pustego siedzenia. Sven Erik patrzył skonfundowany.

- Czy wolno zapytać... - powiedział, wskazując kciukiem młodzieńca.

- On modli się w intencji wieczornego zgromadzenia - wyjaśnił Söderberg. - Glosolalia może wydawać się czymś dziwnym, jeżeli nie jest się do niej przyzwyczajonym, ale zapewniam pana, to nie są żadne czarodziejskie zaklęcia.

- Ogromnie ważne jest przygotowanie przestrzeni duchowej w sali nabożeństw - wyjaśnił dodatkowo pastor Isaksson, gładząc swą gęstą i dobrze przystrzyżoną brodę.

- Rozumiem - zapewnił jeszcze raz Sven Erik, szukając bezradnie wzroku koleżanki.

Wąsy odstawały teraz od twarzy prawie pod kątem prostym.

- Tak... Czy mogliby panowie opowiedzieć o Wiktorze? - zapytała Anna Maria. - Jakim był człowiekiem? Jakie jest pana zdanie, panie Larsson?

Pastor wyglądał na udręczonego. Zanim zaczął mówić, przelknął głośno ślinę.

- Był oddany. Pełen pokory. Kochany przez wszystkich w zborze. Po prostu zawierzył Bogu. Mimo swojej, jak to

powiedzieć, wysokiej pozycji w zborze nie unikał służby, jeżeli chodzi o codzienne czynności. Jego nazwisko widniało na grafiku sprzątnięcia, można go było zobaczyć tutaj, jak odkurza i wyciera krzesła. Kaligrafował afisze zapowiadające nasze spotkania...

- Pilnował dzieci - wtrącił Gunnar Isaksson. - Pełnimy dyżury opieki nad maluchami, żeby rodzice mogli całkowicie skupić się na słuchaniu Słowa Bożego.

- ...na przykład wczoraj - ciągnął Vesa Larsson - po spotkaniu nie poszedł na kawę do naszego lokalu parafialnego, tylko został tutaj, żeby poustawiać krzesła. To jest minus, że nie mamy ławek; gdy krzesła nie są poustawiane w równe rzędy, powstaje wrażenie ogólnego nieładu.

- To Wiktor musiał się nieźle napracować - zauważyła Anna Maria - przecież tu są setki krzesel. Czy nikt nie został z nim, żeby mu pomóc?

- Nie, powiedział, że chce być sam - odpowiedział Larsson. - Niestety nie zamykamy drzwi, kiedy jesteśmy w zborze, więc jakiś szaleniec mógł...

Nagle przerwał i potrząsnął głową.

- Wygląda na to, że Wiktor Strandgård był delikatnym mężczyzną - stwierdziła Anna Maria.

- Tak. Jak najbardziej - pastor Söderberg uśmiechnął się smutno.

- Czy miał jakichś wrogów? Czy poróżnił się z kimś ostatnio? - zapytał Sven Erik.

- Nie, nic mi o tym nie wiadomo - odpowiedział Vesa Larsson.

- Czy sprawiał wrażenie zatroskanego? Niespokojnego? - pytał dalej.

- Nie - znów odpowiedział pastor Larsson.

- Na czym polegała jego praca w zborze? Był tutaj zatrudniony na cały etat.

- Działal na rzecz Boga - odparł pompatycznie Gunnar Isaksson, akcentując ostatnie słowo.

- I działając na rzecz Boga, dostarczał zborowi trochę

pieniędzy - zauważyła cierpko Anna Maria. - Co się działo z dochodami z książki? Na jakie konto będą wpływały po śmierci Wiktora?

Isaksson i Larsson spojrzeli na Söderberga.

- Jakie znaczenie dla śledztwa mają tego typu informacje? - zapytał uprzejmym głosem.

- Proszę tylko odpowiedzieć na pytanie - wtrącił dobrodusznie Sven Erik, ale z wyrazu jego twarzy wynikało, że nie lubi krnąbrnych ludzi.

- Wiktor już dawno przekazał zborowi honoraria autorskie. Po jego śmierci wszystkie dochody nadal będą wpływały na konto parafii. A więc nic się nie zmieniło.

- W ilu egzemplarzach sprzedała się książka Wiktora? - zapytała Anna Maria.

- Sprzedano ponad milion, łącznie z przekładami - powiedział sucho pastor Söderberg. - Ale w dalszym ciągu nie rozumiem...

- Czy sprzedajecie również inne rzeczy? - dociekał Sven Erik. - Portrety idola albo coś w tym stylu?

- To jest zbór, a nie fan club Wiktora Strandgård - odparował ostro Söderberg. - Nie handlujemy portretami, ale mamy pewne dochody, między innymi ze sprzedaży kaset wideo.

- Co to za kasety?

Anna Maria zmieniła pozycję na krześle. Znow poczuła parcie na pęcherz.

- Kazania któregoś z nas, Wiktora albo goszczących u nas kaznodziejów. Nagrania spotkań i nabożeństw - odpowiedział Söderberg, zdejmując okulary i wyciągając z kieszeni lśniącą białą chusteczkę do nosa.

- Nagrywacie wasze spotkania na wideo? - zapytała Anna Maria i znow zmieniła pozycję na krześle.

- Tak - odezwał się tym razem Larsson. Söderberg wyglądał na zbyt zajętego czyszczeniem okularów, żeby udzielić odpowiedzi.

- Mielście tutaj wczoraj spotkanie - powiedziała Anna Maria - i uczestniczył w nim Wiktor Strandgård. Czy istnieje nagranie tego spotkania?

- Tak - odparł Larsson.

- W takim razie poprosimy o to nagranie - powiedział Sven Erik. - A także o kasetę z dzisiejszego spotkania. No i także o wszystkie nagrania z ostatniego miesiąca, jak sądzisz, Anno Mario?

- Tak, to wystarczy - odpowiedziała krótko.

Podnieśli oczy, gdy ucichł odkurzacz. Wyłączywszy go, sprzątająca kobieta podeszła do eleganckiej damy. Szeptały do siebie, zerkając w stronę pastorów. Młody mężczyzna usiadł na jednym z krzeseł i kartkował Biblię. Jego usta poruszały się nieustannie. Kobieta w spódnicy, zauważywszy, że rozmowa policjantów z pastorami utknęła w martwym punkcie, wykorzystała moment i podeszła do duchownych.

- Czy mogę państwu na chwileczkę przerwać? - zapytała uprzejmie, a gdy nikt jej nie przeszkodził, zwróciła się tylko do pastorów: - Przed wieczornym spotkaniem co mamy zrobić z tym... - Zamilkła i wskazała prawą ręką zakrwawione miejsce, w którym wcześniej leżały zwłoki. - Ponieważ podłoga nie jest zaimpregnowana, nie sądzę, żeby udało się zmyć wszystkie ślady... Można zrolować chodnik i przykryć plamy czymś tymczasowym, zanim dostaniemy nowy dywan - zaproponowała.

- To powinno wystarczyć - odpowiedział Isaksson.

- Nie, droga Anno - przerwał Söderberg, posyłając Isakssonowi prawie niezauważalne spojrzenie. - Zaraz się tym zajmę. Zostaw to na razie. Policja już niedługo zakończy rozmowę z nami, prawda?

Ostatnie zdanie skierował do Anny Marii i Svena Erika. Nie otrzymawszy od nich odpowiedzi, uśmiechnął się do kobiety, sygnalizując, że chwilowo nie ma nic więcej do powiedzenia. Dama zniknęła niczym wierna służąca i skierowała kroki ku drugiej kobiecie. Po jakimś czasie znów zahuczał odkurzacz. Pastorowie i policjanci siedzieli w milczeniu, przyglądając się sobie nawzajem.

„To typowe - myślała z wściekłością Anna Maria. - Niezaimpregnowane deski podłogi, gruby ręcznie tkany dywan, luźne krzesła zamiast ławek. Bardzo to piękne i robi wrażenie, ale, cholera jasna, ciężkie do utrzymania w ładzie i czystości.

No ale na szczęście mają jeszcze sporo posłusznych kobiet, które sprzątają tu za darmo, ku chwale Boga”.

- Nie dysponujemy nieograniczonym czasem... - powiedział Thomas Söderberg. Jego głos stracił życzliwy ton. - Będziemy tutaj wieczorem odprawić nabożeństwo i z pewnością rozumiemy państwo, że mamy w związku z tym trochę przygotowań - odezwał się ponownie, nie usłyszawszy nic od policjantów.

- Taaak - zaczął Sven Erik, jakby miał nieograniczone możliwości czasowe. - Jeżeli Wiktor Strandgård nie miał wrogów, to miał z pewnością przyjaciół. Kto był mu najbliższy?

- Bóg - wypalił Isaksson z triumfującym uśmiechem.

- Rodzina, oczywiście. Matka i ojciec - wtrącił Söderberg, ignorując odpowiedź przedmówcy. - Ojciec Wiktora, Olof Strandgård, jest przewodniczącym chadeków i radnym gminy. Nasz zbór ma silną reprezentację w radzie, głównie dzięki chadekom właśnie. Chrześcijańscy Demokraci to największa prawicowa partia w Kirunie. Nasze wpływy w gminie są coraz rozleglejsze i w następnych wyborach liczymy na zdobycie większości mandatów. Liczymy też na to, że policja nie uczyni nic, co mogłoby podważyć zaufanie, jakim cieszymy się u wyborców. Jest jeszcze siostra Wiktora, Sanna Strandgård, czy już z nią rozmawialiście?

- Nie, jeszcze nie.

- Bądźcie ostrożni i delikatni, rozmawiając z Sanną, to bardzo krucha osoba - poprosił Söderberg. - A wracając do przyjaciół Wiktora, to powinienem też wymienić siebie samego...

- Był pan jego spowiednikiem?

- Niezupełnie - odpowiedział Söderberg, znów się uśmiechając. - Nie używamy słowa „spowiednik”. Mówimy raczej o duchowym mentorze.

- Czy Wiktor chciał wyjawić jakąś tajemnicę przed śmiercią? - zapytała Anna Maria.

- Może o sobie samym? Albo o parafii?

- Nie - odpowiedział Söderberg po chwili milczenia. - A co miałyby być tą tajemnicą?

- Przepraszam - powiedziała nagle Anna Maria, podnosząc się

gwałtownie - ale muszę skorzystać z toalety.

Porzuciła towarzystwo mężczyzn i poszła w stronę szatni po drugiej stronie budynku. Załatwiwszy swoją potrzebę, siedząc ciągle na muszli, Anna Maria wpatrywała się w otaczające ją białe kafelki. W jej głowie kołatała pewna myśl. Przez lata pracy w policji nauczyła się rozpoznawać oznaki stresu. Od nadmiernego pocenia się po zawroty głowy. Już sama rozmowa z policją wpływa na większość ludzi stresująco. Ale dopiero wtedy, gdy usiłują ukryć owo zdenerwowanie, warto się nimi zainteresować.

Zdarzały się oznaki stresu, na których odkrycie miała tylko jedną szansę. Pojawiały się one jeden jedyny raz. Właśnie przed chwilą tak się stało. Zaraz po jej pytaniu, czy Wiktor Strandgård miał zamiar wyjawić jakąś tajemnicę, któryś z pastorów, nie zdążyła zauważyć który, wziął głęboki wdech. Tylko raz. Jeden wdech.

- Tja, kurwa - powiedziała na głos, dziwiąc się, jak miłym uczuciem okazało się potajemne przeklinanie w kościele.

To, że ktoś sobie oddycha, oczywiście nie musiało nic znaczyć. Ale przecież jasne, że pastory nie mają zupełnie czystych rąk. Który zarząd w jakiegokolwiek większej organizacji je ma? Na pewno nie policja. I z pewnością też nie ta grupa duchownych.

- Ale to nie czyni ich automatycznie mordercami - kontynuowała dyskusję z samą sobą, naciskając guzik spłuczki. Zastanawiała ją też inna dziwna rzecz. Dlaczego właśnie Vesa Larsson odpowiedział, że nic nie trafiło Wiktora, jeżeli jego „duchowym mentorem” był Thomas Söderberg i z tej racji powinien znać go najlepiej?

Kiedy policjanci, opuściwszy zbór, zbliżali się do parkingu, dogoniła ich odkurzająca w kościele kobieta. We frotowych skarpetach i drewniakach chwilami truchtała za nimi, chwilami po prostu ześlizgiwała się z góry.

- Słyszałam, że pytaliście o to, czy miał wrogów - odezwała się w końcu zadyszana.

- Tak... - odpowiedział Sven Erik.

- Miał wrogów - powiedziała, łapiąc go kurczowo za ramię. - I

teraz, po jego śmierci, wróg nabierze mocy. Czuję, że już mnie nękają.

Puściła Svena Erika i spłótła ręce na piersi, w daremnej próbie odgradzenia się od siarczystego mrozu. Nie miała na sobie kurtki ani płaszcza. Uginała lekko kolana, żeby nie stracić równowagi. Najmniejszy ruch sprawiał, że drewniaki zaczynały ślizgać się po zlodowaciałym śniegu.

- Nękają? - zapytała zdziwiona Anna Maria.

- Demony - odpowiedziała kobieta. - Znów chcą mnie zmusić do palenia. Kiedyś byłam opętana przez demona tytoniu, ale Wiktor Strandgård przyłożył dłonie i uwolnił mnie.

Policjantka popatrzyła na nią z rezygnacją. Nie miała siły na jeszcze jedną wariatkę.

- Zanotujemy to - powiedziała krótko i pospieszyła w kierunku samochodu.

Sven Erik zatrzymał się i wyjął notatnik z wewnętrznej kieszeni kurtki.

- To on zabił Wiktora - powiedziała kobieta.

- Kto?

- Książę tego świata - wyszeptała. - Szatan. On próbuje się wedrzeć.

Sven Erik schował notatnik i ujął lodowate dłonie kobiety.

- Dziękuję. I proszę, niech pani wróci do środka, bo zamarznie pani na śmierć.

-Chciałam wam tylko o tym powiedzieć- wołała jeszcze za nimi.

W sali głównej zboru toczyła się zażarta dyskusja.

- Tak przecież nie można! - krzyczał wzburzony Isaksson, chodząc za Söderbergiem, który rozstawiał krzesła wokół czarnej plamy krwi, jakby chciał umieścić ciemny ślad śmierci Wiktora w środku cyrkowej areny.

- Ależ można - odpowiedział spokojnie Söderberg i odwróciwszy się do Anny, dodał:

- Ściągnijcie chodnik w środkowym przejściu. Nic nie rób z plamą. Kup trzy róże i połóż na podłodze. Przemebujemy salę i zaaranżujemy to wszystko inaczej. Będę stał obok miejsca, w którym umarł Wiktor, i stąd wygłoszę kazanie. Dookoła mnie

będą krzesła.

- Będiesz miał słuchaczy ze wszystkich stron - ryczał Isaksson. - Czy ludzie naprawdę muszą oglądać twoje plecy? Söderberg podszedł w końcu do tego niewysokiego mężczyzny i położył mu ręce na barkach.

„Ty tłusty kurduplu - pomyślał. - Brakuje ci zdolności retorycznych, żeby mówić z

areny. Stać na scenie. Być w centrum uwagi. Musisz mieć wszystkich przed sobą i niezbędna ci mównica, żeby w razie czego mieć się na czym wesprzeć. Ale twoja niedoskonałość nie będzie mi zawalidrogą”.

- Pamiętasz, bracie, co mówiliśmy - powiedział, patrząc mu w oczy - teraz musimy się trzymać razem. Obiecuję ci, że wszystko pójdzie dobrze. Ludzie będą dziś płakać, modlić się, wołać do Boga, a my, a raczej Bóg, triumfować. Powiedz żonie, żeby przyniosła jakiś kwiat i położyła go na miejscu, gdzie leżały zwłoki.

„Stworzymy niesamowitą atmosferę”, planował w myślach Söderberg.

Namówi jeszcze kilka osób do złożenia kwiatów. Będzie jak wtedy, gdy zamordowano Olofa Palmego.

Pastor Larsson tkwił nieruchomo w tym samym miejscu, w którym rozmawiał z policjantami. Nie brał udziału w zacieklej wymianie zdań. Siedział pochylony do przodu, z twarzą ukrytą w dłoniach. Możliwe, że płakał.

*

Rebeka i Sanna jechały do miasta. Uginające się pod naporem śniegu sosny śmigwały w świetle reflektorów. Kłopotliwe milczenie kurczyło samochodową przestrzeń. Zapadały się boczne ściany i dach. Z każdą minutą było coraz trudniej oddychać. Oczy Rebeki, przeskakując z szybkościomierza na szosę, kontrolowały i jedno, i drugie. Dzięki siarczystemu mrozowi nie było szczególnie ślisko, mimo że drogę pokrywał silnie sprasowany śnieg.

Sanna siedziała z policzkiem przyciśniętym do zimnej szyby, nawijając ciasno na palec pasmo włosów.

- Powiedz coś, proszę - odezwała się po chwili.

- Nie jestem przyzwyczajona do jazdy w takich warunkach - odpowiedziała Rebeka. - Trudno mi jednocześnie prowadzić i samochód, i rozmowę.

Słyszała wyraźnie kłamstwo wycierające z tych słów, niczym rafa spod powierzchni wody. Ale to nie miało znaczenia. Może nawet zrobiła to rozmyślnie. Spojrzała na zegarek. Za piętnaście ósma.

„Nie wszczynaj teraz kłótni - upomniała samą siebie. - Kto Sannę złapał, niech ją trzyma...”

- Myślisz, że dziewczynki poradzą sobie bez ciebie? - zapytała.

- Nie mają innego wyjścia - odpowiedziała Sanna, prostując się w fotelu. - A zresztą niedługo wrócimy, prawda? Nie mam odwagi dzwonić i prosić o pomoc. Im mniej ludzi wie, gdzie jestem, tym lepiej.

- Dlaczego?

- Boję się dziennikarzy. Wiem, jacy mogą być. No i mama i tato... Ale teraz porozmawiajmy o czymś innym.

- Chcesz rozmawiać o Wiktorze? O tym, co się stało?

- Nie. Przecież za chwilę opowiem o tym policji. Pomówmy o tobie, wtedy na pewno się uspokoję. Co u ciebie słychać? Czy naprawdę od naszego ostatniego spotkania minęło aż siedem lat?

- Mmm - odpowiedziała Rebeka. - Ale parę razy rozmawialiśmy przez telefon.

- I pomyśleć, że ciągle jeszcze macie dom w Kurravaara.

- Tak... Wujek Affe i Inga Lill powtarzają, że nie stać ich na wykupienie mojego udziału. Chyba mają do mnie żal, bo to przecież oni poświęcają czas i pieniądze na utrzymanie domu. Ale z drugiej strony tylko oni czerpią z niego radość. Ja chętnie sprzedam. Im albo komuś innemu, wszystko jedno.

Po tych słowach od razu zaczęła się zastanawiać, czy to prawda. Czy rzeczywiście nie cieszyły ją ani dom babci, ani chatka w Jiekajärvi? Tylko dlatego, że w nich nie bywa? Już sama myśl o chatce położonej z dala od zabudowań, gdzieś na głuchym pustkowiu, za lasami i bagnami, już sam fakt, że miała własne miejsce, czy to nie był wystarczający powód do radości?

- Zrobiłaś się tak niesamowicie, jak by to powiedzieć, zachwycająca - odezwała się Sanna. - I pewna siebie. Zawsze uważałam, że jesteś ładna. Ale teraz wyglądasz jak wyjęta z jakiegoś serialu. I masz takie zadbane włosy. Moje rosną zupełnie dziko aż do dnia, kiedy je sama trochę podcinam. Nie bez zarzumu Sanna przeczesła palcami gęste, jasne loki.

„Wiem, Sanno - pomyślała z irytacją Rebeka. - Wiem, że to ty jesteś najpiękniejsza w świecie. I w dodatku bez wydawania pieniędzy na drogich fryzjerów i kosztowne ubrania”.

- Możesz jeszcze coś powiedzieć? - poprosiła żałośnie Sanna. - Czuję, że się okropnie zbłądziłam, ale przecież powiedziałam „przepraszam”. I jestem cała sztywna ze strachu. Dotknij moich rąk, są lodowate.

Wyłuskawszy dłoń z futrzanej rękawicy, wyciągnęła ją do Rebeki.

„Ona nie ma dobrze w głowie - pomyślała Rebeka ze złością, zaciskając kurczowo ręce na kierownicy. - Ona, kurde, jest mocno rąbnięta”.

Dotknij mojej ręki, Rebeko, popatrz, jak drży. Jest zupełnie zimna. Kocham cię tak bardzo, tak bardzo. Gdybyś była chłopakiem, zakochałabym się w tobie bez pamięci, wiesz o tym.

- Fajnego masz psa - odezwała się w końcu Rebeka, usiłując zachować spokój. Sanna cofnęła rękę.

- Tak, Tjapp jest kochana. Dzieci ją uwielbiają. Dostaliśmy ją od znajomego lapońskiego chłopaka. Jego ojciec strasznie ją zaniedbywał, w każdym razie wtedy, gdy pił. A pił cały czas. Ale nie udało mu się jej zmarnować. Jest taka radosna i czujna. I naprawdę kocha Sarę, zwróciłaś na to uwagę? Ciągłe kładzie łeb na jej kolanach. Cieszę się, bo dziewczyny w ubiegłym roku miały pecha ze zwierzętami.

- Pecha?

- No nie wiem, czy pecha. Czasami są takie nieodpowiedzialne. Nie mam pojęcia, na czym to polega. Wiosną uciekł nam królik, bo Sara zapomniała zamknąć porządnie klatkę. I nie chciała się przyznać do błędu. A później

sprawiłyśmy sobie kota. I jesienią kot zniknął. Chociaż nie z powodu Sary, oczywiście. Tak to już jest z kotami, które wążają się poza domem. Przejechał go samochód, albo coś. Miałyśmy myszoscзки i też pouciekały. Nawet nie mam odwagi pomyśleć, co się z nimi stało. Pewnie mieszkają w ścianach i ślepym pułapie i powolutku podgryzają cały dom. W każdym razie - jeżeli chodzi o Sarę i Lovę - czasami jestem na nie wściekła. Jak teraz, gdy Lova upaprała mydłem siebie i psa. A Sara tylko się przygląda, bez żadnego poczucia obowiązku. Po prostu nie mam już siły. Lova potrafi zaświnić wszystko dookoła. No nie, porozmawiajmy o czymś radośniejszym.

- Popatrz, jaka potężna zorza polarna - powiedziała Rebeka, pochylając się nad kierownicą i zerkając w górę.

- Tak, tej zimy jest naprawdę niesamowita. To przez te burze na Słońcu. Nie tęsknisz do swoich korzeni?

- Nie, może, nie wiem - zaśmiała się Rebeka.

W oddali widać było Kryształowy Kościół. Wyglądał jak statek kosmiczny, unoszący się nad światłami ulicznych latarni. Zabudowania zaczęły gęstnieć. Szosa zamieniła się w ulicę. Rebeka wyłączyła długie światła.

- Dobrze ci jest tam na południu? - zapytała Sanna.

- Prawie cały czas pracuję.

- A ludzie?

- Nie wiem. Nie czuję się wśród nich swojsko, jeżeli o to ci chodzi. Zawsze mam tę świadomość, że pochodzę z prostej i niezamożnej rodziny. Możesz się nauczyć, w którą stronę kierować wzrok podczas wznoszenia toastu i kiedy podziękować za przyjęcie, ale nie możesz ukryć, kim naprawdę jesteś, więc cały czas czujesz się trochę wyobcowana. I nosisz w sercu urazę do ludzi z dobrych domów. I tak naprawdę nie wiesz, co o tobie sądzą. Są tak samo cholernie uprzejmi wobec wszystkich, niezależnie od tego, czy kogoś lubią, czy nie. Tutaj na północy wiem przynajmniej, co ludzie sobie mogą myśleć.

- Naprawdę wiesz? - zapytała Sanna.

Ucichły, pogrążone w myślach. Przejechały obok cmentarza i zbliżyły się właśnie do stacji Statoil.

- Kupimy coś do picia? - zapytała Rebeka.

Zobaczywszy przyzwalające skinienie Sanny, wjechała na stację benzynową i wyłączyła silnik. Siedziały bez słowa. Żadna nie wykazywała najmniejszej chęci wyjścia z samochodu, żadna nie patrzyła na drugą.

- Nie powinnaś się była przeprowadzać - powiedziała smutno Sanna.

- Przecież wiesz, dlaczego to zrobiłam - odpowiedziała Rebeka, odwracając głowę i ukrywając twarz przed pasażerką.

- Myślę, że byłaś jedyną miłością Wiktora, wiesz o tym? - uniosła się Sanna. - Nigdy nie przeboleał, że cię stracił. Gdybyś tu dalej mieszkała...

Rebeka odwróciła się gwałtownie. Wściekłość przeszła ją jak strzała. Drżąc na całym ciele, wydobywała z ust nieskładne i urywane słowa. Ale wydobywała. Nie mogła ich powstrzymać.

- Przestań! - krzyknęła. - Zamknij się, do cholery, na sekundę i posłuchaj, musimy to sobie w końcu wyjaśnić.

Jakaś kobieta, prowadząca na smyczy grubego labradora, słysząc donośne dźwięki, przystanęła i zajrzała ciekawie do środka audi.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - ciągnęła Rebeka, nie ścisząc głosu. - Wiktor nigdy mnie nie kochał, nie był nawet zakochany. Nie chcę o tym słyszeć ani słowa więcej. Nie mam zamiaru obarczać się winą za to, że nie zostaliśmy parą. I absolutnie nie mam zamiaru brać na siebie odpowiedzialności za to, że został zamordowany. Jeżeli faktycznie tak teraz myślisz, to musisz być nieźle popierdolona. Żyj sobie w tym swoim równoległym wszechświecie, ale zostaw mnie w spokoju!

Zamilkła i zaczęła walić pięściami w boczną szybę, a po chwili we własną głowę. Kobieta z psem cofnęła się wystraszona i odeszła w pośpiechu.

„Boże łaskawy. Muszę się uspokoić - pomyślała Rebeka. - Nie mogę przecież prowadzić w takim stanie. Jeszcze wypadnę z drogi”.

- Ależ ja wcale tak nie myślę - zajęczała Sanna. - Nigdy nie uważałam, że jesteś czemuś winna. Jeżeli ktoś tu ponosi jakąś winę, to ja.

- Winę za co? Że Wiktor został zamordowany?

Coś w środku Rebeki zatrzymało się i zaczęło nasłuchiwać.

- Za wszystko - wymamrotała Sanna. - Że musiałaś się przeprowadzić. Za wszystko!

- Daj spokój - warknęła Rebeka, ogarnięta nową falą wściekłości, która powstrzymując drżenie ciała, zamieniła nogi w żelazo i lód. - Nie mam zamiaru pocieszać cię i zapewniać, że to nie twoja wina. Pocieszałam i zapewniałam setki razy. Wystarczy. Byłam już wtedy dorosłym człowiekiem. Zrobiłam to, co chciałam, i poniosłam konsekwencje.

- Tak - potwierdziła posłusznie Sanna.

Włączając się do ruchu, wpadły w poślizg. Przerazona Sanna zakryła dłońmi usta, gdy jadący z naprzeciwka kierowca zatrąbił wściekle klaksonem. Z ulicy Lundbohma, na tle kopalni, widać było rozświetlony biurowiec LKAB-u. Rebekę uderzyła nagle myśl, że budynek wcale nie jest takim kolosem, jakiego zapamiętała z czasów, gdy tutaj mieszkała. Minęły ratusz z surowej cegły, z osobliwą dzwonnica wznoszącą się ku niebu niczym czarny szkielet ze stali.

„To najczystsza prawda - utrzymywała Rebeka. - Nigdy nie był we mnie zakochany. Ale rozumiem ludzi, którzy myślą, że był. Przecież przyczyniliśmy się do tego oboje: i Wiktor, i ja. Już od pierwszych wakacji. Podczas letniego obozu z Thomasem Söderbergiem w Gällivare”.

Na letnim obozie zbiera się jednaście młodych osób. Przez trzy tygodnie będą wspólnie pracować, mieszkać i studiować Biblię. Wychowawcami są Thomas Söderberg i jego żona Maja. Maja jest w ciąży. Ma długie, błyszczące włosy i nieumalowaną, radosną twarz. Czasami Rebeka widzi, jak oddala się od grupy, uciskając pięścią kręgosłup. Zdarza się, że Thomas bierze ją w objęcia i mówi:

- *Poradzimy sobie bez ciebie. Połóż się, odpocznij trochę.*

Wtedy patrzy na niego z ulgą i wdzięcznością. Bycie nieopłacaną żoną pastora to ciężka praca.

Pomaga im siostra Mai, Magdalena. Porusza się zwinnie jak wesoła myszka. Umie grać na gitarze i uczy młodzież pieśni pochwalnych.

Wśród tych jedenastu znajdują się Sanna i Wiktor Strandgård. Przyciągają uwagę. Są do siebie bardzo podobni. Obydwoje mają długie, jasne włosy. Sanna - naturalnie kręcone. Perkaty nos i ogromne oczy nadają jej twarzy lalkowaty wyraz.

„ Ona będzie wyglądała jak dziecko nawet jako osiemdziesięcioletnia staruszka ”, myśli Rebeka, starając się nie wlepić w nią wzroku.

Ze wszystkich uczestników obozu tylko Sanna jest zadeklarowaną chrześcijanką. Ma zaledwie siedemnaście lat i dziecko. Sara skończyła właśnie trzy miesiące.

- *Ja i Jezus mamy ciekawą historię miłosną - mówi Sanna, uśmiechając się krzywo.*

Jej wiara różni się od wiary Thomasa Söderberga, który dowodzi swojej w kilku etapach.

- *Słowo „wierzyć ” - tłumaczy - oznacza to samo co „ ufać ”, „ być przekonany ”. Gdy mówię „wierzę w ciebie, Rebeko”, to znaczy, że jestem przekonany, że spełnisz moje oczekiwania względem ciebie.*

- *Nie wiem - protestuje Sanna. - Wierzyć to dla mnie po prostu wierzyć. Nie wiedzieć. Czasem wątpić. A jednak mimo wszystko ufać związkowi z Bogiem. Słuchać jego szeptu w lesie.*

Wiktor pochyla się nad starszą siostrą i mierzwi jej włosy.

- *Szepty i szumy istnieją tylko w twojej głowie, Sanno - śmieje się.*

Wiktor nie wierzy. Ale lubi dyskutować. Często upina swoje długie włosy w kok. Jego cera jest tak jasna, że przybiera prawie niebieskawy odcień. Dziewczęta wodzą za nim wzrokiem, ale on prędko wpada na pomysł, jak trzymać je na dystans. Zaczyna grę z Rebeką.

Rebeka nie jest głupia. Dość szybko dochodzi do wniosku, że jego spojrzenia nic nie znaczą i że nie wolno jej odwzajemniać pospiesznych pieszczot włosów i rąk. Uczy się bezwolności i udaje obiekt jego nieodwzajemnionej tęsknoty. Gra nie jest zupełnie bezinteresowna. Dzięki uwielbieniu Wiktora Rebeka osiąga w grupie dziewcząt wyższy status. Wyeliminowała konkurentki, a to wzbudza szacunek.

Podczas studiów nad Biblią poglądy uczestników obozu i Thomasa są początkowo bardzo rozbieżne. Młodzież nie potrafi zrozumieć. Dlaczego homoseksualizm to grzech? Jak to możliwe, że tylko wiara chrześcijańska jest prawdziwą wiarą? Co się na przykład stanie ze wszystkimi muzułmanami, czy pójdą do piekła? Dlaczego nie można uprawiać seksu przed ślubem?

Thomas słucha i wyjaśnia. Musisz dokonać wyboru - tłumaczy. Albo wierzysz w całą Biblię, albo wybierasz tylko jej fragmenty. Ale co to wtedy za wiara? Rozmyta. Mdła.

Przesiadują w białe noce na pomoście jeziora i tłuką komary lądujące na ich opalonych ramionach. Dyskutują i przemyślują. Sanna znajduje w Bogu oparcie. Rebeka ma wrażenie, że stoi w rwącej rzece.

- *To dlatego, że zostałaś powołana - mówi Sanna. - On cię pragnie. Jeżeli teraz nie powiesz „tak”, będziesz stracona, być może już na zawsze. Nie odkładaj decyzji na później, bo pewnie już nigdy nie poczujesz tej samej tęsknoty.*

Po upływie trzech tygodni wszyscy oprócz dwóch uczestników obozu oddali się Bogu.

Wśród tych, którzy odnaleźli wiarę, byli Wiktor i Rebeka.

- *A ty i Wiktor? - pyta Thomas pod koniec obozu. - Co zaistniało między wami? Rebeka idzie z nim do sklepu po mleko. Wciąża w nozdrza przyjemny zapach gorącego, zakurzonego asfaltu. Cieszy się, że Thomas zechciał jej dotrzymać towarzystwa. Zazwyczaj bowiem musi dzielić się nim z innymi.*

- *Nie wiem - odpowiada z ociąganiem, decydując się na kłamstwo. - Może on jest nawet zainteresowany, ale ja teraz nie mam czasu na kogoś innego w swoim życiu niż Bóg. Przez jakiś czas chcę mu się poświęcić w stu procentach.*

Zrywa cieniutką gałązkę z mijanej brzozy. Delikatne, soczyste zielone listki pachną jak szczęśliwe lato. Wkłada jeden z nich do ust i zaczyna żuć.

Thomas chwyta nagle witkę i też wkłada listek do ust. Uśmiecha się.

- *Jesteś mądrą dziewczyną, Rebeko. Bóg ma wobec ciebie*

rozległe plany, wiem o tym. Pierwsze zakochanie w Bogu to cudowny czas. Dobrze, że potrafisz się nim cieszyć.

Usłyszała głos Sanny, początkowo odległy, później coraz bliższy. Poczula jej dłoń na swoim ramieniu.

- Popatrz - skomlała Sanna. - Och, nie!

Dotarli do komendy policji.

Rebeka, zajęta parkowaniem, nie zauważyła tego, co widziała Sanna. Dopiero po chwili dostrzegła spieszącą ku nim, gotową do ataku reporterkę z uniesionym w górę mikrofonem. Za nią szedł mężczyzna z kamerą wymierzoną w samochód niczym czarna broń.

*

Karin, żona pastora Isakssona siedziała w Kryształowym Kościele z półprzymkniętymi powiekami, udając zatopioną w modlitwie. Do wieczornego spotkania pozostała godzina. Na scenie rozgrzewał się chór gospel. Trzydzieści młodych kobiet i mężczyzn. Czarne spodnie. Liliowe bluzy z eksplozją żółtego i pomarańczowego oraz napisem „Joy” na piersi.

Dawniej Karin była niemal boleśnie zakochana w tej sali. Z boską akustyką. Jak teraz. Wydłużone samogłoski wspinały się ku sufitowi, by po chwili spłynąć w głębię, do której docierają tylko basy. Z ciepłym światłem. Z polarną nocą za ogromnymi oknami. Bańka mocy Boga w objęciach ciemności i chłodu.

Muzycy grający na gitarze elektrycznej i basie stroili swoje instrumenty. Coś trzasnęło głucho, gdy oświetleniowiec włączył sceniczne reflektory. Chłopcy zajmujący się dźwiękiem walczyli z zepsutym mikrofonem. Nie reagował na nic, aż w końcu wydał z siebie przeraźliwy pisk.

Śwędziały ją ramiona. Rano czerwonej wysypce towarzyszył obrzęk. Karin zaczęła się zastanawiać, czy to nie łuszczyca. Żeby tylko Gunnar tego nie zauważył. Nie chciała jego modlitw w swojej intencji.

Przemebłowali salę główną. Krzesła stały wokół miejsca, w którym leżał Wiktor. Jak w cyrku. Spojrzała na męża siedzącego w pierwszym rzędzie. Jego tłusty kark wylewał się znad białego kołnierzyka koszuli. Obok siedział Thomas

Söderberg, próbując skupić się na wieczornym kazaniu. Karin widziała, jak Gunnar, z silnym postanowieniem, żeby nie przeszkadzać, zmuszał się do czytania Biblii. Ale po chwili zapominał o obietnicy i zaczynał trajkotać, gestykulując zamazując ręką w powietrzu.

Po świętach Bożego Narodzenia postanowił, że będzie się odchudzać. Dzisiaj odpuścił sobie obiad. Siedziała przy stole sama i nawijała niespiesznie spaghetti na widelec, podczas gdy on jadł na stojąco trzy gruszki. Szerokie plecy pochylone nad zlewozmywakiem. Siorbanie i mlaskanie. Dźwięk soku skapującego do stalowej komory. Lewa dłoń przyciskająca krawat do brzucha.

Popatrzyła na zegarek. Za kwadrans Gunnar opuści miejsce u boku Thomasa, wymknie się na parking, pojedzie do Empes i zje w tajemnicy hamburgera. Wróci z ustami pełnymi miętowej gumy do żucia.

„Okłamuj kogoś, kto się tym przejmie - miała ochotę wrzasnąć. - Mnie to nie obchodzi”.

Z początku był innym człowiekiem. Zastępował woźnego w szkole podstawowej, w której pracowała jako nauczycielka. Była po wyższych studiach, to mu imponowało. Zalecał się hałaśliwie i otwarcie. Wynajdywane sprawy do załatwienia w pokoju nauczycielskim akurat wtedy, gdy miała okienko. Śmichy-chichy i niewyczerpany zasób kiepskich kawałów. I towarzysząca temu wszystkiemu niepewność, która ją rozczulała. Komentarze oczarowanych koleżanek, gdy klaskał z zachwyty w dłonie na widok jej nowej fryzury czy bluzki. Widywała go na boisku z dziećmi. Lubily go. Taki sympatyczny woźny. Cóż jej to wtedy przeszkadzało, że nie czytał książek.

Dopiero wiele lat później, pozostawiony w cieniu Söderberga i Larssona, zaczął odczuwać potrzebę udowodnienia, że nie jest gorszy.

Ale wówczas... Zaczęła z nim chodzić do świątyni baptystów, zboru zagrożonego wymarciem. Nie, zboru skazanego na wymarcie. Uczestniczący w nabożeństwach wierni wyglądali tak, jakby przyszli tylko po to, by odpocząć chwilkę w drodze do własnych grobów. Signe Persson o zwiewnych,

przeźroczystych, starannie zaondulowanych włosach, przez które prześwitywała skóra głowy. Różowa z brązowymi plamami. Arvid Kalla, niegdyś ładowacz w kopalni, przysypiał w kościelnej ławce, trzymając ogromne i bezużyteczne ręce na kolanach.

Oczywiście nie było ich stać na pastora, brakowało nawet pieniędzy na ogrzanie budynku. Gunnar Isaksson dbał o zbór jak o jednoosobową firmę. Naprawiał i konserwował to, na co starczało środków, i wzdychał nad pozostałymi problemami. Na przykład zawilgoconą szatnią. Ścianą wypukłą jak napuchnięty brzuch. Ciągłe odpadającą tapetą. W trakcie spotkań, w co drugą niedzielę, praktykowane było wygłaszanie kazań przez poszczególnych członków wspólnoty. Ponieważ nie zgłaszało się wielu chętnych, coraz częściej Słowo Boże głosił Isaksson.

Słuchając jego przemówień, nie dało się stracić wątku, ponieważ takowy z reguły nie istniał. Isaksson błędził tu i tam po znanym sobie od młodości religijnym krajobrazie. A mimo to marszruty były do siebie dość podobne, z obowiązkowymi przystankami w takich miejscach, jak „chrzest w Duchu Świętym”, „oto czynię wszystko nowe” i „czerpać wody prosto ze źródła”. Podróż kończyła się zawsze i bez wyjątku kazaniem zachęcającym do przebudzenia religijnego grupkę życzliwie usposobionych i od dawna nawróconych wiernych.

Jedyną pociechą było to, że w pozostałych kościołach miasta nie działo się lepiej. Świątynia Boga w Kirunie przypominała walącą się chałupę, w której zalegało tylko stęchłe powietrze.

Teraz Gunnar wstał i skierował kroki do wyjścia.

Z szacunku dla zmarłego zwolnił, przechodząc obok miejsca, w którym znaleziono zwłoki Wiktora. Leżał tam już spory stos kwiatów i kartek. Pastor posłał żonie krótki uśmiech i puścił oko, jakby dając znak, że musi tylko skoczyć do toalety albo wyjść na chwileczkę do szatni, by zamienić z kimś parę słów.

Nie był głupi. Absolutnie nie. Już fakt, że zaszedł tak daleko, na same wyżyny wspólnoty, razem z Söderbergiem i Larssonem, o tym świadczył. Bez wykształcenia teologicznego. Bez talentu poławiacza dusz. Czyż samo to nie wymagało pewnych

uzdolnień?

Pamiętała, jak Gunnar powiedział jej o tym, że Kościół misyjny zatrudnił nowego pastora. Młodą parę pastorów.

Chyba tydzień później Thomas Söderberg pojawił się na nabożeństwie w świątyni baptystów. Siedział w drugim rzędzie i potakiwał z aprobatą, słuchając kazania Gunnara. Zachęcające uśmiechy. Głęboka zaduma. Maja u jego boku, niczym wzorowa uczennica.

Później zostali na kawie. Za oknem zimowa szarówka. Napęczniałe śniegiem chmury. Dzień, który zniknął, zanim się pojawił.

Maja mówiła głośno i wyraźnie do ucha Arvida Kalli. Poprosiła Edit Svonni o przepis na słodkie sucharki.

Thomas i Gunnar w żarliwej rozmowie z dwoma braćmi z Rady Starszych. Poważne potakiwania na zmianę z salwami śmiechu, jak wyuczony, harmonijny taniec. Zbratanie.

I te obowiązkowe pytania stawiane przybyszom z południa: Jak sobie radzicie z chłodem i ciemnością? Odpowiedź była jednomyślna: Radzą sobie doskonale. I wcale nie tęsknią za chlapą i deszczem. Następne święta spędzą z całą rodziną w Kirunie.

Już samo to, że nie czują się odkomenderowani do odległego miejsca poza granicą wytrzymałości. Że nie narzekają na przejmujący wiatr i mrok zalewający duszę. Twarze wiernych nabrały miękkich rysów.

Kiedy poszli, Gunnar powiedział do niej: „Mili ludzie. Ten chłopak ma wiele pomysłów”.

Tego dnia nazwał „chłopakiem” dziesięć lat młodszego Thomasa ostatni raz.

Dwa tygodnie później spotkała Söderberga w mieście. Pchała wózek w śnieżnej zadymce. W wózku spał dwuipółmiesięczny Andreas. Jeździła z nim w górę i w dół po ulicach Kiruny. A za sobą ciągnęła marudzące zawiniątko - dwuletnią Annę. Karin marzły ręce i nogi.

Czuła się fatalnie. Zmęczenie wypełniało ją jak brudne, pęczniejące ciasto. W każdej sekundzie mogło ją rozsadzić i unicestwić. Nienawidziła Gunnara. Traciła cierpliwość do

Anny. Ciągłe się jej zbierało na płacz.

Thomas podszedł od tyłu. Położył lewą rękę na jej lewym barku i zrównał krok. Przez moment, właśnie gdy wynurzył się u jej boku, obejmował ją ramieniem. Półobjęcie, okruczeństwo minionych dni. Kiedy odwróciła głowę, zobaczyła jego szeroki uśmiech. Pozdrowił ją, jakby byli starymi przyjaciółmi. Powiedział „cześć” do Anny, która - przyklejona do jej nóg - odmawiała odpowiedzi. Popatrzył na Andreasa, śpiącego w śpiworze niczym anioł.

„Próbuję przekonać Maję, że powinniśmy postarać się o dziecko - wyznał - ale...” Nie dokończył zdania. Zrobił głęboki wdech i zgasił uśmiech. Już po chwili jednak odzyskał dobry nastrój. „W zasadzie ją rozumiem - powiedział - to przecież wy, kobiety, dźwigacie najcięższe brzemię. Będzie, jak będzie”.

Andreas poruszył się w wózku. Nadchodziła pora karmienia. Karin miała ochotę zaprosić Thomasa do domu na lunch, ale nie odważyła się zapytać. Odprowadził ją kawalek. Tak łatwo im się rozmawiało. Nowe tematy brały się z powietrza i zahaczały o stare jak ogniwa łańcucha. W końcu stanęli na skrzyżowaniu, na którym ich drogi się rozchodziły.

„Chciałabym uczynić coś więcej dla Boga - powiedziała. - Ale dzieci wysysają ze mnie wszystkie siły. Nawet więcej niż mam”. Drobnym śniegiem smagał ich mrowiem ostrych igiełek. Thomas mrużył oczy. Ciemnowłosego archanioła w niebieskiej kurtce puchowej z jakiegoś szeleszczącego, taniego syntetyku. Dżinsy wpuszczone w wysokie kozaki z dziobem. Czapka z inkaskim wzorem zrobiona na drutach. Karin zastanawiała się, czy to Maja tak zręcznie dzierga. Maja, która nie chce mieć dzieci.

„Ależ Karin - odpowiedział Thomas - czy nie rozumiesz, że robisz właśnie to, czego chce Bóg? Zajmujesz się dziećmi. To jest teraz najważniejsze. Bóg ma dla ciebie plany, ale teraz... właśnie teraz powinnaś być z Anną i Andreasmem”.

Pół roku później prowadził swoją pierwszą akcję letnią. Grupa świeżo nawróconych młodych ludzi chodziła za nim krok w krok jak trzymające się niepewnie na nogach kaczuski. A on odciskał na nich duchowe piętno. Jednym z uczestników obozu był Wiktor Strandgård.

Ona, Gunnar, Vesa Larsson i jego żona Astrid zostali zaproszeni na świadomy chrzest nowych członków wspólnoty. Mieli dzielić radość. Gunnar przełknął gorzką pigułkę zazdrości i przyjął zaproszenie. Zrozumiał, że trzeba iść ze zwycięzcami. Jednocześnie wpadł w sidła wiecznego porównywania. Chciał brylować. W jego spojrzeniu pojawiła się przebiegłość.

Sama Karin nie była bez winy. Czyż nie powtarzała mu tysiąc razy: „Nie pozwól się tłamsić Thomasowi. On nie może decydować o wszystkim”.

Wmawiała sobie, że wspiera męża. Ale czy tak naprawdę nie chciała, żeby był kimś innym?

Teraz Thomas wstał i podszedł do chóru. Miał na sobie czarny garnitur. Jego krawaty były zazwyczaj kolorowe, na granicy krzykliwych. Dzisiaj włożył dyskretnie szary. Odwrócony do góry nogami wykrzyknik pod marynarką.

„Obnosi się ze swoim bogactwem równie swobodnie, jak kiedyś obnosił się z... Nie z ubóstwem - pomyślała - raczej z brakiem pieniędzy. Dwie osoby żyjące z jednej pensji pastora. Wyglądało na to, że nigdy się tym nie przejmowali. Nawet wtedy, gdy pojawiły się dzieci”.

Później wiele się zmieniło. A teraz stał w eleganckim garniturze z drogiej wełny i rozmawiał z chórzystami. Powiedział, że to, co się wydarzyło, jest czymś potwornym. Jedna z kobiet zaczęła głośno szlochać. Stojący najbliżej objęli ją ramionami.

- Wolno nam płakać - powiedział Thomas. - Wolno pograć się w smutku. Ale - wzięwszy głęboki oddech, oddzielał każde słowo dłuższą pauzą - nie wolno nam się gubić. Nie wolno cofać. Nie wolno przystąpić do odwrotu.

Nie miała siły słuchać całej reszty. Wiedziała mniej więcej, o czym będzie.

- Cześć, Karin. Gdzie się podział Gunnar?

Maja, żona Thomasa, usiadła obok. Błyszczące, długie włosy w kolorze piasku. Delikatny, tajemny makijaż. Żadnej pomadki do ust. Żadnych cieni do powiek. Tylko odrobina tuszu do rzęs i różu. Nie dlatego, że Thomas miał coś przeciwko malowaniu się kobiet, ale Karin przypuszczała, że najchętniej widział swoją żonę bez makijażu. Jakiś rok temu Maja chciała obciąć włosy

na krótko, ale Thomas się sprzeciwił.

- Był tutaj przed chwilą. Niedługo powinien wrócić.

Maja skinęła lekko.

- A gdzie są Vesa i Astrid?

Wyjątkowo ostra kontrola obecności. Karin w odpowiedzi jedynie uniosła brwi i pokręciła głową.

- To teraz niezmiernie ważne, żeby wszyscy przyszli - powiedziała Maja półgłosem.

Karin spojrzała na różę leżącą na jej kolanach.

- Złożysz ją obok innych?

Maja znów skinęła.

- Ale poczekam z tym, aż zacznie się spotkanie. Nie mogę pojąć, że to stało się naprawdę. To zupełnie nierzeczywiste.

„Tak, to nierzeczywiste - pomyślała Karin. - Jak to będzie bez Wiktora?”

Wiktor, który odmawiał obcięcia włosów i chodzenia w garniturze. Który nie chciał podwyżki pensji i zmusił Thomasa do wpłacania pieniędzy na konto Lekarzy bez Granic. Przypomniła sobie, jak siedem lat temu pojechała na konferencję do Sztokholmu. Jak bardzo była zdziwiona widokiem całej masy młodych mężczyzn, którzy przypominali Wiktora. W metrze i w kawiarniach. Brzydkie, zrobione na drutach albo na szydełku czapki. Miękkie torby przerzucone swobodnie przez ramię. Dżinsy zwisające ze szczupłych bioder. Zamszowe kurtki z lat sześćdziesiątych. Niespieszny, jak gdyby lekceważący chód. Rodzaj antymody zastrzeżony dla pięknych i pewnych siebie.

Wiktor należał do świty Thomasa Söderberga, ale nigdy się do niego nie upodobił. Był raczej jego przeciwieństwem. Bez właściwości i bez ambicji. Wstrzemięźliwy. Kto wie, czy to ostatnie nie było zasługą Rebeki, która w swej głupocie doszczętnie go zdruzgotała. Trudno powiedzieć.

Teraz Maja pochyliła się w stronę Karin, szepcząc jej gorąco do ucha:

- Aha, przyszła Astrid. Ale gdzie jest Vesa?

Astrid, żona pastora Larssona, wkroczyła do Kryształowego Kościoła, gdy Thomas Söderberg rozpoczął z chórem wstępną

modlitwę.

Astrid spociała się podczas szybkiego marszu pod górę, teraz czuła przyklejającą się pod pachami bluzkę. Całe szczęście, że miała też sweter. Przeciągnęła szybko palcem pod oczami, sprawdzając, czy nie rozmazał się jej tusz. Kiedyś zobaczyła siebie na jednym z nagrań wideo. Gdy szła do kościoła, padał gęsty śnieg i na filmie wyglądała później jak tresowana panda zbierająca datki od wiernych. Od tego czasu zawsze sprawdzała swój wygląd w lustrze. Ale tym razem w szatni było mnóstwo ludzi, a ona czuła się potwornie zestresowana.

W środku kręgu leżał stos kwiatów i kartek.

„Wiktor nie żyje”, pomyślała.

Próbowała to sobie uzmysłwić.

„Wiktor nie żyje naprawdę”.

Teraz dostrzegła Karin i Maję. Maja pomachała do niej ręką. Żadnych szans na ucieczkę. Pozostaje tylko do nich podejść. Miały na sobie ciemne kostiumy. Ona sama grzebała w szafie i przebierała się prawie godzinę. Wszystkie jej ubrania były w żywych kolorach - czerwonym, różowym, żółtym. Miała tylko jedną ciemną garsonkę. Granatową. Ale zamek w spódnicy nie chciał się dopiąć. W końcu włożyła długi sweter, który zakrywając uda i pupę, nabierał czarownej mocy wyszczuplania. Gdy zobaczyła Karin i Maję, poczuła się rozmemłana. Rozmemłana i spocona.

- A gdzie masz Vesę? - wyszeptła Maja, zanim Astrid zdążyła usiąść.

Życzliwy uśmiech. Niebezpieczne oczy.

- Chory - odpowiedziała. - Grypa.

Widziała, że jej nie wierzą. Maja zamknęła usta i wypuściła powietrze nosem.

Miały rację. Nie miała absolutnie ochoty na ich towarzystwo, a mimo to usiadła na krześle obok Mai.

Thomas zakończył modlitwę z chórem i skierował kroki ku żonie.

„No tak, za niego też mam być odpowiedzialna”, uświadomiła sobie Astrid.

Poczuła lekkie ukłucie, gdy Thomas pozdrowił ją szybkim,

ciepłym uśmiechem, położywszy dłoń na ramieniu Mai. A później zapytał o Vesę. Astrid odpowiedziała jeszcze raz: chory, grypa. Popatrzył na nią ze współczuciem.

„No tak, biedaczka ze mnie, z takim mężem słabeuszem”, pomyślała.

- Jeżeli się o niego niepokoisz, to idź do domu - powiedział Thomas.

Pokręciła posłusznie głową.

Smakowała słowo „niepokoisz”.

Powinna była się niepokoić lata temu. Ale wtedy zajmowały ją budowa domu i dzieci. A kiedy odkryła, że miała powód do niepokoju, było już za późno i mogła tylko pogрузić się w smutku. Pogodzić się z żalem, że mąż ją opuścił. Uczyc się żyć ze wstydem, że nie nadawała się dla Vesy.

To właśnie ten wstyd powodował, że usiadła teraz koło Mai, chociaż wcale nie miała ochoty. To ze wstydu pod nieobecność dzieci stała przed otwartą zamrażalką i wyjadała z niej zamrożone ciastka.

Wprawdzie sypiali jeszcze ze sobą, ale rzadko. Zawsze w ciemności. W milczeniu.

A dzisiaj rano... Dzieci poszły do szkoły. Vesa spał w pracowni. Kiedy przyszła do niego z kawą, siedział na krawędzi łóżka. We flanelowej piżamie, nieogolony. Zmęczone oczy, wyraźne bruzdy wokół kącików ust. Smukłe, delikatne dłonie artysty zaparkowane na kolanach. Podłoga przy łóżku zasłana książkami. Drogie albumy w twardych okładkach, o błyszczących stronicach z grubego papieru. Wiele z nich o malarstwie ikon. Cieniutkie kieszonkowe broszury z ich własnego wydawnictwa. Początkowo Vesa projektował okładki. Później nagle doszedł do wniosku, że nie ma na to czasu.

Położyła tackę z kawą i kanapką na podłodze. Wspięła się na łóżko i uklękła za mężem. Jego biodra między jej udami. Rozchyliwszy szlafrok, przyłgnęła piersiami i policzkiem do jego pleców, jednocześnie gładząc dłońmi twarde barki.

- Astrid - powiedział.

Zakłopotany i udręczony. Wypełnił jej imię pozorami i poczuciem winy.

Uciekła do kuchni. Włączyła radio i zmywarkę. Wzięła Baloo na kolana i płakała w jego sierść.

Thomas Söderberg pochylał się nad trzema kobietami i ściszył głos.

- Czy słyszałyście coś o Sannie?

Pokręciły przecząco głowami.

- Zapytaj Curta Bäckströma - zaproponowała Astrid. - Przecież cały czas depcze jej po piętach.

Żony pastorów odwróciły głowy jak peryskopy. Maja dostrzegła go pierwsza. Machała do niego tak długo, aż w końcu podniósł się i ciągle z niechęcią zaczął iść w ich kierunku.

Karin nie odrywała od niego wzroku. Zawsze sprawiał wrażenie wystraszonego. Szedł, włączając nogami i prawie bokiem, jakby podchodzenie od przodu było zbyt agresywne. Spoglądał na nich spod oka, ale przy każdej próbie nawiązania kontaktu natychmiast uciekał wzrokiem.

- Czy wiesz, gdzie się podziewa Sanna? - zapytał Söderberg.

Curt pokręcił głową. Na wszelki wypadek dodał:

- Nie.

Było oczywiste, że kłamie. W jego oczach pojawił się strach. Ale też stanowczość. Nie zamierzał wyjawić swojej tajemnicy.

„Jak pies, który znalazł w lesie kość”, przeszło przez myśl Karin. Patrzył na nich spod grzywki. Skulił się i prawie przykucnął, sprawiając wrażenie, że tylko czeka, aż Thomas krzyknie „paszoł” i uderzy go w twarz.

Thomas nagle zaczął się wiercić, jakby zmęczyło go towarzystwo żon pastorów i chciał się z niego otrząsnąć.

- Chcę mieć pewność, że z nią wszystko w porządku - powiedział. - Nic nie może się jej przytrafić.

Curt skinął nieznacznie głową i zaczął wodzić wzrokiem po wypełniającej się ludźmi galerii. Podniósł trzymaną w dłoni Biblię i przycisnął ją do piersi.

- Pragnę dać świadectwo - wyznał cicho. - Bóg ma coś do powiedzenia.

Teraz skinął głową pastor.

- Gdy usłyszysz coś od Sanny, to powiedz, że o nią pytałem - poprosił. Astrid spojrzała na Thomasa.

„A gdy ty usłyszysz coś od Boga - pomyślała - to powiedz mu, że ja cały czas o niego pytam”.

*

Adwokat Måns Wenngren, szef Rebeki Martinsson, wrócił do domu prawie nad ranem. Cały wieczór przesiedział w Sophie's, stawiając drinki dwóm młodym damom razem z przedstawicielem jednego z klientów biura, niedawno wprowadzonej na giełdę firmy IT specjalizującej się w informatyce przemysłowej. Z takimi klientami miło było mieć do czynienia. Okazywali wdzięczność za każdą koronę zatajoną przed fiskusem. Klienci oskarżeni o fałszerstwo ksiąg rachunkowych czy przestępstwa podatkowe rzadko wykazywali ochotę spędzania czasu w knajpie ze swoim adwokatem. Upijali się raczej w domu.

Gdy zamknięto Sophie's, Måns pokazał jednej z dam, Marice, swoje zachwycające biuro, po czym wcisnął jej do ręki banknot i ulokował w taksówce, a sam wsiadł do innej.

Gdy wchodził do ciemnego mieszkania na Floragatan, pomyślał jak zawsze, że powinien znaleźć jakieś mniejsze gniazdko. To przecież nic dziwnego, że przy każdym powrocie do domu czuł się tak... No właśnie, jak się, kurde, czuł, gdy mieszkanie było takie puste?

Rzucił kaszmirowy płaszcz na krzesło i w drodze do dużego pokoju pstryknął każdym włącznikiem światła. Ponieważ rzadko bywał w domu przed jedenastą, zawsze nagrywał wieczorne wiadomości. Włączył wideo i przy akompaniamencie hałaśliwego sygnału dziennika TV4 otworzył lodówkę.

Ritva zrobiła zakupy. Świetnie. Sprzątanie u niego i dostarczanie świeżej żywności to chyba najłatwiejsze z zajęć, jakimi się parała. Nigdy specjalnie nie brudził, z wyjątkiem tych rzadkich sytuacji, gdy zapraszał ludzi do domu. Jedzenie kupione przez Ritwę leżało najczęściej nieruszone do dnia, w którym wymieniała je na świeższe. Przypuszczał, że zanim się zmarnowało, brała je do siebie i karmiła nim rodzinę. Taki układ znakomicie mu odpowiadał. Måns otworzył karton mleka i pił prosto z opakowania, słuchając jednocześnie

telewizyjnego dziennika. Morderstwo Wiktora Strandgårdą było wiadomością dnia.

„To dlatego Rebeka pojechała do Kiruny”, pomyślał, wracając do salonu. Usadowił się na sofie przed telewizorem z litrem mleka w rękę.

- Wiktor Strandgård, znana osobistość lokalnej wspólnoty religijnej, został zamordowany dziś w nocy. Jego zwłoki znaleziono w Kryształowym Kościele w Kirunie - oznajmiła prowadząca program dziennikarka, dobrze ubrana kobieta w średnim wieku, która kiedyś była żoną jednego ze znajomych Månsa.

- Serwus, Beata! Jak się masz? - zawołał do ekranu, wznosząc karton mleka jak do toastu, i pociągnął kolejny łyk.

- Według doniesień policji zwłoki znalazła w kościele siostra Wiktora Strandgårdą. Z tego samego źródła dowiadujemy się, że morderstwo było wyjątkowo brutalne - kontynuowała dziennikarka.

- To wszystko już wiemy, Beato, dawaj dalej! - dopingował.

Nagle zdał sobie sprawę z tego, jak bardzo jest pijany. Poczul się tępy i głupi. Postanowił zaraz po wiadomościach wziąć prysznic.

Sprawozdanie w studio zamieniło się w reportaż z Kiruny. Głos reportera komentował ukazujące się jeden po drugim obrazy. Najpierw imponujący Kryształowy Kościół na wzgórzu, z zimowoniebieską poświatą w tle. Później policjanci przekopujący się przez zwały śniegu wokół świątyni. Wklejono również fragmenty nagrań ze spotkań wspólnoty i zaprezentowano pokrótce sylwetkę Strandgårdą.

- Nie ulega wątpliwości, że to, co się tutaj wydarzyło, wzbudza w Kirunie silne emocje. Było to widać bardzo wyraźnie, gdy siostra zamordowanego, Sanna Strandgård, w towarzystwie swojego adwokata przybyła dziś wieczorem na przesłuchanie w komendzie policji.

Pokazano zasypany śniegiem parking. Zdyszana młoda reporterka biegła w kierunku dwóch kobiet, wysiadających z czerwonego audi. Jej rude włosy sterczały spod czapki niczym lisia kita. Wyglądała jak młodsza i energiczniejsza kopia Claire

Wikholm⁴. Wszystko tonęło w zimowych ciemnościach, ale w tle można było zobaczyć nieciekawą fasadę z czerwonej cegły. To nie mógł być inny budynek niż kwatera policji. Jedna z wysiadających z samochodu kobiet pochyliła głowę tak nisko, że nie było widać nic więcej oprócz długiego kożucha i baranicy wciśniętej głęboko na oczy. Drugą kobietą była Rebeka Martinsson. Måns podkreślił głośność i pochylił się do przodu.

- Cholera jasna... - wymamrotał pod nosem.

Rebeka powiedziała mu, że jedzie tam, ponieważ zna rodzinę zamordowanego. Informacja o tym, że jest adwokatką jego siostry, to zwykła pomyłka. Przyglądał się jej, jak z zaciętą twarzą spieszyła do wejścia budynku, jednocześnie mocno obejmując ramieniem drugą kobietę, najprawdopodobniej siostrę zmarłego. Drugą ręką próbowała zatrzymać podążającą za nimi dziewczynę z mikrofonem.

- Czy to prawda, że miał wyklute oczy? - zapytała reporterka posługująca się dialektem z Luleå.

- Jak się pani czuje, pani Strandgård? - próbowała dalej mimo braku odpowiedzi. - Czy to prawda, że miała pani ze sobą dzieci, gdy znalazła pani brata w kościele?

Pod drzwiami komendy ruda lisica zastąpiła im rezolutnie drogę.

- Dziewczyno, na Boga - westchnął Måns. - Co to ma być? Amerykańskie dziennikarstwo rewolwerowe *a la* Laponia?

- Czy uważają panie, że chodzi o mord rytualny? - nie dawała za wygraną reporterka.

Kamera pokazała w zbliżeniu jej czerwone z podniecenia policzki, a po chwili profile Rebeki i tej drugiej kobiety. Wystraszona Sanna trzymała ręce przy twarzy jak klapki. Piaskowszare oczy adwokatki spojrzały zuchwale w kamerę, a po chwili prześwidrowały reporterkę.

- Przesuń się - rozkazała szorstko Rebeka.

Wypowiedziane przez nią słowa i wyraz jej twarzy przywołały w pamięci Månsa nieprzyjemny obraz. Wspomnienie ubiegłorocznej imprezy bożonarodzeniowej. Próbował być miły

4 Claire Wikholm - znana szwedzka aktorka, urodzona w 1944 roku.

i rozmowny, a Rebeka obdarzyła go takim spojrzeniem, jakim obrzuca się rzeczy znalezione przy czyszczeniu kratki ściekowej w łazience. I miał wrażenie, że wydała mu wtedy dokładnie to samo polecenie. Tym samym szorstkim tonem.

- Przesuń się.

Po tym zajściu zachowywał wobec niej dystans. Naprawdę najmniej zależało mu na tym, żeby zakłopotana Rebeka złożyła wypowiedzenie. A z drugiej strony, nie powinna była sobie zbyt wiele wyobrażać. Jeżeli coś jej nie odpowiadało, to trudno.

Teraz na ekranie wszystko potoczyło się błyskawicznie. Måns trzymał w ręku pilota i zaostrzył uwagę. Rebeka podniosła ramię, żeby przejść, i na sekundę reporterka zniknęła z wizji. Dwie kobiety przeszły mniej lub bardziej dosłownie po trzeciej i zniknęły za drzwiami komendy. Usłyszał jeszcze wściekły głos reporterki przed ostatnim cięciem.

- Ożeż, kurna, moja ręka! Sfilmowałeś to?

Znów powrócił męski głos komentatora z redakcji TV4.

- Adwokatka pochodzi ze znanej kancelarii Meijer & Ditzinger, ale żaden z pracowników firmy nie wyraził chęci skomentowania wieczornych wydarzeń.

Måns wpatrywał się zszokowany w ekran, na którym widniał archiwalny obraz fasady budynku mieszczącego jego biuro. Wcisnął pauzę.

- No nie, do kurwy nędzy - zaklął, wstając z sofy tak gwałtownie, że oblał mlekiem spodnie i koszulę.

„Do cholery, cóż ona wyprawia - myślał. - Czyżby faktycznie pełniła funkcję adwokatki tej Strandgård bez wiedzy biura? To musi być jakieś nieporozumienie. To niemożliwe, żeby Rebeka była tak nierozsądna”.

Chwycił komórkę i wystukał pierwszy numer. Żadnej odpowiedzi. Uciskając palcami nasadę nosa, próbował wyostrzyć umysł. Wyszedł do przedpokoju po laptop i wybrał kolejny numer. Też cisza. Uświadomił sobie, że jest zdyszany i spocony. Rzucił komputer na stół i znów włączył wideo.

Na ekranie ukazał się zastępca prokuratora rejonowego, Carl von Post, z Kryształowym Kościołem w tle.

- Cholera - mrucał Måns, próbując otworzyć laptop,

jednocześnie ściskając telefon między barkiem a uchem.

Wydawało mu się, że ma wyjątkowo niezdarne i roztrzęsione ręce. Gdy w końcu znalazł zestaw słuchawkowy, mógł korzystać jednocześnie z komputera i z komórki. Nie odpowiadał żaden z posiadaczy wybranych numerów. Telefony dzwoniły zapewne jak szalone wczesnym wieczorem, zaraz po wiadomościach. Pozostali współudziałowcy zastanawiali się niewątpliwie, dlaczego jedna z jego doradców podatkowych, znalazłszy się nagle na północy, zbijała dziennikarzy jak pionki. Przyjrzał się komórce i odkrył, że ma piętnaście wiadomości. Piętnaście.

Carl von Post, spoglądając na Månsa z telewizyjnego ekranu, zdawał relację z postępów w dochodzeniu. Nie obyło się bez obowiązkowych komentarzy o tym, że śledztwo jest w toku, że pukano do drzwi, że przesłuchano członków wspólnoty i że poszukiwano narzędzia zbrodni. Prokurator miał na sobie elegancki płaszcz z szarej wełny oraz dobrane do całości rękawiczki i szalik.

„Pieprzony gogus”, pomyślał Måns, nieświadomy faktu, że von Post był ubrany niemalże identycznie jak on sam.

W końcu ktoś odebrał telefon. Skwaszony mąż jednej ze współwłaścielek firmy. Wyszła ponownie za mąż za znacznie młodszego mężczyznę, który ciesząc się życiem na koszt żony, udawał, że coś tam studiuje.

„Wypchaj się, koleś, z tym swoim marudnym tonem”, skomentował Måns w myślach. Kiedy słuchawkę przejęła żona młodzieńca, rozmowa zakończyła się bardzo szybko.

- Jak to nie możemy się teraz spotkać? - zapytał poirytowany.

- Jak to w środku nocy? Spojrzał na swojego breitlinga. Kwadrans po czwartej.

- Okej - przyznał pojednawczo. - Spotkamy się o siódmej. Takie wczesne zebranie przy śniadaniu. Spróbujemy zwołać pozostałych. Zakończywszy rozmowę, wysłał e-mail do Rebeki. Ona też nie odbierała telefonu. Wyłączył komputer i wstając, poczuł klejące się nogawki. Dopiero teraz zwrócił uwagę na rozlane mleko.

- Popierdolona dziewczyna - warknął, ściągając spodnie. - Popierdolona.

I NASTAŁ WIECZÓR, I NASTAŁ PORANEK - DZIEŃ DRUGI

Komisarz Anna Maria Mella śpi niespokojnie o wilczej godzinie. Chmury zasnuły niebo, pokój tonie w ciemności. Jak gdyby sam Bóg przykrył miasto ochronną dłonią, tak jak dziecko zatrzymuje dłonią uciekającego owada. Teraz nikt nie ujdzie cało, który wpadł między wrony.

Anna Maria rzuca głową na prawo i lewo, próbując uwolnić się od wczorajszych głosów i twarzy nawiedzających ją we śnie. Dziecko w brzuchu kopie zaciekle.

We śnie prokurator von Post pochyla twarz nad Sanną Strandgård, usiłując wymusić odpowiedź, której ona nie potrafi udzielić. Naciska i straszy przesłuchaniem córki. I im więcej on zadaje pytań, tym bardziej ona zamyka się w sobie. W końcu sprawia wrażenie osoby, która zupełnie nic nie pamięta.

- Co pani robiła w kościele w środku nocy? Co panią do tego zmusiło? Przecież coś musi pani pamiętać? Czy widziała pani kogoś w pobliżu kościoła? Czy pamięta pani, że zadzwoniła pani na policję? Była pani zła na brata?

Sanna chowa twarz w dłoniach.

- Nie pamiętam. Nie wiem. Przyszedł do mnie w nocy. Nagle Wiktor stanął przy moim łóżku. Miał bardzo smutną minę. I gdy po prostu się rozpląnął, wiedziałam, że coś się stało...

- Rozpląnął się?

Prokurator wygląda, jakby nie wiedział, czy ma się zacząć śmiać, czy uderzyć ją na odlew.

- Chwileczkę, a więc gdy przyszedł do pani duch, zrozumiała pani, że coś stało się z bratem?

Anna Maria jęczy tak głośno, że budzi męża. Robert podnosi się na łokciu i głaszcze ją po głowie.

- Ciiiiii, Mia-Mia - szepcze. Raz po raz wypowiada jej imię i pieści słomiane włosy. Wreszcie twarz wygładza się, ciało rozluźnia, jęczenie ustaje. Robert zasypia, wsłuchany w rytmiczny oddech żony.

Ludzie znający Carla von Posta sądzą, że ów spokojnie odpoczywa tej nocy. Śpi błogo w swym łóżu, nasycony poświęconą mu uwagą i upojony złotym snem o słodkiej przyszłości.

Ale również prokurator rzuca się w pościeli. Zaciska szczęki tak mocno, że zęby trą o siebie z bezsilnym zgrzytem. Noc jak każda inna. Wydarzenia poprzedniego dnia nie skierowały go ku Bogu.

A Rebeka Martinsson śpi mocno na rozkładanej ławie kuchennej w domu swoich dziadków. Oddycha miarowo i spokojnie. Tjapp położyła się życzliwie obok i Rebeka, z twarzą zanurzoną w czarnej gęstej sierści, obejmuje we śnie ciepłe ciało. Nie docierają tutaj żadne odgłosy z zewnątrz. Nie słychać ani samochodów, ani samolotów. Za oknem nie przechadza się w nocy żaden głośny wędrowiec i żaden zimowy deszcz nie tłucze o szyby. W pokoju za ścianą Lova, mamrocząc coś niezrozumiałe, przysuwa się do Sanny. I nawet dom skrzypi trochę i postękuje, jakby w zimowym śnie przewracał się na drugi bok.

Wtorek, 18 lutego

Tjapp obudziła Reбекę przed szóstą, wciskając swój nos w jej twarz.

- Hej, dziewczuszko - wyszeptała Rebeka - o co ci chodzi? Poranne siku?

Poszukała po omacku lampki i zapaliła ją. Suczka podbiegła do drzwi, zaskamląła, wróciła i jeszcze raz przycisnęła nos do policzka Rebeki.

- Rozumiem, rozumiem.

Rebeka usiadła na skraju sofy, owinięta kołdrą. Kuchnia była porządnie wyiębiona.

„Wszystko tutaj przypomina babcię - pomyślała Rebeka. -

Przecież jeszcze tak niedawno spałam z nią na tej ławie i mogłam się wylegiwać w ciepelku, podczas gdy ona rozpałała w piecu i nastawiała wodę na kawę”.

Oczami wyobraźni zobaczyła Teresę Martinsson siedzącą przy stole i skręcającą porannego papierosa. Babcia zamiast drogich bibulek używała papieru gazetowego. Odrywała starannie margines strony z wczorajszego „Norrbottnens-Kuriren”. Pozbawiony druku pasek papieru był wystarczająco szeroki i znakomicie nadawał się do wyrobu skrętów. Wysypywała nań szczyptę tytoniu i między kciukami a palcami wskazującymi skręcała cieniutkiego papierosa. Jej srebrne włosy były starannie ukryte pod zawiązaną na głowie chustką. Miała na sobie nylonowy fartuch w niebiesko-czarną kratę. Z obory dochodziło tęskne ryczenie krów. „Halo, *pikku-piika* - mówiła z uśmiechem na twarzy. - Nie śpisz już?”

Pikku-piika. Mała dziewczuszka.

Tjapp zaszczekała niecierpliwie.

- Dobrze, już idę - powiedziała Rebeka. - Tylko rozpalę ogień. Spała w grubych wełnianych skarpetach. Owinięta kołdrą podeszła do starego pieca kuchennego i otworzyła szyber. Tjapp usiadła przy drzwiach i czekała spokojnie, od czasu do czasu przypominając o sobie cichym skomleniem.

Rebeka wzięła do ręki finkę i sprawnymi ruchami odłupała z pierwszego lepszego polana kilka drzazg. Na garść brzozonej kory i drzazgi położyła parę drew. Podpałka zajęła się błyskawicznie. Rebeka dołożyła jeszcze brzozone bierwiono, które płonie o wiele dłużej niż sosna, i zamknęła drzwiczki.

„Powinna częściej myśleć o babci - upomniała samą siebie. - Kto powiedział, że lepiej koncentrować się na terażniejszości? W mojej pamięci jest mnóstwo przestrzeni, którą zajmuje babcia. Mimo to nie spędzam z nią tam dużo czasu. A co ma mi do zaoferowania terażniejszość?”

Tjapp zaskamląła żałośnie i zrobiła przy drzwiach kolejny piruecik. Rebeka, wzdrygając się, wkładała w pośpiechu lodowate ubrania. Wsunęła stopy w stojące w przedSIONKU traperki.

- Tylko szybko - nauczyła suczkę.

W drodze na dwór zapaliła lampy przed domem i oborą. Mróz zelżał. Termometr wskazywał minus piętnaście. Niebo wtulało się w ziemię, nie dopuszczając do niej światła ciał niebieskich. Tjapp przykucnęła nieopodal, Rebeka rozglądała się dookoła. Całe obejście, aż do ściany szczytowej obory, było dokładnie odśnieżone. Wokół ścian domu piętrzyły się izolujące zwały śniegu.

„Kto to mógł zrobić? - zastanawiała się Rebeka. - Sivving Fjällborg? Czyżby odśnieżał podwórze babci nawet po jej śmierci? Przecież on musi mieć z siedemdziesiąt lat”.

Próbowała dojrzeć w ciemności dom sąsiada po drugiej stronie drogi. Postanowiła, że kiedy się rozjaśni, sprawdzi, czy przy skrzynce na listy dalej widnieje jego nazwisko.

Przeszła wzdłuż oświetlonej lampą obory. W oknach poprzedzielanych szczebliną lśniły szronowe róże. Za drugim szczytem stała babcina szklarnia. Kilka wybitych szyb spojrzało z wyrzutem na Rebeke.

Powinnaś tutaj zamieszkać, mówiły. Powinnaś zaopiekować się domem i ogrodem. Popatrz, jak kruszeje kit. Spróbuj sobie wyobrazić, jak wyglądają dachówki pod śniegiem. Popękane i obluzowane. A babcia była taka dokładna i pracowita.

Jakby czytając w ponurych myślach Rebeki, Tjapp przebiegła przez podwórze i zaszczekała radośnie.

- Ciiiiiiicho - zaśmiała się Rebeka. - Obudzisz całą wieś.

Momentalnie odezwały się w odpowiedzi lokalne psy. Czarna suka nasłuchiwała z uwagą.

- Wybij sobie z głowy! - ostrzegła ją Rebeka.

„Może powinnam była wziąć smycz?”

Tjapp posłała jej szczęśliwe spojrzenie, dochodząc jednocześnie do wniosku, że Rebeka jak najbardziej nadaje się na towarzyszkę dla spragnionej igraszek suczki. Wetknęła nos w puchową kołderkę śniegu, podniosła głowę do góry i otrzepała się radośnie. A później, przypadając na przednich łapach do ziemi, zaprosiła Rebeke do zabawy.

„No chodźże!”, mówiły błyszczące, czarne oczy psa.

- A... tu cię mam! - zawołała wesoło Rebeka, fingując atak, i poślizgnąwszy się, upadła jak długa. Tjapp przybiegła w

mgnieniu oka, przeskoczyła przez leżącą panią jak cyrkowy pudelek, zawróciła w miejscu i już pół sekundy później stawiała się u jej boku z różowym jęzorem zwisającym z uśmiechniętego pyska, namawiając do dalszej zabawy. Rebeka, śmiejąc się nieprzerwanie, jeszcze raz postraszyła sukę. Tjapp przeskoczyła śniegowy wał, Rebeka poczołgała się za nią i obydwie zatoneły w metrowym puchu po drugiej stronie.

- Poddaję się - wyjęczała zziębiona po dziesięciu minutach.

Siedziała w zaspie, cała oblepiona śniegiem, z płonącymi czerwono policzkami.

Kiedy wrócili, Sanna była już na nogach i właśnie nastawiała wodę na kawę. Rebeka ściągnęła przemoczone ubrania, wierzchnie - od stopniałego śniegu, bliższe ciału - od potu. W szufladzie komody znalazła T-shirt, wysłużony polar i kalesony wujka Affego.

- No ślicznie - skomentowała Sanna z chichotem. - Miło zobaczyć, że tak szybko przyswajasz sobie tutejszą modę.

- Z prawdziwym gällivarskim zwisem każdemu do twarzy - odpowiedziała Rebeka i wypinając pupę, zakręciła nią tak, że zafalował workowaty tył kalesonów.

- Boże drogi, jaka ty jesteś chuda - wykrzyknęła Sanna.

Rebeka ściągnęła natychmiast pośladki i z wyprostowanymi plecami w milczeniu nalala sobie kawy.

- I wyglądasz na odwodnioną - mówiła dalej Sanna. - Powinnaś jeść i pić znacznie więcej. - Jej głos był miękki i zatroskany. - Wiem, wiem - westchnęła, nie spuszczając oczu z milczącej Rebeki - mam szczęście, bo większość facetów lubi krągłe piersi i tyłki. Chociaż ja sama wolę oczywiście te bardziej płaskie...

„No to mam cholerne szczęście - pomyślała sarkastycznie Rebeka - że przynajmniej tobie się podobam”.

Jej milczenie potęgowało niepewność i paplaninę Sanny.

- Co ja mówię! - skarciła samą siebie. - Zachowuję się jak nadopiekuńcza matka. Za chwilę zacznę cię wypytywać o to, jakie łykasz witaminy!

- Czy masz coś przeciwko temu, że obejrzę wiadomości? - zapytała Rebeka.

Nie czekając na odpowiedź, podeszła do niewielkiego telewizora i wcisnęła guzik. Na ekranie śnieżyło, prawdopodobnie dlatego, że zaśnieżona była również antena.

Po newsie o sprzeniewierzonych unijnych dotacjach przysłała pora na morderstwo Wiktora Strandgärda. Głos reportera informował o tym, jak policja w pogoni za sprawcą podejmuje rutynowe działania śledcze, i o tym, że nie ma jeszcze podejrzanego. Obrazy zmieniały się jak w kalejdoskopie. Policjanci z psami szukającymi narzędzia zbrodni w okolicach Kryształowego Kościoła. Zastępca prokuratora rejonowego, Carl von Post, opowiadający o pukaniu do drzwi, o przesłuchaniach członków wspólnoty i wiernych uczestniczących w nabożeństwie. Później pokazano wynajęte przez Rebekę czerwone audi.

- O, nie! - krzyknęła Sanna, stawiając z hukiem kubek na stole.

- Również siostra Wiktora Strandgärda, która znalazła zwłoki brata na miejscu zbrodni, stawiała się wczoraj wieczorem na przesłuchanie. Jej wejściu do budynku komendy policji towarzyszyły zgoła dramatyczne okoliczności.

Pokazano całe zajście, ale w wersji porannej wyciszono ścieżkę dźwiękową z wyjątkiem głuchego polecenia Rebeki: „Przesuń się!”. Informację o tym, że reporterka złożyła doniesienie o pobiciu, podano na samym końcu. W chwilę potem dziennikarz w studio zamienił z meteorologiem kilka słów o prognozie pogody, której prezentację miała poprzedzić krótka przerwa.

- Ale przecież w ogóle nie było widać, że ta reporterka była agresywna i wredna - skomentowała zdziwiona Sanna.

Rebeka poczuła piekący ból w dołku.

- Co ci jest? - zapytała Sanna.

„Co mam powiedzieć? - myślała Rebeka, osuwając się na krzesło przy kuchennym stole. - Że boję się, że mnie zwolnią? Że będą mnie traktować jak powietrze tak długo, aż sama złożę wypowiedzenie? Teraz kiedy straciła brata? Powinnam znów ją zapytać o Wiktora. Zapytać, czy chce o tym porozmawiać. Tylko, że ja nie mam zamiaru jeszcze raz angażować się w jej życie i jeszcze raz dźwigać jej udręki. Chcę wrócić do domu.

Chcę siedzieć przed komputerem i pisać ekspertyzę prawną na temat obciążenia pracodawcy nadzwyczajną składką na ubezpieczenia emerytalne”.

- Sanno, jak myślisz? Co tak naprawdę się stało? - zapytała. - Chodzi mi o Wiktora. Powiedziałas, że był okrutnie pokaleczony. Kto mógł zrobić coś takiego?

Sanna zaczęła się wiercić niespokojnie.

- Nie wiem. To samo powiedziałam policji. Naprawdę nie wiem.

- Ale wystraszyłaś się na jego widok?

- Nie myślałam w ten sposób.

- A co myślałaś?

- Nie wiem - odpowiedziała, kładąc ręce na głowie, jakby w geście pocieszenia. - Wydaje mi się, że krzyczałam, ale tego też nie jestem pewna.

- Powiedziałas policji, że obudził cię Wiktor, że to właśnie dlatego poszłaś go szukać.

Sanna podniosła wzrok i spojrzała Rebecę prosto w oczy.

- Naprawdę uważasz, że to takie dziwne? Czyżbyś zaczęła sądzić, że wszystko się kończy tylko dlatego, że ustają funkcje życiowe organizmu? On stał przy moim łóżku, Rebeko. I wyglądał na nieskończenie zmartwionego. I widziałam, jak by to powiedzieć, że czysto fizycznie to nie jest jego postać. Wiedziałam, że coś się stało.

„Nie, nie uważam, że to dziwne - pomyślała Rebeka. - Ona zawsze widziała więcej niż inni. Na kwadrans przed pojawieniem się niezapowiedzianego gościa zaparzała kawę. »Teraz przyjdzie Wiktor«, zwykła mówić”.

- Ale mimo wszystko...

- Proszę, nie mówmy o tym więcej. Nie mam odwagi, jeszcze nie teraz. Muszę się jakoś trzymać. Ze względu na dzieci. Dziękuję, że tu przyjechałaś, mimo iż jesteś zajęta robieniem kariery. Może wydaje ci się, że straciłyśmy kontakt, ale ja bardzo często o tobie myślę. Już sama świadomość, że jesteś, dodaje mi sił.

Teraz Rebeka zaczęła się wiercić na swoim krześle.

„Przestań - zaprotestowała w myślach. - Przecież wcale nie

jesteśmy przyjaciółkami. Kiedyś to wszystko było dla mnie bardzo ważne. Opinie Sanny o mnie. Jej ciągłe zapewnienia, że tak wiele znaczą w jej życiu. Ale teraz czuję tylko, jak coraz mocniej pęta mi ciało swoją niewidzialną przędzą”.

Tjapp pierwsza usłyszała odgłos skutera. Przerwała im rozmowę cichym skomleniem, postawiła uszy i zaczęła wpatrywać się w okno.

- Czy ktoś do nas jedzie? - zapytała Rebeka. Nie była pewna, z której strony dochodzi charakterystyczny warkot. Tak jakby niedaleko domu jakiś silnik pracował na wolnym biegu. Sanna oparła czoło o szybę i przysłoniła dłońmi oczy, by zobaczyć coś więcej niż swoje odbicie.

- O nie! - wybuchła wymuszonym śmiechem. - To Curt Bäckström. To on nas tutaj przywiózł. Chyba się trochę we mnie buja. Ale jest dość przystojny. Przypomina Elvisa. Może tobie by odpowiadał?

- Odwal się - odpowiedziała chłodno Rebeka.

- No co? Co takiego zrobiłam?

- To, co zawsze, odkąd cię poznałam. Przyciągasz do siebie przeróżnych porąbańców, a później mówisz, że byliby odpowiednią partią dla mnie. Dziękuję bardzo, ale nie skorzystam.

- Przepraszam - powiedziała urażonym tonem Sanna. - Przykro mi, że osoby, które znam i z którymi obcuje, nie są dla ciebie wystarczająco doskonale i szlachetne. I jak możesz o nim mówić „porąbaniec”? Przecież w ogóle go nie znasz.

Rebeka podeszła do okna i spojrzała na podwórze.

- Siedzi na swoim skuterze głęboką nocą i pilnuje domu, w którym teraz mieszkasz. I wcale nie ma zamiaru wejść do środka. *I rest my case.*

- Ale to naprawdę nie moja wina, że niektórzy faceci lgną do mnie jak muchy. A może tak jak Thomas uważasz, że jestem kurwą?

- Nie. Chodzi mi tylko o to, żebyś przestała komentować mój wygląd. I nie proponuj mi, do jasnej cholery, swoich odrzuconych wielbicieli!

Rebeka chwyciła swoją torbę i wpadła jak bomba do łazienki.

Zatrzasnęła drzwi tak mocno, że zakolysało się wiszące na nich czerwone serduszko z napisem „To tu!”.

- Zaproś go do środka - zawołała, zamykając drzwi na klucz. - Przecież nie może siedzieć na tym mrozie jak opuszczony pies.

„Mój Boże - pomyślała. - Szurnięci wielbiciel Sanny. Prowokujące ubrania Sanny. To już teraz nie moje zmartwienie. Ale to oburzało Thomasa Söderberga. I wtedy, gdy dzieliłam z Sanną mieszkanie, w jakiś dziwny sposób byłam za to współodpowiedzialna „

- *Chciałbym, żebyś porozmawiała z Sanną o jej ubiorze - prosi Thomas.*

Jest z niej niezadowolony. Rebeka czuje to całą sobą. Jak gdyby coś przyciskało ją do ziemi. Z jego uśmiechem otwiera się niebo, a ona czuje miłość Boga, chociaż nie słyszy jego głosu. Ale gdy Thomas spojrzy na nią tym zawiedzionym spojrzeniem, wszystko w niej gaśnie. Zamienia się w pustą przestrzeń.

- *Próbowałam - broni się. - Powiedziałam jej, że powinna się zastanowić nad tym, co nosi. Że powinna zrezygnować z wydekoltowanych bluzek. I że powinna wkładać biustonosz i dłuższe spódnice. I ona to rozumie, ale... no... rano jakby nie widzi, co wyciąga z szafy. I gdy mnie wtedy przy niej nie ma, to ona jakby zapomina. A później spotykam ją w mieście i wygląda jak...*

Po krótkim wahania przemilcza słowo „kurwa”. Thomas nie pochwaliby go w jej ustach.

- *...i wygląda jak nie wiadomo co. Pytam ją, co na siebie włożyła, a ona przygląda się swoim ubraniom i robi wielkie oczy. Ona tego nie robi umyślnie.*

- *Nie interesuje mnie, czy robi to umyślnie - mówi Thomas ostrym tonem. - Dopóki ubiera się nieprzyzwoicie, dopóty nie może liczyć na jakąś znaczącą rolę we wspólnocie. Jak mogę jej pozwolić na złożenie świadectwa albo śpiew w chórze, albo prowadzenie modlitwy, kiedy wiem, że dziewięćdziesiąt procent mężczyzn na spotkaniu siedzi i gapi się na jej brodawki widoczne pod sweterkiem i myśli tylko o tym, żeby włożyć rękę pod jej spódnice.*

Milknie i spogląda przez okno. Siedzą w sali modlitewnej kościoła misyjnego. Ostre światło przedwiosennego słońca przenika do wnętrza przez wysokie, wąskie okna. Zbór mieści się w kamienicy czynszowej zaprojektowanej przez Ralpa Erskine'a. Mieszkańcy Kiruny określają ten brunatny, betonowy dom mianem „Pudełko tabaki”. A sam kościół - „Szczypta Boga”. Rebeka uważa, że dawniej sala zboru była ładniejsza. Surowa i spartańska. Prawie jak klasztor o betonowych ścianach i podłodze, z twardymi drewnianymi ławkami. Ale Thomas Söderberg polecił usunąć kamienną ambonę i zamienił ją na mobilną kazalnicę z drewna. Z przodu sali położono drewnianą podłogę. Żeby nie było tak ponuro. Teraz sala główna wygląda jak pomieszczenie któregośkolwiek wolnego zboru.

Thomas błądzi wzrokiem po suficie, na którym widnieje duża, mokra plama. Pojawia się zawsze pod koniec zimy, kiedy śnieg na dachu zaczyna topnieć.

Ze sposobu, w jaki zamilkł i w jaki unika jej wzroku, Rebeka wnioskuje, że Thomas jest zły na Sannę, ponieważ również jego ona kusi. Ponieważ sam jest jednym z tych mężczyzn, którzy chcą włożyć rękę w jej majtki i...

Wściekłość rozwija się w piersi Rebeki jak płonąca róża.

„Cholerna Sanna - przeklina w duchu. - Ty parszywa dziwko! ”
Wie, że niełatwo być pastorem. Wodzionym na pokuszenie na wszelkie możliwe sposoby. Wróg nie życzy sobie niczego innego bardziej niż jego upadku. A Thomas ma słabość do seksu. Opowiedział o tym otwarciu młodzieży w grupie studiującej Biblię.

Pamięta jego opowieść o tym, jak odwiedziły go dwie anielice. Jedna z nich była bardzo pociągająca i Thomas nie mógł na to nic poradzić. Ona o tym wiedziała.

„ To najgorsze, co mogłoby się wydarzyć - powiedziała Thomasowi. - Stałabym się swoim przeciwieństwem. Tak bardzo z ciemności, jak teraz ze światła”.

Sanna zapukała nieśmiało do łazienki.

- Zejdę na dół i zaproszę Curta do środka. Wyjdiesz stąd niedługo, dobrze? Wolabym nie siedzieć z nim sam na sam, a

dziewczynki przecież śpią...

Gdy Rebeka weszła do kuchni, Curt siedział przy stole i pił kawę. Trzymał kubek obiema rękami, podnosił go ostrożnie i niezbyt wysoko, ponieważ jednocześnie pochylał głowę. Na nogach miał ciężkie, sznurowane buty. Ściągnął tylko górną część kombinezonu, która wisiała teraz na biodrach. Spojrzał z ukosa na Rebeke i pozdrowił ją, nie patrząc jej w oczy.

„A gdzie to podobieństwo do Elvisa? - myślała. - Dwoje oczu i nos pośrodku? No dobrze, fryzura. I ten zatroskany wyraz twarzy”.

Czarna, falista grzywka, przykryta wcześniej futrzaną czapką, przylegała ściśle do czoła. Zewnętrzne kąciaki oczu lekko opadały.

- *Wow!* - wyrwało się Sannie, gdy zmierzyła Rebeke wzrokiem od stóp do głów. - Wyglądasz super! To dziwne, bo przecież masz na sobie tylko dżinsy i bluzkę, pewnie pierwsze lepsze wyjęte z szafy. Ale i tak widać, że to są odjazdowe, luksusowe ciuchy. Przepraszam - zamilkła nagle, zasłaniając dłonią zażenowany uśmiech. - Przecież mi powiedziałaś, że bym nie komentowała twojego wyglądu.

- No więc chciałem tylko sprawdzić, jak się masz - zwrócił się Curt do Sanny.

Odsunął kubek na bok, zaznaczając, że za chwilę sobie pójdzie.

- U mnie wszystko w porządku. To znaczy... w porządku jak w porządku. Ale Rebeka była dla mnie fantastycznym wsparciem. Gdyby tu nie przyjechała i nie poszła ze mną na policję, to nie wiem, jak wytrzymałabym to wszystko.

Wyciągnęła niespodziewanie rękę i musnęła ramię koleżanki. Rebeka zobaczyła stężałe nagle mięśnie wokół ust Curta. Odsunął krzesło, zamierzając wstać.

„Świetnie, Sanno - pomyślała. - Powiedz mu, jak wspaniale się ubieram. Jakim jestem wsparciem. I dotykaj mnie, żeby nie miał wątpliwości, że jesteśmy sobie bliskie. A ponieważ trzymasz go na dystans, to na mnie skupi się jego złość. Przyznajesz mi rolę pionka, którego zadaniem jest ochrona zagrożonej królowej. Ale ja nie jestem twoją przyzwoitką. Pionek z szachownicy składa wypowiedzenie”.

Położyła szybko dłoń na plecach Curta.

- Proszę, zostań i dotrzyмай jej towarzystwa. Sanna wyjmie chleb i ser, zjecie razem śniadanie... Ja muszę wyskoczyć do auta po komórkę i laptop. Zostanę na dole, mam trochę zaległych telefonów i maili.

Rebeka wyszła do przedpokoju, odprowadzona trudnym do odgadnięcia wzrokiem Sanny.

Wkładając przemoczone traperki, pocieszała się myślą, że ma przed sobą tylko „wpad do i wypad z” samochodu. Z kuchni słychać było cichą rozmowę.

- Wyglądasz na zmęczonego.

- Byłem w kościele przez całą noc. Rozpoczęliśmy łańcuch modlitewny, ktoś zawsze jest na miejscu i nie ustaje w modlitwie. Powinnaś tam pojechać. Zapisz się chociaż na pół godziny. Thomas Söderberg pytał o ciebie.

- Ale chyba mu nie powiedziałaś, gdzie jestem?

- Oczywiście, że nie. Ale naprawdę nie powinnaś teraz odwracać się od wspólnoty, tylko raczej znaleźć w niej schronienie. No i lepiej, żebyś wróciła do domu.

Sanna westchnęła.

- Teraz już sama nie wiem, komu mogę zaufać. Nie mów nikomu, gdzie jestem.

- Jasne, że nie powiem. Jeżeli na kimś możesz polegać, Sanno, to na mnie.

Rebeka stanęła w drzwiach akurat w momencie, gdy ręce Curta gorączkowo szukały dłoni Sanny.

- Moje klucze - odezwała się bez wstępów. - Zginęły klucze do auta i do domu. Musiałam je zgubić, gdy bawiłam się z Tjapp.

*

Rebeka, Sanna i Curt szukali kluczy, przyświecając sobie latarkami. Jeszcze nie zaczęło świtać. Snopy sztucznego światła omiały podwórze, śnieżne zaspy, ślady butów i psich łap.

- To przecież beznadziejna sprawa - westchnęła Sanna, szperając bez przekonania w jednym miejscu. - W takim nieubitym śniegu klucze toną jak w morzu.

Tjapp zaczęła grzebać jak najęta i znalazłszy jakiś patyk,

popędziła z nim przed siebie.

- I na niej też nie można polegać - dodała, patrząc za suką, którą już po chwili pochłonęły ciemności. - Mogła je przenieść w pysku i upuścić, gdy tylko znalazła coś bardziej interesującego.

- No to weźcie psa i wróćcie do domu. - Rebeka z trudem próbowała ukryć irytację w głosie. - Pewnie wkrótce obudzą się dziewczynki. A ja niedługo sama nie będę wiedziała, które ślady są moje, a które wasze.

Jej stopy były mokre i lodowate.

- Ale ja nie chcę iść do domu - odpowiedziała zrzędliwie Sanna. - Chcę ci pomóc znaleźć klucze. Znajdziemy je. Przecież gdzieś tutaj muszą być.

Curt był chyba jedyną osobą w dobrym humorze. Jakby ciemność udzieliła mu schronienia przed nieśmiałością, a ruch na świeżym powietrzu usunął resztki zmęczenia.

- To, co przeżyłem dziś w nocy, było niesamowite! - opowiadał radośnie. - Bóg cały czas przypominał mi o swojej potężnej sile. Byłem przepełniony cudownym uczuciem. Powinnaś pojechać do kościoła, Sanno. Kiedy się modliłem, czułem, jak spływa na mnie moc Boga. Rozwiązał mi się język i mówiłem. Shakka baraj. I tańczyłem w duchu. Od czasu do czasu siadałem i otwierałem Biblię na chybił trafił i Bóg wskazywał mi miejsca, które mam czytać. I ogłaszał mi wyłącznie obietnice o przyszłości. Pang, pang, pang! Obsypał mnie gradem obietnic.

- Możecie się pomodlić o to, żebym znalazła klucze - mruknęła Rebeka.

- To było tak, jakby w oczach wypalił mi laserem biblijne słowa - kontynuował. - Żebym mógł je zapamiętać i przekazać dalej. Księga Izajasza 43, 19: „Oto ja dokonuję rzeczy nowej; pojawia się właśnie. Czyż jej nie poznajecie? Otworzę też drogę na pustyni, ścieżyny na pustkowiu”⁵.

- Przecież możesz pomodlić się sama - odparowała Sanna.

5Wszystkie cytaty biblijne za: Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu w przekładzie z języków oryginalnych, oprac. zespół biblistów polskich z inicjatywy benedyktynów tyńceckich, wyd. 5 na nowo opracowane i poprawione, Poznań 2002.

Rebeka parsknęła śmiechem.

- Albo Izajasz 48, 6 - deklamował niezrażony Curt. - „Ty słyszałeś i widziałeś to wszystko; czy więc tego nie przyznasz? Od tej chwili ogłaszam ci rzeczy nowe, tajemne i tobie nie znane”.

Sanna wyprostowała się i skierowała latarkę prosto w oczy Rebeki.

- Słyszałaś, co powiedziałam? - zapytała poważnie. - Dlaczego nie modlisz się sama o swoje klucze?

Rebeka podniosła rękę, osłaniając się od oślepiającego światła.

- Przestań!

- I myślę, że Bóg wskazał mi każde miejsce w Nowym Testamencie, w którym mowa o tym, że nie można młodego wina wlewać do starych bukłaków - mówił Curt do Tjapp, która siedziała mu u stóp i była chyba jedynym słuchającym go stworzeniem. - Bo wtedy wino rozerwie bukłaki. I wszystkie wersy o tym, że nie przyszywa się łąty z surowego sukna do starego ubrania, bo wtedy robi się większe przedarcie.

- Jeżeli chcesz, żebyśmy zaczęli modlić się o znalezienie twoich kluczy, to zacniemy - powiedziała Sanna, nie opuszczając latarki. - Ale nie udawaj, że Bóg chętniej wysłucha mojej prośby czy prośby Curta niż twojej. Nie depcz krwi Jezusa pod swoimi stopami.

- Powiedziałam, przestań! - warknęła Rebeka i podświetliła twarz Sanny.

Curt zamilkł i spojrzał uważnie na obie kobiety.

- Curt - zapytała Rebeka wpatrzona w oślepiającą strugę światła płynącą z latarki Sanny - czy sądzisz, że Bóg wsłuchuje się jednakowo we wszystkie ludzkie modlitwy?

- Tak. Bóg na pewno nie ma kłopotów ze słuchem. Ale mogą zaistnieć pewne przeszkody, jeżeli chodzi o wysłuchanie modlitwy i spełnienie się woli Bożej.

- Na przykład jeżeli nie działasz w zgodzie z jego wolą. Wtedy Bóg nie może mieć takiego samego wpływu na twoje życie, prawda?

- Właśnie.

- Ale wtedy znów powracamy do nauki o uczynkach -

zaprotestowała z rozpaczą w głosie Sanna. - A gdzie się podziała łaska? A sam Bóg, jak myślisz, w jakim stopniu podoba mu się ta doktryna: „modlitwa-i-czytanie-Biblii-przez-godzinę-dziennie-zapewni-ci-wiarę- uwieńczoną-sukcesem”? Modłę się i studiuję Biblię, kiedy tęsknię za Bogiem. Sama chciałabym być kochana w ten sposób. Dlaczego Bóg miałby myśleć inaczej? A żyć w zgodzie z jego wolą... To chyba jeden z celów w życiu. A nie środek zapewniający główną wygraną w działalności modlitewnej. Curt nie odpowiadał.

- Wybacz, Sanno - powiedziała w końcu Rebeka, opuszczając latarkę. - Nie chcę się kłócić na temat wiary chrześcijańskiej. W każdym razie nie z tobą.

- Ponieważ wiesz, że ja wygram - odpowiedziała Sanna z cieniem uśmiechu w głosie i również opuściła rękę z latarką. Milczały przez chwilę, wpatrzone w kręgi światła na śniegu.

- Ale do szału doprowadzają mnie te zaginione klucze - dodała po chwili Rebeka. - Głupi pies! To wszystko przez ciebie! Tjapp zaszczekała potakująco.

- Nie, nie słuchaj - Sanna rzuciła się Tjapp na szyję. - Wcale nie jesteś głupia. Jesteś najpiękniejszym i najcudowniejszym psem na świecie. Kocham cię bezgranicznie. - Objęła suczkę, która próbowała odwzajemnić czułość, liżąc Sannę w kąciki ust. Curt przyglądał się im z zazdrością.

- To jest wynajęty samochód, prawda? Mogę pojechać do miasta po kluczyki rezerwowe - zwrócił się z propozycją do Sanny, ale ona w ogóle go nie słuchała, całkowicie pochłonięta Tjapp.

- Byłabym ogromnie wdzięczna - odpowiedziała Rebeka. „Jakby ci zależało na mojej wdzięczności”, przemknęło jej przez myśl, gdy patrzyła na jego opuszczone ramiona. Stał potulnie za plecami Sanny, czekając, aż zostanie dostrzeżony.

„Sivving Fjällborg! Że też nie przyszło mi to wcześniej do głowy. On ma zapasowy klucz od domu. A przynajmniej miał kiedyś. Muszę się do niego przejść”.

*

Kwadrans po siódmej Rebeka weszła do domu Sivvinga

Fjällborga, nie dzwoniąc do drzwi, tak jak zwykła to czynić za życia babci. Okna były zupełnie czarne, więc prawdopodobnie jeszcze spał. Ale nie miała innego wyjścia. Zapaliła światło w niewielkiej sieni. Wytarła buty o leżący na brązowym linoleum dywanik. Traperki były całe w śniegu, ale teraz i tak już nie mogły bardziej przemoknąć. Obok schodów prowadzących na piętro znajdowały się ciemnozielone drzwi do piwnicy i kotłowni. Drzwi do kuchni były zamknięte.

- Halo! - zawołała w ciemność na górze.

Momentalnie usłyszała dochodzące z dołu głucho szczekanie i towarzyszący mu donośny głos Sivvinga.

- Cicho, Bella! Siad! - krzyknął do psa. - Już idę!

Po chwili w piwnicznych drzwiach stanął Sivving. Włosy całkowicie mu zbielały i być może przerzedziły się odrobinę, ale poza tym wyglądał jak dawniej. Brwi unosiły się wysoko nad oczami, nadając twarzy charakterystyczny wyraz, jakby Sivving nieustannie był gotów na nieoczekiwane odkrycia albo radosne wiadomości. Wpuszczona w bojówki flanelowa koszula w niebiesko-białą kratę ledwie dopinała się na brzuchu. Podtrzymujący spodnie pasek z brązowej skóry błyszczał ze starości.

- Toż to przecie Rebeka! - wykrzyknął z twarzą rozjaśnioną szerokim uśmiechem.

- Bella, chodź zobacz! - zawołał przez ramię i na schodach błyskawicznie pojawiła się wyźlica.

- Się masz, dziewczuszko! - Rebeka przywitała się radośnie z suką. - To ty masz taki gruby głos?

- Prawda? Szczeka jak chłop - przyznał Sivving. - Ale przynajmniej odstrasza domokrażców, więc nie narzekam. Wejdz, proszę!

Otworzył drzwi do kuchni i zapalił światło. W środku panował pedantyczny porządek i lekki zaduch.

- Usiądź - zrobił zapraszający gest w kierunku kuchennej lawy. Rebeka wyluszczyła swoją sprawę i czekając, aż Sivving przyjdzie z kluczami, rozejrzała się dookoła. Świeżo wyprany zielono-biały dywanik z gałganków rozpościerał się perfekcyjnie na sosnowych deskach. Stół zamiast ceratą

przykryty był odprasowanym obrusem z lnu. W miedzianym dzbanuszkach stały suszone jaskry i kocanki. Okna wychodziły na trzy strony - przez to za jej plecami można było zobaczyć babciny dom. W świetle dziennym, ma się rozumieć. Teraz w szybie odbijała się tylko wisząca pod sufitem drewniana lampa. Wręczywszy Rebecce klucz, Sivving usiadł po drugiej stronie stołu. Sprawiał wrażenie, jakby nie czuł się tutaj jak u siebie w domu. Siedział ostrożnie na skraju zabejcowanego na czerwono krzesła. Również Bella nie mogła sobie znaleźć w kuchni miejsca i biegła tam i z powrotem jak niespokojny duch.

- Lata całe! - uśmiechnął się Sivving, przyglądając się uważnie Rebecce. - Właśnie miałem sobie zaparzyć kawy. Napijesz się?

- Chętnie! - odpowiedziała, kreśląc w głowie plan czasowy.

Torbę spakuje w pięć minut. Posprząta w pół godziny. Jeżeli Curt przyjedzie za chwilę z kluczami, powinna zdążyć na samolot o dziesiątej trzydzięci.

- No to chodź - powiedział, podnosząc się z krzesła.

Wyszedł z kuchni i skierował się ku schodom do piwnicy. Wyźlica nie opuszczała go ani na krok. Rebeka zamykała orszak.

W kotłowni panowała domowa atmosfera. Przy jednej ze ścian stało zasłane łóżko. Bella od razu położyła się na swoim legowisku obok. Miski na wodę i jedzenie lśniły czystością. Przed sporym bojlerem pyszniła się komoda, a na stoliku ze składanym blatem stała maszynka elektryczna.

- Weź sobie taboret - zaproponował Sivving.

Z wiszącej na ścianie półki zdjął kociołek i dwa kubki. Woń kawy z otwartej puszki zmieszała się z zapachem psa, piwnicy i szarego mydła. Na sznurze suszyło się kilka par slipów, dwie flanelowe koszule i T-shirt z nadrukiem „Kiruna Truck”.

- Mam nadzieję, że mi wybaczysz - powiedział, wskazując głową bieliznę. - Ale nie wiedziałem, że będę podejmował tak znamienitego gościa.

- Nie rozumiem - odezwała się w końcu trochę skonfundowana Rebeka. - Śpisz tutaj? W piwnicy?

- Tja - Sivving gładził zarośniętą lekko brodę, zajęty liczeniem wsypywanych do kociołka miarek kawy. - Maj Lis zmarła dwa

lata temu.

Rebeka wymamrotała coś w rodzaju kondolencji.

- No, na raka żołądka. Otworzyli ją i zaraz zaszyli, nie nie dało się zrobić. W każdym razie dom był dla mnie stanowczo za duży. Mój Boże, dzieciaki już dawno wyfrunęły, a gdy Maj Lis odeszła, to... Najpierw zrezygnowałem z pięt. Kuchnia i pokój na dole w zupełności mi wystarczały. Później odkryliśmy z Bellą, że i tak przesiadujemy tylko w kuchni. No więc przeniosłem tam telewizor i zacząłem sypiać na kuchennej ławie. I w ten sposób przestałem korzystać z pokoju na dole.

- Aż w końcu przeniosłeś się do piwnicy?

- Właśnie. Teraz mam o wiele mniej sprzątaniny. Zresztą tutaj od początku miałem prysznic i pralkę. Dokupiłem tylko tę małą lodówkę. W sam raz dla jednej osoby.

Wskazał na mikroskopijną chłodziarkę w kącie, na której stała suszarka do naczyń.

- A co na to Lena i... - Rebeka szukała w pamięci imienia syna.

- Mats. Oj, kawa się gotuje! Hm, Lena kłóci się ze mną i awanturuje, i uważa, że ojciec zwariował. Kiedy odwiedza mnie z dziećmi, to szaleją po całym domu. W pewnym sensie to dobrze, bo inaczej musiałbym to wszystko sprzedać. Lena przeprowadziła się do Gällivare i ma trzech chłopców. Oni też zaczynają dorastać i mieć własne życie. Ale interesują się wędkowaniem i przyjeżdżają na wiosnę, żeby łowić ryby w przerębli. Mleko? Cukier?

- Czarną proszę.

- Mats się rozwiódł, ma dwójkę dzieci, Robina i Julię. Przyjeżdżają na ferie i wakacje. A co słyhać u ciebie, Rebeko? Mąż, dzieci?

Rebeka sączyła gorącą kawę łyk za łykiem, rozkoszując się jej dobroczynnym działaniem na lodowate członki.

- Nie. Ani jedno, ani drugie.

- Aha! Zgaduję, że nie mają odwagi podejść?

- Że co? - zaśmiała się.

- Twoje humory, dziewczyno! - wyjaśnił, wyjmując z lodówki torebkę z drożdżówkami. - Zawsze scyzoryk otwierał ci się w kieszeni. Proszę, poczęstuj się bułeczką z cynamonem. Mój

Boże, pamiętam, kiedy rozpałaś ognisko w rowie. Nie byłaś większa niż pół cala. Gdy podbiegliśmy do ciebie, twoja babcia i ja, stałaś jak policjant z podniesioną do góry ręką. „Stop! Nie zbliżać się!”, krzyczałaś rozkazującym tonem i, ojoj, jaka byłaś wściekła, gdy zdusiliśmy ogień. A ty chciałaś tylko opiec sobie rybę...

Na samo wspomnienie Sivving roześmiał się tak serdecznie, że po chwili ocierał łzy. Bella uniosła głowę ze swojego posłania i zaszczekała wesoło.

- Albo wtedy, jak uderzyłaś Eryka kamieniem w głowę, bo nie pozwolono ci popłynąć tratwą z chłopakami - kontynuował, śmiejąc się tak, że podskakiwał mu brzuch.

- Wszystko uległo przedawnieniu - uśmiechnęła się Rebeka, karmiąc Bellę kawałkiem bułeczki. - Czy to ty odśnieżyłaś podwórko?

- Tak, to ja. Inga Lill i Affe są mi wdzięczni, że nie muszą zaczynać od przekopywania się przez zaspę, gdy tutaj przyjeżdżają. A ja mam trochę ruchu na świeżym powietrzu. Poklepał się po brzuchu.

- Halo!

Głos Sanny dochodził z góry. Wyzlica wstała gwałtownie i zaszczekała ostrzegawczo.

- Jesteśmy w piwnicy - zawołała Rebeka.

- Dzień dobry - przywitała się Sanna ze schodów. - W porządku, nie boję się psów.

To ostatnie zdanie skierowała do Sivvinga, który trzymał Bellę za obrożę. Sanna pochyliła się, pozwalając suce zaznajomić się ze swoją twarzą. Sivving miał poważną minę.

- Czytałem o pani bracie. To koszmarne. Proszę przyjąć wyrazy ubolewania.

- Dziękuję - odpowiedziała Sanna, splątana z wyzlicą w jedną bryłę. - Rebeko, dzwonił Curt, jest w drodze z kluczykiem.

Sivving podniósł się.

- Kawy?

Sanna kiwnęła głową i po chwili dostała porcelanowy kubek ozdobiony kwiecistym, żółtobrązowym szlaczkiem.

Sivving podsunął jej też torebkę z drożdżówkami, namawiając

do maczania ich w kawie.

- Naprawdę pyszne bułeczki - zachwalała Rebeka. - Kto je upiekł? Ty?

Sivving chrząknął zażenowany.

- Ekhm... Mary Kuoppa. Ona nie może żyć ze świadomością, że we wsi jest jakiś dom, w którym brakuje ciasta do kawy.

Sposób, w jaki wymówił imię kobiety, wywołał ciepły uśmiech na twarzy Rebeki. Tak jakby Sivving chciał, żeby „Mary” rymowała się z „Harry”.

- Ale ta biedaczka nazywa się chyba Meery? - wtrąciła Sanna, wybuchając śmiechem.

- Tak, tak, oczywiście, nauczyciel w szkole też tak uważał - odpowiedział Sivving, zgarniając w kupkę okruszki, które natychmiast zlizala Bella. - Tylko że Mary wyglądała przez okno albo udawała, że nie rozumie, o kim mowa, gdy zwracał się do niej „Meeeery”.

Ostatnie słowo wybeczał jak owca. Obie kobiety wybuchły chichotliwym śmiechem i spojrzały po sobie jak małe dziewczynki. Nagle wszystkie napięcia i zgrzyty między nimi ulotniły się jak kamfora.

„Lubię ją mimo wszystko”, pomyślała Rebeka.

- A czy to w tej wsi mieszkał chłopak o imieniu Slark? - zapytała. - Na cześć idola rodziców, Slarka Gable⁶?

- Nie, to musiało być gdzieś indziej. Tutaj nigdy nie mieszkał żaden Slark. Ale twoja babcia знаła z młodości dziewczynę, której naprawdę było żal. Urodziła się wyjątkowo cherlawa i ponieważ nikt nie wierzył w to, że przeżyje, będący w pobliżu nauczyciel udzielił jej chrztu z wody. Nauczyciel nazywał się Fredrik jakiś tam. W każdym razie dziewczynka przeżyła i czekała ją jeszcze jedna, tym razem „prawdziwa” ceremonia. Pastor znał oczywiście tylko szwedzki, natomiast rodzice tylko tornedalski fiński. No więc pastor podniósł dziewczynkę i zapytał, jak ma jej dać na imię. Rodzice, myśląc, że chce wiedzieć, kto jej udzielił chrztu w niebezpieczeństwie śmierci, odpowiedzieli „Feki se kasti”, czyli „Ochrzcił ją Fredrik”. „Aha,”

6 W języku szwedzkim „c” na początku wyrazu wymawia się najczęściej jako „s”.

powiedział tylko pastor i zapisał „Fekisekasti” w księdze parafialnej. A wiecie, że w tamtych czasach żywiono respekt wobec duchownych. No i dziewczynka przez resztę życia musiała nazywać się Fekisekasti.

Rebeka spojrzała na zegarek. Curt chyba już przyjechał. Powinna zdążyć na samolot, nawet jeżeli nie zostało jej specjalnie dużo czasu.

- Dziękuję za kawę - powiedziała, wstając.

- Już wyjeżdżasz? - zapytał gospodarz. - To była krótka wizyta?

- Wczoraj przyjazd, dzisiaj wyjazd - odpowiedziała Rebeka z wymuszonym uśmiechem.

- Wie pan, jak to jest z kobietami robiącymi karierę - wtrąciła Sanna. - Rozbijają się po świecie samolotami...

Rebeka wkładała nerwowo rękawiczki.

- Akurat ta podróż nie była do końca przejażdżką dla przyjemności - odparła. - Powieszę klucz tam gdzie zwykle - zwróciła się do Sivvinga.

- Przyjedź tutaj na wiosnę i wybierz się na wycieczkę do tej starej chatki w Jiekajärvi. Pamiętasz, jak dawno, dawno temu pojechaliśmy tam całą bandą? Twój dziadek i ja wsiedliśmy na skuter, a ty i babcia, i Maj Lis z dziećmi przejechaliście całą drogę na nartach.

- Z wielką chęcią - odpowiedziała automatycznie, ale jednocześnie ze świadomością, że mówi prawdę.

„Nasza chatka - pomyślała. - Jedyne miejsce na ziemi, w którym babcia pozwalała sobie na nicnierobienie. Oczywiście dopiero wtedy, gdy zebrane za dnia jagody były przebrane, a upolowany w lesie ptak oskubany z pierza i wypatroszony”.

Zobaczyła przed sobą babcię zagłębioną w lekturze. Zazwyczaj była to nowelka w „Hemmets Journal”. Rebeka grała z dziadkiem w chińczyka albo makao. Ponieważ w chatynce pod nieobecność właścicieli panowała wielka wilgoć, talia kart zazwyczaj była niesamowicie spuchnięta, a plansza do chińczyka wypaczona tak bardzo, że pionki staczały się ze swoich pól. Ale to nie miało znaczenia.

Ważniejsze było poczucie bezpieczeństwa, gdy Rebeka

zasypiała zaraz koło stołu, przy którym rozmawiali dorośli. Albo gdy zapadała w sen przy szczęku naczyń zmywanych przez babcię w czerwonej balii i w ciepłe bijącym z kominka.

- Ale miło cię było spotkać - zakończył Sivving. - Naprawdę miło. Prawda, Bella?

*

Rebeka podwiozła Sannę i dzieci do domu i zaparkowała przed ich blokiem. Najchętniej powiedziałyby tylko „cześć” i zaraz odjechała. Krótkie pożegnania w samochodzie mają wiele zalet. Trudno wymieniać długie uściski. Szczególnie gdy ma się zapięte pasy bezpieczeństwa. Odpadają więc czułe objęcia. W samochodzie ludzie mówią zazwyczaj o innych rzeczach niż o tym, że wkrótce znów się muszą zobaczyć i że dołożą starań, żeby widywać się częściej. Wystarczy kilka krótkich poleceń o torbie na tylnym siedzeniu i walizce w bagażniku, zakończonych nieodzownym pytaniem: „Niczego nie zapomniałaś?”. A później, gdy zatrzaśnięte drzwi odetną resztę niewypowiedzianych zdań, można pomachać i nacisnąć pedał gazu bez niesmaku w ustach. I nie trzeba idiotycznie dreptać w miejscu, próbując zebrać myśli krążące jak chmara komarów, tylko po to, żeby znaleźć odpowiednie słowa. O, nie! Zostanie w samochodzie. I nie odepnie pasów.

Gdy tylko zamilkł silnik, Sanna bez słowa wyskoczyła z samochodu. W sekundę później to samo zrobiła Tjapp. Rebeka nie miała innego wyjścia. Postawiła kołnierz, ale ten okazał się marną osłoną przed mrozem, który natychmiast wpełzł pod materiał i uczeplił się płatków uszu niczym klamerki. Rozejrzała się dookoła. Niewielki czynszowy dom z zieloną, drewnianą fasadą i czerwonym, blaszanym dachem. Dawno nieodśnieżane podwórze. Nieliczne zaparkowane samochody zostawiły w śniegu głębokie koleiny. Stary dodge spał zimowym snem pod śnieżną zaspą. Rebeka miała nadzieję, że wyjedzie stąd swoim audi bez problemu. Czynszówka należała do kopalni, ale jej mieszkańcy byli tylko zwykłymi śmiertelnikami, więc właściciel oszczędzał, nie usuwając śniegu tak często, jak powinien. Jeżeli ktoś bardzo chciał wyjechać rano samochodem, to sam musiał

popracować łopata.

Sara i Lova zostały na tylnym siedzeniu. Dotykały się dłońmi i łokciami, powtarzając bezsensowną rymowaną, którą Sara opanowała do perfekcji, a której Lova uczyła się z ogromnym wysiłkiem. Za każdym razem gdy się myliła, wybuchały perlistym śmiechem i przerywały zabawę, by po chwili zacząć od początku.

Tjapp szalała jak trąba powietrzna, wciągając czarnym nosem wszystkie podwórkowe nowości. Zrobiła dwie rundy wokół dwóch nieznanych sobie samochodów. Przeczytała z zainteresowaniem i oceniła pochlebnie haiku, nakreślone na śniegu żółtymi zgłoskami przez psa sąsiada. Podążyła irytującym śladem myszy, który zniknął pod gankiem, gdzie nie mogła się wcisnąć.

Sanna, odchyliwszy głowę do tyłu, wciągała nosem powietrze.

- Pachnie śniegiem - powiedziała. - Spadnie dużo śniegu. Odwróciła się do Rebeki.

„O Boże, jaka ona jest podobna do Wiktora”, pomyślała Rebeka, biorąc głęboki oddech.

Wysokie kości policzkowe i rozpięta na nich przeźroczysta, niemal niebieskawa skóra. Chociaż twarz Sanny jest bardziej okrągła, jak u dziecka.

I ta Wiktorowa postawa! Zabawnie przekrzywiona w jedną albo w drugą stronę głowa, jakby zbyt luźno przymocowana do reszty ciała.

- No to... będę się zbierać - zaczęła ceremonię pożegnania, ale Sanna właśnie w tym momencie przykucnęła, wołając Tjapp.

- Chodź, maleńka! Chodź do mnie, ty mój trollu!

Tjapp sunęła po śniegu jak czarna rękawiczka.

Rebeka nie mogła się oprzeć wrażeniu, że ogląda bajkowy obrazek: ładniutki piesek z gwiazdkami śniegu na czarnej sierści, Sanna niczym nimfa leśna, w szarym, długim kożuchu i w baranicy, spod której wylewa się morze jasnych włosów.

Trudno powiedzieć, co sprawiało, że miała taką rękę do zwierząt. Na swój sposób były do siebie podobne, ona i Tjapp. Przez kilka lat tę małą psinę bito i zaniedbywano. Gdzież podziały się jej troski? Odeszły, zamienione w radość, jaką daje

moczenie nosa w śniegowym puchu albo zacięte szczekanie na wystraszoną wiewiórkę. No i Sanna. Dopiero co znalazła zadźganego na śmierć brata. A teraz nurza się w śniegu i bawi z psem.

„Nie widziałam na jej policzku choćby jednej łzy - pomyślała Rebeka. - Nic się jej nie trzyma. Ani smutki, ani ludzkie. Być może nawet jej własne dzieci. Ale to naprawdę nie jest już mój problem. Nie mam żadnego długu do spłacenia. Wyjeżdżam stąd i nigdy więcej nie będę musiała myśleć ani o niej, ani o jej dzieciach, ani o bracie, ani o tej kopalnianej dziurze”.

Podeszła do samochodu i otworzyła bagażnik.

- Dziewczyny, wysiadka, za chwilę muszę jechać na lotnisko. - Cześć, cześć! - wołała za ich plecami, gdy wchodziły na schody ganku.

Lova odwróciła się i pomachała na pożegnanie. Sara udawała, że nie słyszy.

Patrząc na znikającą za drzwiami czerwoną kurtkę dziewczynki, odpędziła od siebie myśl, że czuje się opuszczona. Mrok pamięci rozjaśniły nagle obrazy z czasów, kiedy mieszkała razem z Sanną i jej córką. Sara w objęciach Rebeki, słuchająca bajki o Piotrusiu i czterech kozach. Policzek w miękkich lokach dziecka. Paluszek Sary przesuwający się po ilustracjach.

„Ale tak widocznie musi być - stwierdziła. - Ja będę zawsze pamiętać. Ona już zapomniała”.

Nagle obok niej wyrosła zdyszana zabawą Sanna. Na niebieskawych policzkach zakwitły ciepłe, rumiane róże.

- Musisz wejść na górę i zjeść coś przed podróżą.

- Samolot odlatuje za pół godziny, więc... - zamiast skończyć zdanie, tylko pokręciła głową.

- Przecież kursuje więcej samolotów - nie poddawała się Sanna. - Nie miałam nawet okazji, żeby ci podziękować za to, że przyjechałaś. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby...

- Nie ma sprawy - uśmiechnęła się Rebeka. - Naprawdę muszę jechać.

Ciągle się uśmiechając, wyciągnęła rękę na pożegnanie.

To był wyraźny sygnał, zrozumiała to dopiero w momencie, gdy

dłoń wysunęła się z rękawiczki. Sanna spuściła oczy, odmawiając podania ręki.

„Kurna”, zakłęła w duchu Rebeka.

- Ty i ja - zaczęła Sanna, nie podnosząc wzroku - byliśmy jak siostry. A teraz straciłam i brata, i siostrę.

Wydała z siebie ni to krótki śmiech, ni to gorzki szloch.

- Bóg dał, Bóg wziął. Niech będzie pochwalone imię Pana.

Rebeka przemogła w sobie ochotę, żeby objąć i pocieszyć Sannę.

„Nie ze mną te numery - pomyślała, opuszczając rękę. - Niektórych rzeczy nie można naprawić. Szczególnie wtedy, gdy żegnasz się, stojąc na mrozie”.

Marży jej stopy. Sztokholmskie buty były zdecydowanie za cienkie. Jeszcze przed chwilą czuła w palcach ból. Teraz nie czuła już prawie nic. Próbowwała nimi poruszyć.

- Zadzwoń, gdy dojadę na miejsce - powiedziała, wsiadając do samochodu.

- Zadzwoń - odpowiedziała bez zainteresowania Sanna i utkwiała oczy w Tjapp, która przykucnąwszy w śniegu za węglem domu, odpowiadała na pozdrowienie.

„Albo w przyszłym roku”, pomyślała Rebeka, przekręcając kluczyk w stacyjce.

Kiedy podniosła wzrok, w lusterku wstecznym ujrzała Sarę i Lovę, które znów pojawiły się na ganku.

Zobaczyła w ich oczach coś, co zakłużyło ziemią pod kołami samochodu.

Nie, nie, to tylko przywidzenie. Wszystko w porządku. Nic się nie stało. Spływam.

Ale jej stopy nie chciały puścić sprzęgła i nacisnąć na gaz. Siedziała, wpatrując się w dziewczynki przed domem. Widziała ich szeroko otwarte oczy i poruszające się usta, ale nie słyszała, co krzyczą. Widziała, jak podniosły się ich ramiona, jak ręce wskazywały na mieszkanie, jak natychmiast opadły, gdy z bloku wyszedł umundurowany policjant i szybkim krokiem podszedł do Sanny. Nie wiedziała, co do niej mówił.

Rebeka spojrzała na zegarek. Bez sensu. I tak nie zdąży na samolot, nawet gdyby próbowała. Nie może teraz tak po prostu

odjechać. Wzdychając głęboko, wysiadła ponownie z samochodu. Niespiesznie zbliżyła się do Sanny i policjanta. Lova wyjadała kuleczki lodu z kosmków rękawicy.

- Jak to rewizja mieszkania?

Ton głosu Sanny zatrzymał Tjapp w pół kroku. Niespokojnie podbiegła do swojej pani.

- Chyba nie możecie tak po prostu, bez pozwolenia wejść do mojego domu? Mogą? - Ostatnie pytanie skierowała do Rebeki. W tej samej chwili z bloku wyszedł zastępca prokuratora rejonowego Carl von Post, a za nim dwoje policjantów ubranych po cywilnemu.

Rebeka rozpoznała ich bez trudu. Niska kobieta o końskiej twarzy, zaraz, jak ona się nazywa... Mella. I facet z wąsem morsa. Rany boskie, była przekonana, że takie wąsy przeszły do historii razem z latami siedemdziesiątymi, przecież ten policjant wyglądał, jakby przykleił sobie pod nosem zdechłą wiewiórkę.

Prokurator podszedł do Sanny. Z trzymanej w rękę torby wyłowił przeźroczysty, foliowy woreczek. W środku leżał nóż, mniej więcej dwudziestocentymetrowej długości. Rączka była czarna, a ostrze lekko zakrzywione do góry.

- Pani Strandgård - zaczął, podsuwając jej niemal pod nos woreczek z nożem. - Właśnie znaleźliśmy to w pani mieszkaniu. Czy poznaje pani ten nóż?

- Nie. Wygląda na nóż myśliwski. A ja nie poluję.

Dziewczynki podbiegły do mamy. Lova szarpała za rękaw Sanny, próbując przyciągnąć jej uwagę.

- Mamuuu... - jęczała.

- Poczekaj, kochanie - odrzekła nieobecna duchem Sanna.

Sara odwróciła się tyłem i przycisnęła do mamy tak mocno, że ta musiała cofnąć się o krok, żeby zachować równowagę. Jedenastoletnia dziewczynka śledziła wzrokiem każdy ruch prokuratora, próbując zrozumieć, o co chodzi tym poważnym dorosłym ludziom otaczającym jej mamę.

- Czy jest pani absolutnie pewna? - zapytał jeszcze raz von Post. - Proszę przyjrzeć się uważnie - dodał, odwracając nóż.

Zmrożona folia woreczka zachręściła, gdy mężczyzna

prezentował obie strony narzędzia, eksponując raz ostrze, a raz trzonek.

- Tak, jestem pewna - odpowiedziała Sanna, cofając się jeszcze bardziej i wyraźnie unikając wzrokiem zawartości woreczka.

- Może poczekamy trochę z pytaniami - zwróciła się do prokuratora Anna Maria Mella, wskazując głową dzieci uczepione kożucha matki.

- Mamusiu - nie dawała za wygraną Lova i szarpała co chwilę za rękaw. - Mamusiu, chce mi się siku.

- Zimno mi - pisnęła Sara. - Ja chcę do domu.

Tjapp, wierząc się niespokojnie, próbowała wcisnąć głowę między nogi Sanny.

„Bajkowy obrazek numer dwa - pomyślała Rebeka. - Huldra schwytana przez mieszkańców wioski. Okrążyli ją wszyscy, a kilku trzyma za ręce i za ogon”.

- W kuchennej ławie przechowuje pani ręczniki i prześcieradła, prawda? - pytał dalej von Post. - Czy ma pani w zwyczaju przechowywać tam noże?

- Muszę zrobić siku - jęczała żałośnie Lova. - Muszęęę...

- Czy nie ma pani zamiaru odpowiedzieć? - naciskał von Post. Anna Maria i Sven Erik wymienili porozumiewawcze spojrzenia za jego plecami.

- Nie - wydusiła napiętym głosem Sanna. - Nie przechowuję noży w ławie.

- A to? - kontynuował nieustępliwie von Post, wyciągając z torby kolejny foliowy woreczek. - Poznaje to pani?

W środku znajdowała się Biblia oprawiona w mocno wytartą skórę. Na krawędziach kart widać było zaledwie ślady złocenia, brzegi książki pociemniały od nieustannego wertowania. Tu i ówdzie wystawały przeróżne zakładki, widokówki, splecione sznureczki, wycinki z gazet.

Wydając z siebie coś w rodzaju żalostnego kwilenia, Sanna osunęła się i usiadła bezradnie na śniegu.

- Na wewnętrznej stronie okładki jest napisane „Wiktor Strandgård” - ciągnął nieubłagane prokurator. - Czy to jego Biblia? I czy może pani wytłumaczyć, dlaczego znalazła się w schowku ławy w pani

kuchni? Czy to prawda, że miał ją zawsze przy sobie, również w ten ostatni wieczór swojego życia?

- Nie - szeptała Sanna. - Nie...

Ścisnęła sobie dłońmi skronie.

Lova próbowała oderwać jej rękę od twarzy i spojrzeć w oczy. Gdy jej się to nie udało, wybuchła nieutulonym płaczem.

- Mamoooo, ja chcę do domuuuu - szlochała.

- Proszę wstać - wezwał surowo von Post. - Istnieje zasadne podejrzenie, że to pani zamordowała Wiktora Strandgård. Jest pani zatrzymana.

Sara odwróciła się gwałtownie i krzyknęła prokuratorowi w twarz:

- Zostaw ją w spokoju!

- Natychmiast zabrać stąd dzieci - von Post wydał niecierpliwie rozkaz asystentowi.

Tommy Rantakyrö zrobił niezdarny krok w kierunku Sanny. Tjapp wystrzeliła do przodu i zatrzymała się przed swoją panią. Pochyliwszy łeb, stuliła uszy i obnażyła ostre kły. Z jej gardła dochodziło głuche gulgotanie. Policjant cofnął się.

- Do jasnej cholery, tego już za wiele! - nie wytrzymała Rebeka, rzucając wściekle spojrzenie prokuratorowi. - Chcę złożyć skargę.

Z tym ostatnim zdaniem zwróciła się do stojącej obok Anny Marii, która wodziła wzrokiem po sąsiednich domach. We wszystkich oknach z zaciekawieniem poruszały się firanki.

- Pani chce złożyć... - przerwał von Post i pokręcił głową. - Według mnie, pani również może pojechać z nami na komendę. Chodzi o przesłuchanie w związku ze zgłoszeniem o pobiciu reporterki z redakcji TV4 Norrbotten.

Anna Maria trąciła lekko ramię von Posta.

- Mamy już publiczność - powiedziała. - To nie przysporzyłoby nam sławy, gdyby któryś z sąsiadów zadzwonił do prasy i zaczął opowiadać o brutalności policji i tak dalej. Może się mylę, ale nie wiem, czy facet tam na górze, po lewej stronie nie filmuje nas kamerą.

Podniosła rękę i wskazała jedno z okien.

- Chyba najlepiej będzie, jak Sven Erik i ja sobie pójdziemy,

żeby nie wyglądało, że przybyliśmy tu całą armią - mówiła dalej. - Możemy skontaktować się z technikami. Bo przecież chyba chcesz, żeby przeszukali mieszkanie?

Ogarnięty nieprzyjemnym uczuciem von Post spojrział w okno wskazane przez policjantkę, ale zobaczył tylko ciemność. Zadrzała mu górna warga i uświadomił sobie, że być może patrzy prosto w obiektyw kamery. Natychmiast odwrócił wzrok. Za żadne skarby nie chciał być kojarzony z brutalnymi akcjami policji albo zostać ofiarą medialnej nagonki.

- Nie, wolabym sam porozmawiać z technikami. A ty ze Svenem Erikiem zajmij się tą kobietą. I dopilnujcie, żeby zaplombowano mieszkanie.

- Jeszcze porozmawiamy - rzucił na pożegnanie Sannie, zanim odjechał swoim volvo cross country.

Rebeka obserwowała Annę Marię odprowadzającą wzrokiem samochód prokuratora.

„A niech mnie - pomyślała ze zdumieniem. - Końska Twarz zrobiła go w konia! Chciała się go stąd pozbyć i... Kurna, bystra z niej kobieta”.

Gdy tylko von Post ich opuścił, na podwórzu zapadła cisza. Skonsternowany asystent Rantakyrö czekał na jakiś znak od przełożonych. Sara i Lova klęczały, obejmując mamę, która ciągle siedziała w śniegu. Tjapp leżała przy nich, bawiąc się białym puchem. Kiedy Rebeka, pochyliwszy się, przeczesła jej sierść dłonią, suczka zaczęła tłuc ogonem o ziemię, sygnalizując, że wszystko w porządku. Sven Erik spojrział pytająco na swoją koleżankę.

- Tommy - Anna Maria przerwała ciszę - możesz razem z Olssonem zaplombować mieszkanie? Oznacz dodatkowo kran w kuchni, żeby nikt go nie używał do przyjsścia techników.

- Proszę pani - zaczął ostrożnie Sven Erik. - Bardzo nam przykro z powodu tego całego zamieszania. Ale sytuacja wygląda tak, a nie inaczej. Musi pani pojechać z nami na komisariat.

- Czy jest ktoś, do kogo możemy zawieźć dzieci? - zapytała Anna Maria.

- Nie - odezwała się Sanna, podnosząc głowę. - Chcę rozmawiać ze swoim adwokatem, Rebeką Martinsson.

Rebeka westchnęła.

- Sanno, nie jestem twoim adwokatem...

- Chcę z tobą porozmawiać, tak czy owak.

Sven Erik spojrział niepewnie na koleżankę.

- Nie wiem... - zaczął.

- Ech, niech pan da spokój - zasyczała Rebeka. - Jest tylko zatrzymana, a nie aresztowana ze wszystkimi restrykcjami. Ma prawo do rozmowy ze mną. Może pan stać obok

I słuchać. Nie mamy żadnych tajemnic.

Lova szepnęła coś mamie do ucha.

- Co powiedziałaś, kochanie?

- Posikałam się! - zahuczała.

Wszyscy skierowali spojrzenia ku młodszej dziewczynce. Rzeczywiście, na jej starych džinsach pojawiła się ciemna plama.

- Lova musi włożyć suche spodnie - powiedziała Rebeka do policjantki.

- Słuchajcie, dziewczyny - zwróciła się Anna Maria do Lovy i Sary. - Zrobimy tak: pójdziemy razem na górę, poszukamy spodni dla Lovy, a później wrócimy tutaj do mamy, dobrze? Mama nigdzie bez was nie pojedzie. Obiecuję.

- No, róbcie, jak pani każe - poprosiła córki Sanna. - Moje najdzielniejsze kwiatuszki. Weźcie też trochę ubrań dla mnie. I puszkę jedzenia dla Tjapp.

- Niestety - wtrąciła się Anna Maria - to niemożliwe. Pani ubrania i wszystko, co pani ma na sobie, prokurator chce przesłać do laboratorium w Linköping.

- Nie ma problemu - powiedziała szybko Rebeka. - Przywiozę ci nowe ubrania, okej?

Dziewczynki zniknęły z policjantką za drzwiami do klatki schodowej.

Sven Erik przykucnął niedaleko Sanny i Rebeki i nawiązał dialog z Tjapp. Można było odnieść wrażenie, że mają wiele wspólnego.

- Nie mogę ci pomóc, Sanno. Jestem specjalistką od prawa

podatkowego, nie zajmuję się sprawami karnymi. Jeżeli potrzebujesz obrońcy, to mogę ci pomóc w znalezieniu dobrego adwokata.

- Czy ty nie rozumiesz - wymamrotała Sanna - że to musisz być ty? Jeżeli nie ty, to nikt inny. Wtedy weźmie mnie pod opiekę Bóg.

- Przestań!

- Nie, to ty musisz przestać! - zaprotestowała gwałtownie Sanna. - Potrzebuję cię, Rebeko. I moje dzieci też cię potrzebują. Nie dbam o to, co sobie o mnie myślisz, ale teraz cię proszę! Co mam zrobić? Paść przed tobą na kolana? Zaklinać cię, żebyś mi pomogła w imię starej przyjaźni? To musisz być ty!

- Co masz na myśli, mówiąc, że potrzebują mnie twoje dzieci? Sanna chwyciła ją obiema rękami za kurtkę.

- Rodzice mi je odbiorą - powiedziała udręczona. - Nie mogę do tego dopuścić. Rozumiesz? Nie chcę, żeby Sara i Lova przebywały w ich towarzystwie nawet przez pięć minut! A teraz nie mogę temu zapobiec. Ale ty możesz. Zrób to dla Sary.

Jej rodzice. Myśli i obrazy rywalizowały o wydobycie z uspionych pokładów pamięci Rebeki. Tato Sanny. Znakomicie ubrany. Reprezentacyjny. Ze swoją empatią i miłym sposobem bycia zdobył dużą popularność jako lokalny polityk. Widziała go kiedyś nawet w ogólnokrajowych mediach. W następnych wyborach ma duże szanse na wysokie miejsce na chadeckiej liście wyborczej do Riksdagu. Ale za ujmującą powierzchownością krył się przywódca niewzruszony jak głaz. Nawet pastor Söderberg czuł wobec niego respekt i podporządkowywał się w wielu kwestiach dotyczących wspólnoty. Powróciło do niej nieprzyjemne uczucie sprzed lat, gdy Sanna z lekkością w głosie - jak gdyby wszystko dotyczyło kogoś innego - opowiadała Rebecce o tym, jak ojciec uśmiercał jej zwierzęta. Zawsze bez ostrzeżenia. Psy, koty, ptaki. Nie pozwolił jej zachować nawet akwarium, które dostała od szkolnej nauczycielki. Czasami uległa i pokorna matka tłumaczyła, że to z powodu jej alergii. Innym razem powodem miało być zaniedbanie przez Sannę szkolnych obowiązków.

Najczęściej jednak bez żadnego wyjaśnienia. Panująca w domu cisza nie pozwalała nawet na to, żeby spytać: dlaczego? Rebeka przypomniała sobie wieczory, kiedy Sara nie chciała usnąć i Sanna trzymała ją na kolanach. „Nie zamierzam być jak moi rodzice - mówiła. - Oni po prostu zamykali mój pokój na klucz”.

- Muszę porozmawiać ze swoim szefem.

- Zostaniesz? - zapytała Sanna.

- Na krótko - słowa więzły Rebecę w gardle.

Twarz Sanny rozjaśniła się.

- To wszystko, o co proszę. I ileż to może potrwać, przecież jestem niewinna. Chyba nie myślisz, że ja to zrobiłam?

Wizja Sanny idącej nocą, w blasku latarni z zakrwawionym nożem nabrała w głowie Rebeki rzeczywistych kształtów.

Ale dlaczego w takim razie wróciła? Nie dawało jej to spokoju.

Dlaczego musiała wziąć ze sobą Lovę i Sarę, żeby „znaleźć” brata w kościele?

- Oczywiście, że nie - odpowiedziała.

*

Numer zlecenia, liczba godzin. Numer zlecenia, liczba godzin.

Numer zlecenia, liczba godzin.

Maria Taube wypełniała tygodniowy raport w firmie adwokackiej Meijer & Ditzinger. „Wygląda całkiem przyzwoicie”, stwierdziła, podliczywszy liczbę godzin na dole. Czterdzieści dwie. Månsa nie dało się nigdy zadowolić, ale można było przynajmniej uniknąć jego niezadowolenia. Przepracowała w tym tygodniu ponad siedemdziesiąt godzin, żeby móc policzyć sobie za czterdzieści dwie. Przymknęła oczy i odchyliła do tyłu oparcie krzesła. Pasek spódnicy wrzynał się w brzuch.

„Muszę zacząć trenować - pomyślała. - Nie mogę tak tylko siedzieć na dupie i jeść przed komputerem na pocieszenie. Jest wtorek rano. Wtorek, środa, czwartek i piątek. Cztery dni do soboty. Wtedy pójdę na trening. I wyśpię się. Wyłączę telefon i położę się wcześniej”.

Za oknem szemrał usypiająco deszcz. Właśnie wtedy, gdy

pozwoliła sobie na chwilę wytchnienia i rozluźniła mięśnie, zadzwonił telefon. Jak gdyby ktoś wyrwał ją ze snu, kopiąc w głowę. Wyprostowała gwałtownie plecy i podniosła słuchawkę. Dzwoniła Rebeka Martinsson.

- Cześć, robaczkę! - zawołała Maria radosnym głosem. - Poczekaj sekundkę. Odepchnąwszy się od biurka, podjechała na krześle do drzwi i zamknęła je lekkim pchnięciem.

- Nareszcie! - powiedziała, biorąc odłożoną słuchawkę. - Wydzwaniałam do ciebie jak szalona.

- Wiem. Dostałam sto wiadomości, ale nawet jeszcze nie zaczęłam ich odsłuchiwać.

Telefon był uwięziony w samochodzie i... Nie mam siły wygłaszać całej jeremiady. Przypuszczam, że niejedna wiadomość pochodzi od wściekłego jak fiks Månsa Wennrena?

- Hmm. Nie będę owijać w bawełnę. Współudziałowcy mieli dzisiaj poranną naradę

I głównym jej powodem były wczorajsze „Wiadomości”. Nie są oczywiście szczególnie zadowoleni z tego, że TV4 pokazała siedzibę firmy, opowiadając jednocześnie o jej rozjuszonych adwokatach. I dużo się dzisiaj o tym mówi.

Pochylona nad kierownicą Rebeka próbowała zrobić głęboki wdech. Poczula w gardle piekącą gulę i nie była w stanie wykrztusić ani słowa. Na podwórku Lova, Sara i Tjapp bawiły się wiszącym na trzepaku dywanikiem. Miała nadzieję, że należy do Sanny, a nie do któregoś z sąsiadów.

- Okej - powiedziała po chwili. - Myślisz, że rozmowa z Månsem ma jakiś sens czy lepiej od razu złożyć wypowiedzenie?

- Nie no, spoko. Musisz z nim porozmawiać. O ile dobrze zrozumiałam, większość współudziałowców była nastawiona na dyskusję o tym, jak się ciebie pozbyć, ale Måns nie uwzględnił takiego rozwiązania na swojej liście. A więc jeszcze masz pracę.

- Szorowanie kibli i podawanie kawy?

- Odziana tylko w stringi, rzecz jasna. A tak zupełnie poważnie: wygląda na to, że Måns stoi po twojej stronie. Ale to chyba nieporozumienie, że występowałaś w roli adwokatki

siostry Rajskiego Chłopca? Czy nie byłaś z nią jako jej koleżanka?

- Tak, ale właśnie wydarzyła się pewna rzecz i...

Rebeka przetała dłoń zaparowaną szybę. Sara i Lova rozmawiały ze sobą, stojąc na wysokiej zaspie. Tjapp zniknęła. Gdzie się mogła podziać?

- Muszę porozmawiać z Månsem, nie mam zbyt dużo czasu. Możesz mnie z nim połączyć?

- Dobrze, tylko nie wygadaj się, że wiesz coś o naradzie.

- Nie, jasne, że nie. A skąd ty się o tym wszystkim dowiedziałas?

- Od Sonii. Uczestniczyła w zebraniu.

Sonia Berg była sekretarką, jedną z najdłużej zatrudnionych w firmie. Do jej najbardziej cenionych umiejętności należała zdolność milczenia o sprawach dotyczących biura. Niejeden próbował wydusić z niej informacje i niejeden rozbijał się o mur, na który składały się niechęć, irytacja i doskonale udawane niezrozumienie intencji pytającego. To Sonia zawsze protokołowała tajne zebrania, na przykład przed łączeniem się spółek.

- Jesteś niesamowita! - nie kryła podziwu Rebeka. - Czy potrafisz też wyciskać wodę z kamieni?

- Woda z kamieni to poziom podstawowy. Wydobycie informacji od Sonii to już wysoko zaawansowany. Ale ty mnie nie pytaj o rzeczy niemożliwe, bo co tak naprawdę zrobiłaś z Månsem? Lobotomię na lalczce wudu, czy jak? Gdyby mnie pokazano w telewizji, jak kopię dziennikarzy, leżałabym teraz skrepowana rzemieniami w jego katowni i przeżywała w męczarniach ostatnie dwadzieścia cztery godziny swojego życia.

Rebeka zaśmiała się pusto.

- W najbliższym czasie czeka mnie właśnie coś w tym stylu. Połączysz mnie?

- Jasne, ale ostrzegam cię. Wprawdzie wstawił się za tobą, ale nie jest w radosnym nastroju.

Rebeka opuściła boczną szybę i zawołała do dziewczynek:

- Gdzie jest Tjapp? Sara, poszukaj jej i bądźcie cały czas na

widoku. Za chwilę odjeżdżamy. Czy on kiedykolwiek jest w dobrym nastroju? - zapytała do słuchawki.

- Kto jest w dobrym nastroju? - odezwał się chłodny głos szefa.

- Och, dzień dobry - próbowała zebrać się w sobie.

- Eeee, tu Rebeka.

- Aha.

Swym oddechem zdradzał irytację i jedno było pewne: nie ułatwiał jej zadania.

- Chciałam tylko wyjaśnić, że zaszło nieporozumienie, kiedy wzięto mnie za adwokata Sanny Strandgård.

W słuchawce zapadła cisza.

- Aha - mężczyzna cedził słowa. - To wszystko?

- Nie...

„Śmiało! - dodawała sobie animuszu. - Nie zastanawiaj się! Powiedz tylko to, co masz do powiedzenia, i odłóż słuchawkę. Nic gorszego nie może się już wydarzyć”.

- Policja znalazła nóż i Biblię brata Sanny w jej mieszkaniu. Zatrzymano ją jako podejrzaną o morderstwo, przed chwilą z nią odjechali. Stoję pod jej domem. Właśnie zaplombowali mieszkanie. Muszę odwieźć jej córki do szkoły i przedszkola.

Poirytowany oddech po drugiej stronie ucichł, Rebeka pozwoliła sobie na krótką przerwę, zanim zaczęła mówić dalej.

- Ona chce, żebym została jej obrońcą, nie zgadza się na nikogo innego i nie mogę jej odmówić. Zostanę więc tutaj jeszcze jakiś czas.

- Słuchaj, tutaj nie chodzi, kuźwa, już tylko o twoją bezczelność - wybuchnął w końcu Måns. - Robisz rzeczy za moimi plecami. Przynosisz wstyd kancelarii. A teraz jeszcze chcesz świadczyć usługi prawne poza firmą. To przecież działalność konkurencyjna i podstawa do zwolnienia cię z pracy, rozumiesz?

- Måns, ja chcę podjąć to zlecenie w ramach działalności firmy, nie rozumiesz tego? - odpowiedziała pośpiesznie. - Ale nie proszę o pozwolenie. Nie mogę się z tego wycofać. I dam sobie radę, przecież to nie takie trudne. Uczestnictwo w kilku przesłuchaniach, chyba nie będzie ich więcej. Ona nic nie wie i

nic nie pamięta. Ale była w kościele mniej więcej w tym czasie, w którym dokonano morderstwa. W jej mieszkaniu znaleziono narzędzie zbrodni, jeżeli to naprawdę jest ten nóż, i Biblię Wiktora. Nawet Peter Althin nie byłby w stanie doprowadzić do jej uwolnienia, jeśli doszłoby do rozprawy o zastosowanie aresztu tymczasowego. Gdyby mimo wszystko wniesiono akt oskarżenia, mam nadzieję, że któryś z naszych adwokatów specjalizujących się w prawie karnym mógłby mnie wesprzeć. Bengt Olov Falk albo Göran Carlström. Wokół tej sprawy będzie dużo medialnego szumu, a naszej firmie nie zaszkodziłoby trochę reklamy, jeżeli chodzi o prawo karne, chyba się ze mną zgodzisz? Wiem, że najczęściej zarabia się na specjalistach od prawa handlowego i podatkowego, ale to przecież procesy karne przysparzają kancelariom adwokackim rozgłosu w prasie i telewizji.

- Dziękuję - powiedział zmęczonym głosem. - Jeżeli chodzi o rozgłos, to już zaczęłaś nad nim pracować. Dlaczego, do jasnej cholery, nie zadzwoniłaś do mnie wczoraj, gdy skopałaś tę dziennikarkę?

- Wcale jej nie skopałam - zaprotestowała Rebeka. - Próbowałam tylko przejść, a ona się poślizgnęła...

- Pozwól mi skończyć! Zmarnowałem rano półtorej godziny na naradę poświęconą twojej osobie. Gdyby udało mi się przeforsować własne stanowisko, poprosiłbym cię teraz o złożenie wypowiedzenia. Na twoje szczęście znalazło się kilka osób bardziej skłonnych do przebaczenia.

Rebeka mówiła dalej, udając, że nie słyszy jego wtrętu.

- Jeżeli chodzi o tę dziennikarkę, potrzebuję pomocy. Czy mógłbyś skontaktować się z redakcją „Wiadomości” i skłonić kobietę do wycofania zgłoszenia o pobiciu?

Zdumiony Måns parsknął śmiechem.

- Jaja sobie robisz? Myślisz, że jestem Don Corleone?

Rebeka znów przetała boczną szybę.

- To było tylko pytanie. Muszę kończyć. Opiekuję się teraz córkami Sanny i ta młodsza właśnie ściąga wszystkie ubrania.

- No to niech się rozbiera - odpowiedział poirytowany. - Jeszcze nie skończyłem.

- Zadzwoń później albo wyślij mail. Dzieci są na dworze, jest cholernie zimno. Czteroletni szkrab z obustronnym zapaleniem płuc to ostatnia rzecz, o jakiej teraz marzę.

Cześć.

Rozłączyła się, zanim zdążył jeszcze coś powiedzieć.

„Nie zabronił mi - pomyślała z ulgą. - Nie zabronił mi tutaj działać i nie wywalił z pracy. To niesamowite, że poszło tak gładko!”

W tej samej chwili przypomniała sobie o dzieciach i wyskoczyła z samochodu jak strzała.

- Co wy robicie? - wrzasnęła.

Lova zdjęła już kurtkę, rękawiczki i dwie bluzki. Stała w śniegu z czapką na głowie i prawie gołym tułowiem, bo odzianym tylko w białą koszulkę na ramiączkach. Po twarzy spływały jej rześiste łzy. Tjapp przyglądała się z niepokojem.

- Sara powiedziała, że wyglądam jak idiotka w tej bluzce, którą pożyczyłam od ciebie - tłumaczyła Lova, płacząc.

- Powiedziała, że w przedszkolu będą mi dokuczać.

- Ubieraj się natychmiast! - rozkazała zniecierpliwiona Rebeka.

Chwyła Lovę za ramię i zaczęła wciągać na nią ubrania. Dziewczynka płakała rozpaczliwie.

- Ale to przecież prawda - kontynuowała bezlitośnie Sara. - Wyglądam jak pacan. W szkole jedna dziewczyna miała kiedyś dokładnie taką samą bluzkę. Chłopaki zaciągnęli ją do ubikacji, włożyli głowę do klozetu i spuścili wodę, tak że o mało się nie utopiła.

- Ja nie chcę! - wrzeszczała ubierana na siłę Lova.

- Wskakujcie do samochodu - powiedziała Rebeka napiętym głosem. - Odwiozę was do przedszkola i szkoły.

- Nie możesz nas zmusić! - krzyczała Sara. - Nie jesteś naszą mamą!

- Założymy się? - zawarczała Rebeka i upychała rozwrzeszczane dzieci jedno po drugim na tylnym siedzeniu.

- A ja jestem głodna - szlochała Lova.

- Właśnie! - krzyknęła znów Sara. - Nie jadłyśmy śniadania i to jest zaniedbywanie dzieci! Daj mi komórkę, to zadzwonię do

dziadka.

Błyskawicznie chwyciła telefon Rebeki.

- Niedoczekanie twoje, gówniaro! - huknęła kobieta, wyrывая dziewczynce telefon z ręki.

Wysiadła energicznie i jednym szarpnięciem otworzyła tylne drzwi.

- Won! - wydała kolejny rozkaz, wywlekając swoje pasażerki na śnieg.

Dziewczynki zamilkły jak na komendę i patrzyły na Rebekeę wytrzeszczonymi oczyma.

- To prawda - powiedziała Rebeka, próbując opanować wściekłość. - Nie jestem waszą mamą. Ale Sanna poprosiła mnie, żebym się wami zaopiekowała, więc ani wy, ani ja nie mamy wyboru. Umówmy się tak: najpierw pojedziemy na dworzec autobusowy i zjemy śniadanie. Będziecie mogły wybrać to, na co macie ochotę, tylko dlatego, że to był taki okropny poranek. Później pójdziemy kupić nowe ubrania dla Lova i dla Sanny. Pomóżecie mi wybrać coś ładnego, dobrze? A teraz wsiadajcie do auta.

Sara milczała, wpatrując się w swoje stopy. Po chwili wzruszyła ramionami i zajęła miejsce na tylnym siedzeniu. Lova wdrapała się za nią do środka, a starsza siostra pomogła jej zapiąć pasy. Tjapp zlizala z jej twarzy kilka słonych kropeł.

Rebeka zapaliła silnik i cofając, wyjechała z podwórka.

„Dobry Boże - pomyślała po raz pierwszy od wielu lat. - Dobry Boże, pomóż mi”.

*

Wzdłuż ulicy Gasellvägen ciągnęły się dwa rzędy domków z czerwonej cegły. Poustawiane w równych odstępach przypominały klocki lego. Ośnieżone żywopłoty, wysokie zaspasnie śnieżne i kuchenne firanki przesłaniające dolną część okna chroniły mieszkańców ulicy od ciekawskich spojrzeń przechodniów.

„Akurat ta rodzina może teraz tego potrzebować”, pomyślała Anna Maria Mella, gdy ze Svenem Erikiem w samochodzie zaparkowała przed numerem trzydzieści pięć.

- Człowiek prawie czuje na sobie spojrzenia sąsiadów - odezwał się, jakby czytał w myślach koleżanki. - Jak sądzisz, co rodzice Sanny i Wiktora mają do powiedzenia?

- Zobaczymy. Wczoraj nie chcieli nas w ogóle przyjąć, a dzisiaj na wiadomość o zatrzymaniu córki sami zatelefonowali, prosząc o wizytę...

Policjanci obtupali śnieg z butów i zadzwonili do drzwi.

Otworzył odprasowany Olof Strandgård. Nienaganną szwedczyzną zaprosił ich do środka, podał rękę na powitanie, pomógł powiesić kurtki. Był mężczyzną w bardziej niż średnim wieku, ale bez charakterystycznej dla tej grupy wiekowej nadwagi.

„Pewnie ma w piwnicy maszynę wioślarską i hantle”, pomyślała Anna Maria.

- Ależ nie, proszę nie ściągać - zaapelował do Svena Erika, który pochylił się, by rozsznurować trzewiki.

Anna Maria zauważyła, że mężczyzna miał na nogach perfekcyjnie wypolerowane półbuty.

Zaprowadził ich do salonu. Po jednej stronie dominował komplet mebli jadalnianych w stylu gustawiańskim. Srebrne świeczniki i potężny wazon Ulriki Hydman-Vallien⁷ przegłędały się w ciemnym, mahoniowym blacie stołu. Pod sufitem wisiał niewielki kryształowy żyrandol. Po drugiej stronie pokoju znajdował się zestaw wypoczynkowy. Miękki narożnik z jasnej skóry, fotel oraz niski stolik ze szkła palonego i metalu. Wszystko odkurzone i wymuskane.

W fotelu siedziała Kristina Strandgård. Z roztargnieniem przywitała się z dwójką policjantów.

Miała takie same jasne i gęste włosy jak dzieci. Ale jej głowę zdobiła krótka fryzura - klasyczny paż.

„Musiała być kiedyś niesamowicie piękna - pomyślała Anna Maria. - Aż wpadła w pazury wielkiego zmęczenia. A to nie zdarzyło się wczoraj, tylko bardzo dawno temu”.

Olof Strandgård pochylił się nad żoną. Jego głos był łagodny, a

7 Ulrika Hydman-Vallien - szwedzka malarka i projektantka szkła artystycznego, urodzona w 1938 roku; znana i ceniona również poza granicami kraju.

uśmiech powściągliwy.

- Może zaproponujemy komisarz Melli wygodny fotel - powiedział.

Kobieta w fotelu podniosła się gwałtownie jak ukłuta igłą.

- Och, przepraszam najmocniej, oczywiście.

Uśmiechnęła się z zażenowaniem do policjantki i zatrzymała na sekundę, jakby zapomniała, gdzie się znajduje i co powinna zrobić. Po chwili, wracając do rzeczywistości, zajęła miejsce na sofie obok Svena Erika.

Anna Maria z mozołem rozsiadła się w fotelu. Miał zbyt wychylone oparcie i był za głęboki, żeby można go określić jako wygodny. Podciągnęła kąciki ust, próbując zaprezentować uśmiech wdzięcznej kobiety. Dziecko napierało intensywnie na przeponę. Policjantka od razu poczuła zgagę i ból w łędźwiach.

- Czy coś państwu podać? - zapytał gospodarz. - Kawę? Herbatę? Wodę?

Jak na dany sygnał jego żona znów zerwała się na nogi.

- Tak, oczywiście - powiedziała, rzucając mężowi spłoszone spojrzenie. - Powinnam była zapytać...

Goście odmówili jednomyślnie machnięciem rąk. Kobieta usiadła ponownie, tym razem na samym skraju sofy, gotowa podnieść się, gdy tylko zajdzie potrzeba.

Anna Maria obserwowała ją uważnie. Nie wyglądała na osobę, która właśnie straciła dziecko. Miała świeżo umyte i wymodelowane włosy. Golf, sweter i spodnie były utrzymane w tej samej, piaskowobeżowej tonacji. Dyskretny makijaż nie był rozmazany. Ręce nie załamywały się z rozpacz. Na stoliku nie piętrzyły się stosy wymiętoszonych chusteczek higienicznych. Jak gdyby Kristina Strandgård zamknęła się na świat zewnętrzny.

„Nie, to nie tak - pomyślała Anna Maria, czując się nagle niemile poruszona. - Ona nie zamyka się przed światem. Ona zamyka się przed samą sobą”.

- Doceniamy to, że przyszli państwo bezzwłocznie - powiedział Olof Strandgård. - Dowiedzieliśmy się przed chwilą, że zatrzymaliście Sannę. Chyba nie mają państwo wątpliwości, że to pomyłka. Bardzo się niepokojmy, żona i ja.

- To zrozumiałe - odpowiedział Sven Erik. - Ale może po kolei. Najpierw zadamy kilka pytań dotyczących Wiktora, a później możemy porozmawiać o państwa córce, dobrze?

- Ależ oczywiście - odparł z uśmiechem gospodarz.

„Brawo, Svenie Eriku! - skomentowała w duchu Anna Maria. - Przejmij teraz pałeczkę, bo inaczej odejdziemy stąd z kwitkiem”.

- Czy mogliby państwo opowiedzieć trochę o Wiktorze? Jakim był człowiekiem?

- W jaki sposób ta informacja pomoże wam w śledztwie? - zapytał gospodarz.

- To rutynowe pytanie - nie dał się sprowokować Sven Erik. - Zawsze je zadajemy. Musimy sobie stworzyć jakiś obraz Wiktora, ponieważ nie znaliśmy go za życia.

- Był uzdolniony - powiedział Strandgård z powagą w głosie. - Bardzo uzdolniony. Przypuszczam, że każdy rodzic powiedziałby to samo o swoim dziecku, ale proszę zapytać byłych nauczycieli chłopca. Miał najlepsze oceny ze wszystkich przedmiotów i był niesłychanie muzykalny. Potrafił się skupić na zajęciach w szkole, na lekcjach gitary. A po wypadku całkowicie skoncentrował się na Bogu.

Oparł się wygodnie i podciągnął prawą nogawkę, zanim założył prawą nogę na lewą.

- Bóg nie obdarzył naszego chłopca lekkim powołaniem - mówił dalej. - Odłożył wszystko inne na bok. Przerwał naukę w liceum, przestał muzykować. Głosił Słowo Boże i modlił się. Płonał wiarą, przekonany, że przebudzenie nadejdzie do Kiruny, ale był również przeświadczony, że warunkiem tego jest zjednoczenie się wspólnot. Jak to się mówi: zgoda buduje, niezgoda rujnuje. Zielonoświątkowcy, Kościół misyjny i baptyści nie mieli wtedy ze sobą wiele wspólnego. Ale on był uparty. Gdy otrzymał powołanie, miał zaledwie siedemnaście lat. Niemalże zmuszał pastorów do wspólnych spotkań i modlitw: Thomasa Söderberga z Kościoła misyjnego, Vesę Larssona z Kościoła zielonoświątkowego i Gunnara Isakssona z Kościoła baptystów.

Anna Maria zaczęła wiercić się w fotelu. Siedziała niewygodnie,

a dziecko boksowało zapamiętała jej pęcherz moczowy.

- Odkrył w sobie powołanie w związku z wypadkiem? - zapytała.

- Tak. Jechał na rowerze w środku zimy, potrącił go samochód. Mieszkacie państwo w Kirunie, więc znacie dalszy ciąg historii. Wspólnota rosła w siłę, wybudowaliśmy Kryształowy Kościół, znany przecież równie dobrze jak nasz chłopiec. Carola dała tutaj w grudniu świąteczny koncert.

- Jak się wam układały stosunki? - zapytał Sven Erik. - Byliście sobie bliscy?

Anna Maria rozumiała wysiłki Svena Erika, by przyciągnąć pytaniami uwagę matki Wiktora, ale jej niewidzące oczy wpatrywały się uparcie w medalionowy wzór tapety.

- W naszej rodzinie jesteśmy sobie bardzo bliscy - odparł Strandgård.

- Czy syn był z kimś związany albo miał jakieś inne zainteresowania oprócz Kościoła?

- Nie, jak już powiedziałem, postanowił na razie wszystko inne w życiu odłożyć na bok i poświęcić się wyłącznie Bogu.

- I nie byliście państwo tym zaniepokojeni? To znaczy tym, że stronił od dziewcząt i zrezygnował ze wszystkich swoich zainteresowań?

- Nie, absolutnie nie.

Ojciec zaśmiał się, jakby pytanie Svena Erika było czymś zabawnym.

- Mogliby państwo wymienić jego najbliższych przyjaciół?

Sven Erik przyglądał się zdjęciom na ścianach. Nad telewizorem wisiał duży portret dzieci. Rodzeństwo miało długie srebrnobiałe włosy; Sanna - anielskie loki, Wiktor - gładkie jak woda. Dziewczynka mogła mieć trzynaście lub czternaście lat. Najwyraźniej nie chciała się uśmiechnąć do fotografa. Po wygiętych w podkówkę ustach błąkało się coś przekornego. Wiktor też był poważny, ale w bardziej naturalny sposób. Jakby myślał o czymś innym i zapomniał, gdzie się znajduje.

- Sanna miała trzynaście, a chłopiec dziesięć lat - poinformował Svena Erika gospodarz, dostrzegając jego

zaciekawione spojrzenie. - Widać wyraźnie, że uwielbia swoją siostrę. Już od najmłodszych lat chciał mieć takie długie włosy jak ona i na sam widok mamy z nożyczkami kwiczał jak zarzynane prosię. Na początku szkoły dokuczano mu z powodu tych włosów, ale za nic nie chciał ich obciąć.

- Jego przyjaciele? - przypomniała Anna Maria.

- Śmiem przypuszczać, że najbliższych przyjaciół miał w rodzinie. Zarówno my, jak i Sanna byliśmy mu bardzo bliscy. No i dziewczynki. Ubóstwiał je.

- Córkę Sanny?

- Tak.

- Pani Kristino - zwrócił się do gospodyni Sven Erik.

Kobieta wzdrygnęła się.

- Czy chciałaby pani coś dodać? Na temat Wiktora - uzupełnił, widząc jej pytający wzrok.

- Cóż mogę powiedzieć... - zaczęła niepewnie, zerkając na męża. - Chyba nie mam nic więcej do powiedzenia. Olof opisał go tak ładnie...

- Czy mają państwo album z wycinkami o Wiktorze? - zapytała Anna Maria. - Wiem, że pisano o nim niejedną raz w gazetach.

- Tam - wskazała Kristina Strandgård. - Ten duży, brązowy, na najniższej półce.

- Czy mogę go pożyczyć? - zapytała, podnosząc się z fotela. - Dostaną go państwo z powrotem tak szybko, jak to tylko możliwe.

Wyjęła album z półki i trzymała przez chwilę w ręce, zanim położyła go przed sobą na stoliku. Zależało jej, żeby uwiecznić w głowie inne obrazy Wiktora niż ten zapamiętany ostatnio: białe pokiereszowane ciało z pustymi oczodołami.

- Chcielibyśmy, żeby podali nam państwo nazwiska osób, które znały syna - poprosił Sven Erik. - Chcemy z nimi porozmawiać.

- To będzie bardzo długa lista - ostrzegł ojciec. - Znali go wszyscy w Szwecji. I wielu innych.

- Mam na myśli tych, którzy znali go osobiście i trochę bliżej - tłumaczył cierpliwie komisarz. - Dzisiaj wieczorem przyślemy kogoś po odbiór listy. Kiedy ostatni raz widzieli państwo syna?

- W niedzielę wieczorem na śpiewach pochwalnych w zborze.
- W niedzielę wieczorem, a więc na kilka godzin przed jego śmiercią. Czy rozmawialiście państwo z nim?

Olof Strandgård pokręcił głową z ubolewaniem.

- Nie, był wtedy bardzo zajęty w grupie modlitewnej.
- A kiedy rozmawiali państwo z nim po raz ostatni?
- W piątek wieczorem, ponad dwie doby wcześniej... - Przerwał i spojrzał na żonę. - Ugotowałaś mu wtedy obiad, prawda, że to było w piątek?

- Tak, oczywiście. W piątek zaczęła się Konferencja Cudów. Wiem, że Wiktor zapomina o jedzeniu, zawsze przedkłada dobro innych nad własne. Pojechaliśmy do niego, żeby zaopatrzyć mu lodówkę. Nazwał mnie nadopiekuńcza mamuszką.

- Czy sprawiał wrażenie zatroskanego? - zapytał Sven Erik. - Czy coś go niepokoiło?

- Nie - odpowiedział Strandgård.

- Wiemy, że w ciągu ostatnich dni swego życia prawie nic nie jadł - dodała Anna Maria. - Czy domyślają się państwo dlaczego? Czy to możliwe, że po prostu zapominał o posiłkach?

- Najprawdopodobniej pościł - odpowiedział ojciec.

„Zaraz muszę zapytać o toaletę”, pomyślała komisarz.

- Pościł? - zdziwiła się, próbując wstrzymać parcie na pęcherz. - Dlaczego?

- Dlaczego? W Biblii możemy przeczytać o tym, jak Jezus pościł czterdzieści dni na pustyni i był kuszony przez diabła, zanim przybył do Galilei i powołał pierwszych uczniów.

O apostołach, którzy wśród modlitw i postów ustanowili starszych i polecili ich Panu. W Starym Testamencie przed rozpoczęciem wyznaczonej im przez Boga misji pościli i Eliasza, i Mojżesz. Prawdopodobnie nasz chłopiec przeczuwał, że w czasie Konferencji czeka go ważne zadanie, i poprzez post i modlitwę chciał się całkowicie na nim skoncentrować.

- Co kryje się pod pojęciem Konferencja Cudów? - zapytał Sven Erik.

- Konferencja zaczęła się w piątek wieczorem i skończyła w

najbliższą niedzielę. Składają się na nią seminaria i wieczorne spotkania, które traktują o cudach właśnie. O uzdrowieniach, objawieniach, o świadectwach działania Boga i darze łaski bożej. Proszę sekundkę poczekać.

Gospodarz wstał i zniknął w przedpokoju. Po chwili wrócił z błyszczącym folderem i wręczył go komisarzowi. Sven Erik pochylił się ku Annie Marii, żeby mogła oglądać razem z nim.

Zaproszenie na konferencję było barwną broszurą formatu A5. Ze zdjęć zrobionych z użyciem filtra zmiękczonego uśmiechali się ludzie z podniesionymi rękami. Na jednej fotografii młoda kobieta trzymała w górze swoje maleńkie dziecko. Na innej Wiktor Strandgård modlił się za mężczyznę, który klęczał przed nim z wzniesionymi ku niebu ramionami. Wiktor miał przymknięte oczy, a jego palce, wskazujący i środkowy, spoczywały na czole klęczącego. Tekst informował o tematach seminariów, zatytułowanych między innymi: „Jesteś wystarczająco silny, by żądać wysłuchania modlitwy”, „Bóg już pokonał twoją chorobę”, „Uwolnij swoje duchowe dary z łaski”. Na wieczornych spotkaniach można było tańczyć w Duchu, śpiewać w Duchu, weselić się w Duchu, a także zobaczyć Boga czyniącego cuda w życiu każdego człowieka. A wszystko to za cenę czterech tysięcy dwustu koron, bez noclegu i wyżywienia.

- Jak dużo osób bierze udział w konferencji? - zapytał Sven Erik.

- Nie potrafię panu dokładnie powiedzieć - nie bez cienia dumy odparł gospodarz - ale mniej więcej dwa tysiące.

Anna Maria była przekonana, że jej kolega oblicza teraz w głowie wielkość dochodu, jaką wspólnocie przyniosła konferencja.

- Chcemy przejrzeć listę uczestników - powiedziała głośno. - Do kogo najlepiej się zwrócić?

Zapisała w notatniku nazwisko podane przez Strandgård. Sven Erik wyznaczy kogoś do porównania listy z policyjnymi rejestrami.

- A jak układały się stosunki z Sanną? - zadała kolejne pytanie.

- Słucham?

- Czy mógłby pan opisać ich relacje.

- Byli bratem i siostrą.
- Ale przecież z definicji rodzeństwa nie wynika to, że jest się w dobrych stosunkach - napierała Anna Maria.

Ojciec zrobił głęboki wdech.

- Byli najlepszymi przyjaciółmi. Ale Sanna jest kruchym człowiekiem. Wrażliwą kobietą. I ja, i moja żona, i syn poświęcaliśmy sporo czasu na opiekę nad nią i jej córkami.

„Ciekawe, ile razy jeszcze usłyszę śpiewkę, jaka to Sanna krucha i delikatna”, pomyślała komisarz.

- Co pan ma na myśli, mówiąc, że jest „wrażliwa”? - zapytała, zerkając na wierzącą się na sofie żonę Strandgård.

- Niełatwo o tym mówić... Czasami nie wychodzi jej bycie dorosłym człowiekiem. Ciężko jej przychodzi wytyczanie dzieciom granic. A niekiedy po prostu nie może sobie poradzić ani z sobą, ani z dziewczynkami. Czyż nie tak, Kristino?

- Tak - odpowiedziała posłusznie jego żona.

- Bywało, że przez cały tydzień leżała w zaciemnionym pokoju - kontynuował Olof Strandgård. - Nie reagowała, nie odpowiadała na pytania. Wtedy braliśmy dziewczynki do siebie, a nasz chłopiec karmił Sannę łyżką jak dziecko.

Tu urwał i spojrział stanowczo na Annę Marię.

- Bez naszej pomocy nie mogłaby zachować praw rodzicielskich.

„W porządku - pomyślała policjantka. - Usilnie przekonujesz nas o tym, jak krucha i słaba jest Sanna. Dlaczego? Tak zacna rodzina jak wasza nie powinna się raczej z tym obnosić”.

- Czy dziewczynki nie mają ojca? - zapytała.

Mężczyzna westchnął.

- Ależ tak. Sanna miała siedemnaście lat, gdy urodziła Sarę. A ja... - Pokręcił głową na samo wspomnienie. - Ja upierałem się, żeby wzięli ślub. Musieli, jak to się mówi, pójść do króla. Ale obietnica złożona wobec Boga nie przeszkodziła temu młodzieńcowi opuścić żonę i dziecko, gdy Sara miała zaledwie rok. Ojciec Lovy to tylko chwilowa słabość.

- Jak się nazywają? Chcielibyśmy się z nimi skontaktować - wtrącił Sven Erik.

- Proszę bardzo. Ronny Björnström, ojciec Sary, mieszka w

Narwiku. Tak nam się przynajmniej wydaje. Nie utrzymuje kontaktów ze swoją córką. Sammy Andersson, ojciec Lovy, zginął dwa lata temu w tragicznym wypadku. Jechał skuterem po jeziorze, załamał się pod nim lód. Okropna historia.

„No nie, jeśli mam nie zasikać tego cudownego mebla...”, pomyślała Anna Maria, dźwigając się z fotela.

- Przepraszam, muszę skorzystać...

- W przedpokoju na prawo - poinformował gospodarz i też wstał.

Toaleta, tak jak reszta domu, była idealnie wysprzątana. Pachniała syntetycznym kwieciem. Specyficzna woń pochodziła zapewne z któregoś z aerozolowych rozpylaczy stojących na szafce. W muszli klozetowej wisiał pojemniczek, z którego po spuszczeniu wody wypływał niebieski żel.

„Czystość, czystość, czystość”, powtarzała sobie w myśli Anna Maria, wracając do salonu.

- Jesteśmy zaniepokojeni faktem, że nasze dziewczynki przebywają z Rebeką Martinsson - zaczął Strandgård, gdy komisarz ponownie usiadła w fotelu. - Najprawdopodobniej są zszokowane i przerażone tym, co się wydarzyło. Potrzebują spokoju i poczucia bezpieczeństwa.

- Policja nie ma tutaj nic do powiedzenia - odpowiedziała Anna Maria. - Pańska córka sprawuje władzę rodzicielską i jeżeli oddała dzieci pod opiekę Rebeki Martinsson, to...

- A jeżeli powiem, że moja córka jest nieobliczalna? Gdyby nie żona i ja, to Sanna już dawno zostałaby pozbawiona tej władzy.

- W dalszym ciągu twierdzę, że to nie jest sprawa dla policji - odpowiedziała neutralnie komisarz. - O pozbawieniu praw rodzicielskich orzekają zarząd opieki społecznej i sąd okręgowy...

Miękkość w głosie gospodarza nagle zniknęła.

- Czyli nie możemy liczyć na pomoc policji - uciał w pół zdania. - Jeśli zajdzie taka potrzeba, to oczywiście skontaktuję się z opieką społeczną.

- Czy wy naprawdę nie rozumiecie? - wybuchła niespodziewanie Kristina Strandgård.

- Rebeka już wcześniej próbowała poróżnić naszą rodzinę.

Będzie robiła wszystko, żeby przeciągnąć je na swoją stronę, przeciwko nam. Tak jak kiedyś Sanne.

Ostatnie słowa skierowała do męża, który siedząc, wyglądał teraz przez okno. Zastygł w bezruchu ze zwartymi szczękami. Zaciśnięte w pięści dłonie spoczywały na kolanach.

- Co ma pani na myśli, mówiąc „jak kiedyś Sanne”? - zapytał delikatnie Sven Erik.

- Gdy Sara miała trzy albo cztery lata, Sanna i Rebeka zamieszkały razem - mówiła z wysiłkiem. - Rebeka próbowała rozbić rodzinę. Jest wrogiem Kościoła i dzieła Bożego w tym mieście. Rozumie pan, co czujemy, wiedząc, że dziewczynki są w jej rękach?

- Rozumiem - odpowiedział ze współczuciem. - W jaki sposób próbowała rozbić rodzinę i działać na szkodę Kościoła?

- Zrobiła...

Jedno spojrzenie męża wystarczyło, żeby ugryzła się w język.

- Co zrobiła? - dopytywał się policjant, ale twarz kobiety przeobraziła się w głaz o oczach utkwionych w szklanym blacie stolika.

- To nie moja wina - wykrztusiła łamiącym się głosem.

Powtarzała to raz po raz, wpatrzona w gładką powierzchnię mebla, nie mając odwagi podnieść wzroku.

- To nie moja wina, to nie moja wina.

„Usprawiedliwia się przed mężem czy go oskarża?”, zastanawiała się Anna Maria.

Gospodarz ponownie zaprezentował swoje łagodne i opiekuńcze wcielenie. Położył delikatnie dłoń na ramieniu żony, a gdy się uspokoiła, wstał z sofy.

- Myślę, że przeliczyliśmy się z własnymi siłami - powiedział, kończąc tym samym rozmowę.

Gdy Anna Maria Mella i Sven Erik Stålnacke wyszli na ulicę, otwarły się dwa zaparkowane obok domu samochody. Wyskoczyli z nich dwaj uzbrojeni w mikrofony odziane w wełniane skarpety reporterzy. Za jednym z nich dreptał kamerzysta.

- Anders Grape, redakcja lokalna Szwedzkiego Radia - przedstawił się policjantom pierwszy z nich. - Zatrzymaliście

siostrę Rajskiego Chłopca. Czy mógłbym prosić o komentarz?

- Lena Westerberg, TV3 - powiedziała reporterka z kamerzystą u boku. - To państwo przybyli pierwsi na miejsce zbrodni. Moglibyście opowiedzieć, co zobaczyliście?

Policjanci bez słowa wsiedli do samochodu i odjechali.

- Chyba poprosili sąsiadów, żeby zawiadomili media, gdy tylko się tu pokażemy - spekulowała Anna Maria, obserwując w lusterku wstecznym reporterów pukających do domu rodziców Wiktora.

- Biedna kobieta - powiedział Sven Erik, gdy skręcił w ulicę Bävrevägen. - Ten Olof Strandgård to prawdziwy zimny drań.

- Zauważyłeś, że nigdy nie nazwał Wiktora po imieniu? Ciągle tylko „chłopiec” i „chłopiec”.

- Powinniśmy chyba porozmawiać z nią kiedyś, gdy go nie będzie w domu - zaproponował zamyślony Sven Erik.

- Porozmawiaj z nią sam, ty masz rękę do niewiast.

- Dlaczego tak wiele pięknych kobiet wpada w podobne sidła? Zakochują się w beznadziejnych facetach, a później, gdy dzieci wyfruną z gniazda, siedzą w swoich domach jak nieszczęśliwe więźniarki.

- Nie sądzę, żeby to bardziej dotyczyło pięknych w porównaniu z innymi - skomentowała sucho Anna Maria.

- Po prostu pięknym kobietom poświęca się więcej uwagi.

- Co zamierzasz teraz zrobić? - zmienił temat Sven Erik.

- Obejrzeć album i filmy pożyczone z kościoła.

Wyrzała przez okno. Stalowe chmury zwierają się ciasno nad ich głowami. Gdy promienie słońca nie miały szans przebić się przez gęstą masę, miasto - jakby pozbawione barw - zaczęło przypominać czarno-białą fotografię.

*

- To przecież niemożliwe! - wykrzyknęła Rebeka, zaglądając w głąb celi. Strażnik otwierał właśnie drzwi, by wyprowadzić Sannę na korytarz.

Pomieszczenie było ciasne, kamienne ściany w nieokreślonym beżowym kolorze zdobiły czarne i białe ciapki. Oprócz leżącego na podłodze i zasłanego papierowym prześcieradłem materaca

nie było tutaj żadnych innych mebli. Okno z luksferów wychodziło na alejkę i dom czynszowy o fasadzie z zielonej blachy. W powietrzu wisiał kwaśny odór przepicia i brudu.

Strażnik odprowadził Sannę i Rebekeę do pokoju widzeń. Przy oknie znajdowały się stół i trzy krzesła. Podczas gdy kobiety zajmowały swoje miejsca, strażnik przejrzał reklamówki z ubraniami i innymi rzeczami, które przyniosła Rebeka.

- Cieszę się, że pozwalają mi tutaj zostać - powiedziała Sanna.

- Mam nadzieję, że nie przeniosą mnie do prawdziwego aresztu w Luleå. Ze względu na dziewczynki. Przecież muszę się z nimi widywać. Wszystkie umeblowane cele są teraz zajęte i dlatego przebywam na razie w celi dla pijaków. Jest całkiem praktyczna. Gdy ktoś zwymiotuje albo coś takiego, to wystarczy tylko splukać wodą z węża. Właściwie dobrze byłoby tak mieć w domu. Wyciągasz węża, splukujesz i z głowy! Piątkowe sprzątanie załatwione w ciągu minuty. Anna Maria Mella, wiesz, ta mała w ciąży, powiedziała, że dzisiaj zwolni się jedna normalna cela. W każdym razie jest tu dosyć jasno. Z okna w korytarzu widać kopalnię i Kebnekaise, zauważyłaś?

- Oczywiście. Poślij jeszcze po Martina Timella⁸, a wkrótce może się tu wprowadzić jakaś rodzina z trójką dzieci i uwić przytulne gniazdko.

Strażnik oddał Rebecę reklamówki, kiwnął akceptuj ąco głową i oddalił się. Rebeka przekazała je Sannie, która zaczęła przeglądać leżące w nich ubrania z radością dziecka otwierającego gwiazdkowe prezenty.

- O nie, jakie cudowne! - uśmiechnęła się, zaróżowiły się jej policzki. - A ten sweterek! Popatrz! Szkoda, że tu nie ma lustra. Trzymała przed sobą czerwoną tunikę z dużym dekoltem, ozdobioną połyskującą, srebrną nitką. Odwróciła się do Rebeki.

- Wybrała ją Sara.

Sanna znów zanurkowała w plastikowych torbach.

- I bielizna, i mydło, i szampon, i wszystko... Muszę ci zapłacić.

- Nie, nie, to są prezenty - broniła się Rebeka. - Zresztą wcale

8 Martin Timell - prowadzący popularny program telewizyjny o urządzaniu wnętrza pt. Nareszcie w domu.

nie drogie, zrobiliśmy zakupy w Lindeksie.

- I wypożyczyłaś książki w bibliotece. I kupiłaś słodycze...

- Kupiłam też Biblię - Rebeka wskazała na niewielką torebkę. - Nowe tłumaczenie. Wiem, że najbardziej lubisz to z 1917 roku, ale znasz je już na pamięć. Pomyślałam, że ciekawie byłoby porównać obydwa przekłady.

Sanna wzięła do ręki czerwoną książkę, przekręcała i odwracała ją kilka razy, zanim, otworzywszy na chybił trafił, zaczęła wertować cienkie stronicę.

- Dziękuję! Kiedy ukazał się Nowy Testament w przekładzie Komisji Biblijnej, uważałam, że całe piękno języka po prostu zniknęło, ale teraz przeczytam z ciekawością. Chociaż oczywiście to dziwne uczucie czytać zupełnie nową Biblię, gdy jest się przyzwyczajonym do własnej, ze wszystkimi podkreśleniami i notatkami. Czytanie nowych sformułowań i niezapisanych stron może być bardzo pouczające. Chyba bardziej obiektywne.

„Moja stara Biblia - pomyślała Rebeka. - Powinna leżeć w którymś z kartonowych pudeł na strychu u babci. Bo chyba jej nie wyrzuciłam? Jest przecież czymś w rodzaju pamiętnika z młodości. Wszystkie kartki i wycinki z gazet, które wkładałam między strony. I wszystkie żenujące ustępy, podkreślone na czerwono, przecież one sporo wyjawiają. »Jak łania pragnie wody ze strumieni, tak dusza moja pragnie Ciebie, Boże!«⁹ »Szukam Pana w dzień mojej niedoli. Moja ręka w nocy niestrudzenie wyciągnięta, moja dusza odmawia przyjęcia pociechy«,¹⁰.

- Dobrze ci poszło z dziewczynami? - zapytała Sanna.

- Dobrze - ucięła krótko Rebeka. - W każdym razie w końcu udało mi się odwieźć je do przedszkola i szkoły.

Sanna przygryzła dolną wargę i zatrzasnęła Biblię.

- Co się stało?

- Myślę o mamie i tacie. Mogą je stamtąd odebrać.

- Ale co tak naprawdę wydarzyło się między tobą a twoimi rodzicami?

⁹ Ps 42(41), 2.

¹⁰ Ps 77(76), 3.

- Nic nowego. Nic więcej niż to, że znudziło mi się być ich własnością. Pamiętasz, jak to wyglądało, kiedy Sara była malutka?

„Pamiętam”, odpowiedziała bezgłośnie Rebeka.

Rebeka wbiega po schodach. Jest spóźniona. Dziesięć minut temu zaczęło się przyjęcie urodzinowe, na którym miała być z Sanną i Sarą. A dojazd zajmie co najmniej dwadzieścia minut. Być może jeszcze więcej, bo właśnie zaczął padać śnieg. Niewykluczone, że pojechały bez niej.

„Żeby tak było, żeby tak było - myśli intensywnie, nie widząc na klatce schodowej butów Sary. - Jeśli pojechały, to nie będę musiała mieć wyrzutów sumienia”.

Ale stoją tam kozaczki Sanny. Otwierając drzwi, Rebeka wciąga powietrze, żeby wystarczyło go na wszystkie wyjaśnienia i wymówki, układane pospiesznie w głowie.

I niemalże wpada na Sannę, która w ciemnym przedpokoju siedzi na podłodze z kolanami pod brodą. Obejmuje rękami nogi i kołysze się miarowo, to w przód, to w tył, jakby chciała pocieszyć samą siebie. Albo jak gdyby sama rytmika ruchów mogła oddalić okropne myśli. Upłynie trochę czasu, zanim Rebeka do niej dotrze. Namówi do zwierzeń. Razem ze słowami przyjdzie płacz.

- Mama i tato - szloch Sanna - po prostu przyszli i zabrali Sarę. Mówiłam im, że mamy zaplanowane przyjęcie urodzinowe i masę innych fajnych rzeczy na cały weekend, ale oni w ogóle nie słuchali. I wzięli ją ze sobą.

Nagle zwycięża w niej złość i Sanna tłucze pięściami w ścianę.

- Moja wola dla nich nie istnieje! - krzyczy. - Zupełnie nie ma znaczenia, co mówię. Oni mnie posiadają. I posiadają moje dziecko. Dokładnie tak samo jak posiadali moje psy. Łajkę, którą tato mi po prostu odebrał... Tak bardzo boją się zostać sami ze sobą, że...

Wściekłość i płacz przechodzą w przeciągły, gardłowy jęk. Ręce opadają bezsilnie na podłogę.

- Po prostu ją wzięli. Przecież miałyśmy piec domek z piernika, ty i ja, i Sara.

- Ciiii - uspokaja Rebeka i odgarnia włosy z jej twarzy. -
Będzie dobrze. Obiecuję.

Wierzchem dłoni osusza łzy z policzków Sanny.

- Co ze mnie za matka? Nawet nie potrafię stanąć w obronie
własnego dziecka.

- Jesteś dobrą matką - pociesza Rebeka. - To twoi rodzice
popołniają błąd, rozumiesz? To nie twoja wina.

- Nie chcę tak żyć. On po prostu otwiera sobie drzwi
zapasowym kluczem i bierze, co mu się podoba. Co miałam
zrobić? Nie chciałam wszczynać kłótni i wydzierać mu Sary.
Przecież na pewno by się wystraszyła. Moja mała córeczka.

Obraz Olofa Strandgärda nabiera kształtów w głowie Rebeki.
Jego głęboki, wzbudzający zaufanie głos. Nieprzywykły do
protestów. Jego nieschodzący sponad wykrochmalonego
kołnierzyka uśmiech. Jego papierowa żona.

„Zabiję go - obiecuje w myślach. - Zakatrupię go”.

- Chodź - zwraca się do Sanny tonem nieznoszącym
sprzeciwu.

Sanna ubiera się i idzie za nią jak posłuszne dziecko. Jadą
samochodem tam, dokąd chce Rebeka.

Otwiera im Kristina Strandgård.

- Przyszliśmy po Sarę - mówi Rebeka. - Jesteśmy umówione
na przyjęcie urodzinowe i mamy już czterdzieści minut
spóźnienia.

Po twarzy kobiety przebiega strach. Stojąc w miejscu, zerka
przez ramię w głąb domu. Ze środka słychać gości.

- Ale przecież ustaliliśmy, że Sara będzie u nas przez
weekend - odpowiada Kristina, próbując nawiązać kontakt
wzrokowy z córką.

Sanna uparcie patrzy w ziemię.

- O ile wiem, nic nie ustaliliście - odparowuje ostro Rebeka.

- Poczekajcie sekundkę - Kristina przygryza nerwowo wargę
i znika w salonie.

Po chwili w drzwiach staje jej mąż. Tym razem
nieuśmiechnięty. Świdruje oczyma Rebekę. Po chwili zwraca
się do córki.

- Co to za fanaberie - burczy. - Myślałem, że obowiązuje nas

umowa, Sanno. Takie wożenie tam i z powrotem nie wychodzi Sarze na dobre. Niezmiernie mnie rozczarowujesz, gdy cały czas każesz dziecku płacić za swoje zachcianki. Sanna kuli się, ze wzrokiem ciągle wbitym w ziemię. Śnieg pada na jej włosy, tworzy na głowie lodowy hełm.

- Odpowiesz, kiedy się do ciebie zwracam, czy nie potrafisz okazać mi nawet tej odrobiny szacunku? - pyta opanowanym głosem.

„Boi się scen przy gościach”, przechodzi przez myśl Rebecce. Mimo że serce jej wali jak oszalałe, robi krok do przodu. Drżącym głosem podnosi bunt przeciwko Strandgårdowi.

- Nie przyszliśmy tutaj po to, żeby dyskutować. Albo natychmiast przyprowadzi pan Sarę, albo pojedę prosto na policję i oskarżę was o uprowadzenie. Przysięgam na Biblię, że to zrobię. Ale zanim to uczynię, wpadnę do pańskiego salonu i strasznie narozrabiam. Sara jest córką Sanny i Sanna chce ją odzyskać. Wybór należy do pana. Albo pójdzie pan po nią teraz, albo za chwilę przyjdzie po nią policja.

Kristina Strandgård spogląda niespokojnie przez ramię męża. Mężczyzna uśmiecha się szyderczo do Rebeki.

- Sanno - wzywa córkę, nie spuszczać oczu z jej koleżanki. - Sanno!

Sanna patrzy w ziemię. Prawie niedostrzegalnie potrząsa głową.

I nagle dzieje się coś niespodziewanego. Nastrój Strandgårda zmienia się diametralnie. Na jego twarzy maluje się troska i żal.

- Wejdźcie do środka - mówi, cofając się do przedpokoju.

- Jeżeli to dla ciebie było aż tak ważne, to przecież mogłaś po prostu powiedzieć - tłumaczy Strandgård córce, która wkłada Sarze kombinezon i buty. - Nie potrafię czytać w myślach. Byliśmy przekonani, że będziesz zadowolona z weekendu bez dziecka.

Sanna w milczeniu wciąga córce czapkę i rękawiczki. Ojciec mówi cicho, w obawie przed gośćmi.

- Nie musiałybyś wtedy tutaj przyjeżdżać, grozić mi i wyczyniać cuda.

- *To naprawdę do ciebie niepodobne, Sanna - szepcze matka, wbijając nienawistny wzrok w opartą o drzwi Rebekę.*

- *Jutro wymienimy zamek w mieszkaniu - mówi Rebeka w drodze do samochodu.*

Sanna niesie Sarę na rękach, nie odzywa się. Trzyma ją tak mocno, jakby nigdy nie chciała wypuścić.

”Boże, jaka byłam wtedy wściekła - pomyślała Rebeka. - A przecież to nie była moja złość. To Sanna powinna była wyjść z siebie. Ale nie potrafiła. Wymieniłyśmy zamek, a już po dwóch tygodniach oddała rodzicom zapasowy klucz”.

Sanna przywróciła Rebekę do rzeczywistości, chwytając ją za ramię.

- Teraz gdy siedzę w areszcie, oni na pewno będą się chcieli zająć dziewczynkami.

- Nie myśl o tym - odpowiedziała nieobecna duchem Rebeka. - Porozmawiam ze szkołą.

- Jak długo muszę tutaj zostać?

Rebeka wzruszyła ramionami.

- Nie mogę cię trzymać dłużej niż trzy doby. Później prokurator musi wystąpić z wnioskiem o aresztowanie, a sąd ma obowiązek rozpatrzyć go najpóźniej w ciągu czterech dni od momentu zatrzymania. Czyli do soboty.

- Zaaresztują mnie?

- Nie wiem - odpowiedziała Rebeka i poruszyła się niespokojnie na krześle. - Może. Niedobrze, że znaleźli w twojej kuchni Biblię Wiktora, no i ten nóż.

- Ale przecież każdy mógł mi to podrzucić, gdy byłam w kościele! - wybuchła Sanna.

- Wiesz, że nigdy nie zamykam domu na klucz.

Umilkła i zaczęła bezwiednie wodzić palcem po czerwonym sweterku.

- A jeżeli to byłam ja? - powiedziała nagle.

Rebeka poczuła, że oddycha z trudnością, jakby w pokoju nagle zabrakło powietrza.

- Co masz na myśli?

- Nie wiem - jęknęła Sanna, przyciskając dłonie do oczu. -

Spałam. Spałam i nie wiem, co się stało. A jeżeli to byłam ja? Musisz to zbadać.

- Nie rozumiem, o czym mówisz. Jeżeli spałaś...

- Ale przecież znasz mnie! Zapominam! Jak wtedy, kiedy pierwszy raz zaszłam w ciążę. Nawet nie pamiętałam, że poszłam do łóżka z Ronnym. On mi o tym opowiedział. Jakie to było piękne. Do tej pory nic nie pamiętam. Ale zaszłam w ciążę, więc to musiała być prawda.

- Okej. Nie sądzę, żebyś to była ty. Białe plamy na mapie pamięci nie oznaczają, że można kogoś zabić. Ale musisz się porządnie zastanowić.

Sanna spojrzała na nią pytająco.

- Jeżeli to nie byłaś ty - kontynuowała wolno Rebeka - to ktoś musiał podrzucić ci Biblię i nóż. Ktoś chciał obarczyć cię winą. Ktoś, kto wie, że nigdy nie zamykasz drzwi na klucz. Rozumiesz? To nie był jakiś stuknięty gość z ulicy.

- Musisz zbadać, co się naprawdę wydarzyło - odpowiedziała Sanna.

Rebeka potrząsnęła głową.

- To jest zadanie dla policji.

Na dźwięk otwieranych drzwi zamilkły i spojrzały w górę. Nieznany im strażnik zajrzał do środka. Był wysoki, barczysty i z ostrzyżoną po wojskowemu głową. A mimo to Rebeka zobaczyła w nim zagubionego, stojącego niepewnie w drzwiach chłopca. Uśmiechając się z zażenowaniem, podszedł do nich i wręczył Sannie papierową torebkę.

- Przepraszam, że przeszkadzam - zaczął - ale niedługo kończę służbę i... No... i pomyślałem, że chce pani coś poczytać. I... kupiłem trochę słodczy.

Sanna odwzajemniła uśmiech. Szeroko i z iskrzącymi się oczami. Po czym pospiesznie spuściła wzrok, jakby ogarnęło ją zakłopotanie. Długie rzęsy położyły się cieniem na jej policzkach.

- Ach, dziękuję... Jak miło z pana strony!

- Proszę bardzo - wartownik przestępował z nogi na nogę. - Pomyślałem, że może się tu pani nudzić. - Przerwał na moment, ale nie znajdując odzewu u żadnej z kobiet, mówił

dalej. - No to w takim razie do widzenia...

Kiedy poszedł, Sanna zajrzała do papierowej torebki.

- Ty kupiłaś o wiele lepsze słodycze.

Rebeka westchnęła z rezygnacją.

- Naprawdę nie musisz mówić, że cukierki ode mnie są lepsze.

- Ale ja właśnie tak uważam!

*

Po wizycie u Sanny Rebeka udała się prosto do Anny Marii. Komisarz Mella siedziała w sali konferencyjnej komendy i jadła banana w taki sposób, jakby obawiała się, że za chwilę ktoś go jej odbierze. Na stole przed nią leżały trzy ogryzki jabłek. W odległym kącie pokoju stał telewizor, w którym policjantka oglądała nagrane na wideo spotkanie z Krysztalowego Kościoła. Na widok Rebeki w drzwiach Anna Maria oderwała wzrok od ekranu i powitała ją radośnie, jakby znały się od lat.

- Napijesz się kawy? - zapytała. - Przyniosłam dla siebie, w zasadzie nie wiem po co. Po prostu wysiada mi żołądek, teraz gdy...

Dokończyła zdanie gestem, wskazując wydatny brzuch.

Rebeka znieruchomiała. W całym ciele czuła budzącą się do życia przeszłość poruszoną twarzami z migającego ekranu. Chwyciła się kurczowo framugi. Gdzieś z oddali dochodził do niej głos Anny Marii.

- Zle się czujesz? Usiądź, proszę.

Na ekranie Thomas Söderberg przemawiał do parafian. Rebeka opadła na krzesło, czując na sobie zamyślony wzrok policjantki.

- To nagranie z wieczoru poprzedzającego noc, w którą został zamordowany Wiktor - wyjaśniła. - Chcesz trochę obejrzeć?

Rebeka kiwnęła głową. Pomyślała, że powinna powiedzieć coś na usprawiedliwienie. Na przykład że nie zdążyła nic zjeść albo coś w tym stylu. Ale milczała.

Za Thomasem Söderbergiem stał w pogotowiu chór gospel. Kilku chórzystów potwierdzało donośnie jego słowa. Przesianiu pastora towarzyszyły wykrzykiwane przez wiernych „alleluja” i „amen”.

„Zmienił się - pomyślała Rebeka. - Kiedyś miał prostą, pasiastą

koszulę ze stójką, dzinsy i skórzaną kamizelkę. Teraz wygląda jak bezwzględny japiszon w garniturze od Jacobssona i najmodniejszych okularach na nosie. A parafianie w ubraniach z H & M to zaledwie tanie kopie oryginalnej koncepcji sukcesu”.

- Jest doskonałym mówcą - skomentowała Anna Maria.

Jego lekkie, dowcipne opowiadki przechodziły nagle w głęboką, poważną opowieść. Tematem było otwarcie się na duchowe dary łaski. Pod koniec swojego krótkiego kazania poprosił wszystkich obecnych o podejście do niego, by napełnić się Duchem Świętym.

- Podejdź bliżej, będziemy się za ciebie modlić - powiedział głośno i jak na dany sygnał pojawili się u jego boku Wiktor Strandgård, dwóch pozostałych pastorów i kilku mężczyzn z Rady Starszych.

- *Szabala szala amen!* - zawołał pastor Isaksson. Maszerował tam i z powrotem, wymachując rękami. - Przyjdź do nas, ty, którego gnębi choroba i ból. Bóg nie chce, żebyś trwał w cierpieniu. Jest tu osoba z migreną. Bóg cię widzi. Podejdź bliżej. Pan nasz mówi, że jest tu siostra z wrzodem żołądka. Bóg chce położyć kres twemu cierpieniu. Nie potrzebujesz już żadnych leków. Pan zneutralizował żrący kwas w twoim ciele. Chodź, przyjmij dar uzdrowienia. Alleluja.

Ludzie zaczęli się przemieszczać. Po kilku minutach przed balustradą odgradzającą ołtarz mrowiło się od wiernych w ekstazie. Niektórzy leżeli na podłodze. Inni stali z wyciągniętymi do góry rękami i kołysali się jak trawa na wietrze. Z modlitwą, śpiewem i płaczem na ustach.

- Co oni robią? - zapytała Anna Maria.

- Poddają się mocy Ducha - odpowiedziała krótko Rebeka. - Śpiewają, mówią i tańczą w Duchu. Wkrótce kilku zacznie wygłaszać prorocтва. A chór będzie akompaniował wszystkim, śpiewając hymny pochwalne.

Chór zaintonował pieśń pochwalną, napływało coraz więcej ludzi. Niektórzy posuwali się do przodu, tańcząc, jakby byli czymś odurzeni.

Kamera dość często pokazywała w zbliżeniu Wiktora

Strandgärda. Trzymając w ręku Biblię, modlił się intensywnie za otęłego, poruszającego się o kulach mężczyznę. Za plecami Wiktora stała kobieta, również zagłębiona w modlitwie. Dotykała jego włosów, jakby chciała napełnić się mocą Boga. Wiktor stanął przed mikrofonem. Zaczął jak zwykle od pytania.

- O czym dzisiaj porozmawiamy?

Zawsze tak konstruował kazanie. Przygotowywał się, zatopiony w modlitwie, a później zgromadzeni w świątyni decydowali, o czym będzie mowa. Dużą częścią kazań był dialog ze słuchaczami. To również przyniosło Wiktorowi rozgłos.

- Opowiedz o niebie - zawołał ktoś z tłumu.

- Cóż mogę opowiedzieć o niebie - odpowiedział z bladym uśmiechem. - Kup moją książkę. Przeczytaj. Śmiało, inne propozycje?

- Opowiedz o sukcesie - zaproponował czyjś głos.

- Sukces... - zaczął Wiktor. - W królestwie Bożym nie można osiągnąć powodzenia na skróty. Pamiętacie Ananiasza i Safirę? Módlcie się za mnie. I módlcie się za to, co moje oczy widziały i co jeszcze zobaczą. Módlcie się o to, żeby moc spływająca z Boga ciągle jeszcze przechodziła przez moje ręce.

- Co on powiedział? - zapytała Anna Maria. - Ana... - zanim dokończyła, pokręciła niecierpliwie głową - ...i Safira, co to za jedni?

- Ananiasz i Safira, postacie z Dziejów Apostolskich - odpowiedziała Rebeka, nie odrywając oczu od telewizora. - Skradli pieniądze z pierwotnego kościoła i Bóg ukarał ich śmiercią.

- No proszę, a ja myślałam, że Bóg ukatrupiał ludzi tylko w Starym Testamencie...

Rebeka potrząsnęła głową.

Wiktor mówił jeszcze jakiś czas, a później znów powrócono do modlitwy wzajemnej. Dwudziestoparoletni mężczyzna w bluzie z kapturem i luźnych, wytartych dżinsach przepychał się ku Rajskiemu Chłopcui.

„Patrik Mattsson - pomyślała Rebeka. - To znaczy, że ciągle jeszcze w tym siedzi”.

Mężczyzna złapał Wiktora za ręce i zanim kamera ześlizgnęła

się na chór, Rebeka zdążyła zobaczyć, jak brat Sanny wzdryga się, cofa i wyrywa dłonie z uścisku Mattssona.

„Co to było? - zastanawiała się. - Co zaszło między nimi?”

Zerknęła na Annę Marię, która schylona, przeszukiwała stojące na podłodze pudło z kasetami.

- Tutaj jest taśma z nagraniem wczorajszego spotkania - powiedziała, wynurzając się spod stołu. - Chcesz zobaczyć?

Zaledwie w dzień po morderstwie Thomas Söderberg ponownie stał w kościele i wygłaszał kazanie. Deski podłogi pod jego stopami były brunatne od krwi, wokół leżało mnóstwo róż.

Wyraźnie odczuwało się poważną, ale rozognioną atmosferę. Pastor nawoływał członków wspólnoty do przygotowań przed nadchodzącą duchową wojną.

- Dzisiaj bardziej niż kiedykolwiek potrzebujemy Konferencji Cudów - grzmiał. - Szatan nie może uzyskać przewagi!

Parafianie odpowiedzieli gromkim „alleluja”.

- To niemożliwe! - powiedziała zszokowana Rebeka.

- Zastanówcie się dokładnie, komu ufacie - mówił dalej pastor.

- I nie zapominajcie, że „Kto nie jest ze Mną, jest przeciwko Mnie”¹¹.

- Właśnie nawołuje ludzi do nierozmawiania z policją - powiedziała w zamyśleniu. - Dąży do zamknięcia się wspólnoty. Anna Maria popatrzyła ze zdziwieniem na Rebeke, myśląc o kolegach z komendy, którzy przez cały dzień chodzili od domu do domu i próbowali dowiedzieć się czegoś od członków parafii. Na odprawie wszyscy, jak jeden mąż, narzekali na niechętnie nastawienie swoich rozmówców.

Podczas modlitwy wzajemnej rozpoczęto zbiórkę pieniędzy.

- Jeżeli miałeś zamiar podarować dziesiątkę, zawiń ją w stukoronowy banknot - entuzjasmował wiernych pastor Isaksson.

Również Curt Bäckström zabrał głos.

- O czym dzisiaj porozmawiamy? - zapytał wiernych dokładnie w ten sposób, w jaki czynił to Wiktor Strandgård.

„Czy on postradał wszystkie zmysły?”, pomyślała Rebeka.

¹¹ *Łk 11, 23.*

Słuchacze wiercili się niespokojnie na krzesłach. Nie padło ani jedno słowo. W końcu Thomas Söderberg uratował sytuację.

- Opowiedz o sile modlitwy wzajemnej!

Anna Maria wskazała głową ekran telewizora, z którego nauczał Bäckström.

- Ten człowiek modlił się w kościele, gdy rozmawialiśmy z pastorami - powiedziała.

- Wiem, że byłaś członkinią wspólnoty. Znałaś pastorów i parafian?

- Tak - odpowiedziała niechętnie Rebeka, dając wyraźnie do zrozumienia, że nie chce rozwijać tego tematu.

„Niekórych poznałam nawet w sensie biblijnym”, pomyślała właśnie wtedy, gdy kamera skierowała się na Thomasa Söderberga, który patrząc w obiektyw, patrzył prosto w oczy Rebeki.

Rebeka siedzi w fotelu w biurze Thomasa i płacze. Właśnie zaczęła się poświęteczna wyprzedaż, w mieście tłoczą się tłumy, szyldy z ręcznie wykaliografowanymi cyframi wyścielają całe wystawy. Atmosfera wzmacnia poczucie wewnętrznej pustki.

- Wydaje mi się, że on mnie nie kocha - kwili.

Mówi o Bogu.

- Czuję się jak pasierbica. Jak odmieniec.

Thomas, uśmiechając się ostrożnie, podaje jej chusteczkę.

Zasmarkana dziewczyna wyciera głośno nos. Właśnie skończyła osiemnaście lat, a maże się jak dziecko.

- Dlaczego nie słyszę jego głosu? - szlocha. - Ty go słyszysz, rozmawiasz z nim każdego dnia. Sanna też go słyszy. A Wiktor nawet go spotkał...

- Z Wiktorem to szczególna sprawa - wtrąca Thomas.

- Właśnie! - buczy Rebeka. - Też chciałabym poczuć, że jestem choć trochę szczególna.

Thomas siedzi przez chwilę w milczeniu, jak gdyby wsłuchując się w siebie, by znaleźć odpowiednie słowa.

- To kwestia treningu, Rebeko. Uwierz mi. Na początku, gdy myślałem, że słyszę jego głos, słyszałem tylko własne

wyobrażenie.

Sklada dłonie jak do modlitwy, wbija wzrok w sufit i pyta dziecięcym głosem:

- Lubisz mnie, Panie Boże?

I odpowiada sobie samemu potężnym basem:

- Tak, Thomas, przecież wiesz. Nieskończenie bardzo.

Rebeka śmieje się przez łzy.

Śmiech przybiera na sile i wprost kipi z niej tylko dlatego, że wypłakała pustą przestrzeń, którą łatwo zapełnić innym uczuciem. Thomas wtóruje radośnie. Ale nagle poważnieje i długo wpatruje się w jej oczy.

-I wiedz, że jesteś szczególna, Rebeko. Uwierz mi, jesteś szczególna.

Wtedy do jej oczu znów napływają łzy. Toczą się bezgłośnie po policzkach. Thomas wyciera je delikatnie dłonią, muskając jednocześnie usta Rebeki. Dziewczyna zamiera w miejscu. Dlatego żeby go nie wystraszyć, co zrozumie o wiele później. Söderberg wyciąga drugą rękę, osusza kciukiem łzy, a resztą palców chwytą włosy dziewczyny. Rebeka nagle czuje jego oddech. Spływa po jej twarzy niczym ciepła woda. Pachnie cierpko kawą, słodko - pierniczkami i jeszcze czymś, co jest tylko nim.

A później wszystko dzieje się tak szybko. Jego usta na jej ustach. Palce wplątane we włosy. Ona jedną ręką przytrzymuje go za głowę, a drugą nadaremnie usiłuje rozpiąć jedyny guzik koszuli. Jego ręce błądzą po jej piersiach i próbują wtargnąć pod spódnicę. Czas ich nagli. Spieszą się nad swoimi ciałami, zanim dogoni ich rozsądek. Zanim pojawi się wstyd.

Ona zaciska ręce na jego karku, on podnosi ją z krzesła, sadza na stole i jednym ruchem podciąga spódnicę. Ona chce, by w nią wszedł, przyciska go mocno do siebie. Gdy zrywa z niej rajstopy, zadrapuje ją boleśnie w udo. Ale ona zauważy to dopiero później. Nie ściąga jej majtek. Nie ma czasu. Odsuwa je tylko w kroku, rozpinając jednocześnie swoje spodnie. Przez jego ramię widzi klucz w zamku. Zdąży jeszcze pomyśleć, że powinni zamknąć drzwi, zanim poczuje go w

sobie. Otwartymi ustami przyciśniętymi do jego ucha nabiera powietrza w takt kolejnych pchnięć. Przywiera do niego jak małąka do swojej matki. On dochodzi powściągliwie i w milczeniu niczym w ostatnich konwulsjach. Pochyla się nad nią tak bardzo, że ona musi podeprzeć się ręką, aby nie upaść. I nagle on cofa się bez słowa. Robi tyłem kilka kroków, uderza o drzwi. Patrzy na nią wzrokiem bez wyrazu, potrząsa głową. A później odwraca się plecami i wygląda przez okno. Rebeka ześlizguje się ze stołu. Wkłada rajstopy i obciąga spódnicę. Jego plecy są jak ściana.

- Przepraszam - mówi pokornym głosem. - Nie miałam zamiaru...

- Bądź tak uprzejma i odejdz - odpowiada pastor chrapliwie. - Po prostu idź stąd.

Całą drogę do domu przemierza biegiem. Przemyka przez skrzyżowania, nie zważając na auta. Jest środek stycznia, na dworze panuje trzaskający mróz. Lodowate powietrze drapie boleśnie w gardle. Coś lepkiego sphywa po wewnętrznej stronie ud.

Drzwi otwały się gwałtownie i oczom kobiet ukazała się wykrzywiona wściekłością twarz Carla von Posta.

- A co się tutaj, kurwa, wyprawia? - zapytał. Nie uzyskawszy odpowiedzi, mówił dalej, zwrócony do Anny Marii. - Czym ty się zajmujesz? Przeglądasz materiał dochodzeniowy razem z nią? - Wskazał głową Rebeke.

- To nie są tajne dokumenty - odpowiedziała spokojnie komisarz. - Taśmy można kupić w księgarni przykościelnej. Rozmawialiśmy trochę. Czy to nie w porządku?

- Aha - warknął prokurator. - Ale teraz porozmawiasz ze mną! W moim pokoju. Za pięć minut.

Zamknął drzwi z trzaskiem.

Obie kobiety spojrzały po sobie bez słowa.

- Dziennikarka, która posadziła cię o pobicie, wycofała swoje zgłoszenie - przerwała ciszę Anna Maria.

Mówiła lekkim tonem, jakby podkreślając zmianę tematu i że to, co powiedziała, nie miało związku z von Postem. Ale

przesłanie było jasne.

„No tak, to musiało go niezłe rozdrażnić”, pomyślała Rebeka.

- Powiedziała, że upadła, ponieważ się poślizgnęła. I że w żadnym wypadku nie mogłaś jej potrącić naumyślnie - kontynuowała policjantka, podnosząc się wolno z krzesła. - Muszę już iść. Chciałaś jeszcze coś?

Myśli Rebeki krążyły pomiędzy Månsem, który najwyraźniej jednak porozmawiał z dziennikarką, a Biblią Wiktora.

- Biblia - zwróciła się do Anny Marii. - Chodzi mi o Biblię Wiktora. Macie ją tutaj czy... ?

- Nie, jeszcze nie skończyli jej analizy w Linköping. To trochę potrwa. A co?

- Chciałabym ją przejrzeć, jeśli to możliwe. Czy dałoby się ją skopiować w tym laboratorium? Oczywiście nie w całości, tylko te strony, na których są jakieś notatki. I kopie wszystkich karteczek, karteluszków i tym podobnych.

- Jasne - Anna Maria zamyśliła się. - To chyba jest do zrobienia. W zamian mogłabyś opowiedzieć o wspólnocie, gdybym miała jakieś pytania.

- O ile nie będą dotyczyły Sanny - zastrzegła się Rebeka, patrząc na zegarek.

Wkrótce musiała odebrać Sarę i Lovę. Pożegnała się z Anną Marią, ale zanim wyszła z komendy, usiadła na kanapie przy recepcji, wyjęła laptop i za pomocą komórki połączyła się z siecią. Wystukawszy adres Marii Taube, napisała:

”Cześć, Mario!

Pewien radca prawny we władzach podatkowych ma do ciebie słabość, prawda? Mogłabyś go poprosić o sprawdzenie paru osób fizycznych i jednej organizacji nonprofitowej?”

Po chwili na ekranie komputera ukazała się odpowiedź:

”Cześć, Serduszko. Mogę go poprosić o sprawdzenie tych rzeczy, o ile nie są prawnie chronione. M”.

„Ale przecież właśnie o takie chodzi - pomyślała rozczarowana Rebeka, przerywając połączenie z siecią. - Informacje

niepoufne mogę sobie znaleźć na własną rękę”.

Nie zdążyła jeszcze wyłączyć laptopa, kiedy zabrzączał telefon. Dzwoniła Maria Taube.

- Nie jesteś taka sprytna, jak myślałam - powiedziała.

- Co?! - Rebeka nie kryła zaskoczenia.

- Nie rozumiesz, że wszystkie maile w pracy mogą być kontrolowane? Pracodawca ma prawo przeczytać każdą przesyłkę elektroniczną. Chcesz, żeby współdziałowcy dowiedzieli się, że prosisz mnie o wydobywanie poufnych informacji od władz podatkowych? Myślisz, że ja chcę, żeby o tym wiedzieli?

- Nie - odpowiedziała potulnie Rebeka.

- A co konkretnie chcesz wiedzieć?

Rebeka zebrała myśli i wyrecytowała pospiesznie:

- Poproś go, żeby wszedł do LST i CST i sprawdził...

- Poczekaj, muszę zapisać. LST i CST, co to jest?

- Lokalny i Centralny System Transakcji. Poproś go o sprawdzenie wspólnoty Źródła Mocy i zatrudnionych tam pastorów, Thomasa Söderberga, Vesy Larssona i Gunnara Isakssona. Poproś, żeby sprawdził też Wiktora Strandgård. Interesuje mnie zestawienie bilansowe oraz rachunek zysków i strat wspólnoty. Chcę poznać sytuację finansową pastorów i Wiktora. Pensje, ich wysokość, przez kogo są wypłacane. Posiadane nieruchomości, papiery wartościowe, pozostały majątek.

- Okej.

- Jeszcze jedno. Możesz zalogować się na stronie Urzędu Patentowo-Rejestracyjnego i sprawdzić organizację wspólnoty? Gdy łączę się z siecią przez komórkę, ładowanie stron idzie w żółwym tempie. Zobacz, czy Źródło Mocy posiada akcje w jakiejś spółce nienotowanej na giełdzie albo udziały w jakiejś spółce jawnej, albo czymś takim. Sprawdź też pastorów i Wiktora.

- Mogę zapytać dlaczego?

- Nie wiem. Mam taką zachciankę. Jak już tutaj jestem, to mogę się zająć czymś sensownym.

- Jak to się mówi po angielsku? *Shake the tree*. A później się

zobaczy, co spadło. Czy chodzi ci o coś w tym rodzaju?

- Chyba tak.

Na dworze zaczęło już zmierzchać. Rebeka otworzyła Tjapp drzwi samochodu. Suczka, wystrzeliwszy jak z procy, przysiadła przy jednej z zasp. Zapalające się jedna po drugiej lampy uliczne oświetliły biały prostokąt papieru wsunięty za wycieraczkę audi. Najpierw przyszło jej do głowy, że to mandat za złe parkowanie, ale po chwili dostrzegła swoje imię napisane ołówkiem na kopercie. Wpuściła Tjapp na przednie siedzenie, wsiadła do samochodu, otworzyła kopertę i wyjęła ręcznie zapisaną kartkę. Litery były rozstrzelone i koślawe, jakby ktoś pisał w grubych rękawicach, albo niewłaściwą ręką.

»«Jeśli do występnego powiem: Występny musi UMRZEĆ - a ty nic nie mówisz, by występnego sprowadzić z jego drogi - to on UMRZE z powodu swej przewiny, ale odpowiedzialnością za jego ŚMIERĆ obarczę ciebie. Jeśli jednak ostrzegłeś występnego, by odstąpił od swojej drogi i zawrócił, on jednak nie odstępował od swojej drogi, to on umrze z własnej winy, ty zaś ocaliłeś swoją duszę«¹².

OSTRZEGAM CIĘ!»

Rebeka poczuła, jak strach ściska jej żołądek, jak jeży włosy na karku i ramionach. Przemogła w sobie ochotę, żeby odwrócić głowę i zobaczyć, czy ktoś ją obserwuje. Zmięła kartkę w kulkę i rzuciła na podłogę.

- Pokażcie się, pieprzeni tchórze! - powiedziała głośno do siebie, wyjeżdżając z parkingu.

Przez całą drogę do szkoły nie opuszczało jej wrażenie, że jest śledzona.

*

Siedząca za biurkiem dyrektorka szkoły i przedszkola w dzielnicy Bolagsområdet patrzyła na Rebeke z nieukrywaną niechęcią. Była przysadzistą kobietą około pięćdziesiątki. Gęste włosy ufarbowane na kolor bakłażana wieńczyły kwadratową twarz niczym wylakierowany hełm. Na biuście spoczywały

12 Ez 33, 8-9 (wyróżnienia w cytacie pochodzą od autorki).

zawieszane na łańcuszku okulary w kształcie kocich oczu, lekko splecione z naszyjnikiem z rzemyków, piór i ceramicznych paciorków.

- Naprawdę nie rozumiem, co według pani w tej sytuacji może zrobić szkoła - powiedziała, strzepując niewidoczny pyłek z wzorzystego sweterka.

- Przecież właśnie pani wyjaśniłam - odparła Rebeka, próbując ukryć niecierpliwość.

- Personel szkoły i przedszkola nie może wydawać Sary i Lovy nikomu innemu poza mną.

Dyrektorka uśmiechnęła się pobłażliwie.

- Nie chcemy wtrącać się w rodzinne sprawy. Już to kiedyś powiedziałam matce dziewczynek, Sannie Strandgård.

Rebeka podniosła się i pochyliła nad stołem.

- Zupełnie mnie nie interesuje, czego pani chce, a czego nie - powiedziała głośno. - Jako szefowa placówki oświatowej ma pani cholerny obowiązek dopilnować, żeby dzieci na terenie szkoły były bezpieczne cały czas, aż do momentu, w którym zabiorą je ich rodzice albo opiekunowie. Jeżeli nie wykona pani mojego polecenia, to znaczy nie poinformuje personelu, że tylko ja mogę odbierać dziewczynki, to pani nazwisko jako osoby nadużywającej władzy wobec dzieci pojawi się w mediach. Proszę mi uwierzyć, media rzucą się na ten temat. Moja komórka pęka w szwach, tak dużo mam wiadomości od dziennikarzy, którzy chcą ze mną rozmawiać o Sannie Strandgård.

Skóra na twarzy dyrektorki napięła się wokół ust.

- Czy takim się człowiek staje, pracując w stołecznej kancelarii adwokackiej?

- Nie - odpowiedziała zmęczonym głosem Rebeka. - Takim się człowiek staje, gdy ma do czynienia z ludźmi pani pokroju.

Przez chwilę patrzyły na siebie w milczeniu, w końcu dyrektorka ze wzruszeniem ramion przerwała ciszę.

- Doprawdy, niełatwo rozeznąć się w sytuacji - odparowała. - Najpierw dziewczynki wolno było odbierać i dziadkom, i bratu. I nagle tydzień temu wpadła tutaj jak bomba Sanna Strandgård i zakomunikowała, że jedynie ona może odbierać dzieci. A teraz

tylko pani...

- Naprawdę tak powiedziała w ubiegłym tygodniu? Że tylko ona? Wyjaśniła dlaczego?

- Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że jej rodzice są najtroskliwszymi osobami, jakie można sobie wyobrazić. Zawsze chętni do pomocy.

- Tak, to pani akurat wie - odpowiedziała zirytowana Rebeka.
- A teraz idę odebrać Sarę i Lovę.

O szóstej wieczorem Rebeka siedziała w kuchni babci w Kurravaara. Sivving, z zakasаныmi rękawami, stał przy piecu. Na ciężkiej, żeliwnej patelni smażył płatki mięsa renifera. Do ugotowanych właśnie ziemniaków dodał mleko, masło, dwa żółtka i za pomocą elektrycznego miksera zrobił puszyste purée. Na zakończenie oprószył wszystko solą i pieprzem. Tjapp i Bella siedziały u stóp Sivvinga jak posłuszne cyrkowe pudle, zahipnotyzowane płynącymi od pieca cudownymi zapachami. Lova i Sara leżały na materacu przed telewizorem i oglądały „Wieczorynkę”.

- Wziąłem ze sobą trochę kaset wideo, gdybyście chciały obejrzeć - zwrócił się Sivving do dzieci. - *Król Lew* i kilka innych rysunkowych. Leżą tam w reklamówce.

Rebeka przeglądała nieuważnie stary numer „Poradnika Domowego”. Z Sivvingiem przy piecu w kuchni zrobiło się ciasno i przytulnie. Gdy po raz drugi tego samego dnia pojawiła się u niego z prośbą o klucz, od razu zapytał, czy nie są głodne, i zaproponował, że ugotuje im kolację. Ogień pod blachą huczał i trzaskał, szumiało w kominie.

„W rodzinie Strandgå w wydarzyło się coś szczególnego - pomyślała. - Nie popuszczę jutro Sannie”.

Spojrzała na Sarę. Sivving zdawał się nie przejmować jej milczącą twarzą zwróconą gdzieś w inną stronę.

„Nie będę się tak cholernie starać - pomyślała. - Dam jej spokój”.

- Chyba potrzebują trochę rozrywki dla zabicia czasu - powiedział, wskazując głową dziewczynki. - Chociaż wygląda na to, że teraz przez te filmy i

gry komputerowe dzieciaki nie potrafią się bawić na dworze. Pamiętasz Manfreda po drugiej stronie rzeki? Opowiadał mi, że latem były u niego wnuki. W końcu zmusił je do wyjścia z domu i zabawy na świeżym powietrzu. „W lecie w domu można siedzieć tylko wtedy, gdy leje jak z cebra”, powiedział im. I dzieciaki wyszły. Ale nie miały pojęcia, co mają robić. Stały na podwórku jak niemrawe sieroty. Po jakimś czasie Manfred zobaczył, jak stoją w kółku ze splecionymi rękami. Kiedy je zapytał, co robią, odpowiedziały, że modlą się do Boga, żeby zesłał ulewę.

Ściągnął patelnię z pieca.

- Słuchajcie, moje panie, jedzenie na stole!

Obok mięsa i ziemniaków postawił plastikowy pojemnik po lodach wypełniony konfiturą z brusznic.

- Bożeż ty mój, co za dzieciaki! - zaśmiał się. - Manfreda zatkało.

*

Måns Wenngren siedział na taborecie w przedpokoju i odsłuchiwał wiadomość zapisaną na automatycznej sekretarce. Wiadomość od Rebeki. Nie ściągnął jeszcze płaszcza i nie zapalił światła. Odtworzył ją trzy razy. Wsłuchiwał się uważnie w nagrany głos. Brzmiał inaczej. Jak gdyby spuściła go ze smyczy. W pracy głos Rebeki chodził posłusznie przy nodze. Nigdy mu nie pozwalała zerwać się do biegu w poszukiwaniu uczuć, nigdy mu nie pozwalała grzebać w duszy.

„Dziękuję, że załatwiłeś tę sprawę z dziennikarką - powiedziała. - Widocznie znalezienie końskiej głowy nie zajęło ci zbyt wiele czasu albo może rozwiązałeś to w zupełnie inny sposób? Mam wyłączoną komórkę, bo co chwilę dzwonią do mnie dziennikarze. Ale regularnie odsłuchuję pocztę głosową i sprawdzam pocztę elektroniczną. Jeszcze raz dzięki. Dobranoc”.

Zastanawiał się, czy tę zmianę widać też w wyglądzie Rebeki. Jak wtedy, gdy spotkał ją w recepcji o piątej rano. On był po całonocnych, mozolnych pertraktacjach, a ona właśnie przyszła do pracy. Pieszko. Miała rozwichrzone włosy, jeden kosmyk

przylepił się do policzka. Twarz była zaróżowiona od rześkiego powietrza, oczy lśniące i prawie radosne. Zapamiętał jej zaskoczenie. I niemalże zawstydzenie. Zatrzymał się, zaczął rozmowę, ale Rebeka, odpowiedziawszy coś szybko, prześlizgnęła się obok niego i zniknęła w swoim biurze. - Dobranoc - rzucił w pustkę mieszkania.

I NASTAŁ WIECZÓR, I NASTAŁ PORANEK - DZIEŃ TRZECI

Kwadrans po trzeciej w nocy zaczyna padać śnieg. Początkowo lekki, później coraz bardziej gęsty. Wysoko w niebiosach, ponad pokładami grubych chmur przewala się szaleńczo zorza polarna. Wije się niczym wąż. Rozprzestrzenia ku uciesze gwiazdozbiorów.

Kristina Strandgård siedzi w metalizowanym volvo męża w podziemnym garażu. W pomieszczeniu jest ciemno. Jedyne w samochodzie świeci się punktowa lampka do czytania. Kobieta ma na sobie błyszczący, pikowany szlafrok i pantofle. Lewa dłoń spoczywa na kolanach, prawa zaciska się kurczowo na kluczykach. Uszczelniła bramę do garażu zrolowanymi dywanikami z gałganków. Drzwi z garażu do domu zamknęła na klucz. Szpary między futryną a drzwiami zalepiła papierową taśmą.

„Powinnam płakać - pomyślała. - Powinnam być jak Rachel: »Krzyk usłyszano w Rama, płacz i jęk wielki. Rachel opłakuje swe dzieci i nie chce utulić się w żalu, bo ich już nie ma«¹³. Ale ja nie czuję nic. Jakbym była wyłożona białym szeleszczącym papierem. To ja jestem chora w naszej rodzinie. Myślałam, że jest inaczej, ale to ja jestem chora”.

Wkłada kluczyk do stacyjki. Ale nawet wtedy nie chcą popłynąć łązy.

*

Sanna Strandgård stoi w celi z czołem przyciśniętym do zimnych, żelaznych prętów w oknie ze szklanych pustaków. Patrzy na ścieżkę prowadzącą do zielonych, blaszanych fasad wzdłuż ulicy Konduktörsgatan. W snopie światła latarni stoi w śniegu Wiktor. Jest zupełnie nagi, jeśli nie liczyć ogromnych,

¹³ Mt 2, 18.

jasnopopielatych skrzydeł, którymi otula swe ciało. Płatki śniegu spadają na jego głowę niczym gwiazdny deszcz. Iskrzą się w żółtym świetle. Nie topnieją na jego nagiej skórze. Wiktor podnosi oczy i spogląda na siostrę.

- Nie mogę ci wybaczyć - szepcze Sanna, rysując palcem po szkle. - Ale cud przebaczenia dokonuje się w sercu, więc jeżeli ty wybaczysz mnie, to może...

Zamyka oczy i widzi Rebekę. Jej ręce są unurzane we krwi aż po łokcie. Wyciąga swoje ramiona i trzyma je w opiekuńczym geście nad głową Sanny i Lovy.

- Przykro mi, Rebeko. Ale to ty musisz to zrobić - mówi.

Kiedy zegar na ratuszu wybija piątą, Kristina Strandgård wyjmuje kluczyk ze stacyjki i wychodzi z samochodu. Odciąga zrolowane dywaniki od bramy garażu. Odrywa papierową taśmę z futryny i - zmiętą w kulkę - chowa do kieszeni szlafroka. A później przekracza próg kuchni i zagniata w niej ciasto na chleb. Dodaje trochę siemienia lnianego, bo przecież Olof miewa zaparcia.

Środa, 19 lutego

Wcześniej rano w domu Anny Marii Melli zadzwonił telefon.

- Nie odbieraj - zachrypiał Robert.

Ale ręka kobiety, z wieloletniego przyzwyczajenia, sięgnęła po słuchawkę.

Sven Erik Stålnacke.

- To ja - powiedział krótko. - Masz zadyszkę?

- Właśnie szłam po schodach.

- Zdażyłaś wyrzeć przez okno? Przez noc napadało śniegu jak cholera.

- Mmmm.

- Dostaliśmy wyniki ekspertyzy z Linköping. Na nożu nie ma żadnych śladów linii papilarnych. Został dokładnie wypłukany i wytarty. Ale to jest narzędzie zbrodni. U nasady ostrza, przy rękojeści, znajdowały się śladowe ilości krwi Wiktora. Jego krew zabezpieczono również w zlewie kuchennym u Sanny

Strandgård.

Anna Maria mlasnęła językiem o podniebienie.

- A von Post bzikuje. Chciał, żebyśmy znaleźli obciążające dowody rzeczowe. Zadzwoił do mnie o wpół do szóstej rano i zaczął wyc o motywie i o tym, że musimy znaleźć to tępe narzędzie, którym potraktowano chłopca w tył głowy.

- No, ale ma rację - odpowiedziała Anna Maria.

- Myślisz, że ona to zrobiła?

- To byłoby cholernie dziwne. Ale ja nie jestem psycholożką.

- W każdym razie von Post-Srost zamierza ją znów przycisnąć.

- Co to znaczy „przycisnąć”?

- Nie wiem. Chce ją w każdym razie jeszcze raz przesłuchać. I wspomniał o przeniesieniu jej do aresztu w Luleå.

- Do jasnej cholery - wybuchła Anna Maria. - Czy on naprawdę nie pojmuje, że zastraszanie tej kobiety nic nie pomoże? Zresztą planuję porozmawiać z nią sama. Uczestnictwo w przesłuchaniu prokuratora daje tyle co nic.

- Bądź ostrożna. Nie zaczynaj przesłuchań za jego plecami, bo jak się dowie, to rozpęta piekło.

- Znajdę sobie jakiś pretekst do rozmowy. Lepiej, żebym to ja przegięła strunę niż ty.

- Kiedy się pojawisz w komendzie? - zapytał. - Masz tutaj jakąś tonę papieru, przyszła faksem z Linköping. Dziewczyny w sekretariacie biegają jak w ukropie, pytają, czy wszystko trzeba wpisać do rejestru, i są nadąsane, bo faks był rano totalnie zablokowany.

- To kopie fragmentów Biblii Wiktora. Powiedz dziewczynom, że nie muszą ich rejestrować.

- No to kiedy przyjdiesz? - zapytał ponownie Sven Erik.

- To... trochę potrwa - odpowiedziała wymijająco. - Robert musi odśnieżyć samochód

I tak dalej...

- Dobrze, dobrze. Spotkamy się, kiedy się zobaczymy.

Odłożył słuchawkę.

- To na czym skończyliśmy? - zaśmiała się łobuzersko Anna Maria, spoglądając na męża.

- Na tym - odpowiedział ze śmiechem Robert.
- Leżał pod nią nagi i wędrował dłońmi przez jej ogromny brzuch ku piersiom.
- Byliśmy dokładnie tutaj - powiedział, masując jej ciemne brodawki. - Dokładnie tutaj.

*

Rebeka Martinsson stała na podwórzu przed domem babci. Umocowaną na kiju szczotką ryżową odśnieżała samochód. Wydobyć audi spod ogromnych ilości świeżego puchu nie było łatwym zadaniem. Czuła, jak poci się pod czapką. Ciągle było ciemno, ciągle padał gęsty śnieg. Masy sypkiego pyłu na drogach i zero widoczności. Czekala ją średnio wesoła podróż do miasta. O ile w ogóle uda jej się stąd wyjechać. Sara i Lova przyglądały się jej przez kuchenne okno. Nie było sensu, żeby - przysypywane śniegiem - czekały na dworze albo marzły w lodowatym samochodzie. Tjapp obiegła dom i po chwili zniknęła z pola widzenia. Po pierwszym sygnale komórki Rebeka założyła słuchawkę na ucho i przedstawiła się niecierpliwie:

- Rebeka.
- Tu Maria, hej! - zaczęła radośnie jej koleżanka. - Czyli jednak odbierasz telefony? Spodziewałam się rozmowy z twoją pocztą głosową.
- Właśnie zadzwoniłam do sąsiada i poprosiłam o pomoc w odśnieżaniu, żebym mogła stąd wyjechać - dyszała Rebeka. - Muszę odwieźć dzieci do szkoły i przedszkola, a tutaj pada na potęgę. Nie mogę się wygrzebać spod śniegu.
- „Muszę odwieźć dzieci do przedszkola” - przedrzeźniała Maria. - Czy na pewno rozmawiam z Rebeką Martinsson? Mówisz jak sfrustrowana matka małych dzieci. Jedną nogą w przedszkolu, drugą w pracy i całe szczęście, że wkrótce piątek i że będzie można odetchnąć ze szklaneczką i paczką chipsów, oglądając *Drogę do gwiazd*.

Rebeka roześmiała się. Przez zasłonę śniegu przedzierały się w szaleńczym tempie Tjapp i Bella, wzbijając wokół siebie tumany białego puchu. Bella prowadziła. Głęboki śnieg

nie ułatwiał zadania Tjapp, która miała o wiele krótsze nogi. Za chwilę na pewno pojawi się Sivving.

- Zdobyłam informacje o wspólnocie, tak jak chciałaś - powiedziała Maria. - I obiecałam Johanowi Dahlströmowi, że odwdzięczę się kolacją, a to znaczy, że jesteś mi winna wieczór od gospody do gospody albo coś w tym stylu. Mam ochotę pokazać się w Sturehof, żeby mnie trochę popodziwiano.

- To całkiem dobry interes. Dla ciebie oczywiście - dodała Rebeka, dysząc, i kolejny raz przeciągnęła szczotką po masce audi. - Najpierw twój Johan będzie nalegał, żeby zapłacić za dziękczynną kolację, a później ja sfinansuję twoje wyjście do luksusowej knajpy, żebyś mogła zabłysnąć rasowymi nogami.

- On nie jest moim Johanem, to po pierwsze. I bądź wdzięczna i grzeczna, bo inaczej nie dostaniesz informacji.

- Jestem wdzięczna i grzeczna - odpowiedziała posłusznie Rebeka. - Dawaj!

- Okej, więc Johan powiedział, że wspólnotę obowiązują szczególne zasady prowadzenia rachunkowości.

- O kuźwa!

- Nigdy nie zajmowałam się organizacjami nonprofitowymi. Co to znaczy? - zapytała Maria.

- To znaczy, że mają status organizacji pożytku publicznego, zwolnionej z płacenia podatku dochodowego i majątkowego. Nie składają żadnych deklaracji i sprawozdań podatkowych w urzędzie skarbowym. Nie ma możliwości sprawdzenia ich działalności.

- Jeżeli chodzi o Wiktora Strandgård, wspólnota płaciła mu dość kiepską pensję. W każdym razie w ciągu dwóch ostatnich lat. Żadnych innych dochodów. Żadnego majątku. Żadnych nieruchomości. Żadnych papierów wartościowych.

W naciągniętej głęboko na oczy futrzanej czapce, z ogromną szuflą w rękę wkroczył na podwórze Sivving. Szedł ze spuszczoną głową, nie zauważył powitalnego skinienia Rebeki. Psy rzuciły się ku niemu i zaczęły radosny taniec wokół jego nóg.

- Pastorowie wyciągają czterdzieści pięć tysięcy miesięcznie - ciągnęła Maria.

- To nieprzyzwoicie dobra pensja jak dla pastora - skomentowała Rebeka.

- Thomas Söderberg posiada dość wypchany portfel akcji, pół bańki mniej więcej. Jest też właścicielem niezabudowanej nieruchomości na wyspie Värmdö.

- Sztokholmskiej Värmdö?

- Tak, wartość dla celów podatkowych: czterysta dwadzieścia tysięcy. A przecież na rynku może być warta ile bądź. Dom Vesy Larssona jest wart milion dwieście. Wybudowany dość niedawno. Wyceniony w ubiegłym roku. Larsson wziął milionową pożyczkę. Prawdopodobnie na dom.

- A Gunnar Isaksson? - zapytała Rebeka.

- Nic specjalnego. Trochę obligacji, trochę oszczędności w banku.

- Okej. A wspólnota jako organizacja? Posiada jakieś spółki? Za plecami Rebeki pojawił się Sivving.

- Hej! Mówisz do siebie? - wykrzyknął jowialnie.

- Poczekaj chwilkę - rzuciła w mikrofon i odwróciła się do sąsiada. Spod szalika wyzierała mu tylko niewielka część twarzy. Na czapce zdążył się utworzyć kopczyk śniegu. - Rozmawiam przez telefon - odpowiedziała, wskazując na kabelek łączący komórkę ze słuchawką. - Nie mogę ruszyć z miejsca. Przy każdej próbie koła buksują.

- Mówisz do telefonu przez kabelek? - zapytał. - Boże, zmiłuj ty się, niedługo będą wszywać telefon pod czaszkę już na oddziale położniczym. Rozmawiaj, nie przeszkadzaj sobie.

Zaczął odgarniać śnieg przed samochodem.

- Halo! - powiedziała Rebeka do mikrofonu.

- Jestem, jestem. Wspólnota nie ma nigdzie żadnych udziałów, ale sprawdziłam też pastorów i ich rodziny. Żony są współudziałownicami w spółce handlowej VictoryPrint.

- Sprawdziłaś tę firmę?

- Nie, ale decyzje o wymiarze podatku są jawne, możesz sama zajrzeć do urzędu skarbowego. Nie chciałam jeszcze raz pytać Johana. Był średnio zadowolony, gdy okazało się, że musi ściągać informacje z obcych sieci transakcji.

- Serdeczne dzięki. Teraz muszę pomóc Sivvingowi w

odśnieżaniu. Zadzwoń później.

- Bądź ostrożna - powiedziała Maria, zanim odłożyła słuchawkę.

*

Noc opuszczała Sannę Strandgård niespiesznie. Odplywając przez szklane luksfery i ciężkie stalowe drzwi, ustępowała miejsca nieprzejechanemu dniu. Dużo jeszcze czasu miało upłynąć, zanim na dworze zrobi się zupełnie jasno. Na razie ciemność pod sufitem rozpraszało jedynie wdzierające się przez okno blade światło latarni. Sanna leżała nieruchomo na pryczy. „Jeszcze chwilkę”, prosiła, ale miłosierny sen zniknął bezpowrotnie.

Wydawało się jej, że nie ma czucia w twarzy. Wysuniętą spod kołdry ręką dotknęła ust. I dłoń stała się przez chwilę miękkimi włosami Sary. A nos rozpamiętywał zapach Lovy. Ciągłe jeszcze pachnie jak małe dziecko, chociaż powoli staje się dużą dziewczynką. Ciało Sanny odprężyło się i rozplynęło we wspomnieniach. Sypialnia w mieszkaniu. Wszystkie cztery w łóżku. Lova z ramionami zarzuconymi na jej szyję. Sara przytulona do jej pleców. I Tjapp leżąca na stopach córki. Czarne łapki przebierają dzielnie nawet we śnie. Wszystko miała wytatuowane na skórze, zapisane wewnątrz dłoni i ust. Cokolwiek się stanie, ciało zapamięta.

„Rebeka - pomyślała. - Nie utracę ich. Rebeka to załatwi. Nie będę płakać. To i tak nic nie pomoże”.

Godzinę później drzwi celi uchyliły się delikatnie. Przez szparę do środka wpłynęło światło z korytarza i ktoś zapytał szeptem:

- Nie śpisz?

To była Anna Maria Mella. Policjantka z długim warkoczem i ogromnym brzuchem.

W strudze światła ukazała się znajoma twarz.

- Chciałam zapytać, czy chcesz śniadanie. Mogą być kanapka i herbata?

Gdy Sanna przytaknęła, policjantka wyszła, nie domykając drzwi.

Z korytarza dobiegł ją zmęczony głos strażnika:

- Do jasnej cholery! Pani Mella!

- Eeee, dajże pan spokój. Cóż ona może zrobić? Myśli pan, że opuści celę i wysadzi drzwi pancerne?

„Ona z pewnością jest dobrą mamą - pomyślała Sanna. - Taką, która zostawia uchylone drzwi, żeby dzieci słyszały jej krzątanie w kuchni. Taką, która nie gasi lampki nocnej, gdy straszy ciemność”.

Po paru minutach Anna Maria wróciła, niosąc w jednej ręce dwie kanapki z ogórkiem, a w drugiej kubek z herbatą. Pod pachą miała jakiś segregator. Zatrzasnęła drzwi nogą. Kubek był trochę obity i należał kiedyś do „najlepszej babci na świecie”.

- Oj! - wykrzyknęła Sanna, siadając na pryczy. - Myślałam, że w mamrze karmią tylko chlebem i wodą.

- No, przecież to jest chleb i woda - zaśmiała się Anna Maria. - Mogę się przysiąść?

Sanna zrobiła zapraszający gest i komisarz usiadła w nogach posłania. Segregator położyła na podłodze.

- Opadł - powiedziała Sanna między łykami herbaty, wskazując głową brzuch policjantki. - To już chyba niedługo?

- Tak, już niedługo - uśmiechnęła się Anna Maria.

Przez chwilę panowało między nimi milczenie. Sanna jadła kanapki, odgryzając niewielkie kęsy. Ogórek chrupał między zębami. Anna Maria patrzyła przez okno na padający gęsto śnieg.

- Morderstwo twojego brata miało cechy, jak by to powiedzieć, religijne - odezwała się zamyślona. - W jakiś sposób rytualne.

Sanna przestała przeżuwać. Kęs chleba zaczął rosnać w jej ustach.

- Wyklute oczy, odrąbane dłonie, wielokrotnie zadane rany - mówiła dalej policjantka. - Miejsce, w którym leżały zwłoki. W środku przejścia do ołtarza. I żadnych śladów walki czy przemocy.

- Jak baranek ofiarny - wyszeptła Sanna.

- Właśnie - zgodziła się z nią Anna Maria. - I przyszedł mi na myśl fragment Pisma Świętego: „oko za oko, ząb za ząb”.

- To z jednej z Ksiąg Mojżeszowych - powiedziała Sanna i

podniosła leżącą na podłodze Biblię.

Znalazłszy odpowiednią stronę, przeczytała na głos:

- „Jeżeli zaś ona poniesie jakąś inną szkodę, wówczas on odda życie za życie, oko za oko, ząb za ząb...” - zrobiła przerwę i przejrzała szybko resztę tekstu, zanim przeczytała go policjantce: - „rękę za rękę, nogę za nogę, oparzenie za oparzenie, ranę za ranę, siniec za siniec”¹⁴

- Kto miał powód do zemsty? - zapytała Anna Maria.

Sanna zwlekała z odpowiedzią, pozornie bez celu kartkując Biblię.

- W Starym Testamencie często pozbawiają ludzi wzroku - odezwała się w końcu. - Filistyni wyłupili oczy Samsonowi. Ammonici zaproponowali obłązonym w Jabesz przymierze, pod warunkiem że wyklują każdemu prawe oko.

Ucichła na dźwięk klucza w zamku. W otwartych drzwiach ukazał się strażnik z Rebeką Martinsson. Jej włosy opadały mokrymi strąkami na ramiona. Z oczu spływała rozpuszczona mascara. Nos przypominał wściekle czerwony, kapiący kran.

- Dzień dobry! - przywitała się, rzucając kwaśne spojrzenie w kierunku uśmiechniętych kobiet na pryczy. - Tylko o nic nie pytajcie!

Strażnik powrócił na swój posterunek, Rebeka ciągle stała w drzwiach.

- Odmawiacie poranną modlitwę?

- Rozmawialiśmy o wyklutych oczach w Biblii - odpowiedziała Sanna.

- Na przykład o tym: „oko za oko, ząb za ząb” - dorzuciła Anna Maria.

- Mmmm - zastanawiała się Rebeka. - Ten sam motyw pojawia się jeszcze w którejś Ewangelii: „Jeśli twoje oko jest dla ciebie powodem grzechu...” i tak dalej. Gdzie to jest?

Sanna przewracała strony Biblii.

- U Marka - powiedziała po chwili. - Tutaj, Marek 9, 43 i następne. „Jeśli zatem twoja ręka jest dla ciebie powodem grzechu, odetnij ją; lepiej jest dla ciebie ułomnym wejść do życia [wiecznego], niż z dwiema rękami pójść do piekła w ogień

¹⁴ Wj 21, 23-25.

nieugaszony. I jeśli twoja noga jest dla ciebie powodem grzechu, odetnij ją; lepiej jest dla ciebie chromym wejść do życia, niż z dwiema nogami być wrzuconym do piekła. Jeśli twoje oko jest dla ciebie powodem grzechu, wyłup je; lepiej jest dla ciebie jednookim wejść do królestwa Bożego, niż z dwojgiem oczu być wrzuconym do piekła, gdzie robak ich nie ginie i ogień nie gaśnie”¹⁵.

- Ojoj! - wykrzyknęła Anna Maria z emfazą.

- Dlaczego zaczęłyście o tym rozmawiać? - zapytała Rebeka, ściągając płaszcz.

Sanna odłożyła Biblię.

- Pani komisarz powiedziała, że morderstwo Wiktora być mogło być rytualne.

W celi zapadło niewygodne milczenie. Rebeka przyglądała się policjantce z surową miną.

- Nie chcę, żebyś rozmawiała z Sanną o morderstwie podczas mojej nieobecności - powiedziała ostrym tonem.

Anna Maria pochyliła się z wysiłkiem do przodu, podniosła z podłogi segregator, wstała z pryczy i spojrzała Rebecę w oczy.

- Nie planowałam tego - powiedziała. - Po prostu tak wyszło. Pójdę z wami do sali widzeń. Rebeko, gdy będziecie gotowe, poproś strażnika, żeby odprowadził Sannę do łazienki, dobrze? Spotkamy się w pokoju przesłuchań za czterdzieści minut.

Podaa Rebecę segregator.

- Proszę - uśmiechnęła się pojednawczo. - Kopie fragmentów Biblii Wiktora, o których mówiłaś. Naprawdę mam nadzieję, że będzie nam się dobrze współpracować.

„Zero dla ciebie”, pomyślała Rebeka, kiedy policjantka opuściła celę.

Gdy zostały same, opadła na krzesło i z zaciętą twarzą obserwowała Sannę, która stojąc przed oknem, przyglądała się spadającym z nieba płatkom śniegu.

- Kto mógł zostawić ten nóż w twoim mieszkaniu? - zapytała Rebeka.

- Nikt mi nie przychodzi do głowy. Wiem dokładnie tyle, ile wiedziałam wcześniej, czyli nic. Spalam. Obok łóżka pojawił się

¹⁵ Mk 9, 43-48.

Wiktor. Posadziłam Lovę na sankach, wzięłam Sarę za rękę i poszłam do kościoła. I tam go znalazłam.

Umilkły. Rebeka otworzyła segregator od Anny Marii. Pierwsza kopia przedstawiała tylną stronę widokówki bez znaczka. Wpatrując się w charakter pisma, Rebeka poczuła przeszywający ciało chłód. Te same rozstrzelone, koślawe litery, jakby autor pisał w grubych rękawicach albo niewłaściwą ręką.

„To, co zrobiliśmy, w oczach Boga nie jest występkiem.

Kocham cię”.

- Co ci jest? - zapytała przerażona Sanna, widząc blednącą twarz Rebeki.

„Nie mogę jej powiedzieć o kartce za wycieraczką samochodu - pomyślała. - Strawi ją niepokój. Umrze ze strachu o dzieci”.

- Nic - odpowiedziała. - Ale posłuchaj tego.

Przeczytała głośno treść kartki.

- Kto go kochał, Sanno?

Sanna spuściła oczy.

- Nie wiem. Mnóstwo ludzi.

- Rzeczywiście nic nie wiesz - zauważyła z przekąsem Rebeka. Czowała narastającą irytację. Coś tu się nie zgadzało, ale nie mogła na to „coś” wpaść.

- Pokłóciłaś się z Wiktozem przed jego śmiercią? Dlaczego nie pozwoliłaś ani jemu, ani waszym rodzicom odbierać dziewczynkę?

- Już ci przecież mówiłam - odpowiedziała niecierpliwie. - Wiktor na pewno przekazałby je mamie i tacie.

Rebeka wyjrzała zamyślona przez okno. Patrik Mattsson. Na taśmie wideo widziała, jak złapał Wiktora za rękę, a Wiktor się wyrwał.

- Jeżeli mam zdążyć przed przesłuchaniem, to muszę wziąć prysznic teraz - zakomunikowała Sanna.

Rebeka skinęła głową, nieobecna. Właśnie postanowiła, że porozmawia z Patrikiem.

Wyrwała ją z zadumy Sanna, głaszcząc pospiesznie po włosach.

- Kocham cię, Rebeko - wyznała łagodnie. - Moja najukochańsza siostrzo.

„Wzruszające, kuźwa, jak wszyscy człowieka kochają - pomyślała Rebeka. - Kłamią, oszukują i zjadają na śniadanie, a wszystko z czystej miłości”.

Rebeka i Sanna siedzą przy kuchennym stole. Sara leży w pokoju, na fotelu sako i słucha Jojje Wadeniusa. To jej poranny rytuał. Kleik, Jojje i sako. Z radia w kuchni słychać Jedynekę. Pomarańczowa, adwentowa gwiazda ciągle wisi w oknie, chociaż to już luty. Ale takie resztki bożonarodzeniowych dekoracji i trochę dodatkowego światła są tu potrzebne, żeby ludzie dotrwali do przedwiośnia. Sanna przygotowuje kanapki. Gdy ekspres do kawy wyda ostatni bulgot i zamilknie, Sanna rozleje czarny napój do kubków i postawi je na stole.

Nudności przechodzą przez Rebekę jak potężna fala. Zrywa się od stołu i pędzi do łazienki, ale nie zdąży nawet podnieść klapy. Prawie cała zawartość żołądka wyleje się na sedes i posadzkę.

Sanna w zielonym, skosmaconym szlafroku staje w drzwiach i obserwuje niespokojnie koleżankę, która właśnie z kącika ust wyciera ręką nitkę śliny i wymiocin. Rebeka odwraca głowę, pojmując, że Sanna zrozumiała.

- Kto? - pyta Sanna. - Wiktor?

- Ma prawo wiedzieć - twierdzi Sanna.

Znów siedzą przy stole. Kawę wylały do zlewu.

- Dlaczego? - pyta ostro Rebeka.

Czuje się jak zamknięta w kapsule z grubego szkła. Już od jakiegoś czasu. Ciało budzi się wcześniej niż ona. Usta otwierają na widok szczoteczki do zębów. Ręce zaścielają łóżko.

Nogi idą do szkoły imienia Hjalmara Lundbohma. Czasami Rebeka zatrzymuje się w połowie drogi i zastanawia, czy to nie sobota. Czy w ogóle musi iść do szkoły. To dziwne, ale nogi zawsze mają rację. Rebeka przychodzi do właściwej klasy, w odpowiednim dniu i o odpowiedniej godzinie. Ciało radzi sobie całkiem dobrze bez jej udziału. Unika kościoła. Nieobecność tłumaczy nauką, gripą albo wyjazdem do babci

w Kurravaara. A Thomas Söderberg ani o nią nie pyta, ani nie dzwoni.

- Ponieważ to jest jego dziecko - tłumaczy Sanna. - Prędkiej czy później i tak to zrozumie. To znaczy za kilka miesięcy będzie widać.

- Nie - głos Rebeki jest bezbarwny. - Nie będzie widać.

Przygląda się Sannie, do której właśnie dociera sens wypowiedzianych słów.

- Nie, Rebeko, proszę... - kręci głową.

Oczy nabiegają jej łzami, chwytą Rebekę za rękę, ona wyrywa się, wstaje, wkłada buty i puchową kurtkę.

- Kocham cię, Rebeko - woła za nią. - Nie rozumiesz, że to dar? Pomogę ci...

Milknie pod pogardliwym spojrzeniem Rebeki.

- Wiem - kończy cicho. - Uważasz, że nie potrafię zaopiekować się ani sobą, ani Sarą...

Chowa twarz w dłoniach i wybucha nieukojonym płaczem.

Rebeka wychodzi z mieszkania. Tłucze się w niej wściekłość.

Ręce zaciskają w rękawicach. Mogłaby teraz kogoś zabić.

Obojętnie kogo.

Sanna chwytą telefon i wystukuje numer. Odbiera Maja, żona Thomasa Söderberga.

*

Patrik Mattsson obudził się w swoim mieszkaniu kwadrans po jedenastej. Z przedpołudniowego snu wyrwał go dźwięk przekręcanego w zamku klucza. A po chwili głos matki. Kruchy jak jesienny lód. Pełen niepokoju. Słyszał, jak woła jego imię, kiedy przechodzi obok łazienki. Zatrzymała się w progu pokoju, zawołała jeszcze raz. W końcu zapukała do drzwi.

- Halo! Patrik!

„Powiniennem odpowiedzieć”, pomyślał.

Przesunął się odrobinę, terakota chłodziła mu przyjemnie twarz. Musiał tu zasnąć. Na podłodze w łazience. Zwinięty w kłębek jak płód. W ubraniu.

Ponownie głos matki. Niecierpliwe pukanie.

- Halo! Patrik, otwórz, proszę! Dobrze się czujesz?

„Nie, nie czuję się dobrze. Nigdy już nie będę się dobrze czuł”.
Usta uformowały imię. Ale nie potrafił przez nie przejść żaden dźwięk.

Wiktor. Wiktor. Wiktor.

Matka zaczęła szarpać za klamkę.

- Patrik, otwórz natychmiast! Bo zaraz zadzwonię po policję i oni te drzwi wyważą! Boże drogi. Uklęknął. W głowie dudniła wiertarka udarowa. Doskwierał ból biodra umęczonego twardym podłożem.

- Już idę - wychrypiał. - Trochę... źle się czuję. Chwileczkę.
Cofnęła się przed otwieranymi drzwiami.

- Jak ty wyglądasz! Jesteś chory?

- Tak.

- Zadzwonić i powiedzieć, że dzisiaj nie przyjdiesz?

- Nie. Muszę lecieć.

Spojrzał na zegarek.

Poszła za nim do pokoju. Na podłodze wały się skorupy doniczek. Wymiętoszony dywan spoczywał gdzieś w kącie. Jeden z foteli stał do góry nogami.

- Co tutaj się działo? - zapytała słabym głosem.

Odwrócił się i objął jej ramiona.

- To ja sam, mamó. Ale nie bój się. Już mi lepiej.

Skinęła ze zrozumieniem głową, ale widział, że zbiera się jej na płacz. Odwrócił się.

- Muszę iść do grzybiarni.

- Zostanę tu i posprzątam - powiedziała, podnosząc z podłogi szklankę.

- Nie, mamó. Proszę, naprawdę nie musisz... - wzbraniał się przed jej uległą troską.

- Ze względu na mnie - wyszeptwała, próbując złowić jego spojrzenie.

Przygryzła dolną wargę, ciągle walczyła z płaczem.

- Wiem, że nie chcesz mi się zwierzać. Ale jeśli pozwolisz mi tu posprzątać, to... - przelknęła jeszcze raz - to przynajmniej będę miała poczucie, że coś dla ciebie zrobiłam.

Opuściwszy ramiona, zmusił się, by objąć ją na pożegnanie.

- Okej! Jesteś bardzo miła.

Wybiegł z mieszkania.

Wsiadł do golfa, przekręcił kluczyk w stacyjce. Ruszył z kopyta z wciśniętym sprzęgłem. Przez moment ryk silnika zagłuszył jego myśli.

„Tylko nie zacznij teraz płakać”, upomniął się na wszelki wypadek.

Przesunął wsteczne lusterko, obejrzał pospiesznie swoją twarz. Zapuchnięte oczy. Zmęczone strąki na głowie. Gruchnął głuchym śmiechem, który zabrzmiał jak kaszel. Zdecydowanym ruchem odepchnął lusterko.

„Już nigdy nie będę o nim myślał - obiecał sobie. - Nigdy więcej”.

Wjeżdżając na Gruvvägen, wpadł w lekki poślizg. Przyspieszył pod górę, w kierunku Lappgatan. Jechał na pamięć, w gęstym śniegu widoczność była równa zeru. Odśnieżone wczesnym rankiem drogi zasypywał nieustannie biały pył, który zdradziecko rozstępował się pod oponami. Patrik docisnął pedał gazu. Od czasu do czasu koła ślizgały się bezwolnie, przetaczając samochód w lewo.

Na skrzyżowaniu z Lappgatan nie miał szans, samochód po prostu ześlizgnął się na drugą stronę jezdni. Kącikiem oka dostrzegł kobietę z dzieckiem na fińskich sankach. Cofnęła błyskawicznie dwuślad za zwały śniegu, uniosła rękę i najprawdopodobniej pokazała mu środkowy palec. Przy kaplicy lestadian zmieniło się podłoże. W śniegu ubitym kołami samochodów utworzyły się niebezpieczne koleiny, a golf dalej chciał jechać po swojemu. Patrik nie pamiętał później, w jaki sposób pokonał skrzyżowanie z ulicą Hjalmara Lundbohma. Czy na pewno zatrzymał się na światłach?

Przejechał obok budki, machając strażnikowi ręką. Zaczytany w gazecie mężczyzna nawet nie spojrział w górę. Patrik zatrzymał się przy bramce wjazdowej do tunelu prowadzącego do kopalni. Drżał na całym ciele. Szukał w kieszeni papierosów, ale jego palce nie były w stanie wykonać najprostszej czynności. Czuł się pusty w środku. To dobrze. Przez ostatnie pięć minut nie pomyślał o Wiktorze ani razu. Zaciągnął się głęboko.

- Spokojnie - szeptał do siebie - tylko spokojnie.

Może powinien być zostać w domu? Ale uwięziony cały dzień w mieszkaniu, chyba by wyskoczył przez balkon.

„Oooo, nie próbuj nawet - szydził z siebie samego. - Jakbyś miał na tyle odwagi! Rozbijanie filiżanek i doniczek to jedyne, na co cię stać”.

Opuścił boczną szybę i wyciągnął rękę, żeby włożyć przepustkę do czytnika.

Gdy czyjaś dłoń zacisnęła się na jego przegubie, wzdrygnął się tak mocno, że popiół z papierosa spadł mu na kolana. Żołądek ścisnął się ze strachu. Po chwili ujrzał znajomą twarz.

- Rebeka Martinsson - stwierdził ze zdumieniem.

Śnieg zatrzymywał się w jej ciemnych włosach, białe płatki topniały na nosie.

- Chcę z tobą porozmawiać - poprosiła.

Skinął w stronę miejsca dla pasażera.

- No to wskakuj!

Zawahała się. Przypomniała sobie wiadomość na samochodzie.

„Występny musi umrzeć, ostrzegam cię”.

- *It's now or never*, jak śpiewa Elvis - zachęcił Patrik, przechylając się nad siedzeniem, by otworzyć drzwi.

Spojrzała na drogę do kopalni. Czarną dziurę prowadzącą w głąb ziemi.

- Okej, ale mam psa w samochodzie. Za godzinę muszę być z powrotem.

Rebeka obesła samochód, usiadła obok kierowcy i zatrzasnęła drzwi.

„Nikt nie wie, gdzie jestem”, pomyślała, gdy Patrik wsunął przepustkę w szparę czytnika. Szlaban uniósł się powoli.

Patrik puścił sprzęgło i zaczęli zjeżdżać w dół. Przed nimi błyszczały przymocowane do ścian światelka odbłaskowe, za nimi zamykała się ciemność. Jak ciężka, aksamitna kurtyna.

Podtrzymując konwersację, Rebeka miała wrażenie, że ciągnie na smyczy niechętnego psa.

- Zatykają mi się uszy. Dlaczego?

- Różnica wysokości.
- Jak głęboko mamy zjechać?
- Pięćset czterdzieści metrów...
- A więc zostałeś hodowcą grzybów?

Brak odpowiedzi.

- Shitake, nigdy ich nie jadłam. Sam się tym zajmujesz?
- Nie.
- Aha, jest was więcej? Nie jesteś tutaj teraz sam?

Brak odpowiedzi, szybka jazda w dół.

Patrik zaparkował przed podziemnym warsztatem. Nie było tu żadnych drzwi, tylko wielki otwór wykuty w skale. Wewnątrz krzżeli się mężczyźni w kombinezonach i kaskach. W rękach trzymali różne narzędzia. W oczekiwaniu na reperację niczym potężne potwory stały w rzędach maszyny wiertnicze firmy Atlas Copco.

- Tędy - wskazał drogę Patrik.

Rebeka podążyła za nim, patrząc jeszcze przez chwilę na pracowników warsztatu. Chciała, żeby któryś ją zobaczył.

Po obu stronach wznosiły się czarne skały. Wypływająca tu i ówdzie woda farbowała kamienne ściany na zielono.

- To miedź - wyjaśnił Patrik, odpowiadając na pytanie Rebeki. Zgasił papierosa o podeszwę i otworzył ciężkie stalowe drzwi.

- Myślałam, że pod ziemią obowiązuje zakaz palenia.

- A niby dlaczego? Tutaj nie ma żadnych gazów wybuchowych ani czegoś w tym rodzaju.

Zaśmiała się.

- To świetnie. W takim razie możesz się ukrywać pięćset metrów pod ziemią i popalać do woli.

Przytrzymując drzwi, zrobił zapraszający gest do środka.

- Nigdy nie zrozumiałam tej listy grzechów, która obowiązuje we wspólnocie - powiedziała, odwracając się, by nie mieć Patrika za plecami. - Nie pal. Nie pij alkoholu. Nie chodź na dyskoteki. Skąd oni to wzięli? O nieumiarkowaniu w jedzeniu i picciu, o niedzieleniu się z potrzebującymi, o grzechach wymienianych w Biblii nie mówi się nic.

Drzwi zamknęły się za nimi z łoskotem. Patrik włączył światło.

Pomieszczenie przypominało spory bunkier. Z sufitu zwisały umocowane na szynach stalowe półki, na których leżało coś przypominającego ogromne kielbasy albo opakowane w plastik bale drewna. Rebeka pytała, Patrik odpowiadał.

- Owinięte folią trociny olchy - wyjaśniał. - Zaszczepione grzybnią. Gdy poleżą odpowiednio długo, wystarczy ściągnąć folię i wstrząsnąć drewno ręką. Wtedy zaczynają się roszyć grzyby, a po pięciu dniach można zbierać.

Zniknął za plastikową kotarą w dalszej części pomieszczenia. Po chwili wrócił z kilkoma kłocami obrosniętymi shitake. Położył je na stole i wprawna ręką zaczął zbierać dojrzałe owocniki, które jeden po drugim wrzucał do kartonowego pudła. W powietrzu rozszedł się zapach grzybów i wilgotnego drewna.

- Tutaj na dole jest odpowiedni klimat. Lampy zapalają się i gasną automatycznie, robiąc superkrótkie dni i noce. Koniec niezobowiązującej gadki. O co ci chodzi, Rebeko?

- Chcę porozmawiać o Wiktorze.

Popatrzył na nią bez wyrazu. Rebeka odniosła wrażenie, że powinna była ubrać się inaczej. Prościej. Teraz stali obok siebie, każdy z innej planety, i próbowali nawiązać dialog. Ona w swoim cholernym płaszczu i drogich rękawiczkach.

- Kiedy tutaj mieszkałam, byliście sobie bliscy.

- Tak.

- Jaki był? Chodzi mi o to, jaki był po moim wyjeździe.

Po drugiej stronie draperii włączył się z sykiem system zraszający. Wytryskująca z sufitu woda spływała po sztywnym, przezroczystym plastiku.

- Był perfekcyjny. Piękny. Oddany. Był dobrym mówcą. Ale miał srogiego Boga. Gdyby żył w średniowieczu, zostałby biczownikiem, który na poranionych nogach wędruje do świętych miejsc.

Patrik zebrał grzyby z ostatniej beli i rozłożył je w kartonie.

- W jakim sensie został biczownikiem? - zapytała Rebeka.

Patrik zajmował się nieustannie grzybami, można było odnieść wrażenie, że rozmawiał bardziej z nimi niż z nią.

- No wiesz. Wyrzeknij-się-wszystkiego-co-nie-ma-związku-z-

Bogiem. Nie słuchaj innej muzyki niż chrześcijańska, bo w przeciwnym razie ryzykujesz wpływ złych duchów.

Przez pewien czas miał ochotę sprawić sobie psa, ale pies zabiera czas, a czas należy do Boga, więc nic z tego nie wyszło.

Pokręcił głową.

- Powinien był kupić sobie tego psa - dokończył.
- Ale jaki był? - zapytała ponownie Rebeka.
- Przecież już powiedziałem. Perfekcyjny. Wszyscy go kochali.
- A ty?

Nie odpowiedział.

„Nie przyszedłem tutaj po to, żeby poznawać tajniki uprawy grzybów”, pomyślała.

- Myślę, że ty też go kochałeś.

Patrik wciągnął powietrze nosem, zacisnął usta i wbił oczy w sufit.

- Wiktor to jedno wielkie oszustwo - wyrzucił z siebie. - Teraz już nic nie gra żadnej roli. I cieszę się, że nie żyje.

- Co masz na myśli? Jakie oszustwo?
- Rebeko, daj sobie spokój. Przestań dociekać.
- Napisałeś do niego kartkę? O tym, że go kochasz i że to, co robicie, nie jest występkiem?

Patrik ukrył twarz w dłoniach i potrząsał głową.

- Byliście ze sobą w związku?

Zapłakał.

- Zapytaj Vesę Larssona - łkał. - Zapytaj go o życie seksualne Wiktora!

Nagle zaczął szukać w kieszeni chusteczki do nosa. Nie znalazłszy jej, wytarł nos rękawem swetra. Rebeka zrobiła krok do przodu.

- Nie dotykaj mnie! - krzyknęła.

Zamarła w miejscu.

- Czy ty wiesz, czego żądasz? Ty, która uciekłaś, gdy życie okazało się zbyt trudne...

- Tak – szepnęła. Uniósł gwałtownie ręce.
- Czy ty rozumiesz, że mogę zburzyć całą świątynię? Zostanie tylko popiół. Ze Źródła Mocy i z całej wspólnoty, i ze szkoły... Wszystko się rozsypie! Gmina będzie mogła otworzyć tutaj

lodowisko do hokeja.

- „A prawda was wyzwoli” - przypomniała Rebeka.

Zamilkł.

- Wyzwoli! - splunął. - Czyżbyś czuła się wyzwolona?

Rozglądał się, jakby czegoś szukając.

„Szuka noża”, przeszło Rebecę przez myśl.

Uczynił gest, który mógł oznaczać: poczekaj! Ściśnięte palce, otwarta dłoń. I zniknął w drugiej części bunkra. Usłyszała odgłos zamykanych drzwi, później zapadła cisza. I tylko kapiące krople za kotarą. Szum prądu w jarzeniówkach.

Upłynęła minuta. Rebeka pomyślała o mężczyźnie, który zginął w kopalni w latach sześćdziesiątych. Zjechał w dół i nigdy nie wyjechał. Jego samochód stał na parkingu, ale on sam zniknął. Bez śladu. Nie znaleziono zwłok. Nie znaleziono nic. Nigdy.

A Tjapp w samochodzie na parkingu przed kopalnią? Jak długo żyłaby, gdyby Rebeka nie wróciła? Czy zaczęłyby szcekać, licząc na to, że zauważy ją jakiś przechodzień? A może położyłaby się tylko i zasnęła, przysypana śniegiem?

Podeszła do drzwi i z wielką ulgą odkryła, że nie są zamknięte na klucz.

Przez całą drogę do podziemnego warsztatu powstrzymywała się, żeby nie zacząć biec. Strach zniknął dopiero na widok ludzi, na odgłos hałaśliwych narzędzi i wyklepywanej blachy.

Z pomieszczenia wyszedł mężczyzna. Ściągnął kask i skierował kroki do zaparkowanego nieopodal samochodu.

- Jedzie pan na górę?

- A co? - uśmiechnął się. - Chce się pani ze mną zabrać?

Siedząc obok kierowcy, czuła na sobie jego rozbawiony i zaciekawiony wzrok. Chociaż w ciemności oczywiście niewiele widział.

- No więc jak? - odezwał się. - Często tu pani zagląda?

*

Tjapp przywitała Reбекę spojrzeniem pełnym wyrzutu.

- Przykro mi, dziewczuszko - powiedziała Rebeka, gdy z poczuciem winy otwierała drzwi samochodu.

- Zaraz odbierzemy Sarę i Lovę, a później pobawimy się dobrą

chwilę, obiecuję. Ale najpierw musimy zahaczyć o pewien urząd i sprawdzić jedną rzecz w ich komputerze, dobrze?

Przedzierając się przez zadymkę, dotarła do lokalnego urzędu skarbowego.

- Mam nadzieję, że wszystko wkrótce się skończy. Choć akurat teraz nie wygląda to różowo. Nie mogę tego zebrać do kupy.

Leżąca na przednim siedzeniu Tjapp słuchała uważnie. Z przechyloną głową i zatroskanym wyrazem pyska sprawiała wrażenie, że rozumie każde słowo.

„Dokładnie jak Jussi, babciny pies - pomyślała Rebeka. - To samo mądre spojrzenie”.

Przypomniła sobie, jak mężczyźni we wsi zwykli byli rozmawiać z Jussi, który chadzał, dokąd chciał i kiedy chciał.

„Brakuje mu tylko zdolności mówienia”, wzdychali.

- Twoja pani nie miała się dzisiaj dobrze podczas przesłuchania - kontynuowała Rebeka. - Przyciskana przez innych, kurczy się i jakby ulatnia przez okno. Nieobecna duchem i nonszalancka doprowadza prokuratora do białej gorączki.

Urząd skarbowy znajdował się w tym samym ceglany budynku co komisariat. Zaparkowawszy, Rebeka rozejrzała się dookoła. Ciągłe nie opuszczało jej nieprzyjemne uczucie z poprzedniego dnia, kiedy znalazła kartkę za wycieraczką.

- Pięć minut - zakomunikowała suczce, zamykając drzwi.

Wróciła po dziesięciu. Włożyła cztery komputerowe wydruki do schowka i potarła Tjapp między uszami.

- Teraz im, kuźwa, pokażę! - nie kryła triumfu. - Teraz niech lepiej odpowiadają na pytania! Zdążymy jeszcze zrobić jedną rzecz, zanim odbierzemy dziewczynki.

Wjechała na górę Sandstensberget, na której stał Kryształowy Kościół. Tjapp wyskoczyła z samochodu jak strzała.

„Możliwe, że będzie mi potrzebny sprzymierzeniec”, pomyślała Rebeka.

Idąc po stromym zboczu w kierunku kawiarni i księgarni, czuła, jak przyspieszyło jej serce. Ryzyko, że spotka kogoś

znajomego, było dość duże. Byle tylko nie był to któryś z pastorów albo z Rady Starszych.

„Zresztą jakie to ma znaczenie - wmawiała sobie samej. - Równie dobrze mogę spotkać ich teraz”.

Tjapp biegła od jednego słupa do drugiego, odczytując i zostawiając wiadomości. Przechodziło tędy wcześniej kilku nieznanymi jej psich chłopców.

W księgarni oprócz młodej sprzedawczyni nie było nikogo. Rebeka widziała ją po raz pierwszy. Miała krótkie włosy, pasemka i wiszący na szyi wielki krzyż, upstrzony szklanymi paciorkami. Uśmiechnąwszy się, zaszczebiotała:

- Proszę mi dać znać, jeżeli będzie pani potrzebowała pomocy. Widać było, że twarz Rebeki nie jest jej zupełnie obca, ale nie potrafiła sobie przypomnieć, skąd ją zna.

„Z telewizji”, podpowiedziała jej w myśli Rebeka, po czym skinęła grzecznie głową, zostawiła Tjapp przy wejściu, strzepnęła śnieg z płaszcza i powędrowała w stronę najbliższego regału.

Z głośników sączył się subtelnie chrześcijański pop, z sufitu zwisały szklane lampy z Ikei. Półki z płytami i książkami zostały dodatkowo oświetlone halogenami. Regały w środku lokalu były tak niskie, że nie dało się za nimi ukryć. Rebeka zajrzała za ogromne, szklane drzwi prowadzące do kawiarni. Drewniana podłoga była prawie sucha. Nie stąpało po niej dzisiaj wielu klientów w zaśnieżonych butach.

- Jak tutaj spokojnie - powiedziała do sprzedawczyni.

- Wszyscy są na seminariach. Mamy teraz Konferencję Cudów.

- Przeprowadzacie tę konferencję, mimo że Wiktor Strandgård...

- Tak - odpowiedziała szybko kobieta. - On by na pewno tego chciał. I Bóg tego chciał. Wczoraj i przedwczoraj było tu dużo dziennikarzy. Zadawali pytania, kupowali książki i kasety, ale dzisiaj jest bardzo spokojnie.

Tutaj. Rebeka znalazła w końcu półkę z książką Wiktora. *Do nieba tam i z powrotem*. Były też wersje angielska, niemiecka i francuska. Odwróciła ją. „Druk i oprawa: VictoryPrint SH”.

Obejrzała jeszcze kilka innych książek i czasopism. Wszystkie były wydrukowane w tej samej firmie. Na kasetach wideo widniał napis: „*Copyright by VictoryPrint SH*”. Bingo!

W tym samym momencie usłyszała za plecami tubalny i zdecydowanie zbyt hałaśliwy głos.

- Rebeka Martinsson, kopę lat!

Odwróciwszy się, stanęła nagle twarzą w twarz z pastorem Isakssonem. Świadomie podszedł tak blisko. Niemalże dotykał ją brzuchem.

„Doprawdy imponująca i przydatna część ciała”, pomyślała Rebeka.

Brzuch niczym straż przednia wystawał sponad paska, z łatwością wnikając w rewiry innych ludzi, podczas gdy właściciel krył się za nim na przepisową odległość. Rebeka przewyciężyła odruch, żeby zrobić krok w tył.

„Wytrzymałam, gdy modląc się w mojej intencji, kładłeś na mnie ręce - pomyślała.

- No więc, kurna, teraz też poradzę sobie z twoją bliskością”.

- Dzień dobry - powiedziała lekko.

- Czekałem, aż się pojawisz. Pomyślałem, że skoro już jesteś w mieście, to mogłabyś przyjść na któreś nasze wieczorne spotkanie.

Rebeka milczała. Z afisza na ścianie spozierał na nich Wiktor.

- Co sądzisz o księgarni? - mówił dalej Isaksson, rozglądając się z dumą. - Przebudowaliśmy ją w ubiegłym roku, połączyliśmy z kawiarnią, teraz można przeglądać książki, popijając kawę. Jeśli chcesz, tam możesz zostawić wierzchnie okrycie. Zaproponowałem, żeby na górnej półce w szatni przymocować szyld z napisem: „Tutaj zostaw rozszadek”.

Rebeka przyjrzała się pastorowi dokładniej. Widać było po nim dobre czasy. Okazały brzuch. Droga koszula, elegancki krawat. Nienagannie przystrzyżone włosy i broda.

- Co sądzę o księgarni? Sądzę, że wspólnota powinna wiercić studnie w Afryce i pomagać dzieciom ulicy parającym się prostytutką, na przykład zapewnić im dostęp do szkoły.

Gunnar Isaksson zmierzył ją wyniosłym spojrzeniem.

- Bóg nie zajmuje się sztucznym nawadnianiem - oznajmił

głośno, podkreślając słowo „Bóg”. - W naszej wspólnocie trysnęło źródło jego obfitości. Dzięki naszym modlitwom na całym świecie będą były takie źródła.

Zerknąwszy na kobietę za ladą, stwierdził z zadowoleniem, że udało mu się zwrócić również jej uwagę. Ucieranie nosa Rebecce było bardziej satysfakcjonujące w obecności innych.

- Wszystko tutaj - powiedział i zakreślił ręką szeroki łuk, obejmujący prawdopodobnie i Kryształowy Kościół, i całą pomyślność wspólnoty - to zaledwie początek.

- Zaawansowane pieprzenie trzy po trzy - odparła sucho Rebeka. - Ubodzy mają wymodlić sobie własne bogactwo, o to ci chodzi? A czy Jezus nie mówi: „Zaprawdę, powiadam wam: Wszystko, czego nie uczyniliście jednemu z tych najmniejszych, tegoście i Mnie nie uczynili”¹⁶? A jak potoczą się losy tych, którzy zostawili najmniejszych bez pomocy? „I pójdą ci na wieczną karę, sprawiedliwi zaś do życia wiecznego”¹⁷.

Policzki pastora poczerwieniały. Pochylił się nad rozmówczynią, jego oddech odbijał się od jej twarzy. Poczula zapach mentolu i pomarańczy.

- A ty oczywiście uważasz się za jedną ze sprawiedliwych? - wyszeptał urągliwie.

- Nie - odpowiedziała również szeptem Rebeka. - Ale może ty powinieneś przygotować się na towarzyszenie mi w piekle. - I nie pozwalając mu na ripostę, mówiła dalej. - Widzę, że firma VictoryPrint SH drukuje całkiem pokaźną część sprzedawanych przez was rzeczy. Twoja żona ma udziały w tej spółce.

- Aha - popatrzył na nią podejrzliwie.

- Sprawdziłam w urzędzie skarbowym. Ta spółka uzyskała od państwa niesamowity zwrot VAT-u. Nie potrafię znaleźć innego wyjaśnienia niż to, że w spółce poczyniono ogromne inwestycje. W jaki sposób było firmę na to stać? Czy twoja żona tak dobrze zarabia?

O ile pamiętam, pracuje jako nauczycielka, czyż nie?

- Nie masz prawa węszyć w dokumentach VictoryPrint -

¹⁶ Mt 25, 45.

¹⁷ Mt 25, 46.

syknął z wściekłością Isaksson.

- Decyzje Izby Skarbowej są jawne - odpowiedziała głośno Rebeka. - Chciałabym, żebyś odpowiedział mi na kilka pytań. Skąd pochodzą pieniądze na inwestycje w VictoryPrint? Czy coś szczególnego martwiło ostatnio Wiktora? Czy był z kimś w związku? Na przykład z mężczyzną należącym do wspólnoty? Isaksson cofnął się i popatrzył na Rebekę z obrzydzeniem. A po kilku sekundach skierował palec wskazujący ku drzwiom i wrzasnął:

- Won!

Kobieta za ladą aż podskoczyła. Spojrzała na nich przerażona. Tjapp podniosła się i zaszczekała.

Isaksson uczynił złowrogi krok do przodu, zmuszając Rebekę do cofnięcia się.

- Nie przychodź tutaj, żeby wygrażać Bożemu dziełu i ludziom Bożym - ryczał. - W imieniu Jezusa krzyżuję twoje plany! Słyszysz, co do ciebie mówię? Wynoś się!

Rebeka obróciła się na pięcie i pospiesznie opuściła księgarnię. Jej serce waliło jak oszalałe. Tjapp nie odstępowała jej ani na krok.

*

Nad babciną zagrodą powoli zapadał granatowy wieczór. Rebeka siedziała na sankach i przyglądała się baraszkującym w śniegu Lovie i Tjapp. Sara została w domu z książką. Nawet nie odpowiedziała przecząco na pytanie Rebeki, czy chce wyjść na dwór, tylko zamknąwszy drzwi, rzuciła się na łóżko.

- Rebeko, popatrz na mnie - zawołała stojąca na kalenicy piwniczki Lova i odwróciwszy się, runęła do tyłu. Nie było szczególnie wysoko. Leżała teraz w śniegu i wymachując rękami i nogami, robiła orla.

Bawiły się już prawie godzinę. Wybudowały trasę z przeszkodami. Trzeba było przeczołgać się tunelem w śnieżnej zaspie, okrążyć trzy razy wielką brzozę, wejść na dach piwniczki, przejść po kalenicy, wskoczyć do śniegu i pobiec na start. Ostatni odcinek w głębokim śniegu należy pokonać tyłem, zdecydowała Lova. Zajęta wyznaczaniem trasy

gałązkami sosny, weszła w konflikt z Tjapp, która z kolei uznała, że jej zadanie polega na podkradaniu gałązek i znikaniu z nimi w tajemnych miejscach, do których nie dociera światło latarni.

- Przestań, mówię - krzyczała zadyszana Lova do suczki, która, przeszczęśliwa, popędziła przed siebie z jeszcze jedną zdobyczą w pysku.

- Posłuchaj, panienko, może jednak nadeszła pora na trochę gorącej czekolady i kanapki? - spróbowała po raz trzeci Rebeka. Zmęczona i spocona od kopania śniegowego tunelu, teraz zaczęła marznąć. Chciała iść do domu. Wciąż padał śnieg.

Ale Lova nie miała najmniejszej ochoty wracać. Przecież musi się dowiedzieć, w jakim czasie pokonuje tor przeszkód.

- W takim razie zrobimy to od razu - oświadczyła Rebeka. - Poradzisz sobie bez gałązek. Przecież wiesz, któredy biegnie trasa.

Niełatwo biegać w głębokim śniegu. Lova okrążyła brzozę tylko dwa razy, a ostatni odcinek pokonała przodem. Docierając do mety, wpadła wycieńczona w ramiona Rebeki.

- Rekord świata!

- Teraz twoja kolej.

- Wolne żarty! Może jutro. A teraz do domu marsz!

- Tjapp! - zawołała Lova.

Psa nie było nigdzie widać.

- Wejdz do środka, a ja ją przywołam - powiedziała Rebeka. - Włóż piżamę i grube skarpety! - zdążyła jeszcze krzyknąć za odchodzącą, zanim Lova zniknęła na schodach.

Zamknąwszy za nią drzwi, Rebeka znów zaczęła nawoływać psa.

- Tjapp!!!

Miała wrażenie, że jej głos nie sięga dalej niż kilka metrów. Padający śnieg tłumił każdy dźwięk. Nasłuchując w mroku, słyszała jedynie niepokojącą ciszę. Rebeka zmobilizowała wszystkie siły, żeby zawołać jeszcze raz. Czuła się coraz bardziej nieswojo, gdy tak stała obnażona w przydomowym świetle i krzyczała, podczas gdy otaczający ją las odpowiadał

nieprzeniknioną czernią i milczeniem.

- Tjapp, chodź tutaj! Tjapp!

Cholerny pies. Zeszła z ganku z zamiarem obejścia domu, lecz coś ją powstrzymało.

„Przestań się wygłupiać”, upomniała samą siebie, ale nie przemogła się, żeby zrobić choć jeden krok, żeby zawołać psa jeszcze raz.

Nie potrafiła wymazać z pamięci kartki, którą znalazła na szybie samochodu, słowa „ŚMIERĆ” napisanego koślawymi literami. Pomyślała o Wiktorze. I o dzieciach w domu. Cofnęła się na ganek. Zabrakło jej odwagi, żeby odwrócić się plecami do czającego się w ciemności nieznanego. Gdy tylko weszła do środka, zamknęła drzwi na zasuwkę i wbiegła po schodach na piętro.

Z przedpokoju zadzwoniła do Sivvinga. Przyszedł po pięciu minutach.

- Pewnie ma cieczkę - powiedział. - Krzywda jej się nie dzieje. Prawdopodobnie dokładnie odwrotnie.

- Ale jest tak zimno - nie dawała za wygraną Rebeka.

- Jak jej będzie za zimno, to wróci do domu.

- Pewnie masz rację - westchnęła. - Ale trochę tu strasznie bez niej... - zawahała się.

- Pokażę ci coś. Poczekaj tutaj w przedpokoju, nie chcę, żeby dziewczynki to zobaczyły.

Zbiegła do samochodu po kartkę, którą znalazła za wycieraczką.

Sivving czytał, marszcząc brwi.

- Pokazałaś to policji?

- Nie. A co oni mogą zrobić?

- Nie wiem. Przydzielić ci ochronę albo coś.

Rebeka zaśmiała się pusto.

- Z powodu tej kartki? Nie, nie mają takich możliwości. Ale to nie wszystko.

Opowiedziała o widokówce z Biblii Wiktora.

- Jeżeli osoba, która to napisała, naprawdę kocha Wiktora?

- Tak?

- „To, co zrobiliśmy, w oczach Boga nie jest występkiem”. Nie

wiem, ale Wiktor nigdy nie miał żadnej dziewczyny. I myślę, że... uderzyła mnie myśl, że może jest ktoś, kto go kocha niedozwoloną miłością. I może ta osoba grozi mi, ponieważ sama czuje się zagrożona.

- Mężczyzna.

- Tak myślę. To nigdy nie zostałyby zaakceptowane we wspólnocie. Wyleciałby ze zboru na zbity pysk. I jeżeli tak jest i jeżeli Wiktor chciał to zachować w tajemnicy, to nie widzę powodu, żeby iść na policję i machać im tą kartką przed oczami. Już widzę te ogromne nagłówki w gazetach.

Sivving gładził się po głowie, pomrukując frasobliwie.

- Nie podoba mi się to. A jeśli ci się coś stanie?

- Nic mi się nie stanie. Ale niepokoję się o Tjapp.

- Chcesz, żebym przenocował tutaj z Bella?

Pokręciła głową.

- Wróci niedługo, zobaczysz - uspokajał. - Wyjdę jeszcze na chwilę i będę ją nawoływał.

Ale Sivving jest w błędzie. Tjapp nie wróci. Leży na gałgankowym chodniku w bagażniku jakiegoś samochodu z pyskiem owiniętym srebrną taśmą. Skrępowane ma również tylne i przednie łapy. Serce tłucze się w niewielkiej klatce piersiowej, oczy wpatrują w smolistą ciemność. Uczepiwszy się pazurami tkaniny, przesuwa się trochę do przodu i rozpaczliwie próbuje pozbyć się lepkiego kagańca, pocierając pyskiem o szorstką podłogę. Skruszone resztki ubitego zęba i krew spływają jej do gardła.

W jaki sposób akurat ten pies stał się tak łatwą ofiarą? Tjapp, którą poprzedni

właściciel maltretował dzień po dniu? Dlaczego nie rozpoznaje zła, wbiegając prosto w jego objęcia? Ponieważ umie zapominać. Tak jak jej pani. Po prostu zapomina. Wcisła radośnie pysk w śniegowy puch. A później wita się z każdym, kto pochylił się nad nią i wyciągnie dłoń. A teraz tutaj leży.

I NASTAŁ WIECZÓR, I NASTAŁ PORANEK - DZIEŃ CZWARTY

Adwokat Måns Wenngren zrywa się gwałtownie ze snu. Serce wali mu jak młotem. Płuca łakną powietrza. Szuka po omacku lampki, zapala. Jest dwadzieścia po trzeciej. I jak tu, kurwa, spać, kiedy mózg non stop bawi się w festiwal filmów grozy? Najpierw na jeziorze koło letniskowego domku pod jakimś samochodem załamał się cienki lód. A Måns stał bezradny na brzegu i tylko patrzył. Przez tylną szybę widział bladą z przerażenia twarz Rebeki. A teraz kiedy udało mu się ponownie zasnąć, powróciła we śnie i jak gdyby nigdy nic zarzuciła mu ramiona na szyję. Błądząc rękami po jej plecach, nagle poczuł, że zanurza dłonie w czymś ciepłym i mokrym. Cały tył głowy Rebeki był odstrzelony.

Siada na łóżku i opiera się o wezglowie. Dawniej było inaczej. Synowie i praca pochłaniali większość czasu. Måns spał stanowczo za mało, ale spał prawdziwym snem. Teraz kładąc się nad ranem, rzadko kiedy wpada w objęcia Morfeusza. Raczej pogrąża się w stanie ciężkiej nieprzytomności pozbawionej marzeń sennych. A jeszcze gorzej, gdy pójdzie spać trzeźwy. Budzi się co chwila z ciałem pulsującym paniką. A do tego poci się jak wieprz.

W mieszkaniu jest cicho jak w grobie. Słyszc tylko oddech Månsa i monotony szum wentylacji. Wszystkie inne dźwięki dochodzą z zewnątrz. Brzęczenie licznika prądu na klatce schodowej. Wytrenowane kroki roznosiciela gazet, przeskakującego po dwa stopnie w górę i po trzy w dół. Samochody i nocni wędrowcy na ulicy za oknem. Kiedy chłopcy byli mali, pokój wypełniał się ich odgłosami. Szybkie, krótkie oddechy młodszego Johana. Posapywanie Callego spod góry pluszaków. No i oczywiście Madelene, która pochrapywała przy

każdym, nawet najmniejszym przeziębieniu. Z biegiem czasu robiło się coraz ciszej. Chłopcy przeprowadzili się do swoich pokoi. Madelene leżała jak trusia, udając, że śpi, gdy wracał późno do domu.

Nie, to nie ma sensu. Poddaje się. Puści sobie jakiś film ze starym dobrym Clintem Eastwoodem, weźmie szklaneczkę macallana. Może uda mu się zasnąć w fotelu.

W górach ciągle pada śnieg. Samochody i domy w Kurravaara znikają pod grubą białą pierzyną. Na kuchennej ławie w domu babci czuwa Rebeka.

„Powinnam wstać i rozejrzeć się za psem - mówi do siebie. - A jeśli stoi tam na dworze z przemarzniętymi łapkami?”

I tak nie może zasnąć. Zamyka oczy, przewraca się na drugi bok. Ale głowa w zmęczonym ciele wcale nie jest śpiąca.

Z tym nożem to jakaś dziwna historia. Dlaczego go opłukano? Jeżeli ktoś chciał obarczyć winą Sannę i podrzucił nóż w jej mieszkaniu, dlaczego umył ostrze? Przecież lepiej byłoby z ewentualnych odcisków wyczyścić tylko trzonek, a całą resztę zostawić we krwi. A teraz istnieje ryzyko, że nie będzie można powiązać narzędzia z morderstwem. Jest coś, czego Rebeka nie widzi. Jak na obrazku składającym się z mrowia punkcików, na którym nagle pojawia się jakiś motyw. Właśnie takie ma odczucie. Wszystkie kropeczki są na miejscu. Trzeba tylko odkryć łączący je wzór.

Zapala lampkę przy łóżku i ostrożnie podnosi się z posłania. Ława odpowiada swojskim skrzypieniem. Rebeka nasłuchuje przez chwilę, bojąc się, że obudziła dzieci. Wsuwa stopy w lodowate buty i schodzi na dół.

Stoi w śniegu, wołając psa, który nie przybiegnie.

Wraca na górę, na środku kuchni zastaje Sarę. Dziewczynka odwraca się sztywno na dźwięk jej kroków. W tym ogromnym wełnianym swetrze i obwisłych kalesonach jej ciało zdaje się niesamowicie kruche.

- Co się stało? - pyta Rebeka. - Śniło ci się coś?

W tym samym momencie dostrzega, że Sara płacze.

Przerażający to płacz. Suchy i spazmatyczny. Dolna szczęka porusza się w górę i w dół jak u drewnianej kukielki.

- Co ci jest? - pyta jeszcze raz, zrzucając buty. - Czy to dlatego, że zniknęła Tjapp?

Sara nie odpowiada. Osobliwy płacz ciągle wykrzywia jej twarz. Ale ramiona wysuwają się odrobinę do przodu, jakby dziewczynka chciała je wyciągnąć ku Rebecce. Gdyby tylko potrafiła.

Rebeka podnosi ją, nie napotykając oporu. Trzyma w ramionach nie nastolatkę, ale małą dziewczynkę. Zaledwie dziecko. I jakaż ona lekka! Kładzie ją na ławie, a później sama mości się obok. Obejmuje ramionami ciało Sary, dławione niemym płaczem i spięte jak w bólu. W końcu zapadają w sen.

Około piątej budzi Reбекę szuranie Lovy. Dziewczynka bez słowa wdrapuje się na ławę, przyciska mocno do pleców Rebeki, wsuwa rękę pod jej sweter i zasypia.

Zaczyna być gorąco jak w piekarniku, ale Rebeka nie ma odwagi się poruszyć.

Czwartek, 20 lutego

O wpół do szóstej rano Manne postanowił obudzić Svena Erika Stålnackego. Najpierw przespacerował się po jego śpiącym ciele, od czasu do czasu wydając krótkie, żalosalne miauknięcia. Kiedy to nie pomogło, zbliżył się truchtem do jego twarzy i delikatnie pacnął policzek łapą. Ale mężczyzna spał jak zabity. Manne umieścił więc łapkę przy nasadzie włosów i wysunąwszy nieznacznie pazury, wbił je lekko w skórę głowy. A potem szarpnął. Komisarz natychmiast otworzył oczy i wysupłał szpony ze swoich włosów. Czule pogłaskał kota po burym, przegowanym grzbiecie.

- Tu jesteś, skurczybyku - przywitał go dobrodusznie. - Mówisz, że pora wstawać?

Manne zamiauczał oskarżycielsko, zeskoczył z łóżka i wybiegł z sypialni.

Sven Erik słyszał, jak kot błyskawicznie przemieścił się do przedpokoju, by teraz dla odmiany pomiauczeć pod drzwiami

wyj ściowymi.

- Idę już, idę.

Wziął zwierzaka od córki, gdy ta przeprowadzała się z chłopakiem do Luleå. „Jest przyzwyczajony do wolności - powiedziała. - Rozumiesz chyba, jak by się nudził, zamknięty w mieszkaniu. Jest podobny do ciebie, tato. Niezbędne mu do życia lasy i przestrzeń”.

Sven Erik wstał z łóżka i otworzył kotu drzwi, ale Manne wystawił tylko pyszczek, zorientował się, że sypie śnieg, zawrócił i podreptał w głąb przedpokoju.

- Ale o co ci chodzi? - zapytał Sven Erik. - Nic na to nie poradzę, że śnieg jest upierdliwy. Albo wychodzisz, albo zostajesz w domu i przestajesz drzeć ryja.

W kuchni wyciągnął puszkę z karmą dla kotów. Manne krzychał wniebogłosy, by zwrócić na siebie uwagę pana i krążył wokół jego nóg tak długo, aż w miseczce pojawiło się jedzenie. Sven Erik napełnił maszynkę zmielonymi ziarnami, już po chwili kawa bulgotała na płytce. Gdy zadzwoniła Anna Maria, właśnie zatapiał zęby w pierwszej kanapce.

- Posłuchaj - zaczęła energicznie. - Rozmawiałam wczoraj rano z Sanną Strandgård o tym, że morderstwo wygląda na rytualne, i o fragmentach Biblii, w których mowa o odrąbanych rękach, wyklutych oczach i tak dalej.

Sven Erik pomrukiwał potakująco między kolejnymi kęsami chleba.

- Sanna przeczytała mi na głos fragment Ewangelii według świętego Marka 9, 43: „Jeśli zatem twoja ręka jest dla ciebie powodem grzechu, odetnij ją; lepiej jest dla ciebie ułomnym wejść do życia [wiecznego], niż z dwiema rękami pójść do piekła w ogień nieugaszony. I jeśli twoja noga jest dla ciebie powodem grzechu, odetnij ją; lepiej jest dla ciebie chromym wejść do życia, niż z dwiema nogami być wrzuconym do piekła. Jeśli twoje oko jest dla ciebie powodem grzechu, wyłup je; lepiej jest dla ciebie jednookim wejść do królestwa Bożego, niż z dwojgiem oczu być wrzuconym do piekła, gdzie robak ich nie ginie i ogień nie gaśnie”.

- No i? - zapytał Sven Erik, czując, że nie nadaża.

- Ale opuściła początek tekstu! - wykrzyknęła podniecona komisarz. - Słuchaj, Ewangelia według świętego Marka 9, 42: „kto by się stał powodem grzechu dla jednego z tych małych, którzy wierzą, temu lepiej byłoby kamień młyński uwiązać u szyi i wrzucić go w morze”.

Sven Erik przytrzymał słuchawkę barkiem i podniósł łaszącego się u stóp Mannego.

- Identyczne fragmenty są też w Ewangeliach świętego Łukasza i świętego Mateusza - kontynuowała Anna Maria. - U Mateusza jest napisane, że aniołowie dzieci w niebie zawsze wpatrują się w oblicze Boga. I gdy poszperałam w egzemplarzu, który dostałam na konfirmację, to znalazłam ciekawy przypis. Właśnie ten ustęp bardzo mocno podkreśla, że dzieci znajdują się pod szczególną opieką Boga. Ówcześni żydzi wierzyli, że każdy człowiek ma swojego anioła, który reprezentuje go przed Bogiem, i że jedynie najznamienitsi aniołowie mają dostęp do boskiego tronu.

- Czyli według ciebie ktoś zabił Strandgård, ponieważ stał się powodem grzechu dla jednego z tych małych... - zastanawiał się głośno Sven Erik. - Czyli sądzisz, że Wiktor dopuścił się... - przerwał w pół zdania, czując narastające nieprzyjemne uczucie. - Z córkami Sanny.

- Dlaczego nie przeczytała początku? - zapytała Anna Maria. - W każdym razie von Post ma rację. Musimy przesłuchać dzieci Sanny. Możliwe, że miała wyjątkowo dobry powód, żeby nienawidzić brata. Musimy skontaktować się z poradnią psychiatryczną dla dzieci, będziemy potrzebować pomocy w rozmowie z dziewczynkami.

Sven Erik odłożył słuchawkę i siedział jeszcze przez dłuższą chwilę z kotem na kolanach.

„Wszystko, kurde. Obojętnie co, byle nie to”, pomyślał.

*

Telefon odebrała zatrudniona w kancelarii parafialnej Anna Kyrö. Była ósma piętnaście. Rebeka właśnie zostawiła dzieci pod opieką nauczycieli i wracała do samochodu. Zapytawszy o Thomasa Söderberga, usłyszała najpierw głęboki wdech

sekretarki.

- Niestety, razem z Gunnarem Isakssonem jest na porannym zebraniu i nie życzy sobie, żeby mu przerywano.

- A gdzie jest Vesa Larsson?

- Jest chory i też nie należy mu przeszkadzać.

- W takim razie chciałabym zostawić wiadomość dla Thomasa Söderberga. Proszę mu przekazać, żeby zadzwonił do mnie pod numer...

- Przykro mi - przerwała Anna. - Ale podczas Konferencji Cudów pastorowie są niesamowicie zajęci i nie mają czasu na oddzwanianie do osób, które chcą z nimi porozmawiać.

- Ale sytuacja wygląda w ten sposób - próbowała Rebeka. - Jestem pełnomocnikiem prawnym Sanny Strandgård i...

Kobieta po drugiej stronie znów jej przerwała. W uprzejmym tonie pobrzmiwała teraz ostrzej sza nuta.

- Doskonale wiem, kim pani jest, pani Martinsson. Ale jak już powiedziałam, pastorowie nie mają teraz czasu na nic innego niż konferencja. Rebeka zacisnęła dłonie.

- Proszę przekazać pastorom, że nie zniknę tylko dlatego, że mnie ignorują - powiedziała ze złością. - Jestem...

- Nie zamierzam im nic przekazywać - wtrąciła sekretarka. - I proszę mi nie grozić, bo nie ma pani czym. To moje ostatnie słowo. Żegnam.

Rebeka zdjęła słuchawkę z ucha i włożyła ją do kieszeni płaszcza. Zatrzymując się przy samochodzie, zwróciła twarz do nieba. Płatki śniegu lądowały delikatnie na jej policzkach. Już po kilku sekundach poczuła się przemoczona i zmarznięta.

„Poczekajcie tylko, skurwiele. Nie ucieknę jak pies z podkulonym ogonem. Jeszcze ze mną porozmawiacie o Wiktorze. Teraz myślicie, że nie mam nic, co mogłoby wam zagrozić. Ale ja wam pokażę!”

*

Thomas Söderberg mieszkał z żoną Mają i dwiema córkami w sercu miasta, nad sklepem odzieżowym Centrum. Odgłos kroków wchodzącej na najwyższe piętro Rebeki roznosił się po całej klatce schodowej. W brązowym kamieniu prześwitywały

jaśniejsze skamieliny. Wizytówki na drzwiach były wykonane z mosiądzu i zapisane jednolitym, lekko pochyłym krojem czcionki. Oczami wyobraźni można było zobaczyć, jak w zatechłych mieszkaniach z uchem przy drzwiach stoją stuletnie staruszki, ciekawe każdego przechodnia.

„Do dzieła - dodawała sobie otuchy Rebeka. - Nie ma sensu zastanawiać się, czy mam na to ochotę, czy nie. Najlepiej mieć to po prostu z głowy. To tak jak z wizytą u dentysty. Proszę otworzyć usta i za chwilę będzie po krzyku”. Nacisnęła guzik dzwonka przy drzwiach z nazwiskiem Söderberg. Przez ułamek sekundy wydawało się jej, że otworzy Thomas, i zdusiła w sobie odruch ucieczki.

Otworzyła siostra Mai, Magdalena.

- Rebeka - powiedziała po prostu.

Nie wyglądała na zdziwioną. Rebeka odniosła wręcz wrażenie, że jest oczekiwanym gościem. Może Thomas poprosił szwagierkę, żeby wzięła wolne i posiedziała w jego domu niczym pies obronny na straży rodziny? Magdalena nic się nie zmieniła. Jej włosy były praktycznie przycięte na pazia tak jak przed dziesięciu laty. Miała na sobie niemodne dżinsy, wpuszczone w wełniane skarpety ręcznej roboty.

„Trzyma fason - pomyślała Rebeka. - Jeżeli istnieje ktoś, kto nie sprzeda się idei sukcesu, to właśnie Magdalena. Gdyby urodziła się w dziewiętnastym wieku, na pewno nieustannie nosiłaby wykrochmalony mundurek pielęgniarski i ze szklanymi strzykawkami w torbie dopływała łódką do zapomnianych przez Boga wiosek”.

- Przyszłam, żeby porozmawiać z Mają.

- Nie wydaje mi się, żebyście miały o czym rozmawiać - Magdalena jedną ręką trzymała klamkę, a drugą futrynę, uniemożliwiając gościowi wejście do środka.

Rebeka podniosła głos z nadzieją, że zostanie usłyszana w mieszkaniu.

- Powiedz jej, że chciałabym porozmawiać o VictoryPrint. Będzie miała szansę przekonać mnie, że nie muszę iść na policję.

- Zamykam drzwi - powiedziała Magdalena z irytacją.

Rebeka oparła dłoń o futrynę.

- Ale wtedy zmiażdżysz mi palce - powiedziała tak głośno, że echo rozniosło się pośród kamiennych ścian. - Daj spokój, Magdaleno. Zapytaj Maję, czy chce ze mną porozmawiać. Powiedz, że chodzi o jej udziały w spółce handlowej.

- Zamykam - powtórzyła, otwierając drzwi jeszcze szerzej, jakby chciała zatrzasnąć je z hukiem. - Jeśli nie weźmiesz ręki, to sama sobie będziesz winna.

„Nie zamkniesz - pomyślała Rebeka. - Przecież jesteś pielęgniarką”.

Rebeka siedzi i przegląda czasopisma. Nie szkodzi, że prawie wszystkie są z ubiegłego roku. I tak ich nie czyta. Po chwili wraca pielęgniarka, która wcześniej ją przyjęła. Zamyka za sobą drzwi. Ma na imię Rosita.

- Rebeko, jesteś w ciąży. Jeżeli zdecydowałaś się, żeby ją przerwać, to umówimy się na zabieg wyskrobania macicy.

Wyskrobania. Wyskrobią Johannę.

Gdy Rebeka opuszcza poradnię, spotyka przy recepcji Magdaleny. Magdalena zatrzymuje się i wita z Rebeką. Rebeka robi to samo. Ale pytanie, czy przyjdzie na czwartkową próbę chóru, pozostawia bez odpowiedzi. Tłumaczy się i zasłania wymówkami. Magdalena nie docieka przyczyny, dla której Rebeka przyszła do szpitala. Dlatego Rebeka rozumie, że Magdalena wie. To, co przemilczamy, zazwyczaj najbardziej nas demaskuje.

- Wpuść ją. Sąsiedzi zaczynają się już pewnie zastanawiać, o co tutaj chodzi.

Maja wyłoniła się zza pleców siostry. Minione lata wyłobiły wokół kącików jej ust surowe rysy. Bruzdy pogłębiły się jeszcze bardziej, gdy spojrzała na Rebekę.

- Nie musisz ściągać płaszcza - oznajmiła. - Nie zostaniesz długo.

Usiadły w kuchni. Nieskazitelnie białe szafki i nowoczesna kuchenna wyspa potęgowały wrażenie przestronności. Rebeka pomyślała o dzieciach. Rakel była już na pewno

nastolatką, Anna nie zaczęła chyba jeszcze gimnazjum. Czas upływa również w rodzinie Söderbe[^]w.

- Nastawić wodę na herbatę? - zapytała Magdalena.

- Nie, dziękuję - odpowiedziała Maja.

Magdalena opadła ponownie na krzesło. Jej ręce zaczęły automatycznie zgarniać ze stołu nieistniejące okruszki.

„Biedna jesteś - pomyślała Rebeka. - Powinnaś sprawić sobie własne życie, zamiast siedzieć tutaj jak nieatrakcyjny dodatek”.

Maja spojrzała surowo na Rebeke.

- O co ci chodzi?

- Chcę zapytać o Wiktora. On...

- Przed chwileczką stałaś na klatce i ośmieszalaś nas przed sąsiadami, awanturując się o VictoryPrint i wydzierając. Co masz na ten temat do powiedzenia?

Rebeka zaczerpnęła powietrza.

- Wyjaśnię, co wiem. A ty mi powiedz, czy mam rację.

Maja prychnęła niecierpliwie.

- Zgodnie ze znaną mi decyzją Izby Skarbowej VictoryPrint otrzymała od państwa zwrot VAT-u - zaczęła Rebeka. - Chodzi o bardzo duże sumy. A to świadczyłoby o poczynionych w spółce potężnych inwestycjach.

- To jeszcze nie jest nic złego - parsknęła Maja.

Rebeka spojrzała lodowato na obie siostry.

- Wspólnota Źródło Mocy zarejestrowała się w urzędzie podatkowym jako organizacja nonprofitowa, zwolniona z podatku dochodowego i podatku od wartości dodanej. To wspaniała sytuacja dla wspólnoty, która najprawdopodobniej zarabia fantastycznie dużo forsy. Same dochody ze sprzedaży książek, czasopism i kaset wideo muszą być ogromne. Żadnych kosztów za przekłady, tłumacze pracują przecież za darmo, służąc Bogu. Żadnych honorariów dla autorów, przynajmniej dla Wiktora, tak więc cały dochód przypada wspólnocie.

Rebeka zrobiła krótką przerwę. Maja nie spuszczała z niej wzroku. Jej twarz przypominała nieruchomą maskę. Magdalena wyjrzała przez okno. Na pobliskim drzewie przysiadła sikorka i z zapalem wzięła się do dziobania wiszącego tam kawałka słoniny. Rebeka mówiła dalej:

- Problem polega na tym, że zwolniona z podatków organizacja nie może odpisywać swoich kosztów. I nie może też liczyć na zwrot VAT-u. Co się robi w takiej sytuacji? Zakłada się sprytnie spółkę i lokuje w niej koszty i wydatki, które gwarantują zwrot podatku. Gdy wspólnota odkrywa, że drukowanie książek i czasopism własnym sumptem jest opłacalne, że równie rentowne jest nagrywanie kaset wideo, wtedy powstaje odrębna spółka handlowa. Formalnymi właścicielkami zostają żony pastorów. Spółka kupuje całość wyposażenia niezbędnego do prowadzenia działalności. A to sporo kosztuje. Dwadzieścia procent wydanych pieniędzy zwraca państwo. Kieszenie rodzin pastorów wypełniają się forszą. Spółka handlowa sprzedaje wspólnocie tanie usługi, głównie drukarskie, ale też inne. Sama ponosi straty. To dobrze, bo nie osiągając zysku, nie musi płacić podatku. Ale to jeszcze nie wszystko! Każdy współdziałowiec przez pierwsze pięć lat może odpisać od zysków straty na sumę nawet stu tysięcy. Maja, widziałam, że i w tym, i w ubiegłym roku nie zadeklarowałaś żadnych dochodów. Żona Vesy Larssona i żona Gunnara Isakssona zadeklarowały bardzo nieznaczne sumy. Myślę, że wykorzystywałyście straty spółki handlowej do tego, żeby, czary- mary, pozbyć się własnych poborów i w ten sposób uniknąć płacenia od nich podatku.

- Oczywiście - syknęła poirytowana Maja. - Ale to jest całkiem legalne. Nie rozumiem, Rebeko, do czego zmierzasz. Kto jak kto, ale ty powinnaś wiedzieć, że istnieją legalne sposoby...

- Posłuchaj do końca - przerwała jej Rebeka. - Wydaje mi się, że spółka handlowa świadomie sprzedawała wspólnocie swoje usługi po obniżonych cenach, żeby nie osiągnąć zysków. Zastanawiam się tylko, skąd wzięły się pieniądze na inwestycje w spółce. O ile wiem, żadna z was nie dysponuje szczególnie dużym majątkiem. Może zaciągnęłyście jakąś ogromną pożyczkę w banku, ale nie sądzę. Nie zauważyłam bowiem u żadnej z was strat kapitałowych. Myślę, że pieniądze na zakup drukarni i innych rzeczy pochodzą ze wspólnoty, ale że to nie zostało udokumentowane. A wtedy to już nie są legalne sposoby obniżenia stawki podatku. Wtedy zaczynamy mówić o

oszustwach podatkowych. Gdy zaczną w tym grzebać władze podatkowe i prokurator z Biura do spraw Przystępczości Ekonomicznej, sprawy potoczą się następnąco: jeżeli jako właścicielki nie będziecie mogły wyjaśnić pochodzenia pieniędzy na inwestycje, to zostaniecie opodatkowane w ramach działalności gospodarczej. Wspólnota zapłaciła zaliczkę, którą powinno się było uwzględnić w sprawozdaniu finansowym jako przychód.

Rebeka pochyliła się do przodu i wbiła spojrzanie w Maję.

- Rozumiesz? Połowa tego, co dostaliście od wspólnoty, pójdzie na zapłacenie podatku. Dojdą jeszcze opłaty socjalne i grzywna za przestępcstwo skarbowe. Zbankrutujesz i do końca życia będzie za tobą chodził komornik. Oprócz tego posiedzisz kilka lat w więzieniu. Społeczeństwo bardzo ostro traktuje przestępcstwa gospodarcze. A jeżeli za tym wszystkim stoją pastorowie, czego jestem prawie pewna, to również Thomas dopuścił się oszustwa, nadużycia zaufania i Bóg wie czego jeszcze. Sprzeniewierzył pieniądze wspólnoty i umieścił je w spółce handlowej, której współwłaścicielką jest żona. Jeżeli i on zostanie skazany na więzieniu, to kto zajmie się dziećmi? Raz na tydzień odwiedzą was w smutnym pokoju widzeń. Zaledwie parę godzin. A gdy wyjdziecie na wolność, gdzie znajdziecie pracę?

Maja nie spuszczała wzroku z Rebeki.

- Czego ode mnie chcesz? Przychodzisz tutaj, do mojego domu, z jakimiś domysłami i groźbami. Grozisz mi. Całej naszej rodzinie. Dzieciom.

Zamilkła i zakryła ręką usta.

- Jeżeli jesteś żadna zemsty, Rebeko, to zemścij się na mnie - wtrącała Magdalena.

- Nie pierdol! - warknęła Rebeka i zauważyła, jak siostry wzdrygnęły się na dźwięk wulgarnego słowa. To zachęciło ją do użycia jeszcze jednego przekleństwa. - To chyba, kurwa, oczywiste, że mam ochotę się zemścić, ale nie dlatego tutaj przyszedłam.

Rebeka jest w domu sama. Dźwięk dzwonka do drzwi

oznajmia przybycie niezapowiedzianych gości. Na progu stoją Thomas Söderberg z Mają i Magdaleną.

Teraz Rebeka rozumie, dlaczego Sannie tak bardzo się spieszyło. I dlaczego tak nalegała, żeby Rebeka nigdzie nie wychodziła, tylko zajęła się nauką. Musiała wiedzieć, że przyjdą.

Później Rebeka uzmysłowi sobie, że mogła ich nie wypuścić. Że mogła zatrzaskać im drzwi przed zyczliwie usposobionymi nosami. Domyśla się, co ich sprowadza. Wyczytuje to w ich twarzach. W zasmuconym i poważnym spojrzeniu Thomasa. W zaciętych ustach Mai. Widzi to po Magdalenie, która nie potrafi spojrzeć Rebecce prosto w oczy.

Nie chcą niczego do picia. Ale po chwili Thomas zmienia zdanie i prosi o szklanekę wody. Podczas późniejszej rozmowy od czasu do czasu robi krótkie pauzy i pije małymi łykami.

Kiedy przechodzą do pokoju dziennego, Thomas przejmuje dowodzenie. Prosi Reбекę, żeby usiadła w wiklinowym fotelu, a żonę i szwagierkę usadawia po dwóch stronach narożnika. Sam siada w środku, umożliwiając sobie jednoczesny kontakt wzrokowy ze wszystkimi. Rebeka musi odwracać głowę, żeby widzieć Maję i Magdalenę.

Thomas zaczyna prosto z mostu.

- Magdalena powiedziała mi, że spotkała cię w szpitalu - mówi, patrząc Rebecce w oczy. - Zdradziła mi też, dlaczego tam byłaś. Przyszliśmy, żeby przekonać cię do zmiany zdania. Rebeka milczy, Thomas mówi dalej.

- Rozumiem, że to dla ciebie ciężka sytuacja. Ale musisz pomyśleć o dziecku! Rebece, nosisz w sobie życie. Nie masz prawa go gasić. Rozmawiałem z Mają, ona ci już przebaczyła.

Robi krótką przerwę, zatapiając w żonie rozkochane i wierne oczy.

- Chcemy zaopiekować się dzieckiem. Adoptować je. Rozumiesz? Dostanie taką samą szansę w życiu jak Rakel i Anna. Ich młodszy braciszek...

Maja przeszywa go błyskawicznym spojrzeniem.

- Oczywiście, o ile urodzi się chłopczyk - dodaje pospiesznie

pastor. Po chwili pyta: - Co ty na to, Rebeko?

Wywołana do odpowiedzi, podnosi wzrok znad blatu stołu i przygląda się Magdalenie.

- Co ja na to? - powtarza, kręcąc przecząco głową.

- Wiem - nie wytrzymuje Magdalena. - Zajrzałam do twojej dokumentacji lekarskiej. Nie dochowałam tajemnicy zawodowej. Możesz mnie zaskarżyć przed komisją dyscyplinarną.

- Czasami musimy wybierać między przesłaniem cesarza a Boga - wtrąca Thomas. - Zapewniłem Magdalenę, że ty to zrozumiesz. Czyż nie tak, Rebeko? Czy może jednak masz zamiar ją zaskarżyć?

Rebeka ponownie kręci głową. Magdalena oddycha z ulgą. Na jej twarzy pojawia się coś na kształt uśmiechu. Maja nie uśmiecha się wcale. W jej oczach dominuje czern. Rebeka czuje nadchodzące z wolna mdłości. Powinna coś zjeść, to zazwyczaj pomaga.

„Ona miałyby zająć się moim dzieckiem?”, myśli Rebeka.

- No więc co ty na to? - naciska Thomas. - Czy możesz mi obiecać, że odwołasz wizytę w szpitalu?

Nudności nasilają się. I nagle przepływają falą przez całe ciało. Rebeka wstaje w pośpiechu z fotela, uderza kolanem o stół, biegnie do łazienki. Żołądek uwalnia się z zawartości tak gwałtownie, że Rebeka czuje ból. Słyszając wychodzących z pokoju gości, zamyka łazienkę na klucz.

Po chwili stoją po drugiej stronie drzwi. Pukają. Pytają o jej samopoczucie i proszą, żeby otworzyła. Rebeka czuje, że ma zatkałe uszy i nogi jak z waty. Z ulgą osuwa się na sedes.

Początkowo ich głosy są zaniepokojone. Wszyscy grzecznie proszą. Apeluje nawet Maja.

- Przebaczyłam ci, Rebeko - mówi. - Chcemy ci tylko pomóc. Rebeka nie odpowiada.

Wyciąga rękę i odkręca obydwie kurki. Rozbijająca się o wannę woda i huk rur zagłuszają skutecznie ludzkie głosy. Thomas nie ukrywa irytacji. A później złości.

- Otwórz! - krzyczy, waląc pięścią w drzwi. - To jest moje dziecko, Rebeko. Nie masz prawa, słyszysz? Nie dopuszczę do

tego, żebyś zamordowała moje dziecko! Otwórz, zanim wyważę drzwi!

Rebeka słyszy, jak kobiety próbują uspokoić Thomasa, jak odciągają go od łazienki. W końcu dochodzi do niej tylko trzask zamykanych drzwi w przedpokoju i zanikające odgłosy kroków na schodach. Rebeka wchodzi do wanny i zamyka oczy.

O wiele później znów otworzą się drzwi do mieszkania. Zanim wróci Sanna, woda w wannie zdąży wystygnąć.

Rebeka wchodzi do kuchni.

- Wiedziałaś.

Sanna patrzy na nią z poczuciem winy.

- Przebaczysz mi? Zrobiłam to, bo cię kocham, rozumiesz?

- Po co tu przyszłaś? - zapytała Maja.

- Chcę się dowiedzieć, dlaczego Wiktor umarł - odpowiedziała ostro Rebeka. - Sanna siedzi jako podejrzana w areszcie, a was to gównem obchodzi. Wspólnota tańczy i śpiewa hymny pochwalne, ale nie chce współpracować z policją.

- Ale ja przecież nic o tym nie wiem - wybuchła Maja. - Czyżbyś myślała, że to ja go zamordowałam? Albo Thomas? Odrąbałam dłonie i wykłułam oczy? Zwariowałaś?

- Skąd mam wiedzieć? Czy Thomas był w domu tej nocy, kiedy zamordowano Wiktora?

- Chyba pozwalasz sobie na zbyt wiele... - zaprotestowała Magdalena.

- Z Wiktorem coś się ostatnio działo. Wygląda na to, że nie był w najlepszych relacjach z Sanną. Patrik Mattsson był na niego zły. Chcę wiedzieć dlaczego. Związał się z kimś ze wspólnoty? Może z mężczyzną? Czy to dlatego w domu bożym zapadła taka cisza?

Maja podniosła się.

- Czy ty nie słyszysz, co się do ciebie mówi? - krzyczała. - Nie mam pojęcia! Thomas był duchowym mentorem Wiktora. I nigdy nie zdradziłby, czego dowiedział się w zaufaniu jako pastor. Ani mnie, ani policji.

- Ale Wiktor nie żyje! - warknęła Rebeka. - Więc zwisa mu to,

czy Thomas wyjawia jego sekrety, czy nie. Mam wrażenie, że wszyscy wiecie więcej, niż macie ochotę powiedzieć. I jestem gotowa pójść na policję z tym, co wiem. A później zobaczymy, co wykaże postępowanie przygotowawcze.

Maja popatrzyła na nią wybałuszonymi oczyma.

- Zwariowałaś, czy co? - krzyknęła. - Dlaczego mnie tak nienawidzisz? Może myślałaś, że on dla ciebie opuści mnie i dzieci? Dlatego?

- Nie żywię do ciebie nienawiści - powiedziała Rebeka zmęczonym głosem, wstając z krzesła. - Żal mi ciebie. Nie, nie spodziewałam się, że Thomas od was odejdzie. Nigdy nie robiłam sobie nadziei, nie wierzyłam, że jestem tą jedną jedyną. Tak się nieszczęśliwie złożyło, że się o tym wszystkim dowiedziałaś. Wiesz tylko o mnie czy również o innych...?

Maja zachwiała się. A po chwili podniosła palec i wskazała nim Rebeke.

- Ty, ty... - dukała rozjuszona. - Morderczyni dziecka! Wynos się stąd!

Magdalena podążyła za Rebeke jak uparty cień.

- Nie rób tego, Rebeko! Nie wszczynaj awantury, nie idź na policję. Czemu to ma służyć? Pomyśl o dzieciach.

- No to pomóż mi - syknęła. - Sannie grozi więzienie, żaden skurwieli nawet palcem nie kiwnął. A ty chcesz, żebym zachowywała się elegancko.

Magdalena wypchnęła Rebeke przed siebie i razem z nią wyszła z mieszkania, zamykając za sobą drzwi.

- Masz rację - szepnęła. - Coś niedobrego działo się z Wiktoorem w ostatnim czasie. Zmienił się. Był agresywny.

- Co masz na myśli? - zapytała Rebeka, wciskając podświetlony na czerwono włącznik światła.

- No wiesz, cały sposób, w jaki się modlił i rozmawiał z członkami wspólnoty. Trudno mi wskazać coś konkretnego. Jak gdyby nie mógł sobie znaleźć miejsca. Coraz częściej modlił się po nocach w kościele, nie chciał żadnego towarzystwa. Wcześniej tak się nie zachowywał. Wręcz przeciwnie, chętnie uczestniczył we wspólnej modlitwie. Ostatnio ciągle pościł. Sprawiał wrażenie wycieńczonego.

„Zgadza się”, pomyślała Rebeka, przypominając sobie wygląd Wiktora z ostatniego nagrania wideo. Zapadłe oczy. Zmęczona twarz.

- Dlaczego pościł?

Magdalena wzruszyła ramionami.

- Czy ja wiem? Jest wprawdzie napisane, że niektóre złe duchy wyrzuca się tylko modlitwą i postem, ale zastanawiam się, czy ktokolwiek tak naprawdę wiedział, co się działo z Wiktorem. Na pewno nie Thomas, ostatnimi czasy nie żyli w specjalnej zgodzie.

- Ach tak? A o co poszło? - zapytała Rebeka.

- O nic takiego, co skłoniłoby Thomasa do morderstwa. A tak poważnie mówiąc, Rebeko, chyba w to nie wierzysz? Wydaje mi się, że Wiktor odsunął się od wszystkich. Od Thomasa również. Chodzi mi o to, żebyś zostawiła tę rodzinę w spokoju. Ani Thomas, ani Maja nie mają ci nic do powiedzenia.

- A kto ma?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, zapytała jeszcze raz:

- Może Vesa Larsson?

Wychodząc na ulicę, Rebeka pomyślała, że powinna wypuścić Tjapp z samochodu na siku, zanim przypomniała sobie, że suczka zniknęła. A jeżeli coś jej się stało? Oczami wyobraźni zobaczyła jej zamarznięte ciało leżące w śniegu. Oczy wydziobane przez wrony albo kruki, brzuch rozpruty przez lisa, który wyjadł najsmaczniejsze kąski.

„Muszę powiedzieć o tym Sannie”, pomyślała, czując, że serce zaczyna jej ciężać w piersi.

Przeszła obok niej para z wózkiem. Dziewczyna była młoda. Nie miała chyba jeszcze dwudziestu lat. Popatrzyła tęsknie na kozaczki Rebeki. Rebeka minęła kino Palladium. Ciągłe stały tu lodowe i śniegowe rzeźby, pozostałości ze styczniowego Festiwalu Śniegowego. Na środku ulicy Geologgatan przycupnęły trzy półmetrowe pardwy z betonu, skutecznie tamując ruch samochodów. Na głowach miały zabawne śniegowe kapturki.

Rebeka niechętnie wsiadła do pustego samochodu.

Uświadomiła sobie, że zdążyła przyzwycząić się do dzieci i psa. „Daj spokój”, fuknęła na siebie samą.

Spojrzała na zegarek. Wpół do pierwszej. Za dwie godziny miała odebrać Sarę i Lovę. Obiecała im popołudniową wyprawę na basen. Powinna coś zjeść. Rano zrobiła dziewczynkom czekoladę i kanapki, a sama wlała w siebie tylko dwa kubki kawy. Chciała jeszcze spotkać się z Vesą Larssonem. Poza tym powinna trochę popracować. Na samą myśl, że jeszcze nie skończyła sprawozdania z nowych reguł podatkowych obowiązujących mikroprzedsiębiorstwa, poczuła w dołku znajomy ból.

Wpadła do Czarnego Niedźwiedzia, kupiła jakiś batonik, banana i coca-colę. Jedna z popołudniówek krzyczała wielkimi literami: „Wiktor Strandgård został zamordowany przez satanistów”. Nad nagłówkiem mikroskopijne zdanie zaczynało się od słów: „Anonimowy członek wspólnoty przypuszcza, że...”.

- Ojoj, ale ma pani zimną rękę - powiedziała kasjerka, przyjmując pieniądze. Objęła jej palce swoją suchą, ciepłą dłonią i zanim wypuściła, przytrzymała kilka sekund.

Zaskoczona Rebeka uśmiechnęła się szeroko.

„Odzwyczajam się od tego - pomyślała. - Od niezobowiązującej rozmowy z obcymi ludźmi”.

Samochód zdążył się wyziębic. Obrala banana ze skórki, odgryzała i połykała wielkie kęsy. Palce lodowaciały jej coraz bardziej. Pomyślała o kobiecie w sklepiku. Pewnie miała gdzieś koło sześćdziesiątki. Potężne ramiona i obfity biust, opięty różowym sweterkiem z moheru. Trwała ondulacja domowej roboty i krótka fryzura modna w latach osiemdziesiątych. Przyjazne oczy. Później pomyślała o Sarze i Lovie. O tym, jakie były ciepłe, gdy spały. I o Tjapp. Tjapp o aksamitnych ślepiach i kudłatej czarnej sierści. Nagle ogarnął ją potworny smutek. Spojrzała w górę i delikatnie starła z rzęs pierwsze łzy. Nie chciała, żeby rozmazał się jej tusz.

„Mówię ci, przestań!”, ponownie skarciła siebie samą, przekręcając kluczyk w stacyjce.

Tjapp leży w ciemności. Nagle podnosi się kłapa bagażnika i psa oślepia światło latarki. Z sercem skurczonym ze strachu suczka nie stawia oporu, gdy dwie silne ręce wyciągają ją brutalnie ze środka. Odwodniona, zrobiła się pasywna i potulna. A mimo to podnosi głowę i odsłania niosącemu ją mężczyźnie swoje gardło. Okazuje mu uległość w takim stopniu, w jakim pozwala jej srebrna taśma owinięta wokół pyska i łap. Na darmo jednak suczka obnaża gardło i wciska ogon między tylne łapy. Nie ma łaski, która byłaby jej dana.

*

Funkcjonalistyczna willa Vesey Larssona znajdowała się za Uniwersytetem Ludowym. Rebeka zaparkowała na ulicy i podziwiała imponującą budowlę. Białe geometryczne bryły komponowały się znakomicie ze śnieżnym krajobrazem. Gdyby nie soczyskie czerwone, żółte i niebieskie elementy, które łączyły poszczególne części domu, można by zimą przejechać obok, nic nie zauważając. Nie ulegało wątpliwości, że inspiracją dla architekta były ośnieżone szczyty gór i tradycyjne kolory Saamów.

Otworzyła Astrid, żona Vesey. Tuż za nią stał niewielki i potwornie rozszczekany owczarek szetlandzki. Jej oczy zwęziły się, a usta wykrzywiły w grymasie niechęci, gdy zobaczyła, kto dzwonił do drzwi.

- Czego chcesz?

Utyła co najmniej piętnaście kilo. Włosy były niechlujnie zwinięte w kok. Miała na sobie spodnie Adidas i spraną bluzę. W ciągu sekundy zanotowała długi wełniany płaszcz w wielbłądzim kolorze, miękki szal marki Max Mara i nowe audi zaparkowane za plecami Rebeki. W jej oczach pojawił się cień niepewności.

„Wiedziałam, że tak będzie - pomyślała złośliwie Rebeka. - Że już po pierwszym dziecku straci kontrolę”.

Dawniej Astrid była trochę puszysta, ale słodka. Jak pulchny cherubinek na chmurce. A Vesa Larsson był nieżonatym pastorem, o którego rywalizowały najładniejsze, żadne

małżeństwa panienki w Kościele zielonościątkowym.

„To naprawdę wielka ulga, że nie muszę wszystkich kochać - pomyślała Rebeka. - Nigdy jej nie lubiłam”.

- Przyszłam, żeby spotkać się z Vesą - powiedziała i wkroczyła do środka, zanim Astrid zdążyła cokolwiek powiedzieć.

Pies cofnął się bojaźliwie, ale czekał tak intensywnie, że zaczął chrypieć, jakby męczył go suchy kaszel.

Wewnątrz nie było żadnego przedsionka ani holu. Cały parter stanowił jedną wielką otwartą przestrzeń i stojąca przy drzwiach Rebeka mogła zobaczyć kuchnię, jadalnię, zestaw wypoczynkowy przy sporym kominku oraz imponujące okno panoramiczne, otwierające wnętrze na śnieżny krajobraz. Przy dobrej pogodzie można było podziwiać stąd Vittangivaara, Luossavaara i Kryształowy Kościół na szczycie Sandstensberget.

- Jest w domu? - zapytała Rebeka, próbując przekrzyknąć psa, sama nie krzycząc.

- Tak, jest - burknęła Astrid. - No, uspokój się!

To ostatnie polecenie skierowała do rozszalałego psa. Zanurzyła rękę w kieszeni, wyciągnęła garść brunatnych chrupiek i rozrzuciła je po podłodze. Pies ucichł momentalnie, zajęty łakociami.

Rebeka powiesiła płaszcz na kołku, mokrą czapkę i rękawiczki wcisnęła do kieszeni. Wiedziała, że w ten sposób przemokną jeszcze bardziej, ale nie było innego wyjścia. Astrid otwarła usta, chcąc zaprotestować, ale znów je zamknęła.

- Nie wiem, czy zechce się z tobą spotkać - powiedziała ze skwaszoną miną. - Ma grypę.

- Nie wyjdę stąd, dopóki z nim nie porozmawiam - odpowiedziała miękko Rebeka. - To ważna sprawa.

Pies, pozjadawszy chrupki co do jednej, powrócił do pani i dosiadł jej nogi, znów potwornie uj adaj ąc.

- Przestań, Baloo - skarciła go bez przekonania. - Nie jestem suczką.

Próbowała go przepędzić, ale owczarek, wczepiony w nogę przednimi łapami, nie miał zamiaru puścić.

„Wielkie nieba, co za tyran!”, pomyślała Rebeka.

- Mówię zupełnie poważnie - powtórzyła. - Jeżeli zajdzie taka potrzeba, przebiegnę się na kanapie. Będziesz musiała zadzwonić po policję, żeby mnie stąd wyprowadzili.

Astrid poddała się. Rebeka i pies to już kombinacja nie do zniesienia.

- Jest w pracowni. Na piętrze, pierwsze drzwi na lewo.

Rebeka pokonała schody pięcioma susami.

- Zapukaj najpierw! - krzyknęła za nią Astrid.

Vesa Larsson siedział na pokrytym baranicą stołku przed potężnym, białym piecem kaflowym. Na jednym z kafli widniał napis wymalowany wytwornymi literami w kolorze brzoźowych listków: „Pan jest moim pasterzem”. Piękny. Prawdopodobnie wykonany przez Vesę. Artysta miał na sobie flanelową piżamę, na którą zarzucił gruby frotowy szlafrok. Zmęczone oczy spoglądały na Rebekę z dwóch poszarzałych zagłębień nad kilkudniowym zarostem.

„Widać, że nie ma się dobrze, ale to nie grypa”, stwierdziła w myślach Rebeka.

- A więc przyszłaś mi pogrozić - powiedział. - Jedź do domu, Rebeko. Daj temu spokój.

„Aha - pomyślała. - Zdążyli już zadzwonić z ostrzeżeniem”.

- Ładna pracownia - zaczęła z innej beczki.

- Mmm. Architekt prawie dostał apopleksji, kiedy mu oznajmiłem, że chcę mieć podłogę z surowych desek. Powiedział, że zniszczy się raz-dwa, że zapaćkam ją farbą i atramentem, i czymś tam jeszcze. Ale o to mi właśnie chodziło. Żeby podłoga pokrywała się twórczą patyną.

Rebeka rozejrzała się dookoła. Pomieszczenie było ogromne. Mimo pochmurnej i śnieżnej pogody przez olbrzymie okna wlewało się do wnętrza dzienne światło. Wszystko było poukładane na swoim miejscu. Na sztalugach spoczywał przesłonięty płótnem obraz. Na deskach pod nogami nie dostrzegła ani jednej plamki. Zupełnie inaczej wyglądała stara pracownia Vesy w podziemiach kościoła zielonoświątkowego. Podłogę zaścierały wtedy odbitki graficzne, a człowiek prawie bał się poruszać, żeby nie potrącić któregoś z licznych

słoiczków z terpentyną i pędzelkami. Od oparów rozpuszczalnika bolała lekko głowa. Teraz czuć było tylko delikatną woń dymu z paleniska. Vesa, zauważywszy badawczy wzrok Rebeki, uśmiechnął się krzywo.

- Wiem, wiem. Kiedy się w końcu dostanie wymarzoną pracownię, to...

Dokończył zdanie wzruszeniem ramion.

- Wiesz, ojciec malował techniką olejną - mówił dalej. - Zorzę polarną, Wrota Laponii, domek w Merasjärvi. Nigdy mu się nie znudziło. Odmawiał podjęcia jakiegś normalnej pracy, przesiadywał z kumplami i nieźle popijał. Pewnego dnia pogłaskał mnie po głowie i powiedział: „Chłopię myśli, że zostanie operatorem wózka transportowego i Bóg wie czym, ale ja mu mówię, że od sztuki nie da się uciec”. Ale teraz... nie wiem. Teraz te wszystkie marzenia artysty wydają mi się tylko żalodne. Wcale nie było tak trudno uciec od sztuki.

Spojrzeni na siebie w milczeniu. Nie wiedząc o tym, jednocześnie pomyśleli o włosach tego drugiego. O tym, że dawniej były ładniejsze. Kiedy pozwalano im rosnać, jak chciały. Kiedy widać było ślady fryzjerskich zapędów koleżanek i kolegów.

- Wspaniały widok - powiedziała Rebeka, dodając: - Chociaż może teraz niezupełnie.

Na zewnątrz widać było jedynie zasłonę padającego gęsto śniegu.

- Dlaczego nie - pastor bardziej stwierdził, niż zapytał. - Może to właśnie najpiękniejszy widok? Śnieg i zima. Wszystko staje się prostsze. Mniej szczegółów. Mniej kolorów. Mniej zapachów. Krótsze dni. Umysł ma szansę odpocząć.

- Co się stało z Wiktorem?

Vesa potrząsnął głową.

- Jak dużo opowiedziała ci Sanna? - zapytał.

- Nic.

- Jak to nic? - nie dowierzał Vesa.

- Nikt nic mi nie chce powiedzieć - odparła poirytowana. - Ale nie wierzę, że to ona jest sprawcą. Czasami zachowuje się, jakby była z innej planety, ale nie mogła tego zrobić.

Vesa siedział w milczeniu, zapatrzonej w płatki śniegu.

- Dlaczego Patrik Mattsson powiedział, że powinnam spytać ciebie o seksualne preferencje Wiktora? - Nie otrzymawszy odpowiedzi, pytała dalej. - Byłeś z nim w związku? Napisałeś do niego kartkę?

„Napisałeś kartkę z pogroźkami i zostawiłeś na moim samochodzie?”, dodała w myśli.

Vesa odezwał się, nie patrząc jej w oczy.

- Nawet nie mam zamiaru tego komentować.

- Ach tak? Niedługo zacznę podejrzewać, że to wy, pastorowie, zatłukliście Wiktora na śmierć, ponieważ chciał wyjawić wasze finansowe machlojki. Albo dlatego, że chciał opowiedzieć o was dwóch twojej żonie.

Vesa ukrył twarz w dłoniach.

- Nie zrobiłem tego - wymamrotał. - Nie zabiłem go.

„Odbija mi - pomyślała Rebeka. - Chodzę po ludziach i oskarżam ich na lewo i prawo”.

Przyłożyła pięść do czoła w nadziei, że wymusi z mózgu jakąś sensowną myśl.

- Nie rozumiem - powiedziała. - Nie rozumiem, dlaczego milczycie. Nie rozumiem, dlaczego ktoś podrzucił Sannie nóż.

Vesa odwrócił się i spojrzał z przerażeniem na Rebeke.

- Co ty mówisz? Jaki nóż?

Powinna była ugryźć się w język. Za późno.

- Policja nie podała tego do publicznej wiadomości, ale znaleziono narzędzie zbrodni w jej mieszkaniu. W ławie kuchennej.

Vesa patrzył na Rebeke jak wół na malowane wrota.

- O Boże - mamrotał. - O Boże!

- O co chodzi?

Twarcz pastora przeobraziła się w nieruchomą maskę.

- O jeden raz za dużo nie dochowałem tajemnicy zawodowej.

- Ależ olej tę cholerną tajemnicę! - wybuchła Rebeka. - Wiktor nie żyje. Zwisa mu to, czy wyjawiasz jego sekrety, czy nie.

- Mam obowiązek dochowania tajemnicy wobec Sanny.

- No to wspaniale! - eksplodowała. - W ogóle ze mną nie rozmawiaj. Ale jestem gotowa odwrócić każdy kamień, by

zobaczyć, co spod niego wypełnie. I zacznę od kwestii finansowych we wspólnocie. A później dowiem się, kto kochał Wiktora. A z Sanny wycisnę prawdę jeszcze dzisiaj po południu.

Twarz Vesy zdradzała udrczenie.

- Daj temu spokój, Rebeko. Wracaj do domu. Nie pozwól się wykorzystać.

- Co masz na myśli?

Pokręcił głową zrezygnowany.

- Dobrze. Rób to, co uważasz za stosowne. Ale nie możesz mi odebrać tego, czego bym już nie stracił.

- Niech was wszystkich szlag trafi - powiedziała, nie mając siły zabarwić słów emocjami.

- „Kto z was jest bez grzechu...” - odpowiedział pastor.

„No tak, jasne - pomyślała. - Przecież jestem morderczynią. Morderczynią dzieci”.

Rebeka rąbie drewno na opał w babcinej drewnutni. Chociaż „rąbie” to nieodpowiednie słowo. Wybrawszy najgrubsze i najcięższe kłocę, rozłupuje je z gorączkowym zapamiętaniem. Z całej siły uderza siekierą w oporny materiał. Unosi ją razem z wiszącym u ostrza kłocem i wali obuchem w pień. Siła ciężkości i uderzenia wbijają siekierę w drewno jak klin. Jeszcze trochę szarpania i kłoc rozpada się na dwie części. Rebeka rozbija połówki na kolejne dwa polana i po chwili kładzie na pieńku następny kłoc. Pot spływa jej po plecach. Zaczynają boleć zmęczone barki i ramiona. Ale Rebeka nie oszczędza się. W najlepszym razie dziecko opuści ją w naturalny sposób. Nikt nie powiedział, że nie wolno jej rąbać drewna. Wtedy może Thomas powie, że widocznie taka była wola Boga. Żeby się nie urodziła.

„ Ono ”, poprawia się Rebeka. Żeby się nie urodziło. Dziecko. Ale i tak wie, że to jest dziewczynka. Johanna.

Gdy w końcu dociera do niej głos Wiktora, Rebeka uświadamia sobie, że od jakiegoś czasu stał za jej plecami i kilka razy wymówił jej imię, zanim je usłyszała.

To dziwne uczucie, zobaczyć go siedzącego na zepsutym

krzesła, które nigdy nie poszło na podpałkę. Krzesło nie ma oparcia, w siedzisku zostały tylko otwory po tworzących je szczelbelkach. Stoi tutaj od lat, w oczekiwaniu na to, żeby ktoś przerobił je na drzazgi.

- Kto ci powiedział? - pyta Rebeka.

- Sanna. Powiedziała też, że na pewno się wściekniesz. Rebeka wzrusza ramionami. Nie ma siły na wściekłość.

- Kto jeszcze wie?

Teraz kolej Wiktora na wzruszenie ramion. A więc już się rozeszło, oczywiście. Czy wyobrażała sobie coś innego? Wiktor ma na sobie skórzaną kurtkę z lumpeksu i długi, udziergany przez jakąś wielbicielek szalik. Włosy rozdzielone przedziałkiem znikają pod zwojami wełnianej dzianiny.

- Wyjdź za mnie za mąż - mówi.

Rebeka patrzy na niego skonsternowana.

- Upadłeś na głowę?

- Kocham cię. Kocham dziecko.

Pachnie wiórami i drewnem. Rebeka słyszy, jak na zewnątrz kapie z dachu. Boli uwięziony w gardle płacz.

- W ten sposób, w jaki kochasz swoich braci i siostry, przyjaciół i wrogów? - pyta.

Miłością Boga. Jednakową dla wszystkich. Zgrabnie zapakowaną i rozdawaną tym, którzy ustawią się w kolejce. Może właśnie taka miłość jest dla niej? Może powinna brać to, co dają?

Wiktor wygląda na strasznie zmęczonego.

„Gdzie się podziałeś? - myśli Rebeka. - Twoja podróż do Boga sprawiła, że niezliczone rzesze stoją w kolejce, spragnione choć odrobiny ciebie”.

- Nigdy bym cię nie opuścił. Przecież wiesz.

- Nic nie rozumiesz - mówi Rebeka i po jej twarzy zaczynają spływać łzy. Nie potrafi powstrzymać ani łez, ani ciekącego nosa. - Gdy tylko powiem „tak”, już będę opuszczona.

Rebeka, Sara i Lova pojawiły się w budynku policji dopiero o wpół do siódmej. Całe popołudnie spędziły na basenie.

Wchodząc do pokoju rozmów, Sanna popatrzyła na Rebekę tak,

jakby oskarżała ją o kradzież.

- No tak, rychło w czas. Myślałam już, że o mnie zapomnieliście.

Dziewczynki ściągnęły wierzchnie okrycia i usadowiły się na krzesłach. Lova wybuchła śmiechem, odkrywszy, że wystające spod czapki włosy zamieniły się w lód.

- Mamusiu, popatrz - wołała radośnie, potrząsając głową i dzwoniąc włosianymi sopolkami. - A po basenie jadliśmy parówki. I lody. A w sobotę mam się spotkać z Idą. Prawda, Rebeko?

- Ida to jej rówieśniczka, z którą bawiła się w brodziku - pospieszyła z wyjaśnieniem Rebeka. Ale obrzucona osobliwym spojrzeniem Sanny nie dodała, że mama Idy to jej była koleżanka z klasy.

„Dlaczego ciągle czuję, że powinnam wyjaśniać i przepraszać? - pomyślała ze złością.

- Nie zrobiłam nic złego”.

- Skoczyłam na główkę z trójki - pochwaliła się Sara, sadowiac się na kolanach mamy. - Rebeka mi pokazała.

- Aha - odpowiedziała obojętnie Sanna.

Jak gdyby już zniknęła. Jak gdyby na krześle siedziała tylko jej powłoka. Nie zareagowała nawet na wiadomość o zaginięciu Tjapp. Dziewczynki zauważyły to i zaczęły paplaninę. Rebeka wierciła się zakłopotana. Lova podniosła się nagle i zaczęła podskakiwać na krześle, wykrzykując:

- Ida w sobotę, Ida w sobotę.

W górę i w dół, w górę i w dół. Skakała jak najęta, czasami bliska upadku. Rebeka czuła narastający stres. Jeżeli spadnie, może uderzyć głową o betonowy parapet. A wtedy mogłaby się potwornie skaleczyć. Sanna zdawała się tego nie dostrzegać.

„Nie będę się wtrącać”, Rebeka upomniała siebie samą.

W końcu Sara chwyciła siostrę za ramię i fuknęła:

- Przestań natychmiast!

Ale Lova wyrwała się błyskawicznie i znów zaczęła beztrąsko skakać.

- Mamusiu, smutno ci? - spytała zaniepokojona Sara, zarzucając jej ręce na szyję.

Sanna unikała wzroku córki. Głaskała ją po jasnych, błyszczących włosach. Poprawiała przedziałek na środku głowy i odgarnęła niesforne pasemka za uszy.

- Tak - odpowiedziała cicho. - Jest mi smutno. Przecież wiesz, że może pójść do więzienia i nie będę mogła być waszą mamą. Dlatego się martwię.

Sara pobladła na twarzy. Źrenice dziewczynki rozszerzyły się ze strachu.

- Ale przecież niedługo miałaś wrócić do domu.

Sanna ujęła ją za brodę i popatrzyła córce w oczy.

- Jeżeli zostaną skazana, to nie wrócę. Dostanę wysoki wyrok i wyjdę z więzienia, gdy będziesz już duża i nie będziesz potrzebować mamy. Albo zachoruję, umrę w więzieniu i nigdy z niego nie wyjdę.

Ostatnie zdanie okrasiała śmiechem, który nie był zabawny. Wargi Sary przypominały teraz napięte struny.

- Ale kto się wtedy nami zajmie? - wyszeptwała. I nagle wrzasnęła na Lovę, która nieustannie jak szalona podskakiwała na krześle. - Mówiłam ci, przestań w tej chwili!

Lova usiadła posłusznie na krześle i włożyła połowę dłoni do ust.

Rebeka cisnęła z oczu wiązkę błyskawic w kierunku Sanny.

- Sanna jest zmartwiona - powiedziała do Lovy, która w milczeniu obserwowała starszą siostrę i mamę. Odwróciwszy się do Sary, mówiła dalej: - I dlatego tak mówi. Ale obiecuję wam, że nie pójdzie do więzienia. Niedługo znów wróci do domu.

Pożałowała swych słów w tym samym momencie, w którym otworzyła usta. Jak mogła im złożyć taką obietnicę?

Kiedy widzenie dobiegło końca, Rebeka poprosiła dziewczynki, żeby poczekały na nią przed samochodem. Zgrzytała zębami od powstrzymanego gniewu.

- Jak możesz - wydusiła z siebie. - Pojechały na basen, fajnie się bawiły, a ty... - Pokręciła głową z braku odpowiednich słów.

- Rozmawiałam dzisiaj z Mają, Magdaleną i Vesą. Wiem, że coś się działo z Wiktorem. I ty wiesz, co go gryzło. Śmiało, mów.

Musisz mi opowiedzieć.

Sanna milczała. Oparta o ścianę w miętowym kolorze, gryzła bardzo już ogryziony paznokieć kciuka. Jej twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

- Do jasnej cholery, Sanna, powiedz w końcu - krzyknęła z groźbą w głosie. - O co chodziło z Wiktorem? Vesa powiedział, że nie może złamać złożonej ci przysięgi milczenia.

Sanna bez słowa oderwała nadgryziony kawałek skórki przy paznokciu. Palec zaczął krwawić. Rebeka zaczęła się pocić. Nagle nabrała ochoty, żeby chwycić Sannę za włosy i trzasnąć jej głową o beton. Mniej więcej tak, jak robił to Ronny Björnström, ojciec Sary, aż w końcu nawet to mu się znudziło i odszedł w siną dal.

Dziewczynki czekały przy samochodzie. Rebeka przypomniała sobie, że Lova nie włożyła rękawiczek.

- Pies ci mordę lizał! - powiedziała w końcu i obróciwszy się na pięcie, wyszła.

Sanny już nie ma w celi. Ulotniła się przez betonowy sufit. Przcisnęła między atomami i cząsteczkami, wyslizgnęła w gwiazdną przestrzeń ponad brzemieną śniegiem chmurę. Już nie pamięta wizyty. Nigdy nie urodziła dzieci. Jest zaledwie małą dziewczynką, którą potężna mama-Bóg chwyciła w ramiona i unosi do światła. Unosi tak wysoko, że maleństwo czuje motyle w brzuchu. Ale mama trzyma mocno. Bóg nie upuści swojej kochanej córeczki. Sanna nie musi się bać. Nie upadnie.

*

Curt Bäckström jest w pokoju dziennym i w ogromnym lustrze ogląda badawczo swoje nagie ciało. Stoi skąpany w świetle lampek przesłoniętych czerwonym tiulem i w drgającym blasku kilkunastu świec. W oknach powiesił czarne prześcieradła, by nikt nie mógł zajrzeć do środka.

Pokój jest umeblowany bardzo skromnie. W mieszkaniu na próżno szukać by telewizora, radia czy kuchenki mikrofalowej. Emitowane przez nie sygnały i promieniowanie przyprawiały go dawniej o choroby. Budził się w nocy od głosów z

nieczynnych urządzeń elektrycznych. Ale teraz już nic takiego nie może mu zaszkodzić, więc na nowo włożył do kontaktu wtyczkę zamrażalnika i lodówki. Telewizor i radio nie są mu potrzebne. I tak nadają tylko bezbożną szmirę. Całodobowe wiadomości od szatana.

Zauważa zmiany w swoim wyglądzie. W ciągu ostatniej doby przybyło mu dziesięć centymetrów wzrostu. Urosły mu też błyskawicznie włosy, niedługo będzie mógł je związywać na karku. Robi przedziałek na środku głowy, pochyla się przed lustrem - podobieństwo do Wiktora Strandgärda jest uderzające.

Przez chwilę stara się zobaczyć własne odbicie. Swoje dawne ja. Być może przez moment coś przebłyskuje w oczach, ale natychmiast gaśnie. Obraz w zwierciadle rozplywa się i zaciera. Przeobrażenie stało się faktem.

Odwraca ręce i zbliża je do lustra. W czerwonym świetle widzi skapującą z ran krew i oliwę.

Szkoda, że nie ma tutaj Sanny. Powinna teraz klęczeć przed nim i zbierać spływający z dłoni olejek do szklanej fiolki.

Widzi, jak powoli dokręca korek w zielonkawej buteleczce. Widzi jej oczy wpatrzone w jego oczy, jej usta wymawiające słowo: „*rabbimi*”.

Czasami wątpił, to oczywiście. Wątpił w rolę prawdziwego wybrańca. Albo w to, że potrafi zmieścić w sobie całą moc Boga. Ostatnia komunia była prawie nie do wytrzymania. Ci tłoczący się wokół niego ludzie. Te podrygujące i gdaczące jak kury tłumy. Podczas gdy on stawał się jeszcze większą częścią Boga. Dobiegające go słowa dudniły w głowie ze zwielokrotnioną siłą. To jest CIAŁO moje. To jest moja KREW. Zataczając się, wrócił na swoje miejsce. Miał zatkanie uszy. Nie słyszał chóru. Ręce mężniały od napływającej mocy. Skóra wokół każdego palca pęczniała jak balon, napięta i błyszcząca. Pomyślał ze strachem, że może popękać jak u gotującej się parówki.

Następnego dnia kupił rękawiczki w największym rozmiarze. Czasami będzie zmuszony nosić je po domu. Przynajmniej dopóki nie nadejdzie czas, w którym ludzie dojrzeją już do

widoku.

Kiedy płacił w kasie, nagle ogarnęło go bardzo nie mile uczucie. Kobieta za ladą ofiarowała mu uśmiech. Od dawna posiadał dar rozróżniania duchów. Przyjmując resztę, obserwował przeobrażenie. Ekspedientce położyły zęby, gałki oczne wywinęły się na lewą stronę i straciły przejrzystość, przypominając teraz mrożone szkło. Z czerwonych paznokci wyrosły długie szpony.

Przez kilka godzin czekał przed zapleczem sklepu, ale później dostał wiadomość, że nie musi zabijać kobiety, ponieważ powinien oszczędzać siły na coś o wiele ważniejszego.

Teraz Curt w blasku świec wkracza do łazienki. Para bijąca z wanny pełnej gorącej wody w osiada na kafelkach, skrapla się i ścieka. Powietrze jest gęste od miedzianego zapachu krwi i cierpkiej woni mokrej wełny.

Z plastikowej suszarki do bielizny zwisa martwe ciało Tjapp, przywiązane do sznurów za tylne łapy. Krew skapuje niespiesznie do gorącej wody. Na podłodze obok wanny leży głowa psa, z pyskiem wciąż zaklejonym srebrną taśmą.

Gdy Curt zanurza się w czerwonej wodzie, momentalnie czuje przeszywające go na wskroś właściwości psa. Nogi, nagle zwawe i szybkie, wierzgają niespokojnie. Jest pewien, że mógłby teraz pobić rekord w biegu na sto metrów.

I czuje obecność Sanny. Czuje usta muskające psie ucho. Teraz dotykają jego ucha, szepcząc: kocham cię.

Już wcześniej zabrał jej królika, kota i nawet dwa myszokoczki. I cały czas potężniała jej miłość do niego.

Pije czerwoną wodę dużymi łykami. Trzęsą mu się ręce. Jak zwykle, gdy Bóg przejmuje pałeczkę, traci nad nimi kontrolę.

I Bóg chwytą go za rękę, i unosi ją do góry. Moczy palce we krwi jak w atramencie i pisze rozstrzelonym pismem na białych kafelkach. Litery tworzą imię. A później polecenie: „KURWA MUSI UMRZEĆ”.

I NASTAŁ WIECZÓR, I NASTAŁ PORANEK - DZIEŃ PIĄTY

W środku nocy Maja Söderberg siedzi przy kuchennym stole. Chociaż „siedzi” to za dużo powiedziane. Wprawdzie jej pośladki przylegają do siedziska, ale cały tułów leży na blacie stołu, a nogi zwisają bezwładnie pod krzesłem. Z ręką pod policzkiem wpatruje się we wzorek tapety, który na zmianę rośnie i maleje, pojawia się i blednie. Na wysokości oczu kobiety stoi butelka wódki. Nie przywykła do picia, miała pewne kłopoty, żeby wlać w siebie tak dużo alkoholu. Ale udało się. Najpierw płakała i smarkała. Ale teraz, teraz jest o wiele lepiej. Jakaś przyjazna dusza zaaplikowała jej uśmierzający zastrzyk prosto w mózg.

Nagle słyszy kroki Thomasa na schodach. Wieczorne spotkania podczas Konferencji Cudów przeciągają się w nieskończoność. Same spotkania trwają dość długo, a później wszyscy przesiadują w kawiarni. I zawsze znajduje się kilku zapaleńców, którzy do wczesnych godzin rannych odmawiają ą wspólne modlitwy. A Thomas zawsze im towarzyszy. Mówi, że to ważne. I ona to rozumie. Rozumie wszystko.

Słyszy, jak ostrożnie pokonuje stopnie, żeby nie zakłócić ciszy nocnej. Jakież on cholernie troskliwy wobec sąsiadów.

Kroki męża budzą w niej wściekłość.

„Ciiiiicho”, mówi Maja. Ale wściekłość nie chce ponownie zapaść w sen. Obudziła się i pobrzękuje kajdanami. Uwolnij mnie, domaga się głucho. Uwolnij mnie i pozwól mi go wykończyć.

Thomas staje przy kuchennym stole. Oczy i usta otwierają się w niemy przerażeniu. Wygląda po prostu przezabawnie. Trzy bezdenne dziury pod naciśniętą na czoło baranicą. Maja uśmiecha się krzywo. Dotyka dłonią ust. Tak, niewątpliwie, jej wargi są krzywo przyklejone do twarzy. Jak to się stało?

- Co ty wyrabiasz? - pyta Thomas.

Co wyrabia? Czyżby nie zauważył? Upija się, to chyba jasne. Pomaszrowała do monopolowego i kupiła wódkę za całe kieszonkowe.

Thomas jest pełen wyrzutów i pytań. Gdzie są dzieci? Czy Maja nie rozumie, jak małe jest to miasto? Jak wytłumaczy fakt, że jego żona kupuje alkohol?

I wtedy Maja zaczyna wyc. Znieczulenie ust i mózgu przestaje działać.

- Zamknij się, skurwielu jeden! - krzyczy. - Była tutaj Rebeka. Rozumiesz? Pójdę do więzienia.

Uspokaja ją. Prosi, żeby pomyślała o sąsiadach. Tłumaczy, że tworzą drużynę, że są rodziną, że razem sobie poradzą. Ale ona nie może przestać krzyczeć. Rzuca przekleństwami, których nigdy nie miała w ustach. Ty skurwysynu. Ty świętoszkowata, przekłeta świniou.

O wiele później, przekonawszy się, że Maja śpi jak zabita, Thomas podchodzi do telefonu i wystukuje numer.

- To Rebeka - mówi do słuchawki. - Nie mogę jej pozwolić na taką samowolę.

Piątek, 21 lutego

Przestał padać śnieg, zaczęło wiać. Przejmujący zimnem, lodowaty wiatr przedmuchiwał drogi i lasy. Zgarniając śnieg, przykrywał całą okolicę jednolitą białą kołderką. Poranny pociąg do Luleå stał unieruchomiony przez kilka godzin, a śnieżne zasy wokół domów, przesuwane podmuchami wiatru, blokowały teraz podjazdy i bramy garażów. Wietrzysko w poszukiwaniu sypkiego śniegu wypadało nagle zza węgła i wdzierало się pod kołnierz przeklinającemu pogodę roznosicielowi gazet.

Rebeka brnęła w kierunku domu Sivvinga. Przygarbiona i z opuszczoną głową parła do przodu jak atakujący byk. Niewiele widziała, wiatr sypał jej śnieżnym pyłem w oczy. Pod pachą trzymała Lovę niczym jakiś większy tobolek. W drugiej ręce

niosła jej plecak z różowego dzinsu.

- Potrafię chodzić sama! - marudziła dziewczynka.

- Wiem, kochanie, że potrafisz. Ale teraz nie mamy czasu. Tak będzie szybciej.

Otworzyła drzwi łokciem i postawiła Love na podłodze w przedsionku.

- Halo! - zawołała i natychmiast usłyszała w odpowiedzi szczekanie podnieconej Belli.

Po chwili w drzwiach do piwnicy pojawił się Sivving.

- Dziękuję, że możesz się nią zaopiekować - powiedziała zdyszana, bezskutecznie próbując ściągnąć Lovie buty bez rozwiązywania sznurówek. - Idioci! Przecież mogli mnie poinformować wcześniej, chociażby wczoraj, gdy ją odbierałam.

Kiedy przysła z Lovą do przedszkola, dowiedziała się, że placówka jest zamknięta dla dzieci, ponieważ personel ma warsztaty planowania. Postępowanie przed sądem w sprawie aresztu Sanny miało się zacząć za godzinę, teraz zostało jej naprawdę niewiele czasu. Za chwilę samochód mógł zostać kompletnie zasypany śniegiem. A wtedy na pewno nie zdąży.

Bezskutecznie walczyła ze sznurówkami, zawiązanymi przez starszą siostrę Lovy na podwójne supelki.

- To może ja spróbuję? - zaproponował Sivving. - Przecież tobie się spieszy.

Podniósł Lovę i usadowiwszy się na zielonym krzeselku, które zniknęło pod jego ogromnym cielskiem, posadził ją sobie na kolanach. Z anielską cierpliwością zaczął rozsupływać węzłki.

Rebeka posłała mu wdzięczne spojrzenie. Szybki marsz z przedszkola do samochodu i z samochodu do Sivvinga rozgrzał ją bardziej, niżby sobie tego życzyła. Przepocona bluzka lepiała się do ciała, ale prysznic był marzeniem ściętej głowy. Miała już tylko pół godziny.

- Pobędziesz trochę z Sivvingiem, a później po ciebie przyjadę, dobrze? - zwróciła się do Lovy.

Dziewczynka pokiwała głową i odwróciła twarz do mężczyzny, przyglądając się przez chwilę jego podbródkowi.

- Dlaczego nazywasz się Sivving? - zapytała. - To jest dziwne

imię.

- Masz rację, to dziwne imię - zaśmiał się. - Tak naprawdę nazywam się Erik.

Rebeka spojrzała na niego ze zdziwieniem, zapominając, że ma strasznie mało czasu.

- Co? Nie masz na imię Sivving? To dlaczego cię tak nazywają?

- Nie wiesz? - uśmiechnął się. - To wszystko przez moją matkę. Studiowałem inżynierię górniczą w Sztokholmie. Później wróciłem tutaj i zacząłem pracować w kopalni. A matula trochę się zdenerwowała. Oczywiście była ze mnie dumna. Ale z drugiej strony, gdy wysłała mnie na studia, nasłuchiwała się tego i owego od sąsiadów. Wtedy na nauki do stolicy jeździły tylko dzieci z dobrych i bogatych domów, a tutaj proszę, babie się w głowie przewracało, niech sobie nie myśli, że jest lepsza od innych.

Uśmiechnął się krzywo na wspomnienie tych czasów.

- W każdym razie wynająłem tutaj pokój przy Arent Grapekatan, a mama załatwiła telefon.

Na podaniu o abonament wpisała w rubryczkę mój stopień naukowy: *Civ. ing.*¹⁸, no i tenże pojawił się w książce telefonicznej. Rozumiesz chyba, jakie to miało konsekwencje? „Aha, to sam jaśniepan *civ. ing.* przyszedł z wizytą?” Ale po jakimś czasie ludzie zapomnieli, skąd się to wzięło, i nazywali mnie po prostu Sivving. A ja się przyzwyczailem. Nawet Maj Lis mówiła do mnie Sivving.

Rebeka przyglądała mu się z bezwiednym uśmiechem.

- To dopiero historia!

- A tobie się przypadkiem nie spieszyło?

Zerwawszy się z miejsca, wybiegła z domu.

- Tylko się teraz nie zabij na jakimś zakręcie! - zawołał za nią, przekrzykując wiatr.

- Nie prowokuj mi tu żadnych niechcianych myśli! - odkrzyknęła, wślizgując się do samochodu.

„Boże, jak ja wyglądam - myślała, podczas gdy samochód z mozołem pokonywał krętą szosę do miasta. - Gdybym miała

¹⁸ *Civ. ing.* - skrót od *civilingenjör*, mniej więcej odpowiednik polskiego magistra inżyniera.

choć pół godzinki na prysznic i zmianę ciuchów”.

Poznała już drogę na tyle, że nie musiała się na niej całkowicie koncentrować. Mogła sobie pozwolić na nieobecność myślami.

Leży z rękami przyciśniętymi do brzucha.

„Nie było tak strasznie - mówi do siebie. - Już po wszystkim ”. Ubrani na biało obcy ludzie o miękkich, bezosobowych dłoniach. („Dzień dobry, Rebeko, założę ci teraz wenflon i podłączę kroplówkę”, zimny wacik na skórze, palce pielęgniarki też są zimne, może udało się jej wymknąć na balkon i zapalić w wiosennym słońcu, „ teraz trochę zaboli, o, już po krzyku ”).

Patrzyła na słońce, które zalewając światłem połacie śniegu, czyniło świat męcząco jaskrawym. Przez plastikową rurkę prosto w ramię kapiała szczęśliwość. Wszystko, co ciężkie i smutne, odpływało w niebyt. A później dwie białe postacie zawiozły ją na blok operacyjny.

To było wczoraj rano. A teraz leży w łóżku z palącym bólem brzucha. Zażyła panadol, ale nie pomaga. Jest jej zimno. Może rozgrzeje się pod prysznicem. Może wtedy przejdzie ten bolesny skurcz podbrzusza.

Pod natryskiem nagle zaczyna się z niej wylewać krew. Patrzy przerażona, jak spływa po nodze, czerwona i gęsta. Musi wrócić do szpitala. Nowa kroplówka i nocleg na oddziale.

- To nic groźnego - tłumaczy pielęgniarka, widząc zaciśnięte usta Rebeki. - Czasami zdarza się, że w wyniku zabiegu powstaje infekcja. Nie z powodu braku higieny czy w jakiś inny sposób z twojej winy. Antybiotyk, który teraz dostajesz, świetnie sobie z tym poradzi.

Rebeka próbuje grzecznie odwzajemnić jej uśmiech, ale wykrzywia tylko usta w dziwnym grymasie.

„To nie jest kara - przekonuje samą siebie. - On nie jest taki. To nie jest żadna kara”.

Dwudziestego pierwszego lutego o godzinie 10.25 aresztowano Sannę Strandgård, podejrzaną o zamordowanie brata, Wiktora Strandgård. Prasa i telewizja rzuciły się na wiadomość jak stado zgłodniałych lisów. Korytarz sądowy jaśniał od fleszy i reflektorów, w których świetle rozmawiał z mediami prokurator Carl von Post.

Rebeka stała z Sanną w niewielkim pomieszczeniu obok sali rozpraw. Dwóch strażników czekało na sygnał, żeby wyprowadzić Sannę do samochodu, który miał ją odwieźć z powrotem do policyjnego aresztu.

- Oczywiście wniesiemy apelację - powiedziała Rebeka.

Sanna ugniałała bezwiednie palcami pukiel swoich włosów.

- Boże, jak ten młody protokolant na mnie patrzył. Zwróciłaś na to uwagę?

- Chcesz, żebym złożyła odwołanie, tak?

- Patrzył na mnie, jakbyśmy się znali, ale ja go wcale nie kojarzę.

Rebeka zatrzasnęła z hukiem aktówkę.

- Sanna, jesteś podejrzana o morderstwo. Wszyscy tam patrzyli na ciebie. Mam się odwoływać w twoim imieniu czy nie?

- Tak, to przecież jasne - odpowiedziała Sanna, po czym zwróciła się do strażników: - Jedziemy?

Jeszcze przez długą chwilę po ich odjeździe Rebeka wpatrywała się w drzwi prowadzące na parking. Odwróciwszy się, spotkała badawcze spojrzenie Anny Marii.

- Jak sprawy?

- Tak sobie - przyznała Rebeka z grymasem na twarzy. - A u ciebie?

- Tja... Też tak sobie.

Policjantka opadła na krzesło. Rozsunęła zamek ogromnej kurtki puchowej i uwolniła z niej równie ogromny brzuch. Jednym ruchem zdarła z głowy szarawą, wełnianą czapkę i nie poprawiła później włosów.

- Szczerze mówiąc, nie mogę się doczekać, kiedy znów będę jak człowiek.

- Co to znaczy „być jak człowiek”? - uśmiechnęła się Rebeka.

- To znaczy móc zażywać *snus* i pić kawę jak ludzie - roześmiała się Anna Maria.

Na oko dwudziestoletni chłopak z notatnikiem w ręku pojawił się w drzwiach.

- Rebeka Martinsson? - zapytał. - Ma pani minutkę?

- Za chwileczkę - odpowiedziała uprzejmie policjantka.

Podniosła się, podeszła do drzwi i po prostu je zamknęła.

- Zamierzamy przesłuchać córki Sanny - powiedziała bez ogródek, gdy ponownie usiadła na krześle.

- Nie... Chyba żartujesz? - jęknęła Rebeka. - One nic nie wiedzą. Leżały w swoich łóżkach i spały, gdy zamordowano Wiktora. Czy ten... Jak mu tam? Von Post. Czy on chce stosować tę samą twardą technikę przesłuchań wobec dzieci, które mają zaledwie cztery i jedenaście lat? Kto się nimi zajmie po przesłuchaniu? Ty?

Anna Maria oparła się plecami o oparcie krzesła i przyciskała ręką jakiś punkt tuż poniżej żeber.

- Rozumiem, że zareagowałaś na to, w jaki sposób rozmawiał z Sanną...

- No, a mówiąc poważnie, ty nie?

- Ale ja dopilnuję, żeby przesłuchanie dziewczynek było tak delikatne, jak to tylko możliwe. Obecny będzie psychiatra dziecięcy.

- Dlaczego? - zapytała Rebeka. - Dlaczego chcecie je przesłuchać?

- Rozumiesz chyba, że musimy. U Sanny znaleziono jedno narzędzie zbrodni, ale żadnych technicznych dowodów na to, że miała je w rękach. Drugiego narzędzia nie mamy. A więc to tylko poszlaki. Sanna zeznała, że miała ze sobą Sarę, gdy znalazła Wiktora, i że Lova spała w sankach. A może dziewczynki widziały coś istotnego?

- Widziały, jak mama zabija Wiktora, o to ci chodzi?

- W każdym razie musimy to wykluczyć - odpowiedziała sucho Anna Maria.

- Chcę wziąć udział w tym przesłuchaniu.

- Nie ma sprawy - zgodziła się życzliwie policjantka. - Powiem o tym Sannie, i tak wybieram się na komendę. Sanna wyglądała

na dosyć opanowaną.

- Jej tam po prostu nie było - westchnęła ciężko Rebeka.
- Chyba trudno sobie wyobrazić, co przeżywała, stojąc przed sądem.
- Tak...

Zebrali się w domu Gunnara Isakssona. Pastorowie, Rada Starszych i Rebeka. Wchodzi ostatnia, choć dziesięć minut przed wyznaczonym czasem. Słyszy, jak cichnie rozmowa w pokoju, gdy otwierają się drzwi. W domu nie ma ani Karin, żony Gunnara, ani ich dzieci, ale na stole pysznią się dwa duże termosy, jeden z kawą, drugi z wodą na herbatę. Na srebrnej paterze, przykryte serwetką w żółto-białą kratkę, leżą drożdżówki i ciasteczka.

Karin przygotowała też filiżanki, talerzyki i łyżeczki. I nawet śmietankę w dzbanuszkach. Ale pić kawę będą dopiero później. Najpierw muszą porozmawiać.

- Zastanawiasz się zapewne, dlaczego cię tutaj zaprosiliśmy. Zagaja Frans Zachrisson z Rady Starszych. Zazwyczaj nawet na nią nie zwraca uwagi. Nie lubi ani jej, ani Sanny. Ale teraz jego spojrzenie jest łagodne i zaniepokojone, a głos pełen ciepła i troski. I to Rebekę przeraża. Nie odpowiada, tylko zajmuje wskazane jej miejsce.

Pozostali członkowie Rady Starszych obserwują ją z powagą. Wszyscy w średnim wieku albo jeszcze starsi. Trzydziestoparolatki Vesa Larsson i Thomas Söderberg są najmłodsi.

Vesa wbija wzrok w stół. Thomas siedzi pochylony do przodu, z łokciami na kolanach. Na splecionych dłoniach opiera czoło, oczy ma zamknięte.

- Thomas złożył wypowiedzenie - mówi dalej Zachrisson. - Po tym, co się wydarzyło, nie może być pastorem w tej samej parafii, do której ty należysz, Rebeko.

Bracia kiwają ze zrozumieniem głowami.

- Poważnie zapatruję się na to, co zaszło. Ale wierzę też w przebaczenie. Przebaczenie zarówno Boga, jak i ludzi. Wiem, że Bóg przebaczył Thomasowi, ja również mu przebaczyłem.

Wszyscy to uczyniliśmy.

Milknie. Być może zastanawia się przez moment, czy powinien powiedzieć coś o przebaczeniu Rebecce. Ale to zawiły problem. Przerwała ciężę mimo bezinteresownego przekonywania Thomasa. I nie wykazuje żadnych oznak skruchy. Czy istnieje przebaczenie bez żalu i skruchy?

Rebeka zmusza się, by podnieść wzrok i popatrzeć w oczy Zachrissonowi. Ale nie potrafi się przemóc. Jest ich zbyt wielu. Są zbyt potężni.

- Próbowaliśmy odwieść Thomasa od zamiaru odejścia z parafii, ale on nie chce wycofać swojego podania. Ciężko byłoby mu tutaj działać, ponieważ wszystko przypominałoby mu o jego błędzie...

Milknie ponownie, co od razu wykorzystuje pastor Isaksson. Rebeka przygląda mu się kątem oka. Gunnar siedzi rozparty na skórzanej kanapie. Jego oczy są... prawie pożądliwe. W każdej chwili mógłby wyciągnąć swoją tłustą rękę, złapać, przyciągnąć do siebie i połknąć w całości. Teraz staje się dla niej jasne, że cieszą go kłopoty Thomasa. Jak dla Gunnara, ten młody pastor jest zbyt wielkim intelektualistą. Zna grekę i przy każdej okazji podkreśla, że tak i tak napisano w tekście oryginalnym. Studiował teologię na uniwersytecie. Gunnar skończył tylko sześcioletnią szkołę podstawową. Te ostatnie dyskusje nad „słabością” Thomasa musiały być dla niego tym, czym dla kota śmietanka i promienie słońca.

Isaksson wyjaśnia, że również on był wodzony na pokuszenie, ale że właśnie wtedy na próbę wystawiono jego relację z Bogiem. Opowiada, jak zapytany przez Radę Starszych o zaufanie w stosunku do Thomasa, poprosił o dzień namysłu. A później powiedział „tak”. Chciał być pewien, że jego decyzja będzie zgodna z wolą Boga. Miał nadzieję, że Rebeka to rozumie.

- Wierzymy w to, że Bóg ma wielkie plany co do Kiruny - przerywa Alf Hedman, przedstawiciel starszyny - i wierzymy również, że w tych planach Thomas ma do odegrania bardzo ważną rolę.

Rebeka doskonale rozumie, dlaczego ją tutaj zaprosili.

Thomas musi odejść z parafii, bo ona, pozostając jej członkinią, samą swoją obecnością cały czas będzie mu przypominać o grzechu. Wszyscy chcą, żeby Thomas został. Rebeka natychmiast spełnia ich wolę.

- Thomas nie musi nigdzie odchodzić - mówi. - Mam zamiar wystąpić ze wspólnoty, ponieważ przeprowadzam się do Uppsali. Będę tam studiować.

Gratuluje jej decyzji. Zachęcają do zasilenia szeregów uppsalskiej wspólnoty. Chcą się za nią pomodlić. Rebeka i Thomas siadają na stojących obok siebie krzesłach. Pozostali, utworzywszy krąg, kładą na nich ręce. Wkrótce ekstatyczny słowotok wypłynie przez okna i wzniesie się ku niebu.

Ich dłonie są jak rozłazące się po ciele robactwo. Wszędzie. Nie, jak rozżarzone płytki wypalające dziury w ubraniu i skórze, przez które wylewa się jej dusza. Robi się jej niedobrze. Chce jej się wymiotować. Ale nie potrafi. Uwięziona przez tych wszystkich mężczyzn, którzy obłożyli jej ciało swoimi rękami. Ale robi jedną rzecz. Otwiera oczy. Przyjmując modlitwę, trzeba je zamknąć, otwierając się tym bardziej do siebie i do Boga. Rebeka ma otwarte tylko oczy. Chwyta się kurczowo rzeczywistości, wbijając wzrok we własne kolana. W prawie niewidoczną plamkę na spódnicy.

- Zostaniesz na kawę, prawda? - pyta Isaksson, po tym jak glosy ucichły.

Zostaje posłusznie, a jakże. Pastorowie i starszyzna przeżuwiają z rozkoszą domowe wypieki Karin. Zostali wszyscy oprócz Thomasa, który zniknął zaraz po modlitwie. Dyskutują o pogodzie i o zbliżającej się serii spotkań wielkanocnych.

Nikt nie rozmawia z Rebeką. Jak gdyby jej tam nie było. Połyka pospiesznie suchą kokosankę. Ta kruszy się w ustach i potrzeba kilku potężnych łyków herbaty, żeby ją przelknąć. Zjadłszy ciasteczko, Rebeka odstawia filiżankę, mamrocze coś na pożegnanie i wymyka się. Jak złodziejka.

Anna Maria Mella brnęła przez śnieg do domu. Podjazd był całkowicie zasypany, samochód ugrzązł dokładnie przed bramą.

Odgarnęła nogą śnieg sprzed drzwi i otworzyła je jednym szarpnięciem. Zawołała w głąb mieszkania:

- Robert!

Żadnej odpowiedzi. Z pokoju Marcusa dochodziła głośna muzyka. Prośba o pomoc w odśnieżaniu mijała się z celem. Anna Maria wdałaby się tylko w półgodzinną bezowocną dyskusję. Lepiej, żeby zrobiła to sama. Ale nie czuła się na siłach. Śnieżny pył wciskał się klinem w futrynę, musiała porządnie trzasnąć drzwiami, żeby je domknąć. Robert pojechał gdzieś z Jenny i Petterem. Może do mamy?

U Marcusa byli koledzy, pewnie z drużyny. Na podłodze leżała jego torba treningowa, która razem z dwiema innymi topiła się w wodzie z naniesionego butami śniegu. Pokonawszy przeszkodę w postaci kijków do unihokeja, Anna Maria przeniosła podmokłe torby do łazienki. Wyjęła prze poczone spodenki, koszulkę i skarpety Marcusa, wytarła podłogę w przedpokoju i ustawiła buty i kije w równym rzędzie przy drzwiach.

W drodze do pralni z naręczem brudnych ubrań syna zajrzała do kuchni. Na stole stały karton mleka i puszka z kakao. Od rana? A może to Marcus z kolegami? Potrząsnęła delikatnie opakowaniem mleka i powąchała zawartość. W porządku. Włożyła do lodówki. Ogarnawszy zmęczonym spojrzeniem przeładowany zlew i jego okolice, skierowała kroki do piwnicy. Przed drzwiami do piwnicznych schodów leżały dwa kartony po bananach pełne bożonarodzeniowych ozdób.

W swoich planach Robert uwzględnił zniesienie kartonów do podziemnego schowka.

Zeszła na dół. Odsunęła nogą brudne ciuchy, rzucane przez członków rodziny na schody, i wzdychając, wniosła je do pralni. W środku przywitała ją góra czystego prania, wysoka jak szczyt Tolpagorni. Minęło chyba z tysiąc tygodni, odkąd ostatnio miała siłę na prasowanie i sortowanie. Brudy w nieświeżych kupkach na podłodze przed pralką. Koty kurzu po kątach.

Tłuste i niebojaźliwe. Mokre, ciemne kudły w kratce odpływowej.

„Kiedy będę na macierzyńskim - pomyślała. - Wtedy znajdę czas”.

Wrzuciła do bębna okazałą rodzinę frotowych skarpet, parę prześcieradeł i ręczników. Nastawiła na sześćdziesiąt stopni i program B. Słuchając mozolnego charczenia pralki, czekała na charakterystyczne kliknięcie, które niczym krótki sygnał Morse’em daje znak, że pranie właśnie się zaczęło. Ale nic takiego nie nastąpiło. Nie zaczęła się wlewać z hukiem żadna woda. Pralka nie ustawała w monotonnym rżeniu.

- No zaskocz wreszcie! - poganiała ją Anna Maria, waląc pięścią w białą blachę.

„Tylko nie to! Nowa pralka będzie kosztować ładnych parę tysięcy”.

Maszyna pomrukiwała ze zmęczenia. Anna Maria wyłączyła ją i włączyła ponownie. Spróbowała nastawić inny program. W końcu zaczęła ją kopać. A potem połały się łyzy.

Gdy godzinę później Robert szedł do pralni, zobaczył żonę siedzącą przy blacie.

Wściekła i zapłakana składała ubrania.

Jego miękkie dłonie pogłaskały ją po plecach i głowie.

- Jak się czujesz, Mia-Mia?

- Zostaw mnie! - warknęła.

Ale po chwili, szlochając żałośnie w jego objęciach, opowiedziała o palce.

- I wszędzie jest taki burdel - łkała. - Gdy tylko wejdę do domu, od razu widzę milion rzeczy, które trzeba zrobić. No i jeszcze to...

Z góry czystych ubrań wyłowiła maciupeńkie śpioszki w niebiesko-białe paseczki. Kolor wyblakł, a materiał skosmacił się od wielokrotnego prania.

- Biedne dziecko. Przez całe życie w spranych ciuchach po swoim rodzeństwie. A później prześladowane w szkole.

Robert ukrył uśmiech w jej włosach. Tym razem i tak obeszło się bez większych scen. Kiedy oczekiwała Pettera, było o wiele gorzej.

- No i oczywiście praca - nie przestawała narzekać. - Dostaliśmy listę uczestników Konferencji Cudów. Mieliśmy porównać ją z naszymi rejestrami. Ale dzisiaj aresztowano Sannę Strandgård i von Post chce, żebyśmy skupili się przede wszystkim na niej. Obiecałam więc Svenowi Erikowi, że zajmę się tą nieszczęsną listą, bo przecież formalnie nie biorę udziału w śledztwie. Nie wiem tylko, jak ja się z tym wszystkim wyrobię...

- Chodź do kuchni - powiedział. - Zaparzę herbaty.

Usiedli naprzeciwko siebie przy stole. Anna Maria niemrawo mieszała łyżeczką zawartość kubka, patrząc na rozpuszczający się w rumianku miód. Robert obrał jabłko, pokroił na ósemki, wręczał żonie kawałek po kawałku, a ona wkładała je bezrefleksyjnie do ust.

- Będzie dobrze - zapewnił.

- Nie mów, że będzie dobrze.

- No to przeprowadzimy się. Ty, ja i dzidzius. Olejemy ten zabałaganiony dom. Dzieciaki jakoś sobie przez chwilę poradzą. A później zainterweniuje państwo i umieści je w dobrych rodzinach zastępczych.

Anna Maria zaśmiała się i głośno wytarła nos w papierowy ręcznik.

- Albo poprosimy moją mamę, żeby tutaj zamieszkała - kontynuował Robert.

- Nigdy.

- Sprzątałaby.

Anna Maria znów zaczęła się śmiać.

- Nigdy, przenigdy.

- Opróżniałaby zmywarkę. Prasowała moje skarpety. Służyła ci dobrą radą.

Robert wstał i wrzucił ogryzek do zlewu.

„Dlaczego nie może wrzucić go od razu do kosza?”, pomyślała zmęczona.

- Chodź, weźmiemy dzieciaki i pójdziemy na pizzę - zaproponował. - Odwieziemy cię na komendę, żebyś mogła dzisiaj poprzeglądać akta tych „cudokonferencjantów”.

Gdy w piątkowe popołudnie Sara i Rebeka wkroczyły do kuchni Sivvinga, jej właściciel i Lova zajęci byli smarowaniem nart. Sivving trzymał przy niewielkim żelazku kawałek parafiny podkładowej, która skapywała na narty umocowane w imadelkach. Później ostrożnie rozprowadził białą maź po ślizgach. Odłożywszy żelazko, wyciągnął rękę ku Lovie, nie patrząc na dziewczynkę. Jak chirurg nad pacjentem.

- Cyklina - powiedział.

Lova podała mu plastikowe narzędzie.

- Smarujemy narty - wyjaśniła starszej siostrze, podczas gdy Sivving, zeskrobując nadmiar parafiny, produkował zabawne, kręczone strużynki.

- No przecież widzę - odpowiedziała Sara, głaskając Bellę, która leżała na dywaniku pod oknem i tak zamasyżuje machała ogonem, że dźwięczał znajdujący się za nią kaloryfer.

- Aha - odezwała się Rebeka. - Widzę, że zajęliście kuchnię.

- Ano. Ta czynność wymaga większych przestrzeni. Może ty też przywitasz się z Bellą, zanim zupełnie wyjdzie ze skóry. Kazałem jej tam leżeć, żeby nie poprzewracała nart i nie poroznosiła smarów. W porządku, Lovo, teraz podaj mi fluorową.

Zdjął żelazko z blatu zlewozmywaka i stopił kolejną porcję parafiny.

- No dobrze, dziewczuszko, już możesz wziąć swoje narty i nałożyć trochę niebieskiego wosku.

Rebeka pochyliła się nad Bellą i podrapała ją pod brodą.

- Jesteście głodne? - zapytał Sivving. - Mam drożdżówki z cynamonem i mleko.

Rebeka i Sara usiadły na drewnianej ławie i - każda ze swoją szklanką mleka w rękę - czekały na dzwonek mikrofalówki.

- Wybieracie się na narty? - zapytała Rebeka.

- O nie, nie, to wy się wybieracie. Jutro ma przestać wiać. Pomyślałem, że moglibyśmy zrobić wycieczkę skuterem wzdłuż rzeki, do chatki w Jiekajärvi. I pojeździłybyście sobie trochę na nartach. Nie było cię tam latami.

Rebeka wyjęła z kuchenki już za gorące cynamonowe ślimaki, położyła je na sosnowym stole i razem z Sarą, odrywając po

kawałku, maczały je w zimnym mleku. Lova pocierała żarliwie swoje dziecięce narty woskową kostką.

- Chętnie pojedę do Jiekajärvi, ale jutro muszę też trochę popracować - powiedziała Rebeka, mrugając.

Pod skórą, nad oczami narastał ból głowy, jak od uderzenia młotem. Ścisnęła między palcami nasadę nosa. Sivving spojrział na Rebekę ukradkiem. I na niedojedzoną drożdżówkę obok szklanki. Wręczył Lovie kostkę smaru i zaczął instruować, jak ma ją przyciskać do spodów nart.

- Posłuchaj no, panno - zwrócił się do Rebeki. - Idź na górę i połóż się na chwilę. Wezmę dziewczynki i Bellę na spacer, a później ugotujemy jakiś obiad.

Rebeka weszła do sypialni na piętrze. W cichym pokoju stało puste i idealnie zasłane małżeńskie łóżko Sivvinga i Maj Lis. Wytoczone w sosnowym drewnie kule, zdobiące wezglowie i front, pociemniały i wytarły się od wieloletniego dotykania. Nagle Rebeka zapragnęła oprzeć dłoń na jednej z nich. Szare niebo nie przepuszczało zbyt wiele dziennego światła, w sypialni było prawie ciemno. Położyła się na narzucie i przykryła leżącym w nogach wełnianym pledem. Była zmarznięta, zmęczona i bezbronna wobec pulsującego bólu głowy. Bez większego namysłu chwyciła za komórkę i sprawdziła pocztę głosową. Najnowsza wiadomość pochodziła od Månsa Wenngrena.

- Niepotrzebna była żadna końska głowa - mówił, rozwlekając sylaby. - Ale w zamian za to, że dziennikarka wycofała oskarżenie o pobicie, obiecałem jej dać cynk co do story...

- Co do jakiej story? - zawarczała Rebeka.

Czekała, aż powie coś więcej, ale to było wszystko i automatyczny głos w słuchawce informował już o czasie nadejścia kolejnej wiadomości.

„A co ty myślałaś? - szydziła z samej siebie. - Że jeszcze trochę pogrucha i powie coś o pogodzie?”

Następną wiadomość nagrała Sanna.

- Hej - zaczęła sucho - właśnie dowiedziałam się od Melli, że dziewczynki mają być przesłuchane. Z udziałem psychiatry dziecięcego i tak dalej. Nie podoba mi się ten pomysł i jestem

zdziwiona, że o tym ze mną nie rozmawiałaś. Szkoda, że tak się między nami nie układa, postanowiłam, że na razie dziewczynkami zajmą się moi rodzice.

Rebeka wyłączyła telefon, nie dbając o pozostałe wiadomości. Usłyszała pukanie do drzwi i po chwili do środka zajrzał Sivving. Zobaczył, jak Rebeka wlepia oczy w komórkę.

- Chyba wymienimy ją na jakiegoś komórczaka-zwierzaka z pluszu - powiedział. - Myślę, że taki wyjazd do Jiekajärvi dobrze ci zrobi. Tam nie ma zasięgu, więc możesz spokojnie zostawić to ustrojstwo w domu. Chciałem tylko powiedzieć, że obiad będzie gotowy za jakąś godzinę, przyjdę cię obudzić. A teraz śpij.

Rebeka popatrzyła na niego.

- Nie idź, proszę. Opowiedz coś o babci.

Mężczyzna podszedł do szafy, wyciągnął jeszcze jeden koc i przykrył nim Rebeke. Wziął od niej telefon i położył na stoliku nocnym.

- Ludzie tutaj chyba nie wierzyli, że twój dziadek Albert kiedykolwiek się ożeni. Gdy był w domu u innych, zawsze siedział w kącie, milczał i tylko międlił w rękach czapkę. Jako jedyny z rodzeństwa został na gospodarce u ojca. A jego ojciec, twój pradziadek Emil, to był dopiero niezły twardziel. Wszystkie chłopaki trzęsły przed nim portkami. Kiedyś złapał nas na grze w pokera w piaskarni. Myślałem, że wyrwie mi ucho z głowy. Był surowym wyznawcą lestadianizmu¹⁹. Ale do rzeczy. Albert pojechał kiedyś na pogrzeb do Junosuando, a kiedy wrócił, coś się w nim odmieniło. Był milczkiem jak dawniej, ale sprawiał wrażenie, jak gdyby uśmiechał się do samego siebie, chociaż w ogóle nie wyginał ust. Rozumiesz, o co mi chodzi? Spotkał twoją babcię. Tego lata kilka razy jeździł do rodziny w Kuoksu. Emil pieniał się z wściekłości, bo Albert nagle zniknął w środku kośby. W końcu Theresia przyjechała tutaj w odwiedziny. A przecież wiesz, jaka ona była. Jeżeli

19 Lestadianizm - powstały w XIX wieku w północnej Szwecji i do dzisiaj aktualny luterański niezależny ruch religijny, który charakteryzuje się między innymi surowością reguł w życiu codziennym.

chodzi o robotę, nikt nie mógł jej ganić. W każdym razie nie wiem, jak do tego doszło, ale w pewnym momencie Emil i Theresia zaczęli kosić każdy swoją połówkę starej łąki, wiesz, tej między kartofliskiem a rzeką. Zrobiły się z tego wyścigi. Pamiętam je bardzo dokładnie. Było już późne lato, grasowały meszki, a ponieważ zapadał wieczór, to kasały niczego sobie. My, chłopaki, staliśmy z boku i gapiliśmy się. Isak, brat Emila, też tam był. Szkoda, że nigdy go nie poznałaś. Szli do przodu, każdy ze swoją kosą, bez słowa. My też milczeliśmy. Słysząc było tylko owady i wieczorne krzyki jaskółek.

- Wygrała? - nie wytrzymała Rebeka.

- Nie, ale w pewnym sensie Emil też przegrał. Skończył kosić pierwszy, ale twoja babcia skończyła zaraz po nim. A Isak, pocierając zarost, powiedział tak: „No dobrze, Emil, ale na twoją połówkę będziemy musieli wypuścić barana”. Emil szedł z kosą jak burza, ale nie grzeszył dokładnością. A część skoszona przez babcię, ho, ho, jakby ścinała trawę na kolanach i nożyczkami do paznokci. No więc dowiedziałas się o tym, jak babcia zdobyła sobie respekt twojego pradziadka.

- Opowiedz więcej, proszę.

- Innym razem - uśmiechnął się Sivving. - Teraz powinnaś się trochę przespać.

Ostrożnie zamknął za sobą drzwi.

„No, ale jak ja mam spać?”, myślała Rebeka.

Miała nieodparte wrażenie, że Anna Maria Mella kłamała. Albo może nie kłamała, ale na pewno coś zataiła. I dlaczego Sanna stanęła okoniem, gdy dowiedziała się o przesłuchaniu córek? Czy z tego samego powodu co Rebeka, to znaczy z braku zaufania do von Posta? Albo może dlatego, że wmieszano w to psychiatrę? Dlaczego ktoś napisał do Wiktora, zapewniając, że to, co czynią, nie jest występkiem w oczach Boga? Dlaczego ta sama osoba groziła Rebecce? A może to nie była groźba, tylko ostrzeżenie? Rebeka próbowała sobie przypomnieć, co dokładnie było napisane na kartce.

„Boże drogi, i jak ja mam zasnąć?”, narzekała w myślach, wbijając oczy w sufit.

Ale już po chwili zapadła w głęboki sen.

Obudziła ją pewna myśl. Wpatrzona w mrok pod sufitem leżała nieruchomo, żeby jej nie spłoszyć.

Coś, co powiedziała Mella. „Mamy tylko poszlaki”.

- Jeżeli ma się tylko poszlaki, czego wówczas potrzeba? - szeptała do siebie Rebeka. - Motywu. A jaki motyw można by poznać, przesłuchując córki Sanny?

Świadomość zapadła w nią jak moneta wrzucana na szczęście do stawu. Przebiwszy się przez wodę, spoczęła na dnie. Ze zmaconej powierzchni znikwały zmarszczki, obraz stawał się jasny.

„Wiktor i dziewczynki. - Rebeka broniła się przed tą myślą. - To niemożliwe. A przecież jednocześnie tak przerażająco możliwe”.

Uzmysłowiła sobie pewne szczegóły z tego dnia, gdy przyjechała do Kurravaara. Jak Lova zapaćkała mydłem i psa, i siebie. „Czy Sanna zresztą nie wspomniała wtedy, że Lova tak zawsze? Czy to nie jest typowe wyładowywanie się charakterystyczne dla dzieci, które...”

Nie potrafiła dokończyć myśli.

Nagle przypomniała sobie Sannę. Sannę z jej wyzywającymi ubraniami. I ze swoim ciężkim, groźnym ojcem.

„Jak mogłam tego nie zauważyć - dziwiła się. - Rodzina. Tajemnica rodzinna. To nie tylko możliwe. To jak najbardziej możliwe. Tak musiało być. Ale i tak... To nie mogła być Sanna. Nie ona zabiła Wiktora. Nawet gdyby chciała, nie dałaby rady”.

Przywołała w pamięci historię z kupionym przez Sannę zepsutym opiekaczem do chleba.

„Nie potrafiła pójść do sklepu z reklamacją - pomyślała Rebeka. - Gdybym ja go wtedy nie oddała, trzymałaby go pewnie w domu bez protestu”.

Usiadła na łóżku, nie przestając rozmyślać. „Jeżeli Sanna nie życzy sobie przesłuchania córek, to jej rodzice pewnie już są w drodze po dziewczynki. Prawdopodobnie już szarpią za kłamkę w domu babci. I w każdej chwili mogą wrócić”.

Wzięła telefon ze stolika i zadzwoniła do Anny Marii, która odpowiedziała ze stacjonarnego w pracy. Sprawiała wrażenie

zmęczonej.

- Nie mogę teraz więcej wyjaśnić - powiedziała Rebeka. - Ale jeżeli chcecie przesłuchać córki Sanny, to mogę z nimi jutro przyjechać. Później będzie to prawie niemożliwe.

Policjantka wstrzymała się z pytaniami.

- Dobrze. Załatwię to.

Ustaliły godzinę, Rebeka obiecała wziąć ze sobą dzieci.

„Gotowe - pomyślała, wstając z łóżka. - Przykro mi, Sanno, ale odsłucham pocztę głosową dopiero jutro po południu. Tak więc jeszcze nie wiem, że chcesz, żeby dziewczynkami zaopiekowali się twoi rodzice”.

Musi się tylko do jutra gdzieś schować. Nie może tutaj zostać z dziećmi. Sanna przecież wie, że mogą być u Sivvinga.

Anna Maria siedziała w służbowym pokoju przed komputerem, zajęta analizą danych. Korytarz na zewnątrz tonął w ciemności. Obok ekranu, w zatłuszczonym kartonie, leżała zimna, niedojedzona pizza z tuńczykiem. Zdziwiająco wielu uczestników Konferencji Cudów figurowało w rejestrze karnym, w skorowidzu osób podejrzanych i systemie informacji policyjnej. Najczęściej chodziło o przestępstwa narkotykowe połączone z przestępstwem przeciwko mieniu i z użyciem przemocy.

„Nawróceni narkomani i łobuzy”, pomyślała.

Zapisała nazwiska i numery PESEL kilku osób, które uznała za warte sprawdzenia.

Właśnie kiedy zdecydowała, że zadzwoni do Roberta, jej spojrzenie padło na notatkę o morderstwie. Wyrok zapadł w sądzie rejonowym w Gävle dwanaście lat temu. Sankcja karna: leczenie w zamkniętym zakładzie psychiatrycznym. Żadnych innych informacji od tamtego czasu.

„Aha - pomyślała. - Jest tutaj na przepustce czy został wypisany? Muszę go sprawdzić”.

Podniosła słuchawkę i zadzwoniła do domu. Odebrał Marcus, nie kryjąc rozczarowania, że to tylko matka.

- Powiedz tacie, że wrócę dość późno - poprosiła.

Rebeka zeszła do kuchni. Sivving właśnie nakrywał do obiadu.

Wykładał na stół dokładnie te same szklanki z duraleksu, sztucze z czarnymi bakelitowymi trzonkami i talerze w żółte kwiatuszki, które pamiętała sprzed wielu lat. Jako dziecko często przebywała w tej kuchni, rozmawiając z Maj Lis i jej mężem.

- Będą klopsiki domowej roboty - oznajmił.

- Pachną cudownie - powiedziała Rebeka. - A ja padam z głodu.

- Dwie trzecie mielonego mięsa łosia i jedna trzecia wieprzowiny.

- Gdzie są dziewczynki?

Mężczyzna wskazał głową pokój obok.

- Słuchaj, mogłabym pożyczyć od ciebie skuter i sanki? Chciałabym pojechać z dziećmi do Jiekajärvi jeszcze dzisiaj wieczorem.

Sivving postawił na stole żeliwną brytfannę. Jako podstawki użył złożonej ściereczki kuchennej z wyszytym czerwonymi krzyżykami monogramem Maj Lis.

- Czy coś się stało?- zapytał.

Rebeka skinęła głową.

- Ale to nic groźnego - dodała. - Po prostu nie możemy tutaj zostać. I jeżeli przyjadą

do ciebie rodzice Sanny i będą o nas wypytywać, to powiedz, że nie wiesz, gdzie się podziewamy.

- W porządku. Mam tu kombinezony dla ciebie i dziewczynek. Weźmiecie ze sobą jedzenie i suche drewno. A ja z Bellą jutro do was dojadę. Ale bez obiadu nigdzie was nie wypuszczę.

Rebeka weszła do pokoju. Lova i Sara siedziały przy zaścienym gazetami stole i w wielkim skupieniu malowały kamienie. Na środku stołu spoczywał gotowy wzór. Był trochę większy niż męska pięść i przedstawiał zwiniętego w kłębek kota o ogromnych turkusowych oczach.

- W lecie zajmowały się tym wnuki - objaśnił z kuchni Sivving.

- No i pomyślałem, że dziewczynkom też się spodoba.

Bella zaszczekała ostrzegawczo.

- Ależ przestań wreszcie! - skarcił ją Sivving. - Nie pojmuję, o co jej chodzi - zwrócił się do Rebeki. - Pół godziny temu ujadła

w ten sam sposób. Jakiś lis albo co. Nie obudziła cię?
Rebeka pokręciła głową.

- Zobacz, Rebeko, maluję Tjapp! - zawołała Lova.

- Mmm, bardzo ładnie - odpowiedziała odległa myślami. -
Możecie wziąć ze sobą kamienie i farby. Wieczorem pojedziemy
skuterem do chatki mojej babci i zostaniemy tam na noc.

*

Kwadrans po szóstej wieczorem Rebeka skierowała skuter ku
rzece. Nawet kominiarka, naciągnięta na oczy skórzana czapka
i ciągle mrużenie powiek nie chroniły jej od smagającego twarz
śniegu. Światło reflektora odbijało się od wirującego pyłu i
ograniczało widoczność mniej więcej do metra. Sara i Lova
leżały opatulone w ciągniętych przez skuter saniach. Spod
pleców i skóry renifera wystawały tylko czubki nosów
dziewczynek.

Rebeka przejechała przez podwórko babci i zatrzymała się na
chwilę przed domem. W zasadzie powinna wejść do środka po
piżamy. Ale jeżeli akurat teraz przyjadą rodzice Sanny? Tylko
tego brakowało. Nie, lepiej się nie ociążać. Jeżeli uda się jej
przechować dziewczynki do jutra, to zaopiekuje się nimi
psychiatra. A później pałeczkę przejmie zarząd opieki
społecznej albo cholera wie kto. W każdym razie ona zrobiła
dla nich wszystko, co mogła. Dodała gazu. Ciemność zamykała
się za nią czarną kurtyną. A wiatr prawie momentalnie
zasypywał ślady płóz.

Curt Bäckström stoi w kuchni babci Rebeki jak cień. Opierając
się o ścianę przy oknie, odprowadza wzrokiem światła skutera.
W prawej ręce trzyma nóż. Przesuwa delikatnie palcem po
głowni, by poczuć jej ostrość. W jednej kieszeni kombinezonu
ma trzy czarne worki z plastiku. W drugiej - klucze do domu,
które wyjął Rebecę z płaszczu. Długo czeka w ciemności. Znow
pozwala sobie na to, żeby opadły mu powieki. Czuje błogość.
Oczy są suche i palą ogniem. Lisy mają nory, niebiańskie ptaki
gniazda i tylko Syn Człowieczy nie ma gdzie złożyć głowy.

*

Anna Maria Mella jechała wzdłuż Österleden w kierunku Lombolo. Minęła dziesiątą wieczorem. Jechała stanowczo za szybko. Sven Erik automatycznie wyciągnął dłoń ku desce rozdzielczej, gdy samochód wpadł w poślizg na zawianej suchym śniegiem drodze. Ręka w grubej rękawicy nie znalazła żadnego punktu oparcia.

Dom towarowy Obs z prawej strony niczym kilka białych punkcików świetlnych za zasłoną śniegu. Hamowanie przed rondem. Pisk opon po naciśnięciu pedału gazu. Na lewo Dom Kosmosu jak osiadły na mieliźnie srebrny, pozaziemski statek. Jaskrawoczerwony neon. Ulice willowych dzielnic, Stenvågen, Klippvågen, Blockvågen, i niestrudzenie odśnieżane podwórka z wypełnionymi ziarnem karmnikami dla ptaków.

- Nazywa się Curt Bäckström - powiedziała Anna Maria. - Dwanaście lat temu został skazany za morderstwo na leczenie w zamkniętym zakładzie psychiatrycznym, jak to się wtedy nazywało. Od tamtego czasu nie figuruje w żadnej bazie danych.

- Okej, co to było za morderstwo?

- Zadźgał ojczyrna. Zadał wiele ciosów. Matka to widziała i zeznawała przeciwko synowi. W czasie przesłuchania przyznała, że boi się chłopca.

- Chłopca?

- Miał tylko dziewiętnaście lat. I nie przyjechał na konferencję z daleka. Mieszka w tej dzielnicy. Lompis, Tallplan 5B. Jeden z kolegów w Gävle znał kogoś w kancelarii sądu, a ten ktoś po godzinach pracy wysłał faksem wyroki. Czasami współpraca z ludźmi jest bajecznie prosta.

Anna Maria skrzyła na parking. Długie rzędy garaży. Dwupiętrowe, drewniane czynszówki z końca lat sześćdziesiątych. Wysiedli z samochodu. Po drodze nie zobaczyli żywej duszy, chociaż to był piątkowy wieczór.

- Sąd okręgowy wypisał go dwa lata temu - opowiadała dalej Anna Maria. - Miał kontakt z poradnią psychiatryczną w Gävle. Przyjmował systematycznie zastrzyki domięśniowe, chodził do

pracy. Ale z informacji urzędu ewidencji ludności wynika, że w styczniu ubiegłego roku przeprowadził się do Kiruny. I według dyżurnego psychiatry w Gällivare nie kontaktował się tutaj z poradnią psychiatryczną.

- Więc...

- Nie wiem, ale prawdopodobnie przez mniej więcej rok nie przyjmował potrzebnych mu leków. Zresztą czy to takie dziwne? Widziałeś przecież kasety wideo z nagraniami spotkań w zborze. „Wyrzuć swoje tabletki! Bóg jest twoim lekarzem!” Zatrzymali się przed wejściem do budynku. W dwóch mieszkaniach było ciemno. Sven Erik trzymał rękę na klamce. Anna Maria ściszyła głos.

- Zapytałam lekarza, co według niego dzieje się z osobą, która przestała przyjmować zastrzyki o wydłużonym działaniu.

- I...

- I... Przecież sam wiesz, jacy są lekarze. „Nie mogę wypowiadać się w tym szczególnym przypadku”, „... ogromne zróżnicowanie”, ale w końcu wykrztusił, że raczej / chyba / być może / z dużą dozą prawdopodobieństwa jej stan się pogarsza. Nawet bardzo. I wiesz, co powiedział, kiedy wspomniałam, że to Kościół namawiał Curta do odrzucenia leków?

Sven Erik pokręcił głową.

- Powiedział: „Słabi ludzie często ciągną do Kościoła. Zresztą tak jak ludzie, którzy chcą mieć władzę nad słabymi”.

Przez kilka sekund stali w milczeniu. Anna Maria przyglądała się ich własnym śladom, natychmiast wypełnianym śniegiem.

- Wchodzimy? - zapytała.

Sven Erik otworzył drzwi, znaleźli się w ciemnym wnętrzu. Anna Maria zapaliła światło. Ze spisu lokatorów po prawej stronie wynikało, że Bäckström mieszka na pierwszym piętrze. Zaczęli wchodzić na górę. Obydwoje nieraz byli w tych czynszowych blokach, zazwyczaj wzywani do awantur i bijatyk. W powietrzu unosił się charakterystyczny dla tych klatek schodowych zapach: zasikane schody, ostry środek czyszczący i beton.

Zadzwonili, ale nikt nie otwierał. Przyłożyli ucho do drzwi, ale jedyne, co słyszeli, to głośna muzyka z mieszkania

naprzeciwko. W oknach nie paliło się żadne światło. Przez szczelinę na listy nie było widać nic oprócz ciemności.

- Będziemy musieli przyjechać tu jeszcze raz – powiedziała.

I NASTAŁ WIECZÓR, I NASTAŁ PORANEK - DZIEŃ SZÓSTY

Jest dwadzieścia minut po czwartej nad ranem. Rebeka siedzi przy niewielkim kuchennym stole w chatce w Jiekajärvi. Wpatrzona w okno widzi swoje ogromne oczy. Ktoś mógłby stać po drugiej stronie i obserwować ją bez jej wiedzy. I nagle ten ktoś mógłby podejść bliżej do szyby i jego twarz zlałaby się z jej odbiciem.

„Przeستاń! - upomina siebie samą. - Nikogo tam nie ma. Komu chciałoby się wychodzić z domu w nocy i do tego w taką pogodę?”

W kominku trzaska ogień, w kominie zawodzi ciąg powietrza, któremu akompaniuje gwizd wiatru na zewnątrz i cichy szum kuchennej lampy gazowej. Rebeka dokłada kilka drewn. W czasie burzy nie można sobie pozwolić na wygaśnięcie ognia. Jutro rano chatka byłaby całkiem wyziębiona.

Wicher wdziera się przez szczeliny w ścianach i między futryną a starymi drzwiami w kolorze żółtej ochry. Kiedyś, dawno temu, jeszcze przed narodzinami Rebeki, te kasetonowe drzwi zamykały chlew. Wie o tym od babci. A jeszcze wcześniej znajdowały się gdzieś indziej. Są bowiem zbyt piękne i solidne, żeby wykonano je z myślą o chlewiku. Prawdopodobnie były częścią domu mieszkalnego, który rozebrano, a stolarkę wykorzystano w innych budynkach.

Na podłodze leży kilka warstw gałkankowych dywaników utkanych przez babcię. Skutecznie izolują od zimna. Izoluje również śnieg, nawiany pod ściany chatki. Dodatkową ochroną północnej ściany jest stos drewna, przykryty teraz brezentem.

Przy kominku stoi emaliowane wiadro z wodą i czerpakiem z nierdzewnej stali, a obok

- ogromny kosz na bierwiona. Również na podłodze, na starych gazetach, suszą się kamienne kotły. Chociaż kamień

Lovy przedstawia oczywiście psa, który teraz zwinięty w kłębek, z pyskiem między przednimi łapami nie odrywa ślepi od Rebeki. Na wszelki wypadek Lova napisała na czarnym grzbiecie „Tjapp”. Dziewczynki śpią obok siebie, z poplamionymi farbą palcami, przykryte aż po uszy podwójną warstwą kołder. Zanim się położyły, pomogły Rebecce zrolować materace i wypuścić z nich lodowate powietrze. Sara śpi z otwartymi ustami, Lova kuli się na ramieniu siostry. Obydwu zarumieniły się policzki. Rebeka ściąga wierzchnią kołdrę i kładzie ją na górnym posianiu.

„To nie ja mam je chronić, to nie moja działka - wmawia sobie samej. - Pojutrze nie będę mogła zrobić dla nich nic więcej”.

Anna Maria Mella siedzi na łóżku przy zapalanej lampce i śpiącym obok mężu. Pod plecy wcisnęła dwie poduszki i oparła się o wezgłowie. Na kolanach trzyma pożyczony od Kristiny Strandgård album z wycinkami o Wiktorze. A w brzuchu zaczyna się wiercenie, rozpychanie i kuksańce.

- Hej tam, gówniarzu maleńki! - woła Anna Maria, naciskając na twarde wybrzuszenie, pod którym kryje się stopka dziecka. - Nie będziesz kopał swojej starej matki.

Przygląda się fotografii Wiktora siedzącego na zaśnieżonych schodach przed Kryształowym Kościołem. Chłopak ma na głowie nieopisanie brzydką, szydełkową, zieloną czapkę. Wystające spod niej długie włosy zwisają przez lewe ramię. Pokazuje fotografowi swoją książkę *Do nieba tam i z powrotem*. Roześmiany. Otwarty i bez cienia napięcia.

„Czy on mógł skrzywdzić dzieci Sanny? - zastanawia się policjantka. - Przecież to tylko chłopiec”.

Na wspomnienie o jutrzejszym przesłuchaniu dziewczynek czuje lęk zmieszany z niechęcią.

„Ty w każdym razie będziesz miało dobrego tatusia”, zwraca się w myślach do dziecka w brzuchu.

Nagle ogarnia ją wielkie wzruszenie na myśl o tym maleńkim życiu, gotowym do przyścia na świat, z dziesięcioma paluszkami u rąk, dziesięcioma u nóg i własną osobowością. Dlaczego zawsze zbiera jej się na płacz? Dlaczego reaguje tak

przesadnie? Nawet filmów Disneya nie potrafi oglądać bez wielkiego wylewania łez. Zawsze płacze w tym najsmutniejszym momencie, zanim wszystko szczęśliwie się zakończy. Czy naprawdę minęło już czternaście lat od czasu, gdy nosiła pod sercem Marcusa? A Jenny i Petter? Oni też już nie są maleństwami. Życie płynie tak niesamowicie szybko. Anna Maria czuje przyływ głębokiej wdzięczności.

„Nie mam powodów do narzekania - zwraca się do kogoś we wszechświecie. - Mam cudowną rodzinę i dobre życie. Otrzymałam już więcej, niż mam prawo żądać”.

- Dziękuję - mówi głośno.

Robert przewraca się na drugi bok. Zawinięty ciasno w kołdrę przypomina gołąbka.

- Proszę bardzo - odpowiada przez sen.

Sobota, 22 lutego

Rebeka nalewa sobie kawy z termosu i siada ponownie przy kuchennym stole.

„Jeżeli Wiktor faktycznie wykorzystywał seksualnie córki Sanny - rozmyśla - to czy Sanna mogła wpaść w taką furję, żeby go zabić? Może chciała go spotkać, żeby się rozmówić, i...

I co? - przerywa sobie samej. - I straciła nagle dobry nastrój, wyczarowała skądś nóż myśliwski i zadźgała brata? A przy okazji rąbnęła go w głowę czymś ciężkim, bo przypadkowo miała to coś w kieszeni?

Nie, to się nie trzyma kupy.

A kto napisał do Wiktora tę kartkę, która leżała w jego Biblii? »To, co zrobiliśmy, nie jest występkiem w oczach Boga«„

Podnosi z podłogi słoiczki z farbą i rozkłada na stole starą gazetę. Maluje na niej Sannę. Wygląda jak piernikowa babuszka z długimi kręconymi włosami. Pod spodem pisze imiona „Sara” i „Lova”. Obok rysuje sylwetkę Wiktora z odrobiną krzywą aureolą nad głową. Łączy imiona Wiktora i jego siostrzenic jedną kreską. Drugą przeciąga między Wiktorem a Sanną.

„No tak, ale ta relacja została przerwana”, uświadamia sobie i

przekreśla linie łączące Wiktora z Sanną i dziewczynkami. Odchyła się do tyłu i przebiega wzrokiem po oszczędnym umeblowaniu izby. Zielone piętrowe łóżka domowej roboty, stół kuchenny z czterema krzesłami, każde z innej parafii, drewniana ława z czerwoną, plastikową miską i niewielki stołek w kącie przy drzwiach.

Dawno temu, kiedy chatka przede wszystkim służyła myśliwym, wujek Affe miał zwyczaj opierania strzelby o ścianę, stawiając ją najpierw na tym właśnie stołku. Rebeka pamięta zmarszczone z niezadowolenia brwi dziadka. On sam zawsze wkładał broń do futerału, który później wsuwał pod łóżko.

Teraz na taborecie leżała siekiera, a na haku nad nim wisiała piła z szerokim brzeszczotem.

„Sanna”, myśli Rebeka, ponownie rzucając okiem na swoje malunki.

Nad głową w lokach dorysowuje małe spirale i gwiazdki.

„Sanna - wanna - fiu-bździu - panna. Taka, co to nigdy nic nie potrafi sama. Cały czas do jej życia wtrącali się jacyś idioci i wyręczali ją w różnych sprawach. Sama jestem taką cholerną idiotką. Ona nawet nie musiała mnie prosić, żebym przyjechała. Przybiegłabym tak czy owak jak jakiś popieprzony szczeniak”.

Pozbawia Sannę rąk, zamalowując je czarną farbą. Właśnie tak, teraz jest niezdolna do działania. A później maluje siebie samą i podpisuje „IDIOTA”.

Z obrazka wypływa przeświadczenie. Pędzel w drżącej dłoni przesuwa się wzdłuż konturów namalowanych postaci. „Sanna nie potrafi zrobić nic sama. Stoi tutaj bez ramion i dłoni. Kiedy czegoś chce, wkracza jakiś idiota i załatwia to, co trzeba. Rebeka Martinsson jest przykładem takiego idioty.

Jeżeli Wiktor wykorzystuje seksualnie dzieci Sanny... a ona wpada w taką wściekłość, że chce go zabić. To co wtedy?

Wtedy jakiś idiota zabija Wiktora dla Sanny.

Czy to możliwe? Tak. Tak musiało być.

Biblia. Morderca zostawił Biblię w kuchni Sanny.

Oczywiście nie dlatego, żeby ją obciążyć winą. To był prezent. Wiadomość na widokówce napisana rozstrzelonym piśmem

była dla Sanny, nie dla Wiktora. »To, co zrobiliśmy, w oczach Boga nie jest występkiem«. Zabicie Wiktora nie było niczym złym w oczach Boga”.

- Kto? - mówi do siebie, rysując puste serce obok sylwetki Sanny. W środku stawia znak zapytania.

Nagle zastyga w bezruchu, wsłuchując się w daleki odgłos. Zagłuszany wiatrem dźwięk wydaje się tu obcy. Chwilę później dochodzi do niej warczenie skutera.

Curt. Curt Bäckström siedzący na skuterze pod oknem, wpatrzony w Sanne.

Rebeka wstaje od stołu, rozgląda się dookoła.

„Siekiera - myśli w popłochu. - Wezmę siekierę”.

Ale odgłos silnika ustaje.

„Przesłyszałaś się, spokojnie, nie panikuj - uspokaja siebie samą. - Usiądź. Jesteś spięta, boisz się, to były tylko omamy słuchowe. Tam na dworze nikogo nie ma”.

Siada, ale nie jest w stanie oderwać oczu od klamki. Powinna podejść i zamknąć drzwi na klucz.

„Nie zaczynaj znów - powtarza jak zaklęcie. - Niczego tam nie ma”.

W tym samym momencie ktoś naciska klamkę. Otwierają się drzwi. Wycie wiatru wpada do środka razem z lodowatą strugą powietrza i mężczyzną w granatowym kombinezonie. Najpierw trudno się zorientować, kim jest. Rebeka rozpoznaje go dopiero po tym, jak zdjął kapuzę i kominiarkę.

To nie Curt. To Vesa Larsson.

*

Anna Maria Mella śni. Wyskakuje z radiowozu i razem z kolegami biegnie wzdłuż E10 między Kiruną a Gällivare. Są w drodze do leżącego na dachu wraku samochodu, jakieś dziesięć metrów od szosy. Jest potwornie ciężko. Koledzy już stoją przy sprasowanym pojeździe, krzycząc:

- Pospiesz się! To ty masz piłę. Musimy ich wydostać!

Biegnie z piłą motorową w ręce. Gdzieś niedaleko słyszy przejmujący krzyk kobiety.

Nareszcie przy samochodzie. Włącza motor. Piła przebija się

przez metal z okropnym zgrzytem. Wzrok policjantki pada na odwrócony do góry nogami fotelik dziecięcy, ale nie jest w stanie zobaczyć, czy znajduje się pod nim jakieś dziecko. Przerażliwy warkot piły zmienia się nagle w donośny terkot. Jak sygnał telefonu.

Robert szturcha ją lekko w bok i zasypia ponownie, gdy Anna Maria podnosi słuchawkę. Po drugiej stronie odzywa się Sven Erik.

- To ja. Wiesz, pojechałem wczoraj jeszcze raz do Curta Bäckströma. Ale nie było go w domu przez całą noc, w każdym razie nikt nie otwierał.

- Mmm - mruczy Anna Maria.

Nie opuszcza jej nieprzyjemne uczucie ze snu. Mrużąc oczy, patrzy na radiobudzik. Pięć po wpół do piątej. Przesuwa się w górę łóżka i siada, opierając plecy o wezgłowie.

- Chyba nie byłeś tam sam?

- Mella, to nie pora na kłótnie, posłuchaj. Nie było go w domu albo po prostu nie otwierał drzwi, tego nie wiem, więc pojechałem do Kryształowego Kościoła, żeby zobaczyć, czy nie odprawiają tam jakiegoś alleluja przez całą noc, ale nie było tam żywej duszy. Wtedy

zadzwońłem do pastorów: Söderberga, Larssona i Isakssona, w tej kolejności. Pomyślałem, że może wiedzą, co porabiają ich owieczki, na przykład czy Curt Bäckström spędza noce w innym miejscu niż swoje mieszkanie.

- No i?

- Söderberga i Larssona nie było w domu. Ich żony twierdziły, że mężowie na pewno są w zborze, ponieważ odbywa się ta konferencja, ale uwierz mi, kościół był puściutki. No, oczywiście mogli siedzieć tam cicho jak myszki w ciemnościach, ale nie wydaje mi się. Pastor Isaksson odpowiedział po dziesięciu sygnałach i zaczął pleść trzy po trzy. Anna Maria zastanawia się przez chwilę. Czuje się zaspana i męczą ją lekkie mdłości.

- Nie wiem, czy to wystarczy do rewizji - mówi. - Dobrze byłoby wejść do jego mieszkania. Zadzwoń do von Posta i zapytaj.

Sven Erik wzdycha po drugiej stronie.

- Von Post zdecydował się na Sannę Strandgård. A my nie mamy przecież nic konkretnego. A z drugiej strony mam naprawdę złe przeczucia, jeżeli chodzi o tego faceta. Mam zamiar wejść do jego mieszkania.

- Czyś ty zwariował? Przestań.

- Zadzwonię do „Bennys Lås & Larm”. Benny nie będzie zadawał żadnych pytań, gdy mu powiem, żeby nie przesyłał policji rachunku.

- Ty to masz nierówno pod sufitem - skomentowała, spuszczając nogi na podłogę. - Poczekaj na mnie. Robert musi odkopać mój samochód spod śniegu.

*

- Spokojnie, Rebeko - mówi Vesa Larsson. - Chcemy tylko porozmawiać. Nie rób żadnych głupstw.

Nie spuszczać z niej wzroku, szuka ręką klamki.

„Chcemy - myśli Rebeka. - Jacy my?”

Jednocześnie pojmuję, że pastor nie jest sam. Przyszedł pierwszy, żeby sprawdzić, jak wygląda sytuacja.

Larsson uchyla drzwi i do środka wchodzi jeszcze dwóch mężczyzn. Są ubrani na ciemno. Nigdzie nie prześwituje skóra. Kominiarki. Gogle. Pastor ponownie zatrzaskuje drzwi.

Rebeka próbuje podnieść się z krzesła, ale nogi odmawiają jej posłuszeństwa. Jak gdyby całe ciało nagle przestało funkcjonować. Płuca nie są w stanie wciągnąć powietrza. Krew, która krążyła w jej żyłach od momentu narodzin, wstrzymała bieg. Jak rzeka po budowie zapory. Żołądek zwinął się w twardą kulę.

„Nie, nie, cholera jasna”.

Jeden z przybyłych uwalnia spod czapki ciemne, lśniące loki. To Curt Bäckström. Kombinezon mieni się czarnym blaskiem. Stopy są odziane w porządne, wysokie buty ze wzmocnionym czubem. Przez ramię ma przewieszoną dubeltówkę. Rozszerzone źrenice i nozdrza przywodzą na myśl wojennego konia. Rebeka zagląda prosto w jego błyszczące oczy. Widzi w nich gorączkę.

„Z nim trzeba szczególnie ostrożnie”, przepowiada sobie w myślach.

Spogląda kątem oka na dziewczynki. Śpią jak susły.

Wie, kim jest ten drugi, zanim jeszcze zdąży ściągnąć kominiarkę i gogle. Bez względu na to, co na siebie włoży, Rebeka pozna go zawsze i wszędzie. Thomas Söderberg. Jego ruchy. To, jak opanowuje przestrzeń.

Mozna odnieść wrażenie, że mieli wcześniej próbę generalną. Bäckström i Larsson zajmują pozycje po obu stronach chlewikowych drzwi.

Vesa unika jej wzroku. Albo raczej przenika ją niewidzącymi oczyma. Ma to samo spojrzenie co rodzice małych dzieci w supermarkecie. Opadłe bezsilnie mięśnie twarzy, na której nie sposób dłużej ukryć zmęczenia. Martwy wzrok. Pchają przed sobą wózek między regałami niczym chłostane osły, głuche na dziecięcy płacz czy głośną paplaninę.

Söderberg robi krok do przodu. Nie patrzy na nią. Czujny i spięty rozpina zamek kombinezону i wyjmuje swoje okulary. W nowych dla niej oprawkach, ale przecież minęło sporo czasu, odkąd go ostatnio widziała. Rozgląda się po izbie jak dowódca w jakimś filmie *science fiction*, rejestruje wszystko: dzieci, siekierę w kącie i ją samą przy stole, by po chwili odetchnąć. Opadają mu ramiona. Ruchy miękną jak u spacerującego po sawannie lwa.

Odwraca się do Rebeki.

- Pamiętasz tę Wielkanoc, kiedy zaprosiłaś tutaj mnie i Maj ę? Jak w zupełnie innej rzeczywistości. Przez chwilę myślałem, że nie znajdzie drogi w ciemności i zawierusze.

Rebeka przygląda mu się badawczo. Patrzy, jak ściąga czapkę i rękawiczki i wciska je do kieszeni kombinezону. Włosy Thomasa się nie przerzedziły. Kilka srebrnych nitok w orzechowej całości, która poza tym w ogóle się nie zmieniła. Jak gdyby czas zatrzymał się w miejscu. Może ciut przytył, ale trudno to teraz ocenić.

Larsson opiera się o futrynę. Oddycha ustami i unosi lekko twarz, jakby cierpiał na chorobę lokomocyjną. Spojrzeniem wędruje od Curta do Thomasa i do niej samej. Ale w ogóle nie

patrzy na dzieci.

„Dlaczego nie patrzy na dzieci?”

Curt kołysze się lekko w przód i w tył. Wzrokiem świdruje to Thomasa, to Rebeke.

„Co teraz się stanie? - myśli gorączkowo Rebeka. - Czy Curt zdejmie śrutówkę z ramienia i po prostu je zastrzeli? Raz, dwa, trzy i koniec. Ciemność. Musi zyskać na czasie. Mów, mów, kobieto! Pomyśl o Sarze i Lovie”.

Próbuje wstać, wspierając się rękami o blat stołu.

- Siadaj! - rozkazuje Thomas, a ona siada na tyłku jak pies, który boi się, że go uderzą.

Sara pojękuje, ale tylko przez sen. Odwraca się na drugi bok, znów oddycha głęboko i spokojnie.

- Czy to ty? - pyta Rebeka. - Dlaczego?

- To Pan Bóg, Rebeko - odpowiada poważnie.

Poznaje jego charakterystyczny, dostojny ton. I tę postawę. W ten sposób wygląda i w ten sposób się wysławia, kiedy chce przekazać słuchaczom ważne rzeczy. Cały wtedy ulega przemianie, jakby był jednolitym blokiem skalnym, wyrosłym spod ziemi. Z korzeniami sięgającymi jądra planety. Tchnący powagą, siłą, mocą. A jednocześnie pokorny wobec Boga.

„Dlaczego odgrywa przed nią tę szopkę? Nie, to nie przed nią. Chodzi o Curta. Thomas... najzwyczajniej nim manipuluje”.

- A dzieci? - pyta Rebeka.

Thomas pochyla głowę. W jego głosie pobrzmiwa coś kruchego. Jakiś cień słabości. Jak gdyby nie miał siły udźwignąć wypowiedzianych słów.

- Gdybyś nie... - zaczyna. - Nie wiem, jak ci przebaczyć, że zmusiłaś mnie do tego, Rebeko.

Jak na jakiś niewidoczny znak Curt ściąga prawą rękawicę i wyjmuje z kieszeni rolkę konopnego sznurka.

Rebeka zwraca się teraz do niego. Przeciska sylaby przez zatkaną wielką gulą krtań.

- Przecież kochasz Sannę. Jak możesz ją jednocześnie kochać i chcieć zabić jej dzieci? Curt zamyka oczy. Kołysze się nieprzerwanie w przód i w tył, jak gdyby jej nie słyszał.

Jego usta poruszają się bezgłośnie, zanim wydobędzie się z

nich jakiś dźwięk.

- To są dzieci-cienie. Muszą się odsunąć.

Może uda jej się zmusić go do mówienia. Zyskać na czasie. Musi pomyśleć. To jest nic nadziei. Thomas pozwala mu mówić, nie ma odwagi na cokolwiek innego.

- Dzieci-cienie? Co masz na myśli?

Rebeka przechyla głowę w bok, opierając policzek na dłoni, dokładnie tak, jak zwykła to robić Sanna. Wysila się, żeby brzmieć spokojnie.

Curt mówi prosto przed siebie, w powietrze, ze wzrokiem utkwionym w lampie, jakby był sam. Albo jakby w gazowym płomieniu kryła się jakaś słuchająca go istota.

- Mam słońce za plecami - mówi. - Przede mnie pada mój cień. I przede mną idzie. Ale gdy wkroczyłem, musi mi ustąpić. Sanna urodzi nowe dzieci. Powije mi dwóch synów.

„Za chwilę zwymiotuję”, uświadamia sobie Rebeka, czując napływający do ust smak żółci i mielonego mięsa.

Podnosi się blada jak ściana. Na drżących nogach. Z ciałem ciężkim jak ołów. Waży kilka ton. Nogi łamią się jak zapalki.

Curt jednym susem doskakuje do niej. Z twarzą wykrzywioną wściekłością.

Wrzeszczy z taką siłą, że między każdym słowem musi zaczerpnąć powietrza.

- Przecież... miałaś... siedzieć!

Uderza ją w brzuch tak mocno, że Rebeka składa się wpół jak scyzoryk. Podłoga spieszy na spotkanie z jej twarzą. Babciny dywanik układa pod policzkiem. Niepojęty ból brzucha. Wysoko nad jej głową rozsierdzone głosy. Szum i dzwonienie. Musi na chwilę zamknąć oczy. Tylko na chwileczkę. Później znów je otworzy. Obiecuje to sobie. „Sara i Lova. Czyj to krzyk? Lovy? Tylko chwileczkę...”

*

Benny z firmy „Bennys Lås & Larm”, otworzywszy drzwi do mieszkania Curta Bäckströma, znikną, o nic nie pytając. Stålnacke i Mella stoją na ciemnej klatce schodowej, oświetlonej jedynie mdłym światłem z podwórka. Anna Maria

odbezpiecza swojego sigsauera. Zapada cisza. Jeszcze tylko porozumiewawcze spojrzenie i nieznaczny ruch głową.

Sven Erik przekracza próg. Czeka jąca przed otwartymi drzwiami Anna Maria słyszy jego ostrożne „halo?”.

„Chyba upadłam na głowę”, myśli.

Czuje tępy ból w lędźwiach. Opierając się o ścianę, oddycha głęboko. A jeżeli on tam jest? Może nie żyje. Albo czai się gdzieś w ciemnościach. I nagle wyskoczy z mieszkania i strąci ją ze schodów.

Sven Erik zapala światło w przedpokoju.

Anna Maria zagląda do środka. Kawalerka. Stojąc tutaj, można zobaczyć cały pokój, połączenie salonu z sypialnią. Dziwne to mieszkanie. Czy naprawdę ktoś tu mieszka?

W przedpokoju nie ma żadnych mebli. Żadnej komódki z drobiazgami i aktualną pocztą. Żadnego chodnika. Na wieszaku pod półką na kapelusze nie wiszą żadne okrycia. Pokój też jest pusty. Prawie. Na podłodze stoi kilka lamp, a na ścianie wisi ogromne zwierciadło. Okna bez firanek są zasłonięte czarnymi prześcieradłami. Nic nie zdobi parapetów. Przy ścianie proste łóżko z sośniny poznaczonej sękami. Narzuta z błękitnego, pikowanego syntetyku.

Sven Erik wychodzi z kuchni, kręcąc nieznacznie głową. Spotykają się ich spojrzenia. Pełne pytań i złych przeczuć. Otwiera drzwi do łazienki. Kontakt znajduje się po wewnętrznej

stronie. Szuka go po omacku. Anna Maria słyszy charakterystyczne pstryknięcie, ale lampa się nie zapala. Widzi kolegę z boku. Stojąc ciągle w drzwiach, wyciąga z kieszeni pęk kluczy, do którego ma przypiętą niewielką latarkę. Wąska strużka światła przecinająca ciemność. Zwężone oczy.

Może Anna Maria czyni jakiś ruch, który policjant zauważy kątem oka, ponieważ podnosi rękę w zatrzymującym geście i robi krok do przodu. Jedna stopa przekracza próg. Znow pobolewają ją plecy. Uciska zwiniętą w pięść dłońią okolice krzyża.

Sven Erik wychodzi z łazienki. Szybko. Otwarte usta. Żrenice jak odsłonięte przeręble w lodowobiałej twarzy.

- Dzwon - mówi zachrypnięty.
- Do kogo?
- Do wszystkich! Obudź, kogo się tylko da!

*

Rebeka otwiera oczy. Jak dużo czasu upłynęło? Pod sufitem unosi się oblicze Thomasa. Wygląda jak zaćmienie słońca. Twarz spoczywa w cieniu, a lampa wisząca ukośnie nad głową tworzy wokół orzechowych loków świetlną aureolę.

Ciągle czuje uporczywy ból brzucha. Bardziej wyraźny niż wcześniej. A na wierzchu, ponad bólem, jest ciepło i mokro. Krew. Z przerażeniem uświadamia sobie, że Curt jej nie uderzył. On ją pchnął nożem.

- Tego nie było w naszych planach - przyznaje Thomas z zaciętością. - Musimy się nad tym dłużej zastanowić.

Rebeka odwraca głowę. Sara i Lova leżą na pościeli, każda z głową w innym kierunku, z rękami przywiązanymi do ramy łóżka konopnym sznurem. Z ich ust wystają kawałki białego materiału. Na podłodze obok poniewiera się potargane prześcieradło. A więc to tym je zakneblowano. Widzi unoszące się gwałtownie klatki piersiowe dziewczynek. Niełatwo nabrać wystarczająco dużo powietrza przez nos.

Lova ma katar. Ale oddycha.

„Spokojnie, przecież ona oddycha. Cholera jasna, cholera!”

- Mieliliśmy zamiar... - mówi Thomas z pewnym wahaniem - mieliśmy zamiar podpalić chatkę. A tobie dać kluczyki do skutera i zmusić do wyjścia w koszuli nocnej, T- shircie lub w czym tam sypiasz. Oczywiście wykorzystałabyś tę szansę, bo któż by jej nie wykorzystał? Na mrozie, zwielokrotnionym przez wichurę i pęd skutera, nie zajęłabyś dalej niż sto pięćdziesiąt metrów. A później byś zrezygnowała i zamarzła. W ciągu zaledwie kilku minut. W policyjnym protokole wyglądałoby to na dość prosty, nieszczęśliwy wypadek. Chatka zaczyna się palić. Ogarnia cię panika, zostawiasz dzieci na pastwę losu i wybiegasz z domu jak cię Pan Bóg stworzył. Próbujesz ratować się na skuterze, ale zamarzasz na śmierć kawałek dalej. Żadnego obszernego dochodzenia, żadnych

pytań. Teraz będzie trochę trudniej.

- Macie zamiar spalić dzieci żywcem?

Thomas przygryza w zamyśleniu wargę, jakby nie słyszał słów Rebeki.

- Myślę, że weźmiemy cię ze sobą. Nawet jeżeli twoje ciało spłonie, to mogą pozostać ślady po ciosie nożem. Nie mogę ryzykować.

Przerywa, odwracając głowę w kierunku Larssona, który właśnie wszedł do środka z czerwonym plastikowym kanistrem w ręce.

- Żadnej benzyny - mówi poirytowany Thomas. - Żadnych płynów do rozpalania, żadnej chemii. To wszystko wychodzi później w analizach. Podpalimy zapalką firanki i pościel.

Wskazuje ruchem głowy Rebekę.

- Weźmiemy ją ze sobą. Wy dwoje pomożecie wyścielić sanie brezentem.

Larsson i Bäckström znikają z pola widzenia. Przez moment, zanim drzwi się ponownie zatrzaskną, słychać ryk wiatru. Teraz Rebeka jest z Thomasem sam na sam. Serce bije jak szalone. Musi się spieszyć. Wie, że wkrótce ciało może odmówić jej posłuszeństwa.

„Czy Curt postawił strzelbę przy drzwiach? Chyba ciężko rozkładać ogromną płachtę brezentu z bronią na plecach. Podejdź bliżej”.

- Nie rozumiem, jak możesz... - mówi Rebeka. - Czyż nie napisano „nie zabijaj”?

Thomas wzdycha. Siedzi przy niej w kucki.

- A mimo to w Biblii jest mnóstwo przykładów na odbieranie życia przez Boga. Nie rozumiesz, Rebeko? On może łamać swoje prawa. A ja nie. Powiedziałem mu to. I wtedy zesłał mi Curta. To było coś więcej niż znak. Musiałem spełnić wolę Boga. - Milknie, żeby wytrzeć wodniste smarki lejące się z nosa. Jego twarz nabiera rumieńców od kominkowego ciepła. Chyba mu potwornie gorąco w tym kombinezonie. - Nie mam prawa pozwolić ci na zniszczenie dzieła Boga. Media rozdmuchałyby tę sprawę finansów do rozmiarów skandalu, a później byłby koniec. To, co wydarzyło się w Kirunie, to coś wielkiego. A Bóg

dał mi przecież do zrozumienia, że to tylko początek.

- Czy Wiktor ci groził?

- W końcu był zagrożeniem dla wszystkich. Nie wyłączając siebie samego. Ale wiem, że teraz jest u Boga.

- Opowiedz mi, jak to było.

Thomas kręci niecierpliwie głową.

- Nie ma ani czasu, ani powodu, dla którego miałbym cokolwiek opowiadać.

- A dziewczynki?

- Mogłyby powiedzieć o swoim wujku rzeczy, których... W dalszym ciągu potrzebujemy Wiktora. Jego imię nie może zostać zmieszane z błotem. Wiesz, ilu narkomanom rocznie pomagamy w wyjściu z nałogu? Wiesz, ile dzieci powraca do swoich, pozornie utraconych, rodziców? Wiesz, ilu ludzi nawraca się na wiarę? Miejsca pracy. Przyzwoite życie. Poświęcone małżeństwa. Nocami Bóg nieustannie przypomina mi o tych rzeczach.

Przerywa i wyciąga do niej rękę. Jego palce dotykają lekko jej ust i zsuwają się wzdłuż brody, biegną po szyi.

- Kochałem cię tak bardzo, jak kocham własną córkę. A ty...

- Wiem - kwili. - Wybacz mi.

„Podejdz bliżej”.

- A teraz? - płacze Rebeka. - Kochasz mnie teraz?

Jego twarz twardnieje jak gład.

- Zabiłaś moje dziecko.

Mężczyzna z córkami, który chciał mieć syna.

- Wiem. Codziennie o nim myślę. Ale to nie było...

Odwraca głowę w bok i trzymając się za brzuch, kaszle. Po chwili znów patrzy mu w oczy.

Leży tam. Widziała go. Trzydzieści centymetrów od jej głowy. Kamień, na którym Lova namalowała Tjapp. Kiedy Thomas będzie wystarczająco blisko. Chwyć i uderz. Nie myśl. Nie wahaj się. Chwyć i uderz.

- Był też ktoś inny. To nie było...

Jej głos wygasa w zmęczonym szepcie. Thomas wyciąga szyję. Jak lis wsłuchujący się w chrobot nornicy pod śniegiem.

Rebeka formuje ustami niesłyszalne słowa.

W końcu pochyła się nad nią. Nie wahaj się, policz do trzech.

- Módl się za mnie... - szepcze mu do ucha.

Raz...

- Nie byłeś jedynym, z którym...

Dwa...

- To nie było twoje dziecko.

Trzy!

Thomas zamiera na sekundę i to wystarcza, żeby jej ramię wysunęło się niczym kobra. Chwyta kamień. Zamyka oczy i uderza z całej siły w skroń. Oczy ma wyobraźni widzi pocisk, który przechodzi prosto przez czaszkę i przebija ścianę. Ale gdy otwiera powieki, ciągle trzyma kamień w ręce. Thomas leży obok niej. Może próbuje osłonić się rękami. Trudno jej ocenić. Już klęcząc, uderza ponownie. I jeszcze raz. Cały czas w głowę.

Wystarczy. Zostało niewiele czasu.

Upuszcza kamień, usiłuje się podnieść, ale nogi nie są w stanie jej utrzymać. Czółga się do kąta przy drzwiach. Obok siekiery stoi strzelba Curta. Rebeka pełźnie na kolanach, podpierając się prawą ręką. Lewą trzyma się za brzuch.

Żeby tylko zdążyła. Jeśli teraz wejdą, to koniec.

Łapie broń. Wstaje na kolana. Ma dziurawe ręce. Trzęsą się, niezgrabne. Naciska dźwignię. Otwiera strzelbę. Zamyka i odbezpiecza. Wycofuje się spod drzwi na środek izby. Gałgankowe dywaniki są poplamione krwią. Kropki wielkości jednokoronówki, jej własne. Zamazane ślady prawej dłoni, tej, która trzymała kamień.

Jeżeli zrobią obchód domku, mogą ją zobaczyć przez okno. Nie, nie zrobią. Po co mieliby męczyć się, brnąć w śniegu? Nachodzą ją mdłości. Nie, tylko nie to. Jak poradzi sobie z utrzymaniem dwururki?

Pólsiedzając, przesuwa się jeszcze bardziej do tyłu, z jedną ręką cały czas przyciśniętą do brzucha, z drugą wysuniętą w kierunku stołu. Odpycha się nogami. Przyciąga do siebie broń. Siada oparta plecami o nogę stołu, z lekko podciągniętymi kolanami. Kładzie dubeltówkę na udzie, z lufą wycelowaną w drzwi. Czekają.

- Tylko spokojnie - mówi do Lovy i Sary, nie spuszczać

wzroku z drzwi. - Zamknijcie oczy i zachowajcie spokój.

Pierwszy wchodzi Curt. Za nim, trochę z boku - Vesa. Curt dostrzega strzelbę w rękach Rebeki. Rejestruje dwa skierowane w niego czarne otwory. W ułamku sekundy zmienia się wyraz jego twarzy. Od początkowej irytacji mrozem, wiatrem i sztywnym brezentem do... nie strachu, czegoś innego. Najpierw Curt uświadamia sobie, że nie zdąży do niej doskoczyć. Później tępieje jego spojrzenie. Puste i nieobecne.

Rebeka nie podnosi broni wystarczająco wysoko i wyrывая dziurę w brzuchu Curta, czuje, jak odrzut lamie jej dolne żebra. Męczyzna pada do tyłu. Przez otwarte drzwi nawiewa śniegu. Vesa stoi jak przymarznięty do podłoża. Jest zamrożonym krzykiem.

- Właź! - ryczy Rebeka z wycelowaną w niego strzelbą. - I wciągnij go do środka.

Siadaj! Pastor wykonuje rozkazy. Oparty o drzwi siada w kucki.

- Na tyłku! - krzyczy Rebeka.

Vesa opada ciężko na podłogę. W kombinezonie jest niezdarny. Nie będzie mu łatwo błyskawicznie stanąć na nogi. Automatycznie splata podniesione ręce na karku. Między nimi leży Curt. W ciszy, która zapanowała po tym, jak drzwi odgrodziły ich od sztormu, słyszą jego chrapliwy oddech. Krótkie, sapiące pogwizdywania.

Rebeka odchyła głowę do tyłu. Jest zmęczona. Potwornie zmęczona.

- A teraz mi wszystko opowiesz. Dopóki będziesz mówił prawdę, dopóty pozostaniesz przy życiu.

- Sanna Strandgård przyszła kiedyś do mnie... - zaczyna pastor. - Rozpływała się we łzach. Wiem, że to głupie określenie, ale gdybyś ją zobaczyła...

„Ależ oczywiście, mogę sobie ją wyobrazić - myśli Rebeka. - Włosy rozwiane jak piórka dmuchawca. Nikt zapłakany i zasmarkany nie wygląda ładniej niż ona”.

- Powiedziała, że Wiktor dobrał się do jej córek.

Rebeka patrzy kątem oka na dziewczynki. Leżą ciągle przywiązane do łóżka, z kneblami w ustach. Boi się, że

zemdleje, gdy zacznie się do nich czołgać. A jeżeli poprosi Vesę, żeby je uwolnił, bez problemu mógłby wyrwać jej broń z ręki. Musi trochę poczekać.

Oddychają. Żyją. Wkrótce coś wymyśli.

- Jak to „dobrał się”?

- Nie wiem, Sara miała powiedzieć coś, co Sanna jednoznacznie zrozumiała. Ja z kolei nie za bardzo wiedziałem, o co jej chodzi, ale obiecałem, że porozmawiam z Wiktorem. Byłem... Przerывa zmieszany.

„Ona potrafi zbijać ludzi z tropu - myśli Rebeka. - Zwabia do lasu, by później zabrać im kompas”.

- Byłeś... Co?

- Byłem takim idiotą - jęczy. - Poprosiłem ją, żeby nie szła z tym na policję albo gdziekolwiek indziej. Ale ona zdążyła już porozmawiać z Patrikiem Mattssonem. Zadzwoiłem do niego i powiedziałem, że Sanna się pomyliła. Zagroziłem wykluczeniem ze wspólnoty, jeżeli będzie rozgłaszał plotki.

- Co dalej? - zapytała niecierpliwie Rebeka. - Rozmawiałeś z Wiktorem? Strzelba ciążyła jej coraz bardziej.

- Nie chciał mnie w ogóle słuchać. Trudno to nawet nazwać rozmową. Pochylił się nad biurkiem i zaczął mi grozić. Powiedział, że moje dni jako pastora w zborze są policzone. Że nie ma zamiaru tolerować ludzi, którzy obławiają się na działalności wspólnoty.

- Spółka handlowa?

- Tak. Kiedy utworzyliśmy VictoryPrint, myślałem, że to czysta sprawa. Albo raczej: nie zastanawiałem się nad tym, chyba tak. Samą myśl poddał nam jeden z członków wspólnoty, prywatny przedsiębiorca. Powiedział, że to zupełnie legalne. Włożyliśmy pieniądze w rozwój spółki i państwo zwróciło nam VAT. To prawda, że od wspólnoty dostaliśmy te pieniądze pod stołem, ale w naszym mniemaniu cały majątek spółki należał do Źródła Mocy. Według mojego rozeznania nikogo nie oszukaliśmy. Dopiero kiedy łamiąc ślub milczenia, opowiedziałem Thomasowi o podejrzeniach Sanny i o groźbach Wiktora, zrozumiałem, że nasza sytuacja wygląda fatalnie. Thomas zaczął się bać. Rozumiesz? W ciągu trzech godzin cały

świat zatrzęsł się w posadach. Wiktor okazał się agresywny i niebezpieczny dla dzieci. On, który zawsze kochał dzieci. Pomagał w szkółce niedzielnej i... To mnie zupełnie rozbiło! Thomas się bał. Thomas, który przecież zawsze był jak wykuty w brzoźnie. A ja sam nagle zostałem przestępcą. Mogę zdjąć ręce z karku? Bolać mnie barki i głowa.

Rebeka robi przyzwalający ruch głową.

- Zdecydowaliśmy, że porozmawiamy z nim razem. Thomas powiedział, że Wiktor potrzebuje pomocy i że dostanie tę pomoc we wspólnocie. Więc tego wieczoru...

Milknie i razem z Rebeką patrzy na leżącego między nimi Curta. Dywanik zabarwił się na czerwono. Chrapliwe pogwizdywanie przechodzi w ciche syczenie. I nagle oddech ustaje. Zapada cisza.

Vesa nie może oderwać od niego wzroku. Strach rozszerza mu źrenice. W chwilę później patrzy na Reбекę i śrutówkę na jej kolanach.

Rebeka mruga powiekami. Czuje się coraz bardziej ociężała i niezainteresowana. Jak gdyby opowiadanie Vesy już jej nie dotyczyło. Ale teraz nie musi namawiać go do mówienia. Pastor trąkocze jak przekupka.

- Wiktor nie chciał nas słuchać. Powiedział, że post i modły doprowadziły go do przekonania, że czas na oczyszczenie wspólnoty. Nagle to my staliśmy się oskarżonymi. Nazwał nas handlarzami, których trzeba wyrzucić ze świątyni. Powiedział, że jesteśmy gotowi podarować dzieło Boga mamonie. A później... Boże, mój stwórcy... Później nagle pojawił się tam Curt. Nie wiem, czy stał gdzieś obok i podsłuchiwał, czy właśnie przed chwilą wszedł do zboru...

Vesa ścisną powieki i wykrzywia usta w jakimś nieokreślonym grymasie.

- Wiktor krzyczał coś, wskazując palcem Thomasa, nie pamiętam co. Curt trzymał w ręce nieodkorkowaną butelkę wina. W czasie spotkania przyjmowaliśmy komunię. Uderzył Wiktora butelką w tył głowy. Wiktor osunął się na kolana. Curt miał na sobie dużą kurtkę puchową. Schował butelkę do wewnętrznej kieszeni. A później wyjął zza pasa nóż i pchnął

Wiktora w brzuch. Dwa albo trzy razy. Wiktor przewrócił się do tyłu i leżał na plecach.

- A wy się przyglądaliście - szepcze Rebeka.

- Próbowałem interweniować, ale Thomas mnie powstrzymał. Przyciska pięści do oczu.

- Nie, to nieprawda. Myślę, że zrobiłem krok w przód. Ale wystarczyło, żeby Thomas uczynił tylko nieznaczny ruch ręką. I zatrzymałem się. Jak dobrze wytresowany pies. Curt podszedł do nas. Nagle zacząłem się bać, że mnie też zabije. Thomas stał zupełnie spokojnie z twarzą bez wyrazu. Pamiętam, że patrząc na niego, pomyślałem o tym, co kiedyś czytałem na temat rozwścieczonych psów, co trzeba robić, gdy cię zaatakują. Nie uciekać, nie krzyczeć, tylko stać jak najbardziej spokojnie. I tak staliśmy. Curt też nic nie mówił, patrzył tylko na nas z nożem w dłoni. Nagle bez słowa obrócił się na pięcie i wrócił do Wiktor. I...

Vesa wydaje żalony jęk.

- Oooh, i znów zaczął go dźgać nożem. Wiele razy. Wiercił ostrzem w jego oczach. A później włożył palce w te otwarte rany i rozmażywał krew na swoich powiekach. „Wszystko, co on zobaczył, teraz też zobaczyłem”, wykrzyknął. Oblizywał nóż jak... jak zwierzę! Chyba skaleczył sobie język, bo z kącika ust spływała mu krew. A później odciął mu dłonie. Ciągnął i wykręcał. Jedną schował do kieszeni, a druga się nie zmieściła, spadła mu na podłogę i... A później już nie pamiętam dokładnie. Thomas wiózł mnie swoim samochodem w kierunku Norwegii. Stałem w nocy na mrozie i wymiotowałem na śniegu. Thomas mówił ciągle to samo, jak katarynka. O naszych rodzinach. O wspólnocie. O tym, że najlepszą rzeczą, którą teraz możemy zrobić, to milczeć. Po tym wszystkim zastanawiałem się, czy on wiedział, że Curt był tam cały czas. Albo może nawet postarał się o to, żeby tam się znalazł.

- A Gunnar Isaksson?

- On nic nie wiedział. To bezwartościowy człowiek.

- Ty cholerny tchórze - wycieńczony głos Rebeki jest prawie niesłyszalny.

- Mam dzieci - kwili. - Wtedy wszystko się zmienia. Sama się

kiedyś przekonasz.

- Nawet nie próbuj w ten sposób. Kiedy przyszła do ciebie Sanna, powinieneś od razu zgłosić to policji albo opiece społecznej. Ale ty... nie chciałeś skandalu. Nie chciałeś zostać bez pięknego domu i dobrze płatnej pracy.

Wkrótce zabraknie jej siły na siedzenie w tej pozycji, z bronią wspartą o kolano. Jeżeli położy dwururkę na podłodze, Vesa zdąży wstać i kopnąć Rebeke w głowę, zanim ona złoży się do strzału. Widzi coraz gorzej. Rosnące wciąż czarne plamki przesłaniają jej pole widzenia, jakby na szybie wystawowej roztrysnęła się paintballowa kulka.

Za chwilę zemdleje. Czas nagli.

Mierzy w pastora ze strzelby.

- Nie rób tego, Rebeko. Nie będziesz mogła z tym żyć. Nie chciałem, żeby tak się stało. Teraz już po wszystkim.

Chciałaby, żeby zrobił cokolwiek. Próbował wstać. Albo sięgnąć po siekiere.

A jeżeli może mu zaufać? Może zawiózłby je saniami do domu?

A sam zgłosił się na policję?

A może nie. A wtedy: rozszalały ogień. Przerażone oczy dziewczynek próbujących uwolnić się z krępujących je sznurów. Płomienie zdzierające mięso z kości. Jeżeli Vesa podpali teraz chatkę, cała wina spadnie na Thomasa i Curta, a on sam będzie wolny.

„Przyszedł tutaj, żeby nas zabić - mówi do siebie samej. - Pamiętaj o tym!”

A teraz płacze. Vesa Larsson płacze. Jeszcze tak niedawno szesnastoletnia Rebeka siedziała pośród jego akcesoriów malarskich w piwnicy zboru zielonoświątkowców i dyskutowała z nim o Bogu, życiu, miłości i sztuce.

- Pomyśl o moich dzieciach, Rebeko.

Albo on, albo dziewczynki.

Zaciskając palec na spuście, Rebeka opuszcza powieki. Huk jest ogluszający. Kiedy otwiera oczy, Vesa siedzi w tej samej pozycji. Ale nie ma twarzy. Mija sekunda, później ciało przewraca się bezwładnie na bok.

Nie patrz w tę stronę. Nie myśl. Sara i Lova.

Rebeka puszcza broń i z mozołem podnosi się na kolana. Trzęsąc się z wysiłku, na czworakach pełźnie w stronę łóżka. W uszach słyszy potworny szum.

Jedna ręka Sary. Jedna wystarczy. Jeżeli uda się jej...

Podczołguje się do martwego ciała Curta. Obmacuje rękami pas kombinezonu. Szuka pod spodem. Jest! Otwiera zatrzask skórzanej pochwy i wyciąga nóż. Ma wrażenie, że zanurzyła rękę w krwi zabitego. Już jest przy łóżku.

Teraz tylko ostrożnie. Nie skalecz Sary.

Przecina konopny sznur i zrywa go z przegubu dziewczynki. Wciska nóż do uwolnionej ręki, widzi, jak jej palce zaciskają się na rękojeści.

Teraz. Odpocząć.

Osuwa się na podłogę.

Po chwili widzi nad sobą twarze dziewczynek. Chwyta Sarę za rękaw.

- Pamiętaj - wychrypia. - Zostańcie w chatce. Zamknijcie drzwi, włóżcie kombinezony i wejdźcie pod koldry. Jutro przyjedzie tutaj Sivving z Bellą. Czekajcie na nich. Słyszysz, Sara? Ja tylko trochę odpocznę.

Już nic ją nie boli. Tylko te lodowate ręce... Zwalnia uścisk ręki. Twarze Sary i Lovy rozpływają się w dziwnym świetle. Rebeka zapada się w studnię, a one patrzą na nią z góry, w pełnym słońcu. Robi się coraz ciemniej i coraz chłodniej.

Dziewczynki siedzą przy niej w kucki.

Lova zwraca się do starszej siostry.

- Co ona powiedziała?

- To było coś jak pytanie: „Przyjmiesz mnie?” - odpowiada Sara.

*

Zimowy wiatr targał wściekle smukłymi brzoźkami przed szpitalem w Kirunie. Szarpał za sękaty ramiona wyciągnięte do granatowego nieba. Łamał rozcapierzone, przemarznięte palce. Måns Wenngren, sunąc wielkimi krokami, minął dyżurkę na oddziale intensywnej opieki medycznej. Zimne światło jarzeniówek pod sufitem odbijało się w wypolerowanej

podłodze i jasnokremowej, betonowej ścianie korytarza z paskudnym bordowym szlaczkiem. Całe jestestwo adwokata broniło się przed naporem wrażeń. Zapach środków czyszczących i dezynfekujących pomieszany z sączącą się zewsząd zatechłą wonią ciał w rozpadzie. Nieustanny brzęk mobilnych stolików z metalu, transportujących posiłki, krew do badania i Bóg wie co jeszcze.

„Dobrze chociaż, że to nie Boże Narodzenie”, pomyślał.

Jego ojciec miał ostatni zawał w pierwszy dzień świąt. To było wiele lat temu, ale Måns ciągle pamiętał dręczące, nieudane próby stworzenia świątecznego nastroju na oddziale. Najtańsze pierniczki podawane na podwieczorek w serwetkach z bożonarodzeniowym motywem. Plastikowa choinka na końcu korytarza. Igielki powyginane w odwrotną stronę i wymięte od całorocznego leżenia w kartonie na najwyższej półce schowka. Dziwaczne bombki wiszące na kolorowych nitkach. Pod najniższymi gałęzmi krzykliwe paczuszki, o których wiadomo, że w środku są puste.

Adwokat wyrzucił to wspomnienie z głowy, zanim zdążyło objąć również rodziców. Nie zatrzymując się, zmienił kierunek marszu. Poły wełnianego płaszcza załopotwały niczym opończa.

- Szukam Rebeki Martinsson! - wrzasnął. - Czy ktoś tu pracuje?

Rano obudził go telefon. Policjant z Kiruny zapytał, czy to prawda, że Måns jest szefem Rebeki. Tak, zgadza się. W państwowym rejestrze osobowym nie znaleźli danych o jej rodzinie. Może w biurze adwokackim ktoś wie coś o jakimś przyjacielu, narzeczonym? Nie, biuro nic o tym nie wie. Zapytał, co się stało. W końcu wydusił z policjanta, że Rebece właśnie operują. Ale nie dowiedział się niczego więcej.

Zadzwoił do szpitala w Kirunie. Nie dostał nawet potwierdzenia, że jest tam hospitalizowana. Na jego pytania odpowiadano tylko dwoma słowami: „tajemnica służbowa”.

Później zatelefonował do jednej z dwóch współdziałalowszczyń biura.

„Ależ Måns - powiedziała - przecież Rebeka jest twoją zastępczynią”.

W końcu zamówił taksówkę na lotnisko Arlanda.

W połowie korytarza dogoniła go asystentka pielęgniarki. Szła za nim, zalewając go potokiem słów, podczas gdy on otwierał drzwi za drzwiami i zaglądał do każdej sali. Z całej tyrody rozumiał tylko fragmenty: Tajemnica służbowa. Nieupoważniony. Zadzwoń po strażnika.

- Jestem jej partnerem - zmyślił na poczekaniu, otwierając kolejne drzwi.

Znalazł ją samą w czterołożkowej sali. Obok na statywie kroplówki wisiał plastikowy woreczek z przezroczystym płynem. Zamknięte oczy. Twarz bezkrwście biała, usta też.

Przysunął do łóżka krzesło, ale nie usiadł na nim. Odwrócił się, mrużąc coś do prześladującej go niewysokiej kobiety. Zniknęła bez słowa. W korytarzu rozniósł się wzburzony stukot jej sandałów.

Minutę później pojawiła się inna kobieta w białej bluzie i spodniach. Dostarczywszy do niej w dwóch susach, przeczytał niewielką plakietkę z nazwiskiem, przypiętą do kieszonki na piersi.

- No więc tak, siostró Frido - zaczął agresywnym tonem, zanim pielęgniarka zdążyła otworzyć usta - żądam natychmiastowych wyjaśnień.

Wskazał na ręce Rebeki. Obydwie przywiązane bandażem do łóżka.

Kobieta zamrugnęła zdziwiona.

- Proszę, niech pan stąd ze mną wyjdzie - powiedziała miękko.

- Ochłoniemy, uspokoimy się trochę i wtedy będziemy mogli porozmawiać.

Mąns machnął ręką, jakby chciał odgonić się od muchy.

- Niech pani zawoła lekarza prowadzącego - odpowiedział poirytowany.

Siostra Frida wyglądała niczego sobie. Jej jasne włosy były naturalne, kości policzkowe wysokie, a usta nieznacznie podkreślone transparentnym różem. Przywykła do tego, że ludzie podporządkowywali się jej miękkiemu tonowi. Była z tego znana. Nigdy nikt nie potraktował jej jak muchę. Zastanawiała się, czy nie powinna zadzwonić po strażnika. Albo

może nawet na policję, ze względu na szczególne okoliczności. Jeszcze raz przyjrzała się mężczyźnie. Omiotła spojrzeniem niespotykane dokładnie wyprasowany kołnierzyk białej koszuli, krawat w grafitowe prążki, dyskretny czarny garnitur i nieskazitelnie błyszczące buty.

- Proszę za mną, zaprowadzę pana do lekarza - powiedziała krótko, obróciła się na pięcie i z podniesioną głową opuściła salę. Wenngren podążył za nią.

Lekarz był niewysokim mężczyzną o gęstych płowych włosach. Miał opaloną twarz i lekko łuszczący się nos. Widocznie niedawno wrócił z urlopu za granicą. Rozpięty fartuch lekarski wisiał na nim luźno, ukazując turkusowy T-shirt i dżinsy. W kieszonce fartucha tłoczyło się kilka długopisów, niewielki notatnik i okulary.

„Strach przed starością z objawami hippisowskimi”, pomyślał Måns, stając przed nim stanowczo za blisko, tym samym zmuszając go do zadarcia głowy. Przywitał się więc z obserwatorem gwiazd.

Weszli razem do gabinetu lekarza.

- To dla jej dobra - tłumaczył Månsowi. - W sali wybudzeń wyrwała sobie wenflon, teraz dostała trochę środków na sen, ale...

- Czy jest zatrzymana? - zapytał Måns. - Albo aresztowana?

- O ile wiem, nie.

- Czy zapadła decyzja o przymusowym leczeniu? Czy wydano odpowiednie zaświadczenie?

- Nie.

- *Wow!* A więc normalnie Dziki Zachód - Måns nie krył pogardy. - Przywiązuje ją do łóżka bez decyzji policji, prokuratora czy ordynatora. To bezprawne pozbawienie wolności. Jeżeli chodzi o pana: oskarżenie, grzywna i kara wymierzona przez komisję dyscyplinarną. Ale nie przyszedłem tutaj po to, żeby przysparzać wam kłopotów. Proszę, niech mi pan opowie, co się stało, policja udzieliła przecież panu jakichś informacji, niech ją rozwiążą i przyniosą mi kawę. W zamian będę grzecznie przy niej siedział i przypilnuję, żeby, gdy się obudzi, nie robiła żadnych głupstw. No i nie będę wszczynał

awantur w szpitalu.

- Informacje, które mi przekazała policja, są objęte tajemnicą służbową - głos lekarza nie brzmiał przekonująco.

- *Give some, get some* - odparł na to bez zainteresowania Måns.

Po pewnym czasie siedział rozparty na niewygodnym krześle przy łóżku Rebeki. Lewą ręką obejmował lekko jej palce, a w prawej trzymał za brązowe ucho plastikowy kubek z gorącą kawą.

- Cholerna dziewczyno - mruzczał pod nosem. - Obudź się wreszcie, żebym mógł cię porządnie ochrzanić.

*

Ciemność. Później ciemność i ból. Rebeka ostrożnie unosi powieki. Nad drzwiami wisi duży zegar. Wskazówka minutowa drży przed każdym skokiem na kolejną kreskę. Rebeka mruży oczy, ale nie rozumie, co widzi, nie wie, czy to dzień, czy noc. Światło wdziera się w źrenice niczym noże. Wypala w środku dziurę bólu. Głowa rozpada się na kawałki. Każdy oddech jest bólem. Język klei się do podniebienia. Rebeka zamyka oczy i widzi przed sobą przerażoną twarz Vesy Larssona. „Nie rób tego, Rebeko. Nie będziesz mogła z tym żyć”.

Z powrotem w ciemność. Jeszcze głębiej. W dół. Jak najdalej. Ból łagodnieje. Rebeka śni. Jest lato. Z błękitnego nieba leje się słoneczny żar. Trzmielce zataczają się w powietrzu jak pijane, przefruwając z bodziszka na krwawnik. Babcia klęczy na pomoście nad rzeką i szoruje gałgankowe dywaniki. Własnoręcznie zrobionym mydłem z ługu i tłuszczu. Szczotka ryżowa ślizga się tam i z powrotem po bawelnianych paskach. Lekki wiaterek znad wody rozwiewa chmury komarów. Na skraju pomostu, z nogami w wodzie, siedzi jakaś dziewczynka. Właśnie złapała tycza do słoika z dziurawą pokrywką. Zafascynowana przygląda się wędrówce owada po szklanej ścianie. Rebeka rusza w kierunku rzeki. Z jakąś osobliwą świadomością, że to tylko sen, mówi cichutko do siebie: „Chciałabym zobaczyć jej twarz. Chciałabym zobaczyć, jak wygląda”. I wtedy Johanna odwraca się i dostrzega Rebeke. Z

triumfalnie podniesionym słoikiem mówi do niej: „Mamusi!”

*

Prawie jak na kartce bożonarodzeniowej. Chociaż tak naprawdę wcale nie. Trzej Królowie przyglądali się śpiącemu dziecięciu. Ale dziecięciem była Rebeka Martinsson, a mędrkami: zastępca prokuratora rejonowego Carl von Post, adwokat Måns Wenngren i komisarz Sven Erik Stålnacke.

- Zabiła trzy osoby - powiedział von Post. - Nie mogę jej, ot tak, po prostu wypuścić.

- To szkolny przykład obrony koniecznej - zaproponował Wenngren. - Przecież chyba pan to rozumie? Poza tym jest bohaterką dnia. Niech mi pan wierzy, gazety już szykują smakowitą historię *a la* Modesty Blaise. Uratowała dwoje dzieci, ukatrupiła wszystkich łobuzów... No więc niech się pan zastanowi, jaką chce teraz grać rolę. Tego skurwiela, który ją prześladowuje i chce zamknąć do ciupy? Czy może tego przyzwoitego gościa, któremu przypadają w udziale zaszczyty? Prokurator skierował rozbiegane oczy ku Svenowi Erikowi, ale nie znalazł w nim żadnego oparcia, nawet najmniejszego szczebelka, na którym można by spocząć. Wbił więc ponownie wzrok w żółty, szpitalny koc, którego zwisające boki pieczołowicie ukryto pod materacem.

- Liczyliśmy na to, że uda nam się nie dopuścić mediów do informacji - zaczął. - Przecież ci zabici pastorowie mają rodziny. Chociażby trochę szacunku dla...

Stålnacke pod osłoną gęstego wosa wciągał powietrze przez zaciśnięte zęby.

- Oj, raczej ciężko będzie wykluczyć prasę i telewizję - stwierdził lekko Måns. - W jakiś sposób prawda zawsze wychodzi na jaw.

Von Post zapiął płaszcz.

- No dobrze, ale trzeba ją będzie przesłuchać. Wcześniej nigdzie nie może pojechać.

- Oczywiście. Gdy tylko lekarze zdecydują, że jest wystarczająco silna. Coś jeszcze?

- Proszę do mnie zadzwonić, kiedy będzie zdolna do

przesłuchania - zwrócił się von Post do Svena Erika i zniknął za drzwiami.

Policjant ściągnął kurtkę puchową.

- Usiądę w korytarzu. Niech pan mi da znać, kiedy Rebeka się obudzi. Mam jej coś do powiedzenia. A teraz wybieram się do automatu po kawę i ciastko. Przynieść coś panu?

*

Gdy Rebeka otworzyła oczy, już po trzydziestu sekundach pochylił się nad nią lekarz. Z dużym nosem i ogromnymi dłońmi. Szeroki w barach, w białym fartuchu wyglądał jak przebrany za medyka kowal. Zapytał ją, jak się czuje. Nie odpowiedziała. Za lekarzem stała pielęgniarka. Twarz pełną troski okraszał nie za szeroki uśmiech. Måns przy oknie. Zerkał przez szybę, choć nie mógł zobaczyć nic innego niż zwierciadlane odbicie siebie i pokoju. Zmieniał ustawienie żaluzji. Otwierał, zamykał. Otwierał, zamykał.

- Sporo pani przeszła - mówił lekarz. - I fizycznie, i psychicznie. Siostra Marie da pani za chwilę środek na uspokojenie i oczywiście przeciwbólowy, jeżeli będzie pani potrzebowała.

To ostatnie potraktowała jak pytanie, ale nie odpowiedziała. Lekarz wyprostował się, dając porozumiewawczy znak pielęgniarce.

Zastrzyk zaczął działać szybko. Po chwili Rebeka mogła oddychać, nie czując bólu. Måns siedział przy łóżku i przyglądał się jej w milczeniu.

- Pić - szepnęła.

- Jeszcze ci nie wolno. Potrzebne płyny dostajesz w kroplówce, ale poczekaj sekundę. Podniósł się. Dotknęła jego dłoni.

- Nie bądź zły - wychrypiała.

- Nawet nie próbuj! - odpowiedział, otwierając drzwi. - Jestem wściekły jak cholera. Wrócił po kilku minutach z dwoma plastikowymi kubkami. W jednym była woda, którą Rebeka mogła płukać usta, w drugim grzechotały dwie kostki lodu.

- Do ssania - objaśnił. - Jakiś policjant chce z tobą rozmawiać.

Dasz radę?

Przytaknęła głową.

Måns przywołał Svena Erika kiwnięciem ręki. Komisarz usiadł obok łóżka.

- Dziewczynki? - zapytała.

- Czują się dobrze. Przyjechaliśmy do chatki wkrótce po... Jak już było po wszystkim.

- Jak?

- Weszliśmy do mieszkania Curta Bäckströma i zrozumieliśmy, że musimy panią odnaleźć. O tym porozmawiamy jeszcze później, ale znaleźliśmy trochę nieprzyjemnych rzeczy. Między innymi w lodówce i zamrażarce. Pojechaliśmy więc do domu w Kurravaara, pod adres, który pani zostawiła na policji. Nikt nie otwierał i... Tak naprawdę to włamaliśmy się do środka. A później poszliśmy do najbliższego sąsiada.

- Sivvinga.

- Tak, to on pokazał nam drogę do chatki. Starsza dziewczynka opowiedziała przebieg wydarzeń.

- Ale obie mają się dobrze?

- Jak najbardziej. Sara odmroziła sobie tylko policzek. Wysłała na dwór i próbowała uruchomić skuter.

Rebeka jęknęła.

- Przecież jej mówiłam...

- Ale to nic poważnego. Obydwie są tutaj w szpitalu pod opieką swojej mamy.

Rebeka zamknęła oczy.

- Chcę je zobaczyć.

Sven Erik zaczął trzeć brodę i spojrzał pytająco na Månsa.

Ten ostatni wzruszył ramionami.

- Przecież tylko uratowała im życie.

- Dobrze, dobrze - zastanawiał się głośno policjant. - Porozmawiamy z wujaszkiem doktorem, nie mówiąc o tym wujaszкови prokuratorowi. I zobaczymy, co się da zrobić.

Stålnacke pchał przed sobą łóżko, Wenngren podązał za nim z rozchwianym statywem kroplówki.

- Ta dziennikarka, która wycofała oskarżenie o pobicie, przyssała się do mnie jak kleszcz - zwrócił się do Rebeki.

Korytarz prowadzący do pokoju dziewczynek i Sanny robił wrażenie potwornie opustoszałego. Wpół do jedenastej wieczorem. Z pokoju dziennego dochodziła tylko niebieska poświata telewizora. Żadnych dźwięków.

Sven Erik i Måns zapukali i cofnęli się parę metrów.

Otworzył Olof Strandgård. Na widok Rebeki twarz zastygła mu w nieprzyjnym grymasie. W głębi pokoju mignęły Kristina i Sanna. Dziewczynek nie było widać. Może spały.

- W porządku, tato - odezwała się Sanna. - Zostań tutaj z mamą i dziewczynkami.

Wyszła na korytarz, zamknęła za sobą drzwi i stanęła obok Rebeki. Przez drzwi doszedł ich głos jej ojca.

- To przecież ona naraziła dziewczynki na niebezpieczeństwo. A teraz nagle została bohaterką?

Odpowiedź Kristiny była ledwo słyszalnym, monotonnym mamrotaniem.

- Jak to co? - podniósł głos Strandgård. - Więc jeżeli wepchnę kogoś do przerębli, a później go wyciągnę, to znaczy, że uratowałem mu życie?

Sanna przybrała minę, która miała znaczyć: „Nie przejmuj się nim, Rebeko. Wszyscy jesteśmy wstrząśnięci i zmęczeni”.

- Jak Sara? - wykrztusiła Rebeka. - I Lova?

- Śpią, nie chcę ich budzić. Powiem im, że tu byłaś.

„Nie pozwoli mi się z nimi spotkać”, pomyślała Rebeka, zaciskając usta.

Sanna pogłaskała ją po policzku.

- Nie jestem na ciebie zła - odezwała się miękko. - Rozumiem, że zrobiłaś to, co uważałaś za najbardziej stosowne.

Dłoń Rebeki zacisnęła się pod kocem. A po chwili wystrzeliła z ukrycia i objęła rękę Sanny niczym kuna szyję pardwy.

- Ty s... - syknęła.

Sanna próbowała wyrwać się z uścisku, ale Rebeka trzymała mocno.

- O co ci chodzi? Co takiego zrobiłam? - pytała Sanna.

Måns i Sven Erik stali kawałek dalej, ale najwyraźniej przerwali

rozmowę, obserwując uważnie obie kobiety.

Sanna przygarbiła się.

- No co takiego zrobiłam? - pisała żałośnie.

- Nie wiem - przyznała Rebeka, trzymając rękę Sanny z całych sił. - Zastanów się sama. Curt cię kochał, prawda? Na swój, trochę dziwaczny sposób. Może opowiedziałś mu o swoich podejrzeniach wobec Wiktora? Może zagrałaś rolę bezsilnej istoty, która nie wie, co począć? Może uroniłaś łzę, wyznając skryte marzenie o tym, żeby Wiktor zniknął z twojego życia?

Sanna wzdrygnęła się jak od uderzenia. Przez moment w jej oczach zabłysło coś mrocznego i obcego. Gniew. Jakby chciała, żeby jej paznokcie zamieniły się w żelazne szpony, którymi bez trudu mogłaby wydrzeć Rebecę wnętrzości. Po chwili dolna warga Sanny zaczęła drżeć. Do jej oczu napłynęły ogromne łzy.

- Nie wiedziałam, na-naprawdę... - jąkała się. - Skąd mogłam wiedzieć, co zrobi Curt... Jak możesz tak myśleć...

- Nie jestem nawet pewna, że chodziło o Wiktora - dodała Rebeka. - Może to był tylko Olof. Cały czas. Ale jemu nie potrafisz się przeciwstawić. I z powrotem oddajesz dziewczynki w jego ręce. Zamierzam złożyć doniesienie. Zajmie się tą sprawą opieka społeczna.

Spotkały się na przedwiosennym lodzie. Na krze, wspomnieniowym czegoś już nieistniejącego. Gdy lód pękł, odpląły w przeciwnych kierunkach. Bezpowrotnie.

Rebeka odwróciła głowę i zwolniwszy uścisk, prawie odepchnęła bladą dłoń Sanny.

- Nie mam siły - powiedziała.

Momentalnie podeszli do niej obaj mężczyźni. Przywitali się w milczeniu z Sanną. Måns skinął głową, Sven Erik do nieznacznego ruchu głowy dołożył uśmiech w oczach. Zamienili się teraz rolami, adwokat chwycił za wezgi łóżka, policjant za statyw kroplówki. Odeszli bez słowa.

Sanna, oparta o drzwi, odprowadziła ich wzrokiem.

„W lecie - pomyślała, gdy zniknęli za rogiem - w lecie. Wtedy zabiorę dziewczynki na wyprawę rowerową. Wypożyczę dla Lovy przyczepkę. Sara będzie pedałowac sama. Pojedziemy doliną Torne, na pewno im się spodoba”.

Sven Erik pożegnał się i poszedł w swoją stronę. Måns nacisnął guzik windy, drzwi otworzyły się przy wtórze gongu. Zaklął cicho, gdy uderzył łóżkiem w ścianę. Wyciągając ramię po statyw, trzymał nogę przy fotokomórcie, opóźniając zamknięcie drzwi. Zdyszany tą całą gimnastyką, poczuł ochotę na whisky. Spojrzał na Rebekę. Na jej zamknięte oczy. Może zasnęła.

- Zgadzasz się? - zapytał z krzywym uśmiechem. - Zgadzasz się, żeby cię woził taki stary facet?

Z głośnika pod sufitem mechaniczny głos oznajmił: „Trzecie piętro”, i drzwi windy rozsunęły się bezszelestnie.

Rebeka nie otwierała oczu.

„Możesz wozić, śmiało. Nie stać mnie na wybrzydanie. Biorę, co mi dają”.

I NASTAŁ WIECZÓR, I NASTAŁ PORANEK - DZIEŃ SIÓDMY

Anna Maria Mella klęczy na łóżku porodowym. Trzyma się metalowych uchwytów tak mocno, że bieleją jej knykcie. Wciska nos w maskę z gazem rozweselającym. Dyszy. Robert gładzi ją po mokrych od potu włosach.

- Teraz - krzyczy. - Teraz!

Bóle parte nadchodzą jak lawina, która z hukiem obsuwa się z górskiego zbocza. Wystarczy się jej poddać. Anna Maria ciśnie, napiera, prze.

Dwie stojące za nią położne pokrzykują i dopingują, jakby była ich faworytką na wyścigach konnych.

- Świetnie! Jeszcze raz, Anno Mario! Brawo! I jeszcze raz. Bardzo dobrze ci idzie! Wychodząca główka parzy ją jak ogień. Ale już po chwili tego nie czuje. Dziecko wypływa z niej jak śliski pstrąg.

Nie ma siły się odwrócić. Słyszy tylko wściekły wrzask nowo narodzonego.

Robert bierze jej głowę w obie ręce i całuje ją prosto w usta. Płacze.

- Ty to potrafisz! - śmieje się przez łzy. - Mamy chłopca!

PODZIĘKOWANIA

Rebeka Martinsson dojdzie do siebie, nie tak łatwo ją zniszczyć. Potrzebuje tylko trochę czasu. Proszę nie zapominać, że cała historia jest fikcyjna, podobnie zresztą jak występujące w niej postacie. Nieprawdziwych jest też kilka miejsc, na przykład Kryształowy Kościół i klatka schodowa w domu rodziny Soderbergów.

Jest wiele osób, którym chciałabym podziękować. Wymienię tutaj niektóre: magister prawa Karina Lundström, która w swoim poprzednim życiu pracowała w policji jako wywiadowca i nosiła przydomek Kritan. To ją pytałam między innymi o pistolety i policyjne bazy danych. Asesor Viktoria Lindgren i sędzia Maria Widebäck. Jan Lindberg, ordynator, i Kjell Edh, technik zatrudniony w prosektorium, którzy wnieśli swój wkład do opisu zwłok i sali sekcyjnej. Birgitta Holmgren udzieliła mi informacji o opiece psychiatrycznej w Kirunie, a Sven Ivan Mella, hodowca shitake, o grzybach, kopalni i mężczyźnie, który zaginął.

Wszystkie ewentualne błędy są mojego autorstwa. O pewne rzeczy wyżej wymienionych osób nie pytałam, niektórych informacji widocznie nie zrozumiałam, a czasami po prostu świadomie nie słuchałam dawanych mi rad. Najważniejsza dla mnie była wiarygodność kłamstw. Gdy baśń popadała w konflikt z rzeczywistością, pozwalałam baśni wyjść zwycięsko. Zawsze.

Dziękuję również literackiemu zespołowi chirurgów w składzie: Hans Olov Öberg, Marcus Tüll i Sören Bondeson (którzy wdychając, pojękując, potrząsając głowami, od czasu do czasu wydawali aprobujące chrząknięcie). Dziękuję wydawcy Gunnarowi Nirstedt za jego uwagi. Elisabeth Ohlson Wallin i Johnowi Eyre za okładkę oryginalnego wydania. Mamie i Evie Jensen, które nawoływały: „pisz szybciej”, jednocześnie uważając, że WSZYSTKO jest WSPANIAŁE. Lenie Anderson i Thomasowi Karlsen Andersson za przyjaźń i gościnność w czasie mojego pobytu w Kirunie.

I na koniec: Per, wyprowadź tygrysa...

Na podłodze prowincjonalnego kościoła w północnej Szwecji leży brutalnie okaleczone ciało mężczyzny. Gdy życie z wolna z niego uchodzi, on myśli o swojej poprzedniej śmierci. Wśród mroku nocy niczym smok wije się zorza polarna...

Rebeka Martinsson wraca do rodzinnego miasta, o którym wolałaby zapomnieć. Chce pomóc przyjaciółce oskarżonej o zamordowanie brata, charyzmatycznego przywódcy lokalnego protestanckiego kościoła. Jednak by odnaleźć prawdziwego mordercę, Rebeka będzie musiała zmierzyć się z własną mroczną i bolesną przeszłością, stawić czoło wrogiej, milczącej wspólnotie, zanurzyć się w lodowatym, brutalnym świecie zakłamania, głęboko skrywanych rodzinnych sekretów, władzy i manipulacji. A walka o prawdę szybko zmieni się w walkę o jej własne życie.

Urodziła się w 1966 r. w Szwecji. Przez wiele lat pracowała w Sztokholmie jako specjalista od prawa podatkowego, jednak porzuciła karierę prawniczą i całkowicie poświęciła się pisarstwu. Jej pierwsza powieść "Burza z krańców ziemi" zdobyła nagrodę dla najlepszego szwedzkiego kryminalnego debiutu.

